

**ANDRE NORTON  
ROSEMARY EDGHILL**

# **CIEŃ ALBIONU**

**PRZEKŁAD: ROBERT PRYLIŃSKI  
TYTUŁ ORYGINAŁU: THE SHADOW OF ALBION**

*Do mnie, ohydne cienie  
Szatańskie chichoty, do mnie!  
Macbeth*

## **PRZEDMOWA AUTORKI**

### **PANOWANIE, DO KTÓREGO NIGDY NIE DOSZŁO**

Różne teorie „co by było, gdyby...” pojawiają się w nauce historii, bo często zachodzą w niej wyraźne i gwałtowne zmiany kursu, które zależą od pojedynczego wydarzenia lub czynów konkretnej osoby. W takim właśnie momencie tworzą się dwa światy alternatywne, które mogłyby się rozwijać zupełnie inaczej, w zależności od tego, czy dany fakt wydarzył się, czy też nie.

W tej historii takim praźródłem podziału jest osoba diuka Monmouth, żyjącego za panowania Karola II. Większość poddanych tego króla sprzeciwiała się zaciekle idei ponownego objęcia władzy przez katolickiego władcę. Niestety Karol II nie zdołał splodzić z portugalską żoną żywego potomka, chociaż miał kilkoro dzieci z nieprawego łoża z licznymi kochankami. Wiele z nich obdarzył zresztą tytułami książęcymi, znacznymi nadaniami i honorami.

Brat Karola i jego legalny następca — Jakub — był gorliwym katolikiem, zdeterminowanym, by przywrócić w państwie poprzednią wiarę. Był też okrutnym i aroganckim władcą, w odróżnieniu od Karola, który miał wiele uroku, jak wszyscy Stuartowie.

Niemal od chwili urodzenia diuka Monmouth, najstarszego ze znanych nieślubnych potomków Karola, pojawiały się pogłoski, iż tak naprawdę jest on legalnym synem. Karol na wygnaniu Poślubił jakoby matkę księcia — pannę Waters. Monmouth był zresztą równie sympatycznym człowiekiem jak jego ojciec i do tego zdecydowanym protestantem.

W prawdziwym świecie, po śmierci Karola, Monmouth stanął na czele powstania, które wybuchło przeciwko jego wujowi Jakubowi II, a po przegranej został stracony.

W świecie alternatywnym Karol II podczas przedłużającej się agonii zrozumiał wreszcie, że wstąpienie na tron Jakuba będzie oznaczało kłopoty dla wszystkich. Oświadczył swoim najbardziej zaufanym i najpotężniejszym lordom, że plotki głosiły prawdę i że faktycznie (a w czasach tych nie istniało jeszcze Prawo o Małżeństwie Królewskim) poślubił pannę Waters, a tym samym diuk Monmouth jest jego prawowitym następcą. Po śmierci Karola II diuk zostaje koronowany jako Karol III.

Nowy król ma potem spore kłopoty z grupą opornych i potężnych lordów katolickich, a także ze swoim wujem Jakubem, który uważa, że tron prawnie należy się jemu...

Zamiana władców będzie miała oczywiście wpływ na wydarzenia późniejszych lat, a nawet wieków — ale najbliższy okres wygląda dokładnie tak jak w rzeczywistym świecie. Silnie wigowska, protestancka Anglia walczy przeciwko Francji. Na scenę dziejową wkracza dowódca książę Marlborough, którego serdecznym przyjacielem jest diuk Clarence — drugi nieślubny syn zmarłego króla i przyrodni brat panującego Karola III.

Stuarci nie zaprzestają zresztą płodzenia wielu bękartów i przyznawania im znaczących tytułów, więc najwyższe stopnie angielskiej drabiny feudalnej ulegają znacznemu rozmnożeniu. Po okresie panowania jeszcze trzech kolejnych Stuartów (Karola IV, Jakuba II i Karola V) wkraczamy w rok 1800 i oto znajdujemy się w świecie podobnym, jednak bardzo różnym od naszego. W angielskim rządzie nadal dominują wigowie i król opiera się na tym właśnie stronnictwie. Skoro na tronie nie zasiada nieudolna i niepopularna dynastia hanowerska, relacje polityczne z koloniami amerykańskimi są zupełnie poprawne — w 1805 roku Ameryka jest po prostu najdalszą zachodnią kolonią angielską, a jej mieszkańcy są obywatelami Anglii z pełną reprezentacją w Parlamencie. Kolonia jest zarządzana (podobnie jak Irlandia) przez Lorda Protektora, a w 1805 roku Lordem Protektorem Ameryki jest Thomas Jefferson.

Podobnie jak tytuły irlandzkie, tytuły amerykańskie są wprawdzie uważane za godności drugiej kategorii, a jednak stojący wysoko w hierarchii społecznej ludzie przyjmują zarówno tytuły angielskie, jak i amerykańskie. Ameryka jest też często miejscem osiedlania się pozbawionych ziemi młodszych synów szlacheckich. Oczywiście z upływem czasu związki pomiędzy krajem ojczystym a wielką kolonią słabną i teoretycy polityki przewidują, że pewnego dnia Ameryka będzie rządzić się sama, niemal bez nadzoru metropolii...

Kolejną wielką zmianą w stosunku do historii, jaką znamy, jest oczywiście fakt, że w naszym świecie alternatywnym nie dochodzi do zakupu Luizjany w 1805 roku, a ekspansja trzynastu kolonii w kierunku zachodnim zatrzymuje się na pustkowiach Kentucky (w naszym świecie alternatywnym nazywanych Transylwanią).

Rewolucja Francuska, która wybucha w 1789 roku w obu światach, jest szokiem zarówno dla Anglii, jak i jej kolonii w Nowym Świecie. Jednak chociaż dąży do tego wielu polityków, Anglia — również w obu światach — nie interweniuje.

W roku 1795 Napoleon Bonaparte zaczyna wspinaczkę na szczyt, a Francja nabiera imperialnych apetytów. Tym razem Anglia wyrusza na wojnę. Mimo poważnych społecznych i religijnych niepokojów wewnętrznych Brytania cementuje koalicję Trzech Mocarstw z Prusami i Rosją, która daje Napoleonowi zatrudnienie na kontynencie. Tłące się w kraju niepokoje mogą jednak w każdej chwili zmienić się w otwartą wojnę domową, zwłaszcza gdyby zmarł stary król...

Podobnie jak w świecie rzeczywistym, wiele państw rozważa zawarcie z Napoleonem umów dwustronnych. Językiem u wagi staje się Dania, która, będąc członkiem Ligi Bałtyckiej, waha się pomiędzy neutralnością a zajęciem miejsca po stronie Francji. Taki sojusz duńsko-francuski spowodowałby wycofanie się Rosji z antynapoleońskiej koalicji.

W świecie rzeczywistym Anglia dwukrotnie, w latach 1801 i 1806, posyłała do Danii swoją flotę, by spacyfikować zwolenników profrancuskiej koncepcji politycznych. W naszym świecie alternatywnym owdowiały właśnie król Anglii Henryk IX zamierza dokonać tego samego poprzez ślub swojego jedyne go syna — Jakuba Karola Henryka Dawida Roberta Stuarta, księcia Walii i diuka Gloucester — z księżniczką Stefanią Julianną, wnuczką starego i podstępne go króla Christiana VII, w którego imieniu władzę regencyjną sprawuje obecnie najstarszy syn, książę Frederick. To małżeństwo, łączące jedne z nielicznych europejskich protestanckich domów panujących, powinno trwale powiązać Danię z interesami koalicji.

I tu zaczyna się nasza historia...

# 1. MAGIĄ PRZYWIEDZIONA...

WILTSHIRE, KWIECIEŃ 1805

Ten dom od zawsze nazywał się Mooncoign, chociaż był własnością wielu rodzin, zanim wreszcie król Karol III podarował go pierwszej markizie Roxbury. Stało się to ponad wiek temu. Teraz jednak Roxbury'owie władali Mooncoign dłużej niż sięgała pamięć współczesnych, mogło się więc zdawać, że było tak od początku świata.

Ale nawet nikt z dawnych pokoleń nie wiedział, skąd wzięła się nazwa domu\* — a jeżeli nawet był ktoś taki, w tamtym klimacie niepewności politycznej i religijnej pewnie wolał zostawić tę wiedzę dla siebie. O ile bowiem wesoły monarcha Karol II zwykł mawiać, że angielskie czarownice zdrowiej jest zostawić w spokoju, o tyle poglądy jego syna — byłego diuka Monmouth — były w tym względzie znacznie bardziej protestanckie.

Teraz jednak zarówno panowanie wesołego ojca, jak ambitnego syna dawno należało już do przeszłości. Był jeden z pierwszych dni kwietnia — poranek bez żadnego specjalnego znaczenia w kalendarzach alchemików i filozofów, nie różniący się od wielu innych poranków na wzgórzach Wiltshire w oczach wszystkich mieszkańców wielkiego domu... oprócz jednego.

Pokój był umeblowany bogato i konserwatywnie. Ciężkie orzechowe komody mogły pamiętać czasy, kiedy to Karol Stuart ukrywał się w tym domu przed prześladowcami w czasach wojny domowej, jakieś sto pięćdziesiąt lat temu. Dębowa boazeria pokryta woskiem i terpentyną błyszcząca złościście nawet w słabym blasku porannego słońca, a ściany nad nią pokrywała sztukateria przypominająca białą delikatną koronkę, odcinająca się wyraźnie na ciemniejszym kremowym tle.

W pokoju było gorąco jak w piecu. Ogrzewały go nie tylko płonące jasnym ogniem węgle w kominku, ale także, zgodnie z zaleceniami lekarza, dwa wysokie brązowe kociołki. Teraz medyk przyglądał się z wyraźną dezaprobatą luksusowemu otoczeniu, chociaż to nie sama komnata wzbudzała w nim ten nastrój. Niechętnie odwrócił się do oczekującej służącej i powiedział to, co niestety powiedzieć musiał.

— Powinnaś była wezwać mnie wcześniej. Stan pani jest bardzo poważny, właściwie... — zamilkł próbując dobrać najodpowiedniejsze słowa, by przekazać najgorsze.

— Proszę mówić głośniej, doktorze Falconer, słabo pana słyszę. — Głos był zachrypnięty, a wypowiedź zakończył suchy kaszel i ciężkie dyszenie, ale ton brzmiał rozkazująco i silnie.

Doktor Falconer odwrócił się od zaniepokojonej służącej i powrócił do łóżka dostojnej pacjentki. Wypielegnowaną ręką odsunął zasłonę przy łóżku i spojrzął na kobietę spoczywającą w pościeli. Ona popatrzyła mu prosto w oczy bystrym i zadziwiająco przytomnym wzrokiem.

Sara markiza Roxbury nigdy nie była piękną. Oczy — najładniejszą część twarzy — miała szare, włosy proste, rzadkie i w dodatku mysiego koloru, a nie złote czy kruczoczarne, jakie opisywano w romansach. Była wysoka i chuda, i pełna arogancji, jak przystało na nieodrodną córę rodu Conynghamów. Błada cera w połączeniu z dumnymi rysami i niezwykłą witalnością nadawała jej niegdyś swoistą aurę dostojności, ale teraz należało to do przeszłości. Markiza Roxbury była już tylko umierającą kobietą.

— Czy jest aż tak źle? — spytała szeptem. — Proszę to powiedzieć raczej mnie. Knoyle cudownie układa fryzurę, ale przy poważniejszych kłopotach potrafi tylko płakać.

---

\* Mooncoign — w wolnym tłumaczeniu „zapatrzony w księżyc”.

Matka Sary — druga markiza Roxbury i nieślubna córka Jakuba II, dziadka obecnego króla — zmarła dwa lata temu przy porodzie wraz z dzieckiem, które gdyby przeżyło, byłoby teraz młodszym bratem Sary i dziedzicem marchii. Matka i syn spoczywali w małym grobowcu rodzinnym niedaleko Mooncoign, a z chwilą ich śmierci Sara Maria Eloisa Arkadia Dowsabelle Conyngham stała się pełnoprawną markizą Roxbury.

Każdego roku, od momentu gdy przedstawiono ją na dworze w wieku lat szesnastu, młoda markiza Roxbury zaczynała sezon wiosenny wielkim przyjęciem wydawanym w Mooncoign. Bal zawsze był wystawny i pompatyczny; tego roku — tysiąc osiemset piątego — dziesięć dni temu zaledwie, zainscenizowano nawet na stawie przy domu bitwę na Nilu. Tak się złożyło, że statek markizy poszedł na dno, chociaż miał reprezentować okręt flagowy admirała Nelsona. Uratował ją natychmiast wicehrabia Saint-Lazarre; cała załoga niecznie zdezerterowała, by doprowadzić do porządku mokrą garderobę, ale markiza pozostała na placu boju, aby bronić honoru angielskiego oręza. Ignorowała coraz silniejszy kaszel przez cały następny tydzień, bo aż tyle trwało przyjęcie. Dopiero teraz dowiedziała się, ile będzie ją kosztować ta mokra przygoda.

Za oknem wzgórza kapały się w słabych jeszcze i mdłych promieniach kwietniowego słońca. Doktor Falconer przyjrzał się w milczeniu twarzy markizy, nim wreszcie przemówił.

— Choroba postępuje w gwałtownym tempie, pani. Nie przeżyjesz miesiąca...

Usta lady Roxbury zacisnęły się, a ogień w oczach zgasł. A przecież spodziewała się tego. Tylko głupiec miałby jeszcze nadzieję plując krwią.

Rozległ się zduszony szloch Knoyle.

— Przystań jęczeć! — skarciła ją ostro markiza. — Jeszcze ktoś pomyśli, że nie dostaniesz stosownej odprawy. Przecież to było tylko przeziębienie... — zwróciła się do lekarza. Nienawidziła tej błagalnej nuty w swoim głosie.

— Przeniosło się na płuca — wyjaśnił miękko medyk. Jednak pacjentka słyszała w jego głosie wyraźny i bezlitosny wyrok śmierci.

Falconer nie był pierwszym lepszym wiejskim konowalem, ale osobistym lekarzem króla Henryka. Jego wiedzy nikt nie kwestionował. Nie dla każdego chorego opuściłby miasto, tak jak to uczynił dla niej.

— Rozumiem... — powiedziała Sara.

Każdy oddech przychodził jej z trudem. Z trudem też starała się zdusić suchy, spazmatyczny kaszel.

— Dziękuję za przybycie, doktorze — zdołała wreszcie powiedzieć. Wyciągnęła ku niemu smukłą, ozdobioną klejnotami dłoń, nad którą Falconer pochylił się z szacunkiem. — Proszę uważać się za mojego gościa tak długo, jak uzna pan to za stosowne. Proszę też zapewnić moich pozostałych gości, że wkrótce do nich dołączę.

Falconer zawahał się przez moment, zanim odpowiedział.

— Oczywiście, pani. Przekażę im twoje pozdrowienia. — Zawahał się wyraźnie chwilę, jakby chciał coś dodać, rozmyślił się jednak i skierował ku drzwiom.

Lady Roxbury zwróciła się ku pokojówce.

— Knoyle — zdołała tylko wykrztusić, bo dusząca obręcz uciskająca jej piersi przesunęła się ku krtani.

Sięgnęła na ślepo ręką i chwyciła ciepłą, szeroką dłoń pokojówki. Zacisnęła na niej palce z zadziwiającą mocą.

— Nikomu... nie mów nikomu! — jęknęła.

Zdradziecka siła tkwiąca w jej piersi obudziła się do życia i spazm za spazmem zaczęła wstrząsać wychudłym ciałem. Wreszcie markiza legła bezwładnie, drżąc pod przykryciem poplamionym czerwienią jej krwi.

To niesprawiedliwe, myślała kilka godzin później. Jedyne głośniejsze dźwięki w jej obecnym życiu to trzaskanie płonących węgla i miarowe tykanie wysokiego zegara na ścianie. Nie miała wątpliwości, że w Mooncoign wszystko funkcjonuje tak, jakby sama wydawała odpowiednie polecenia, ale pojawiła się nieproszona myśl, że wkrótce już nie będzie miała dość siły, by się tym interesować.

A wtedy Mooncoign i marchia, które miały przejść na jej męskich lub żeńskich potomków, powrócą do Korony. W przyszłości ktoś innej krwi będzie wędrował tymi wiekowymi korytarzami.

To niesprawiedliwe!

Zasłony u wezgłowia były zaciągnięte, ale z rozkazu lady Roxbury pozostawiono odsłoniętą całą resztę. Mogła więc przyglądać się portretowi wiszącemu nad kominkiem. W pozłacanych lśniących ramach widniała twarz jej babki Panthei, pierwszej markizy; patrzyła złośliwie na wnuczkę, niewzruszona, dostojna i władcza w jedwabiach i koronkach. Ozdobione klejnotami dłonie bawiły się kluczem, sztyletem i różą — drobna aluzja do broni, jaką chętnie posługiwali się Roxbury'owie i do ich motto: „Otworzę każde drzwi”... Tak jakby istniały jakieś drzwi, przez które Sara mogłaby uciec od słabości ciała i świadomości niewypełnionych obowiązków.

— Pani, gość do ciebie... — oznajmiła Knoyle drżącym ze strachu głosem. Złamała właśnie wyraźny rozkaz markizy, by nie wpuszczać nikogo.

Lady Roxbury z wysiłkiem spróbowała usiąść i oprzeć się o wezgłowie. Na jej rozgorączkowanej twarzy pojawiły się rumieńce gniewu.

— Kto... — zaczęła, ale przeszkodził jej gwałtowny kaszel. Przycisnęła koronki mankietu do ust. Po chwili poczuła silne, chłodne dłonie, podtrzymujące ją i pomagające usiąść. Z ich dotknięciem ból w piersiach znacznie zelżał. — Kto śmie... — dokończyła wreszcie, kiedy minął bolesny paroksyzm.

— Ja — odpowiedział spokojny głos. — Wiesz dobrze, pani, że niewiele jest rzeczy, na które bym się nie odważyła.

Oczy lady Roxbury rozszerzyły się ze zdumienia, kiedy rozpoznała wreszcie gościa.

Dame Alecto Kennet, w młodości wyjątkowo urodziwa, nadal była kobietą o niezwyklej dostojności i charyzmie. Była już w swym życiu aktorką, tajną agentką, kochanką dwóch królów i jeden Bóg wie, czym jeszcze. W jesieni życia wybrała drugoplanową rolę powiernicy Dowager, księżny Wessex, która sama raczej unikała rozgłosu. A jednak nawet teraz nikt nie ważyłby się lekceważyć dame Alecto.

— Sądziłam, że jesteś w Bath z księżną Wessex — zdołała wykrztusić lady Roxbury. Siedziała oparta bezwładnie o koronkową poduszkę. Chociaż wstrząsały nią dreszcze, starała się za wszelką cenę nie zdradzić zakłopotania swoim obecnym stanem i niespodziewaną wizytą.

— Byłabym tam nadal, gdyby nie to, że ty potrzebujesz mnie bardziej — odparła dame Alecto.

Zdjęła ozdobiony piórami szkarłatny kapelusz i położyła go na ławie w nogach łóżka, obok pogniętego pudła na kapelusze, przewiązanego sznurem. Kolor jej włosów — ognistoczerwony w młodości — z wiekiem zbladł, ale wciąż miała starannie ułożoną fryzurę pod ozdobioną perełkami siateczką. Zdejmując wełnianą podróżną pelerynę, uważnie przyglądała się markizie oczami, które z wiekiem z błękitnych stały się jasnoszare.

Sara zdołała się słabo uśmiechnąć.

— Niedługo już nie będę niczego potrzebować — odparła z grymasem niezadowolenia. — Tak powiedział lekarz. Ciekawa jestem, komu przypadnie Mooncoign po mojej śmierci.

— Lepiej się zastanów, kto cię wyręczy w tym, co miałaś zrobić — sapnęła nerwowo dame Alecto. — Kto zajmie twoje miejsce, lady Roxbury?

Sara nie mogła ścierpieć, gdy ktoś zwracał się do niej tak bezceremonialnie. Nie zamierzała znosić tego i teraz. Z wysiłkiem zmusiła się do przybrania pogardliwego i obojętnego tonu.

— Uważam, że Wessex znajdzie kogoś odpowiedniego. Nie przyszłaś tu chyba, żeby mi donieść, że moja śmierć zwalnia wnuka twojej pani z danego słowa?

Lady Roxbury skojarzyła sobie, że Bath leży o dzień drogi stąd, a ona dowiedziała się od doktora Falconera o czekającym ją losie dopiero kilka godzin temu. Nawet gdyby lekarz zdradził komuś tajemnicę, księżna Dowager nie mogłaby w tak krótkim czasie przysłać tu swojej powiernicy. Sara wyprostowała się i sięgnęła do ozdobnego sznura dzwonka, by przywołać Knoyle.

— Twoje zaręczyny są mało ważne w porównaniu z Wielką Pracą, którą zostawisz nie wykonaną. Może zapomniałaś, komu naprawdę zawdzięczasz te ziemie, lady Roxbury? — Spojrzenie dame Alecto było zimne jak lód, jednak Sara nie odwróciła wzroku.

— Zawdzięczam je królowi. Jestem markizą Roxbury — odparła.

Wypuściła z dłoni sznur od dzwonka. Zdecydowała, że cokolwiek miało się stać, zmierzy się z tym sama, nie narażając się na plotki służby.

— Nie składałaś żadnej przysięgi? — zapytała ostro dame Alecto.

Stała u stóp łoża, jakby przyzywała lady Roxbury do siebie. Sara miała wielką ochotę zakończyć to męczące przesłuchanie, ale przed jej oczami pojawiły się nie wiadomo skąd obrazy z przeszłości. Letnie przesilenie cztery lata temu. Miała wtedy dwadzieścia jeden lat. Stary zarządca Mooncoign wezwał ją z miasta i mimo jej protestów zaprowadził do kamiennego kręgu na granicy jej posiadłości. Pokazał ją Najstarszemu Ludowi, a ona złożyła przysięgę, że Roxbury'owie i Mooncoign będą zawsze robili to, co właściwe dla Ludu i dla ich ziemi.

Otrząsnęła się z tej wizji i zobaczyła wpatrzone w siebie oczy dame Alecto. Przysięgała w blasku księżyca, a kto będzie dbał o tę ziemię i jej mieszkańców, gdy jej zabraknie? Po raz pierwszy lady Roxbury zaczęła myśleć, że jej śmierć to strata nie tylko dla niej samej. Domyśliła się, skąd dame Alecto wiedziała o jej stanie i dlaczego tak szybko się tu zjawiła. Najstarszy Lud miał swoje sposoby przekazywania informacji — ale nawet oni nie potrafili odmienić przeznaczonego komuś losu.

— Jeśli powiesz mi, w jaki sposób mogę wypełnić swoją przysięgę — szepnęła — będę ci bardzo wdzięczna.

— Musisz przyzwać tę, która zajmie twoje miejsce — odparła dame Alecto.

Podeszła do łoża, odsunęła ciężką pierzynę i podniosła markizę Roxbury z jej posłania. Sara zatoczyła się i byłaby upadła, gdyby nie podtrzymujące ją silne ramiona. Pokój zawirował, a młoda markiza zadrżała, jakby wystawiono ją na poddmuchy arktycznego wiatru. Na krawędzi jej pola widzenia świat zafalował i ściemniał jak brzegi obrazu ciśniętego w płomienie. Ledwie do niej docierało, że dame Alecto na wpół ją ciągnie, na wpół niesie do krzesła stojącego przed kominkiem, sadza ją tam i owija ciężkim pledem, który pachniał cedrem i lawendą.

— Mooncoign nie należy do mnie — zaprotestowała słabo.

Dame Alecto nalała do kubka mikstury, którą przepisał lekarz. Chora uniosła kubek do ust i poczuła silną woń brandy i laudanum. Wypiła kilka łyków i poczuła, że ból w jej piersiach zelżał nieco.

— Mimo to możesz wyznaczyć swoją następczynię, jeśli tylko się odważysz. Spójrz w ogień — rozkazała dame Alecto — i powiedz mi, co widzisz.

Cygańskie brednie, pomyślała pogardliwie lady Roxbury, ale pod wpływem zniewalającej mocy głosu starszej kobiety nie odważyła się zaprotestować głośno. Spojrzała posłusznie w wijące się w kominku ogniste węże. Było jej coraz cieplej... gorąco... płonęła, stawiała się ogniem...



— Żywole ognia, rzucam to zaklęcie...

W pokoju pojawiły się inne istoty, otaczały je kręgiem i śpiewały, a ich głosy zlewały się w jedno z cichą muzyką płomieni...

— Powiedz, co widzisz! — powtórzyła dame Alecto. Ogień migotał przed oczami lady Roxbury. W jej trawionym gorączką umyśle płomienie zaczęły zmieniać się w ogniste fantomy...

Dwukołowy powóz podskakiwał i trzął się na nierównym bruku paryskiej ulicy. Wokół jadącego powoli pojazdu kłębił się złorzeczący tłum. Wszyscy oni przyszli tu tylko po to, by nareszcie zobaczyć upadek markizy de Rochberre. Sara patrzyła na nich zimnym wzrokiem, jakby wciąż miała na sobie jedwab i klejnoty zamiast podartej perkalowej koszuli, jakby jej ułożone starannie włosy, teraz brudne i potargane, wciąż przyozdabiały perły...

— Dla tej nic nie możemy zrobić. Jest wyniosła bardziej nawet niż ty... Spójrz jeszcze raz — rozkazała dame Alecto.

Tańczący Biały Ptak — kobieta—wojownik Kriksów — patrzyła na wioskę bladych twarzy, z której niegdyś, gdy była małym dzieckiem, ukradł ją jej ojciec. Wokół leżał tuzin jej braci wojowników — ukrytych i czekających na sygnał do ataku...

— To jest duch, który by się nam przydał... ale nie możemy jej dosięgnąć. Zresztą też chyba nie mogłaby nam pomóc. Jeszcze raz.

Pokład statku. Pokryte solą relingi, szorstkie w dotyku. Za kilka chwil statek niosący Sarę Cunningham z Marylandu zawinie do portu Bristol. Nikt tam na nianie czekał, znikąd nie mogła oczekiwać pomocy...

— Ta — powiedziała zdecydowanym głosem dame Alecto.

Ognisty wizerunek rozplynął się w powietrzu. W głowie oszołomionej lady Roxbury tańczyły obrazy jeszcze wielu, wielu innych Sar, zamieszkujących wszystkie zakątki alternatywnych światów.

— Co ty ze mną zrobiłaś? — wykrztusiła wreszcie. — Rzuciłaś na mnie urok! Obrazy w ogniu... Nie mam czasu na takie kuglarskie sztuczki.

Życie tej drugiej Sary wciąż tkwiło w jej umyśle jak odległy cień. Niewyobrażalne dzieciństwo w niepodległej Ameryce, która nie była Protektoratem Korony... i umysł tej kobiety — tak podobny, ale jednak tak różny.

— To taka sama kuglarska sztuczka jak twoja przysięga pomiędzy głazami — stwierdziła niewzruszona dame Alecto. — Musisz przyzwać tu tę drugą Sarę, lady Roxbury. Ona płynie po śmierć, więc musimy szybko interweniować. Możemy ją ściągnąć bez łamania Wielkiej Reguły. Ty, dziecko, przyjmiesz jej śmierć, a ona...

— ... przyjmie moje życie? Ona? Ta purytańska kościelna mysz? — zaprotestowała obrażona lady Roxbury.

Z trudem łowiła powietrze walcząc z dusznością gniotącą płuca, ale musiała ulec następnemu atakowi spazmatycznego kaszlu. Zdawało jej się, że czuje uchodzące z niej życie; wraz z życiem oddalały się wszystkie te rzeczy, które mogła zrobić, powinna była zrobić, rzeczy, które musiały być zrobione...

— To dziecko? Ona nigdy nie zdziała tyle, ile mogłam zrobić ja! — dodała szeptem.

— Zrobi wszystko, co miałaś zrobić... i jeszcze więcej. Ona ocali Anglię... jeśli tylko będziesz miała dość odwagi, by ją tu sprowadzić — odparła dame Alecto.

Lady Roxbury oparła się bezsilnie o rzeźbione oparcie krzesła. Miała zamknięte oczy, ale widziała wirujący wokół niej pokój i spoczywające na sobie badawcze spojrzenie prababki Panthei. Czuła jak podstępna słabość wkrada się do jej ciała, widziała wieczny ocean gwiazd... wieczny spokój, wieczny odpoczynek... ale nie teraz, jeszcze nie teraz...

Uniosła dumnie głowę.

— Możesz mówić co chcesz o moim życiu, ale nigdy nie powiesz, że brakowało mi odwagi!

Szaleństwem było słuchać tej szalonej kobiety, ale los nie pozostawił jej wyboru. Była z rodu Roxburych — nikt nie zarzucił jej złamania przysięgi.

Dame Alecto wyglądała na zadowoloną.

— Musisz wyruszyć natychmiast i sama. Weź najlepszy powóz i gnaj jak wiatr do miejsca, gdzie składałaś przysięgę. Musisz tam dotrzeć przed zachodem słońca. Odnajdziesz to miejsce?

Lady Roxbury doskonale powoziła i potrafiła pędzić ryzykując życie. Jej ogiery pełnej krwi były chyba najlepszymi końmi w Europie, ale jednak taki wyścig ze słońcem, jaki proponowała dame Alecto... Sara zawahała się. Od kamiennego kręgu dzieliło ją wiele mil. Między wzgórzami prowadziła wąska droga, a ranek dawno już minął...

— Może zdołałabym to zrobić... gdybym miała dość siły, by utrzymać lejce. — Przyznanie się do własnej słabości było niezwykle gorzkie. — Jeśli tego ode mnie potrzebujesz, to obawiam się, że przybyłaś zbyt późno.

— A posłuchałabyś mnie, gdybym przybyła wcześniej? — spytała dame Alecto.

Lady Roxbury nie odpowiedziała, ale w duchu musiała jej przyznać rację. Aż do dzisiejszej porannej wizyty doktora Falconera wierzyła w głębi serca, że może jakieś niezwykle lekarstwo pozwoli jej uniknąć śmierci. Patrzyła bez słowa, jak dame Alecto otwiera pudło na kapelusze, które przyniosła ze sobą. Ze środka wydobyła małą srebrną buteleczkę, migoczącą w promieniach słońca.

— Ten lek przywróci ci siły na czas niezbędny dla wykonania tej misji. Ale ma to swoją cenę, jak każde naruszenie reguł. Napój wyczerpie całą energię życiową, jaka jeszcze ci pozostała, bo skumuluje ją w tych krótkich chwilach. Kiedy jego działanie się skończy, nie pozostanie już nic. Rozumiesz?

— Daj mi to. — Głos lady Roxbury brzmiał zdecydowanie. Zaciśnęła dłoń na buteleczce i wydało jej się, że bijąca ze środka moc rozgrzewa jej rękę. Zamknęła oczy, walcząc z podstępą słabością.

— Zostawię cię teraz. Mam nadzieję, że wasza dostojność spędzi miłe popołudnie. — Głos dame Alecto był pozbawiony emocji.

Sara nie odpowiedziała. Wciąż miała zamknięte oczy, ale słyszała wyraźnie szelest materiału, gdy dame Alecto wkładała pelerynę i kapelusz. Potem rozległ się dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi, gdy gość opuszczał pokój. Cokolwiek miało nastąpić potem, rola dame Alecto zakończyła się.

Mój los jest jej zupełnie obojętny... to nieoczekiwane odkrycie na moment zmroziło Sarę. Markiza Roxbury nie zwykła dotąd zastanawiać się nad uczuciami innych ludzi; nie czyniła tego nigdy w ciągu dwudziestu pięciu lat swojego życia. Ale już wkrótce nie będzie markizą Roxbury. Pora pożegnać się z tytułem, który nawet nie przejdzie na jej dziecko ani nie wróci do Korony. Przejmie go obca kobieta, ściągnięta ze Świata–Który–Mógłby–Być, jak to określała dame Alecto.

A ja byłam na tyle głupia, że jej uwierzyłam. Uwierzyłam — a może uchwyciłam się po prostu szansy ucieczki...

Lady Roxbury ze stojącej na nocnym stoliku karafki brandy wlała kilka łyków ciemnobursztynowego płynu do szklanki. Zanim zdążyła się rozmyślić, odkorkowała tajemniczą buteleczkę i dołała do trunku jej zawartość. Płyn był ciemny i gęsty jak syrop; powoli mieszał się z brandy, aż cały napój przybrał ciemnoczerwoną barwę. Markiza zawahała się przez moment, uniosła szklankę do ust i opróżniła ją kilkoma szybkimi łykami.

Zupełnie jakby wypijała płynny ogień, który dotarł wprost do serca i przepłynął przez żyły, przeganiając dreszcze i słabość choroby. Westchnęła mimo woli, zdumiona; wzięła głęboki oddech po raz pierwszy od dwóch tygodni. Jej płuca były czyste.

„Napój wyczerpie całą energię życiową, jaka jeszcze ci pozostała, bo skumuluje ją w tych krótkich chwilach. Kiedy jego działanie się skończy, nie pozostanie już nic”.

Lady Roxbury zerwała się na równe nogi, podświadomie oczekując zawrotu głowy. Nic takiego nie nastąpiło. A więc pod tym względem dame Alecto miała rację. Ciekawe, czy reszta też się sprawdzi. Spojrzała przez okno, by ocenić wysokość słońca.

Uśmiechnęła się przelotnie. Aby sprowadzić do Mooncoign tę drugą Sarę, musi dotrzeć do Świętych Głazów przed zachodem słońca. A więc niech tak będzie, jeśli takie jest jej przeznaczenie. Niech dame Alecto nacieszy się jej następczynią.

— Knoyle! — krzyknęła szarpiąc z wigorem za sznur od dzwonka. Pokojówka pojawiła się natychmiast... i wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

— Chcę wyjść — rzuciła markiza. — Przynieś strój podróżny, a Risolm niech zaprzęga najszybsze konie do powozu. Co się tak gapisz? — dodała widząc, że Knoyle wciąż stoi bez ruchu i patrzy na nią wstrząśnięta.

Pokojówka ocknęła się wreszcie i odbiegła spłoszona. Lady Roxbury zrzuciła pled, odwróciła się w stronę kominka i wydało jej się, że w płomieniach dostrzega twarz tej drugiej Sary — bladą, młodą i świeżą...

— Prawdziwie niewinna panienska — zachichotała lady Roxbury ruszając ku wyjściu.

## 2. POMIĘDZY SŁTONĄ WODĄ A MORZEM PIASKU

### FREGATA „LADY BRIGHT”, KANAL BRISTOLSKI, KWIECIEŃ 1805

Sara Cunningham, urodzona w Baltimore, w Maryland, w Stanach Zjednoczonych Ameryki, stała przy relingu na pokładzie statku „Lady Bright” i patrzyła z rozpaczą na morskie fale. Poranna bryza wiejąca od oceanu kąsała przenikliwym chłodem 10 mało nie zerwała jej z głowy skromnego, ciemnoszarego kapelusza o wąskim rondzie, który przytrzymały tylko tasiemki zawiązane pod brodą. Jutro albo pojutrze, w zależności od szczęśliwych wiatrów i pływów, statek zawinie do portu Bristol.

Pani Kennet mówiła jej, że Bristol to wielkie miasto, ustępujące tylko Londynowi, i że z tego portu Sara na pewno znajdzie połączenie do metropolii.

Jakie przyjęcie czekało ją w Londynie? Sara nie miała pojęcia. Nie wiedziała, czy zdoła uzyskać posłuchanie u diuka Wessex. Dlaczego tak wysoko postawiony człowiek miałby wysłuchiwać pierwszej lepszej Amerykanki i jej niewiarygodnej historii, w dodatku nie popartej prawie żadnymi dowodami? Gdyby tylko pani Kennet...

Łzy wyschły na jej policzku, ledwie wypłynęły z oczu. Mięła nerwowo ozdobną batystową chusteczkę, aż zamieniła ją w pogniecioną kulę. Rozejrzała się wokół mając nadzieję, że dostrzeże coś, co pozwoli jej uciec od niewesołych myśli.

Z tyłu po lewej stronie została zielona Irlandia, z przodu zaś, niewyraźny w promieniach porannego słońca, majaczył szary cień lądu. Był to, zgodnie z zapewnieniami kapitana Challonera, walijski przylądek St. Davids — pierwszy zwiastun domu.

Cóż, był on może domem dla kapitana Challonera, ale na pewno nie dla Sary Cunningham. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy jej życie tyle razy zmieniło się gwałtownie, że teraz potrafiłaby zachować spokój w obliczu każdej tragedii. Jednak ostatnia strata była bardziej nawet dotkliwa niż śmierć rodziców kilka miesięcy wcześniej. Teraz Sara Cunningham była zupełnie sama na bezlitosnym świecie.

W pewnym ponurym sensie śmierć rodziców była błogosławieństwem, bo uodporniła ją na następne ciosy, jakie mogły ją spotkać od losu. Sprzedaż domu i mebli ledwie wystarczyła na zapłacenie rachunków za leczenie i pogrzeb. Sara musiała zamieszkać w domu jednego z dalekich kuzynów matki. Wkrótce zdała sobie sprawę, że jest w tym domu tylko darmową siłą roboczą. Ale jak mogła mieć nadzieję na lepszą przyszłość?

Sara Cunningham urodziła się dwadzieścia pięć lat temu, niemal równocześnie z Nową Republiką, w domu rodziny, która z pewnością nie miała powodów, by życzyć sobie na swoich ziemiach panowania obcych królów. Wyrosła rozdarta pomiędzy dwoma światami: tętniącym życiem, patrzącym w przyszłość republikańskim Baltimore i drwiącymi sobie z upływu czasu, cichymi i niezmiernymi puszcami Maryland. Tam nauczyła się polować i łowić ryby, strzelać i tropić równie dobrze jak każdy z jej indiańskich towarzyszy dzieciństwa. Właściwie zawsze wiedziała, że pewnego dnia ta wolność zostanie jej odebrana, ale kiedy urosła, zaczęła też rozumieć wiele innych rzeczy, których nie dostrzegały oczy dziecka — dwie wojny zrujnowały zdrowie ojca i teraz to ona musiała pracować, by zapewnić przeżycie rodzinie.

Tak więc w czasie, gdy inne dziewczyny układały nowe fryzury, przymierzały długie suknie i w nowy sposób zaczynały patrzeć na chłopięcych towarzyszy dzieciennych zabaw, Sara Cunningham wciąż nosiła ubrania z kiepsko wyprawionej skóry i strzelbę ojca zamiast wachlarza. Futra i mięso, jakie przynosiła do domu, wystarczały na zaspokojenie podstawowych potrzeb, a jeśli nawet ktokolwiek wiedział, że to nie Alasdair Cunningham,

tylko jego córka zdobywa futra i skóry, które potem sprzedawał w mieście, zachowywał tę wiedzę dla siebie.

Cóż, dla wszystkich byłoby lepiej, gdyby wyszła za męża, ale na taki uśmiech losu raczej nie mogła liczyć. Nie uważano jej za ładną. Miała zbyt bladą cerę i piękne szare oczy, stanowiące ozdobę twarzy, ale uczniowie matki uważali, że najładniejsze są oczy orzechowobrazowe. Włosy Sary były proste, rzadkie i miały mysi kolor, zamiast złoty lub kruczoczarny, jak u romantycznych bohaterek. Zapewne posag zrekompensowałby te braki w urodzie, ale posagu też nie miała. Na tych dziewiczych ziemiach może nawet wystarczyłby urok i umiejętność nawiązywania kontaktu z ludźmi... cóż, kiedy Sara była nieśmiała. Bardziej przywykła do strzelby i oprawiania zwierząt niż do tańca i salonowych manier. Trudno więc było liczyć na taką ofertę małżeństwa, którą mogłaby zaakceptować i ona, i ojciec.

I tak mijały lata. Szesnaście, dwadzieścia jeden, dwadzieścia pięć...

Potem nadeszło nieszczęście: zaraza i śmierć. A teraz, kiedy myślała, że jej los odmienił się na lepsze — znowu czyha śmierć.

Wiatr smagnął ją gwałtownym, lodowatym podmuchem. Nagle wróciła do rzeczywistości. Ból przeszłości i groza teraźniejszości zlały się w jedno dojmujące uczucie. Sara schowała bezradnie twarz w pomiętej chusteczce.

— Panno Cunningham? — Głos dochodzący zza pleców był cichy, jakby niechętnie zakłócał jej prywatność. — Kapitan przekazuje wyrazy współczucia i mówi, że jest gotów zmówić modlitwę pożegnalną.

— Niech Pan ma w opiece swoją sługę Alecto Kennet z Londynu. Niech śpi snem wiecznym oczekując Dnia Wskrzeszenia... — głęboki głos kapitana zaintonował słowa modlitwy, niosące spokój i ukojenie.

Sara Cunningham stała na czele niewielkiej grupki żałobników zebranych wokół podłużnego tobołka owiniętego płótnem żaglowym, który miał wkrótce wyruszyć w swą ostatnią podróż. Starła się nie dopuszczać do siebie przerażenia na myśl o przyszłości.

Krótką modlitwa skończyła się i obciążony łańcuchem pakunek znikł za kilwaterem „Lady Bright”.

To z pomocą pani Kennet Sara dotarła tak daleko, by stracić ją na skutek gorączki na kilka dni zaledwie przed osiągnięciem celu podróży. To naprawdę ciężki cios. Teraz była znów sama, tysiące mil od jedyne go domu, jaki kiedykolwiek miała.

— Panno Cunningham? Dobrze się pani czuje? — głos kapitana Challonera przywołał ją do rzeczywistości.

Uśmiechnęła się ze smutkiem, mając nadzieję, że jej twarz nie zdradza niczego. Wśród Kriksów nie uchodziło okazywać uczuć i zmuszać w ten sposób każdego, by je z tobą dzielił. Radość i smutek są przecież prywatną sprawą. Ale Kriksowie i wolność zostały daleko w tyle. Sara musiała patrzeć w przyszłość.

— Strata pani towarzyszkę głęboko nas zasmuciła — powiedział ze współczuciem kapitan. — Pani Kennet była bardzo miłą osobą. To okropne, że musiała umrzeć.

— Bardzo pan uprzejmy, kapitanie — odparła Sara zastanawiając się, do czego on zmierza.

— Nie chciałbym przypominać pani o tej stracie, ale... proszę mi wybaczyć, panno Cunningham... kto zadba o pani bezpieczeństwo, gdy dopłyniemy do portu?

— Bezpieczeństwo? — powtórzyła bezwiednie Sara. Uświadomiła sobie nagle, że przecież płynie do Anglii, do Starego Świata, gdzie nawet taka ograniczona swoboda, jaką cieszyła się podczas ostatnich miesięcy w Baltimore, byłaby nie do pomyślenia. W Anglii dobrze urodzona młoda dziewczyna nigdzie nie mogła pójść sama, bez towarzystwa służącej, lokaja

albo członka rodziny. Pilnie strzeżono każdego jej kroku aż do momentu, gdy wyszła za męża. Potem, już jako żona, mogła się cieszyć odrobinę większą wolnością.

— Podróżowała pani z panią Kennet, prawda? Kto teraz będzie pani towarzyszył? — nalegał kapitan, a w jego głosie wyczuwała prawdziwą troskę.

— Ktoś... ktoś się ze mną spotka. Przepraszam — odpowiedziała szybko Sara. Zanim kapitan zdołał ją powstrzymać, owinęła się płaszczem i umknęła w zacisze swojej kabiny.

W małej kajucie, którą dotąd dzieliła ze zmarłą towarzyszką, skarciła się w duchu za swoją głupotę. Kapitan Challoner szczerze się o nią troszczył, po co więc zostawiła go i uciekła, jakby coś jej zagrażało?

Co prawda groziło jej, że kapitan zechce ją otoczyć przyzwoitkami. A gdyby do tego doszło, prędzej czy później musiałaby mu opowiedzieć swoją historię. Nie miała ochoty przyznawać się do idiotycznej naiwności, jaką wykazała ruszając w tę podróż.

Kiedy się nieco uspokoiła, usiadła na twardej, wąskiej koi i przyciągnęła podróżny kuferek. Uniosła wieko i wyjęła sztywne kartki, by przeczytać je ponownie. Z papieru uniosł się nikły, kojarzący się ze słońcem zapach pomarańczy. Sara cofnęła się w myślach o kilka tygodni, przypominając sobie, kiedy po raz pierwszy poczuła ten zapach.

Słońce grzało plecy Sary przez cienki muślin sukni, gdy ostrożnie przeciskała się zatłoczonymi ulicami Baltimore, starając się nikogo nie potrącić. W wielkim wiklinowym koszu niosła tylko długą listę zakupów nabazgraną niewyraźnym charakterem pisma kuzyna Mashama. Nudne to było zajęcie, ale Sara była zadowolona z tej odmiany w codziennej monotonii domowej harówki, która stała się jej udziałem, odkąd — co często jej wypominano — została przygarnięta dzięki dobremu sercu kuzyna Mashama. Szybko się przekonała, że kuzyn nie przywiązuje wagi do pokrewieństwa i traktuje ją po prostu jak jeszcze jedną służącą, której szczęśliwie nie musi płacić. Sara nie miała najmniejszego talentu do szycia i cerowania, musiała więc spędzać nie kończące się dni przy praniu i w kuchni. Niewielkie miała szansę na jakąkolwiek odmianę — mogła co najwyżej wynająć się jako prawdziwa służąca. Małżeństwo było jeszcze mniej prawdopodobne niż przedtem; po sprzedaży domu rodziców jej jedynym dobytkiem była teraz mała walizka z ubraniami i kilka dolarów, które zdołała zaoszczędzić. No i pierścień.

Pierścień należał do ojca; z pewnością, kiedy trafił do niego, nie był już nowy. Zatrzymując się przed drzwiami zamkniętego jeszcze sklepu Sara sięgnęła pod gorset i wyciągnęła zawieszony na błękitnej wstążce swój największy skarb. Był ze szczerego złota, ozdobiony kwadratowym, gładkim czarnym kamieniem. I zawierał tajemnicę. Wyćwiczonym ruchem Sara przesunęła kamień kciukiem. Czarny kwadrat uniosł się na miniaturowym ramieniu, które jeszcze przed chwilą zdawało się ornamentem i pod palcami Sary obrócił się, by ukazać niespodziankę. Na spodzie kamienia widniał wygrawerowany z niezwykłą precyzją wizerunek dębu, błyszczący złotem na tle srebrnego pola. U stóp dębu spał z głową na ziemi jednorożec, a nad konarami drzewa błyszczała królewska korona. Boscobel — Królewski Dąb. Sara nie rozumiała, jakie znaczenie miał ten pierścień dla ojca, ale wiedziała, że był jego najcenniejszą pamiątką. Teraz i dla niej był to najdroższy skarb.

Turkot nadjeżdżającego powozu wyrwał ją z zamyślenia. Błyskawicznie wrzuciła klejnot z powrotem w bezpieczne ukrycie i przeszła przez ulicę, żeby zobaczyć, kto zajechał.

Dotarła przed budynek poczty akurat w porę, by zobaczyć wysiadającą z powozu kobietę, ubraną w elegancką, najmodniejszą londyńską suknię. Kobieta była mniej więcej w wieku kuzyna Mashama, ale wydawała się o wiele bardziej energiczna. Spięte starannie, lekko posrebrzone rudoczerwone włosy, szykowna podróżna peleryna, ciemnozielony kapelusz przyozdobiony czaplami piórami — naprawdę różniła się od bladego, zaszuszonego kuzyna Sary jak dzień od nocy.

Dama wysiadła z powozu pomagając sobie hebanową laseczką. Rozejrzała się wokół, nie zauważając skierowanych na siebie ironicznych spojrzeń. Za jej plecami woźnica zabrał się za wyładowywanie bagaży, a zarządca poczty wyszedł na ulicę powitać przyjezdnię.

— Jestem *madame* Alecto Kennet z Londynu — powiedziała głośno kobieta, jakby się spodziewała, że to nazwisko ma jakieś znaczenie dla nielicznych gapiów.

— Witam. Otrzymaliśmy pani list — oznajmił poczciarz.

Sara dostrzegła lekki grymas niechęci na ustach kobiety. Chyba nie podobała jej się forma powitania, choć przecież jak na tutejsze zwyczaje był to bardzo oficjalny sposób. Oczy Sary rozszerzyły się ze zdumienia na widok ilości kufrów, które wypakowywano z powozu; mimo to kobiecie nie towarzyszyła żadna służąca ani lokaj.

— Więc może byłby pan tak uprzejmy i udzielił mi informacji, gdzie mogę znaleźć pannę Charlotte Masham, mieszkankę tego miasta. Możliwe też, że wyszła za mąż i nosi teraz inne nazwisko — przemogła niechęć pani Kennet.

Zapytany już zaczerpnął oddechu, sposobiąc się do długich wyjaśnień, kiedy Sara, ku własnemu zaskoczeniu, postąpiła zdecydowanie kilka kroków naprzód.

— Obawiam się, że przybyła pani zbyt późno, by porozmawiać z moją matką, *madame*. Ale ja jestem córką Charlotty. Nazywam się Sara Cunningham.

Pani Kennet zwróciła na nią ostre spojrzenie jasnoszarych oczu; Sara odczuła je niczym ukłucie. Wytrzymała jednak ten wzrok bez mrugnięcia.

— Rzeczywiście masz w sobie coś z Mashamów, dziecko. Jeśli naprawdę jesteś córką Charlotty Masham, mam dla ciebie list.

Wkrótce potem Sara siedziała na werandzie najlepszej i jedynej kawiarni „Pod Dzwonem i Świecą”, oczekując na panią Kennet, która poszła do siebie odświeżyć się po podróży. Sara nie miała wątpliwości, że każde słowo wypowiedziane na dziedzińcu przed pocztą dawno już dotarło do uszu jej kuzyna; z tego wynikało, że po przyjeździe do domu zostanie poproszona o dokładne wyjaśnienia.

Żeby mieć cokolwiek do powiedzenia, musiała się najpierw czegoś dowiedzieć. Zmarszczyła brwi w zamyśleniu. Nie mogła sobie przypomnieć aby wśród rzadkiej korespondencji, jaką otrzymywała jej matka, były jakieś listy z Anglii. Charlotta Masham była trzecim pokoleniem urodzonym w Ameryce, trudno więc uwierzyć, by miała jakiegokolwiek związek rodzinny ze Starym Światem. Sara wypila łyk gorącej kawy i dorzuciła do niej kostkę cukru z talerzyka stojącego obok. Właściciel gospody obsłużył ją szybko jak nigdy. Kimkolwiek była *madame* Alecto Kennet, potrafiła odpowiednio wpływać na ludzi, by wokół niej skakali.

Jakby przyciągnięta jej myślami, pani Kennet właśnie się pojawiła. Kapelusz z piórami zamieniła na elegancką cieniutką siateczkę przyozdobioną drobnymi perełkami, która wcale nie skrywała jej cynamonowosrebrzystych włosów. Nieco większe perły tkwiły w kolczykach damy, na jej szyi zaś, na czarnej aksamitnej wstążce, lśniła kamea wysadzana drobnymi kamykami. Znikła też podróżna zielona peleryna, a pani Kennet wystąpiła w ciemnoniebieskiej sukni o długich, wąskich rękawach, obrębionych u mankietów białą koronką. Podobną koronką wykończony był kwadratowy dekolt sukni, a na jej dole naszyto dwa pasy z czarnego aksamitu. Suknię uzupełniał przewieszony niedbale przez ramię kaszmirowy szal, mieniący się barwami tęczy, i lekkie błękitne skórzane pantofelki z Turcji, które nie przetrwałyby nawet godzinowego spaceru po ulicznym bruku. Wszystko to razem dawało wrażenie zapierającej dech elegancji.

Pani Kennet wyjęła z kieszonki monokl i z uwagą przyjrzała się Sarze, która nagle zdała sobie sprawę, jak żaloszny widok musi przedstawiać. Niezgrabny czepek kryjący mysie włosy, niebieska, zapięta wysoko pod szyją wełniana suknia, która miała już dawno za sobą najlepsze dni, do tego biały bawełniany fartuszek i czerwony szal — jednym słowem

uosobienie kolonialnego braku gustu. Odruchowo ukryła pod krzesłem stopy, chociaż wiedziała, że i tak nie ujdą uwagi damy jej ciężkie, niemodne buciory.

Ale pani Kennet najwyraźniej nie dostrzegła niczego niestosownego w jej wyglądzie. Usiadła ostrożnie na krześle naprzeciwko Sary. Przez jej niewzruszoną twarz przemknął ledwie zauważalny grymas bólu.

— Czy coś się stało? — zaniepokoiła się Sara.

— Lekka niestrawność, jak sądzę. Nie mam nic przeciwko podróżowaniu, ale jedzenie w podróży pozostawia nieco do życzenia. Jednak pewnie bardziej cię interesuje, jaką to sprawę mogę mieć do ciebie — zauważyła pani Kennet.

Sara przybrała wyraz uprzejmego zainteresowania. Pani Kennet się uśmiechnęła.

— Takie opanowanie to rzadkość w tym wieku — stwierdziła. Wyciągnęła z torebki pismo zapieczętowane czerwonym woskiem i podała Sarze.

Dziewczyna zerknęła najpierw na symbol na pieczęci — salamandra w koronie otoczona płomieniami i jakimś łacińskim zdaniem, zbyt zamazanym, aby je przeczytać.

— Pieczęć diuków Wessex. To ważna rodzina w Anglii — zauważyła dama.

— Ale to nie może być do mnie — stwierdziła zdumiona Sara.

— Na pewno do ciebie, jeśli jesteś prawnuczką Cordelii Herriard. Ona poślubiła Richarda Mashama, prawda?

— Jej syn był dziadkiem mojej matki, więc sądzę, że chodzi o mnie, ale...

— Przeczytaj najpierw list, a potem, jeśli możesz, powiedz mi, co zawiera. Jej Miłość nie wprowadziła mnie w szczegóły.

Sara złamała pieczęć i przebiegła wzrokiem starannie wykaligrafowany tekst. Jej zmieszanie jeszcze się pogłębiło. List mówił o krzywdzie wyrządzonej dawno temu Cordelii przez jej rodzinę, o zdradzie i bezprawnym procesie, o pozwaniu przed Najwyższy Sąd Kanclerski, gdzie sprawa toczyła się ponad sto lat, podczas panowania pół tuzina królów...

— Ależ to nie ma sensu — nie wytrzymała Sara, podając swojej towarzyszce do połowy tylko przeczytane pismo. — Co to może mieć wspólnego ze mną?

Pani Kennet przejrzała szybko pismo, zanim udzieliła odpowiedzi.

— Powinnaś wiedzieć, że moją patronką jest Dowager księżna Wessex. Znam dość dobrze ten ród, bo moja rodzina była u nich na służbie wcześniej nawet niż twoja nieszczęsna prababka powędrowała na wygnanie. Jeśli St. Ivesowie i Dyerowie sądzą, że należy ci się jakaś rekompensata za krzywdy, bądź pewna, że wyrównają rachunki do ostatniego pensa.

— Ale co oni mogą być mi winni? — zapytała znowu Sara. Pani Kennet uśmiechnęła się.

— Jaka to różnica, dziecko? Wystarczy, że oni tak uważają. Z tego listu wynika, że Dowager chce cię ujrzeć w Anglii. Czy jest jakiś powód, dla którego nie miałabyś mi towarzyszyć, kiedy wsiądę na statek w przyszłym tygodniu?

Sara wahała się tylko moment. Przyszłość, która czekała ją tutaj, nie znaczyła nic wobec przyszłości, jaką mogła mieć przed sobą w Anglii. Podróż wabiła obietnicą zmiany.

— Nie ma żadnego powodu, pani Kennet. Z chęcią będę pani towarzyszyć — oznajmiła pewnym głosem.

Teraz, w małej kabinie „Lady Bright”, jeszcze raz przeczytała list Dowager księżnej Wessex.

W ciągu tygodnia po rozmowie z lady Kennet chyba z tysiąc razy zmieniała zdanie, bo też kuzyn Masham nie hamował specjalnie języka, by wybić ten pomysł z głowy zarówno Sarze, jak i „angielskiej włóczędze”, która ją ciągnęła ze sobą. Pani Kennet była jednak zaprawiona w słownych potyczkach; trzymała się pierwszej obietnicy Sary, konsekwentnie ignorując wszelkie późniejsze zmiany nastrojów. Skoro Sara przyrzekła, że odbędzie z nią podróż z Baltimore do Anglii na pokładzie „Lady Bright”, cokolwiek mówiła potem, Angielka puszczała mimo uszu. W końcu, pod naciskiem żelaznej woli pani Kennet, Sara podjęła



ostateczną decyzję. Na koniec kuzyn Masham poczęstował ją taką tyradą, że jeszcze przez tydzień miała czerwone ze wstydu uszy, ale mała walizka z całym jej dobytkiem została w końcu zapakowana do powozu pani Kennet i wraz z nim potoczyła się rażno w kierunku portu.

Niestety przypadłość, uważana za lekką niestrawność, w kilka tygodni później skończyła się śmiercią jej opiekunki. Teraz Sara była bardziej samotna niż kiedykolwiek w życiu. I nie miała już tej pewności co w Baltimore, że list od księżnej Wessex, który przywiozła jej pani Kennet, stanowił wystarczającą podstawę do występowania z jakimiś roszczeniami. Nie była nawet pewna, czy wobec śmierci pani Kennet zyska cokolwiek na tej podróży.

„To jest wyłącznie twoja wina. Ty podjęłaś decyzję i ty musisz z tego wybrać” — powiedziała sobie zdecydowanie. Zaczęła się zastanawiać, w jaki sposób rozwiązać problem transportu z Bristolu do Londynu i jak dokonać tego, czego życzyłaby sobie pani Kennet.

### 3. DZIESIĘĆ MIL ZA KOŃCEM ŚWIATA

KWIECIEŃ 1805

Cudownie było znów przebywać na dworze, nawet jeśli życie miało trwać jeszcze tylko kilka chwil. Od ostrego kwietniowego powietrza na policzkach markizy znów wykwitły rumieńce.

Lady Roxbury nie dbała już jednak o chłód.

Jej szarobrazowe włosy przykrywał gronostajowy toczek przywiązany prostymi tasiemkami, pasujący do podbitej gronostajami podróżnej peleryny. Oprócz niej markiza miała na sobie kilka warstw ciepłych ubrań, nie czuła więc w ogóle przenikliwego wieczornego chłodu. Przesuwał się przed nią uroczy krajobraz Wiltshire.

Powozik o wysokim koźle chwiał się pod nią i dygotał, ale niestrudzenie ponaglała cztery zaprzężone w niego ogiery do coraz większego pośpiechu. Podążała wprost w zachodzące słońce.

Lady Roxbury trzasnęła biczem nad głowami koni, ale niewiele to dało. A przecież musi dotrzeć do skał na czas, inaczej wszystko będzie na próżno.

W dali między wzgórzami pojawiły się poszarpane zarysy tej zabawki gigantów. Lady Roxbury uświadomiła sobie, jak głośno bije jej serce. Zachodzące słońce załśniło ostrym blaskiem, jak klejnot na głowie salamandry — istoty zrodzonej z ognia.

A potem wszystko uległo zmianie. Słońce, do którego zdążyła, wschodziło zamiast zachodzić. Poranne powietrze było wilgotne i chłodne, a ziemię spowijała błękitnawa mgła. Stojące w oddali Święte Głazy rysowały się coraz wyraźniej na niebie, które zaczęło przybierać lazurowy kolor.

I zaraz świat zmienił się znowu — niebo eksplodowało ognistym szkarłatem i wszystko wokół stało się złote jak wielkie słońce wiszące nad głową.

Tylko wielka determinacja lady Roxbury pchała ją naprzód; noc zmieniała się w dzień, a zachodzące na siebie światy pulsowały zgodnie z rytmem jej serca. Ogień, lód, ogień...

Poczuła, jak jej ciało ogarnia ociążałość. Nie chłód ani za ale właśnie ociążałość — jakby ciężar ziemi przesunął się ku jej sercu.

Lady Roxbury bez litości smagnęła biczem konie, choć spocone od wysiłku — biegly ostatkiem sił. Nawet nie zauważyła, że minęła Królewski Kamień. Świat był znów szary i mglisty. Markiza dopiero teraz usłyszała dudniące głośno o ziemię kopyta ośmiu koni ciągnących powóz.

Zaraz potem zobaczyła pojazd stojący w poprzek drogi; w ostatnim odruchu spróbowała ściągnąć wodze, by uratować swoje konie, ale lejce wysunęły się z pozbawionych czucia rąk. Powóz potoczył się naprzód dzikim i niekontrolowanym pędem... a potem nie czuła już nic.

Tylko przyzwyczajenie do chodzenia własnymi ścieżkami i umiejętność niezauważalnego poruszania się, którą jako dziecko opanowała w puszczy, pozwoliły Sarze dotrzeć w końcu bezpiecznie do celu.

Podśluchana na pokładzie „Lady Bright” rozmowa pozwoliła jej zorientować się, że dyliżans z pocztą i pasażerami opuszcza portowe miasto co dzień w południe i dociera do Londynu następnego dnia o poranku. Uznała, że ma już wszystkie potrzebne informacje, więc zapakowała najpotrzebniejsze rzeczy w skromne pudło na kapelusze, owinęła się w szary płaszcz z kapturem i opuściła statek w tłumie innych pasażerów, zanim kapitan Challoner albo jakiś inny życzliwy opiekun zdołał ją zatrzymać.

Nieznane odgłosy i zapachy otoczyły ją zewsząd. Spodziewała się podświadomie, że zaraz usłyszy za plecami głos kapitana. Nie czuła się dobrze ze świadomością, że go oszukuje, była

jednak pewna, że gdyby zdradziła mu plan samotnej podróży do Londynu powozem pocztowym, nigdy by się na to nie zgodził.

Na szczęście, dzięki pani Kennet, Sara miała przy sobie list kredytowy, który honorował każdy bank w Anglii, a także garść angielskich monet, których wystarczyło aż nadto na jedenastoszylingowy bilet do Londynu.

Sara zostawiła za sobą portowe doki i wkroczyła między wielkie ceglane magazyny. Przy tych potężnych budowlach zabudowania portu Baltimore wydawały jej się teraz zupełnie małe. Potem znalazła się na miejskich ulicach, zatłoczonych różnymi pojazdami i ludźmi wszelkiej profesji i stanu. Sara poczuła się zupełnie zagubiona. Pani Kennet mówiła wprawdzie, że Bristol to wielkie miasto, ale urodzona w koloniach dziewczyna nie wyobrażała sobie czegoś tak olbrzymiego, hałaśliwego i brudnego. A Londyn miał być jeszcze większy.

Opuściła ją pewność siebie. Marzyła już tylko o rym, żeby znów znaleźć się na znajomym pokładzie „Lady Bright” i pozwolić kapitanowi Challonerowi, by się nią zaopiekował. Jednak uparte dążenie do niezależności, które było najbardziej wyrazistą cechą jej charakteru, powstrzymało ją przed powrotem na statek. Teraz tylko rozważne postępowanie może ją uratować. Z tą myślą zebrała się na odwagę i podeszła do jakiegoś przechodnia, by zapytać go o drogę.

— Bardzo pana przepraszam, jak mogę dojść do Goat-and-Compasses?

Mężczyzna, którego zagadnęła, wydał jej się wybitnym człowiekiem, ale z bliska stracił wiele ze swojego dostojeństwa. Był ubrany w gładki brązowy surdut; jego szyję owijała purpurowa chusta, a guziki zdobiące rękawy przypominały dwa rzędy dużych brązowych suzerenów.

— A czego to piękna przyjezdna panienska może szukać w Goat? Znam inne miejsce tu niedaleko, które spełni wszystkie oczekiwania panienski. Trudno znaleźć miłszy kącik albo nie nazywam się wielebny Richard Blaine! — Mężczyzna uśmiechnął się zachęcająco i przysunął, zamierzając objąć Sarę ramieniem.

— No chyba, łajzo! — zabrzmiał za plecami Sary basowy głos, Obejrzała się przestraszona i zobaczyła wyjątkowo wysokiego człowieka o czarnej od węgla twarzy. Miał z pewnością dobrze ponad sześć stóp wzrostu i zdawał się równie szeroki w barach. Nie miał na sobie wierzchniego okrycia, tylko koszula opinała jego masywne ciało. Na ramieniu niósł okutą żelazem drewnianą beczułkę, w jakich zazwyczaj trzyma się alkohol.

— Jesteś tak samo wielebny jak ja, Dickie Blaine. Nie potrzeba cię tu — huknął groźnie wielkolud.

Jeśli Sara miała jeszcze jakieś wątpliwości, na pewno rozwiąła je szybkość, z jaką „wielebny” się oddalił.

— Zdaje się, że powinnam panu podziękować — zwróciła się do swojego wybawcy.

Ten przrzucił beczułkę na drugie ramię i uśmiechnął się do niej. Jego zęby błysnęły bielą na tle umorusanej twarzy.

— Doki to nie miejsce dla ciebie, paniensko. Zwiewaj do swojej opiekunki, zanim spotka cię coś gorszego — powiedział uprzejmie.

— Ale ja muszę znaleźć Goat-and-Compasses! Mówili mi na... słyszałam, że stamtąd odjeżdża dylizans do Londynu, a ja nie wiem, gdzie to jest — wyrzuciła z siebie Sara.

— Dylizans, he? Zwiłaś od zakonnic, zdurzyła ci się nauka, co? — Uśmiech znikł z jego twarzy; przyglądał się jej krytycznie.

Sara nie rozumiała, o co chodzi temu człowiekowi, ale widziała w jego wzroku potępienie. Zebrała całą odwagę, na jaką było ją stać i odparła z godnością:

— Nie rozumiem, o czym pan mówi. Przyjechałam z Baltimore i jestem umówiona w Londynie.

Spojrzał na nią jeszcze raz z uwagą i znowu się uśmiechnął.

— Amerykanka, co? Chodź lepiej ze mną. Wiem, gdzie jest Goat. Trzymaj się mnie, panienko, a dojdiesz tam raz dwa. Do dylizansu też cię zapakuję.

Z pomocą olbrzyma Sara dotarła na miejsce bez żadnych dalszych incydentów. Tam jej towarzysz zostawił beczułkę, a ona kupiła bilet. Za jego radą kupiła też filiżankę kawy; dawało jej to prawo do siedzenia na werandzie, gdzie mogła bezpiecznie zaczekać na przyjazd powozu. Stamtąd ostatni raz widziała swojego wybawcę, gdy jego górująca nad tłumem głowa oddalała się w stronę portowych doków.

Po następnych kilku godzinach miała wspominać ten moment jako ostatni, kiedy zażywała jakich takich wygod. Gdy tylko pojawił się dylizans, musiała zostawić wygodny stolik i wpakować się do ciasnego, twardego, źle resorowanego pojazdu, wraz z dziesięcioma innymi szczęśliwcami, którzy dopłacili jednego szylinga za przyjemność jazdy w środku.

Potem słyszała już tylko tętent końskich kopyt, świst bicza i gardłowe okrzyki woźnicy. Ten ostatni nie zmieniał się zresztą przez całą drogę, mimo zdarzających się od czasu do czasu zmian koni. Sara była jeszcze na tyle przytomna, że zastanawiała się, w jaki sposób jeden woźnica wytrzyma całą drogę aż do Londynu, gdzie mieli się zjawić dopiero następnego dnia rano.

Pojazdem tak trzęsło, że niezliczone pakunki, tobołki i inne bagaże albo pospadały na dół, albo utknęły w kątach. Nie dotyczyło to niestety ludzi, którzy w dalszym ciągu objali się niebezpiecznie przy każdym z podskoków dylizansu.

Krótkie przerwy na zabranie poczty i wysadzenie niektórych Pasażerów stanowiły jedyne momenty wytchnienia od tej szalonej jazdy, ale nie trwały dłużej niż kilka minut, nawet jeżeli zmieniano konie. Dzień ustąpił miejsca nocy, ale Sara nie mogła zasnąć, chociaż jej zdętwiałe ciało uodporniło się już na wszelkie wstrząsy.

W końcu dostrzegła białe światło sączące się przez zasłony powozu. Odsunęła jedną z nich, by zobaczyć gdzie są.

Za oknem rozciągał się pejzaż, jakiego nigdy dotąd nie widziała — bezdrzewny płaski teren, pozbawiony barw w szarości porannych mgieł. Po lewej stronie dostrzegła coś, co początkowo wzięła za odległe drzewa, ale kiedy powóz podjechał bliżej, zauważyła, że są to olbrzymie, grubo ociosane kamienne słupy, nie wiadomo dlaczego i przez kogo ustawione na tej rozległej równinie.

Nagle przecucie niebezpieczeństwa jak chłodny dreszcz przebiegło ciało Sary. Nie pierwszy raz doznawała takiego uczucia; rozejrzała się gorączkowo próbując ustalić jego źródło. Rytm kopyt bijących dotąd równo w ziemię zmienił się nagle. Usłyszała krzyk woźnicy, uderzenia bicza i poczuła nierówne szarpnięcia powozu. Inni pasażerowie, rozbudzeni, zaczęli unosić się z miejsc. Powóz zahamował gwałtownie.

Sara do połowy wychyliła się przez okno i dostrzegła przyczynę katastrofy — kobietę stojącą na wysokim koźle dziwnego czterokonnego powozu. Trzymanym w ręku biczem dziko smagała konie. Twarz kobiety była biała i zdeterminowana...

Sara nagle zdała sobie sprawę, że widzi swoją własną twarz — równie wyraźnie jakby patrzyła w lustro. W tym momencie w dylizans uderzyło coś mocno — jakby ciężka niewidzialna pięść. Sara poczuła, że spada, ale w pamięci wciąż miała obraz własnej twarzy widziany przed sobą.

Otworzyła oczy w pokoju, którego nigdy dotąd nie widziała. Przez wysokie okno po prawej stronie wpadało popołudniowe słońce. Kiedy Sara odwróciła głowę w tamtym kierunku, zobaczyła jasnoblękitne niebo i odległą linię lasu. Jednocześnie poczuła tępy ból pod czaszką. Podobnie zareagowały wszystkie części jej ciała. Teraz sobie przypomniała — powóz miał wypadek, było zderzenie. Ale w jaki sposób się tutaj znalazła?

Otworzyła usta, by wezwać pomoc, ale silny zawrót głowy o mało nie spowodował utraty przytomności. Zagryzła wargi, by przezwyciężyć ogarniającą ją ciemność. Spróbowała skoncentrować wzrok na otaczających ją przedmiotach. Leżała na wspaniałym łożu. Na rzeźbionych w wymyślne wzory pionowych słupkach opierał się zakończony frędzlami baldachim. Zasłony wokół łoża, błękitne, rozszywane białym jedwabiem i haftowane srebrną nicią, były teraz rozsunięte, a w zasięgu ręki Sary wisiała ozdobna linka zakończona frędzlami. W kominku na przeciwległej ścianie wesoło trzaskał ogień. Umeblowanie pokoju, nawet oglądane z poziomej pozycji, z pewnością przewyższało elegancją wszystkie obrazki, jakie Sara oglądała w książkach kuzyna Mashama. Musiał to być jakiś prywatny dom stojący niedaleko miejsca wypadku... tylko dlaczego się w nim znalazła?

Sara chwyciła zwisającą koło głowy linkę i z jej pomocą dźwignęła się do pozycji siedzącej. Dopiero teraz zauważyła, że nie ma na sobie podróżnego stroju, tylko koszulę nocną. W nagłym odruchu przerażenia sięgnęła po pierścień ojca i westchnęła z ulgą, gdy trafiła dłonią na znajomy kształt, spoczywający bezpiecznie pod ubraniem. Oparła się z wysiłkiem o zagłówek, osłabiona gwałtownymi ruchami.

— Och!

Okrzyk zdziwienia zmusił ją do gwałtownego odwrócenia głowy. W drzwiach stała pokojówka patrząc z troską na Sarę.

— Wysłałam tylko na chwilę i zaraz usłyszałam dzwonek. Moja pani nie przypuszczała, że przebudzenie nastąpi przed zachodem słońca.

Sara uśmiechnęła się uspokajająco, chociaż tę uprzejmość okupiła bólem.

— Nic takiego się nie stało. Powiedz mi, gdzie ja właściwie jestem?

Pokojówka dygnęła nerwowo.

— W Bulford Hall, wasza dostojność. Pani Bulford powiedziała, żebym przy pani siedziała, dopóki pani nie odzyska przytomności. Czy mam...

— Proszę, pomóż mi wstać — przerwała jej Sara. Nie chciała być niegrzeczna, ale nie mogła już dłużej znieść bezsilności.

Pokojówka podeszła i pomogła jej odgarnąć ciężką pierzynę.

— Jak masz na imię? — spytała łagodnie Sara, by uspokoić dziewczynę.

— Rose, wasza dostojność.

Już po raz trzeci dziewczyna zwróciła się do niej w ten dziwny sposób. Zanim Sara zdążyła ją poprawić, Rose odwróciła się, wzięła ze stołu wełnianą pelerynkę i narzuciła na ramiona Sary.

— Pani bardzo żałowała, że nie mamy tutaj odpowiednich ubrań, ale proszę się nie martwić. James już pognął do Mooncoign i będzie tu migiem, bo wziął najszybszego konia...

Sara oparła się na ramieniu Rose. Nogi drżały jej mocniej niż zdawało się to możliwe po wypadku. Pokojówka wciąż była zdenerwowana, a i Sara czuła się nieswojo. Koszula nocna, która zastąpiła jej proste podróżne ubranie, była z najlepszego indyjskiego batystu, bogato ozdobiona wstążeczkami i riuszkami — zdecydowanie za wytworna dla bezimiennej ofiary wypadku. Chyba nie honorują w ten sposób wszystkich rannych pasażerów dyliżansu?

Rose posadziła Sarę na krześle naprzeciw kominka i pobięła pędem po pled, którym starannie owinęła jej nogi.

— Czy coś jeszcze potrzeba, wasza dostojność?

— Zdaje się, że zaszła jakaś pomyłka — zaczęła słabym głosem Sara. Nie bardzo wiedziała, jak w najprzystępniejszy sposób wytłumaczyć Rose, że nie jest wysoko urodzoną damą, za jaką ją bierze.

— Tu jesteś, Rose. Muszę... — Kobieta, która pojawiła się w progu, ujrzawszy na sobie wzrok Sary pokłoniła się głęboko. Musiała to być właścicielka.

— Jaśnie pani! Co za paskudny wypadek! Ale jemu zawdzięczam, że pojawiła się pani w moim skromnym domu. Czuję się zaszczycona — przemówiła uniesienie pani Bulford.

— Gdzie jest dyliżans i pozostali pasażerowie? — zapytała Sara ale gospodyni najwyraźniej nie rozumiała, o co jej chodzi, bo odpowiedziała:

— James już wrócił z Mooncoign, pani. Doktor Falconer przyjechał powozem, żeby zabrać panią do domu, gdy tylko pozwoli na to stan zdrowia.

— Co to jest Mooncoign? Jestem Sara Cunningham. Zdaje się, że zaszła tu jakaś pomyłka...

Ku najwyższemu zdumieniu Sary gospodyni i jej służąca wymieniły przerażone spojrzenia. Pani Bulford zwilżyła zaschnięte wargi, zanim odważyła się odpowiedzieć:

— Jaśnie pani musiała doznać wstrząsu. Czy mogę zaproponować herbatę?

Na gest swojej pani Rose dygnęła i znikła bez słowa. Pani Bulford najwyraźniej nie była pewna, jak powinna się teraz zachowywać. Usiadła na niskiej ławie naprzeciw Sary i przyglądała się jej nabożnie, jakby była jakimś niezwykłym zjawiskiem. Sara nie zwracała na to uwagi; głowa wciąż przypominała jej o sobie tępym łupaniem, a każde zadrapanie piekło boleśnie. Mimo wszystko instynkt, który zawsze ostrzegał ją o niebezpieczeństwie w puszczy, teraz też odzywał się natarczywie. To było coś więcej niż zwykła pomyłka... znalazła się tu sama, bez przyjaciół, na obcej ziemi — tym ostrożniej musi się poruszać.

— Herbata naprawdę dobrze mi robi — powiedziała powoli i zauważyła wyraźne oznaki ulgi na twarzy gospodyni.

— Więc to jest Bulford Hall? — zaryzykowała następne pytanie, zdając sobie sprawę z absurdalności całej sytuacji. Ona, zawsze taka nieśmiała, nawet w rozmowach ze znanymi sobie ludźmi, musiała teraz wieść swobodną pogawędkę z tą dziwną Angielką, która w dodatku patrzyła na nią jak na wariatkę.

— Tak, wasza dostojność.

— A pani, jak sądzę jest panią Bulford? — badała ostrożnie. Uśmiechnęła się przy tym, licząc, że to pytanie zostanie potraktowane jako żart.

— Tak, wasza dostojność — odparła jej rozmówczyni z westchnieniem ulgi. — Wasza dostojność nie pamięta? Kiedy Bulford i ja braliśmy ślub, wasza dostojność przysłała nam w prezencie najpiękniejszą parę srebrnych pucharków, jakie kiedykolwiek widziałam. Powiedziała wtedy wasza dostojność, że Bulfordowie mogą zawsze w razie kłopotów liczyć na pomoc lady Roxbury.

Roxbury. Coraz gorzej. Sarze przebiegła przez głowę przerażająca myśl, że może rzeczywiście jest tą osobą, za którą bierze ją ta kobieta; że może po prostu ma amnezję. Jednak przypomniawszy sobie twarz tej drugiej kobiety, która mignęła jej przed oczami na ułamek sekundy przed katastrofą. Jej serce zaczęło bić szybciej, gdy zapytała:

— A więc wie pani zapewne, kim ja jestem?

Pytanie okazało się na tyle zaskakujące, że w oczach pani Bulford znów pojawiło się przerażenie.

— Oczywiście... oczywiście. Wasza dostojność jest lady Roxbury... markizą Roxbury.

## 4. RYCERZ UPIORÓW I CIENI

### PARYŻ, GERMINAL 1805

Młody mężczyzna o niebezpiecznym spojrzeniu był pewien, że dzisiejszej nocy ktoś musi zginąć.

Rupert St. Ives Dyer, diuk Wessex, chłodnym spojrzeniem objął salon z bezpiecznego punktu obserwacyjnego w holu. Kiedy trzy dni temu omówił z Podziemiem spotkanie z Averym de Morrisey, do którego miało dojść tutaj, między Nowymi Ludźmi i odszczepieńcami Ancien Regime'u, Wessex raczej nie przypuszczał, żeby miało to zagrażać jego wolności albo życiu.

Teraz nie miał już tej pewności.

Przeszmuglowana do rezydencji Wessexa w hotelu „Des Spheres” tajna notatka ostrzegła go, że Czerwona Żakieria — tajna policja Talleyranda — bardzo pragnie spotkać się z kawalerem de Reynard; pod jego właśnie nazwiskiem ukrywał się Wessex. Nie wiedział, czy powodem zainteresowania Talleyranda był naprawdę głupi lojalista Reynard, czy też raczej Rupert diuk Wessex — agent polityczny króla Henryka. Co zresztą nie miało teraz znaczenia, bo Jacks\* byli dosłownie kilka minut za nim. Wessex opuścił swój apartament w hotelu „Des Spheres” przez dach, ale tylko kwestią czasu było podjęcie przez Jacks dalszego tropu, skoro zaproszenie na to właśnie wieczorne przyjęcie zostało w hotelu na stoliku.

Bardzo głupio zrobił przychodząc tu, ale bez niego de Morrisey nie miał żadnej szansy na dotarcie do Anglii. De Morrisey był Anglikiem, oficerem floty. Zatrzymano go w Verdun, gdzie dowiedział się czegoś niezwykle ważnego. Uważając tę informację za wartą ryzykowania życia, zdołał uciec z otoczonego murami miasta i skontaktować się z Lojalistycznym Podziemiem, które zdołało zatrzeć za nim ślady przynajmniej do Paryża. Ale prawie nie mówił po francusku, więc gdyby lojalistom nie udało się go skontaktować z Reynardem, de Morrisey będzie wkrótce martwy. Jacks i tak postarają się dużo zrobić w tym kierunku.

Reynard/Wessex uniósł monokl do oka i rozejrzał się po sali w zamyśleniu. *Le beau Paris* nie był już tym, czym niegdyś, kiedy Wessex był chłopcem. Chociaż powstał jak feniks z popiołów po krwawych wydarzeniach „zwycięskiego 1793 roku”, ale tak mógłby powiedzieć tylko ktoś, kto nie znał jego poprzedniego splendoru miasta. Teraz Wessex widział gesty trochę zbyt teatralne, rozmowy nieco zbyt głośnie, a stroje i maniery oscylowały pomiędzy Republiką a Imperium.

Wessex pozwolił monoklowi opaść swobodnie i strzepnął niewidzialny pyłek z wyłogów szkockiego, mocno wciętego w talię jedwabnego surduta. Był ubrany bardziej elegancko niż inni goście; chociaż taki ubiór mógł razić na kimś innym, to na pewno nie raził na grzbiecie diuka. Przy jego wzroście, przepastnych czarnych oczach i chłodnym, opanowanym wdzięku uchodził niemal każdy strój, i niemal w każdym uwiódłby większość kobiet... może z wyjątkiem samej *Madame la Guillotine*.

Wessex zrobił kilka kroków po czarno-białej posadzce salonu księżniczki Eugenie. Tajna policja była tuż tuż, a de Morrisey miał być w małej altance w ogrodzie pałacu księżniczki. Wessex miał zamiar wykorzystać tę drobną przewagę czasową, by go stamtąd wyprowadzić i uciec wcześniej przygotowaną trasą. Być może miało to szansę powodzenia... Poczul na ramieniu ciężką dłoń. — Drogi kawalerze, jak szczęśliwie się składa, że cię tutaj spotykam.

Wessex odwrócił się i uniósł monokl do oka, by przyjrzeć się niewysokiemu mężczyźnie, który go zagadnął.

---

\* Jacks — angielskie pogardliwe określenie członków żakierii.

A więc teraz już wiem, kto podał ogarom Talleyranda mój trop, pomyślał.

*Monsieur* Grillot miał przysadzistą figurę, czerwoną twarz i był bardzo ambitnym człowiekiem. Był też częstym gościem w świecie, w którym Wessex spędzał życie. Teraz chyba udało mu się upolować grubszą rybę.

— Szczęśliwie, mój drogi Grillot? Mówią, że szczęście sprzyja odważnym — odpowiedział lodowato Wessex... a właściwie kawaler de Reynard.

— Muszę przyznać, kawalerze, że aktem niezwyklej odwagi było pojawienie się między nami. — Grillot nie mógł powstrzymać; uśmiechu, zachwycony, że udało mu się tak subtelna gra słów.

Wessex/Reynard uklonił się z uszanowaniem i już sięgał po monokl, ale się powstrzymał.

— Ależ nie, *monsieur* Grillot — odezwał się uprzejmie do zdrajcy — to ty wykazałeś nie lada odwagę odwiedzając przyjęcie, które może zabić nudą. Twoja odwaga oznacza jednak szczęście dla mnie. Wypijmy za nasze spotkanie.

Wessex mówił po francusku bez cienia akcentu, ale w końcu j tym językiem musiał władać każdy kulturalny człowiek... przynajmniej świecie poprzedzającym Rewolucję, zanim samozwańczy Imperator utopił we krwi połowę świata.

— Z największą przyjemnością, drogi kawalerze. — Grillot nie miał nic przeciwko temu, żeby dalej się napawać swoim triumfem. — Ten dom słynie z dobrych piwnic, tak samo jak z nudnych gości.

Ujął Wessexa pod ramię i przeszli w głąb apartamentu. Nikt nie oczekiwał od kawalera Reynarda, że przyjdzie się przywitać z gospodynią, której tytuł księżęcy był równie częstym tematem plotek jak odwiedzający ją goście.

Wessex uśmiechnął się do siebie. *Madame* la Princesse powinna być mu wdzięczna — po dzisiejszej nocy nikt nie będzie śmiał mówić, że jej przyjęcia są nudne.

Grillot i Wessex minęli po drodze grupki ludzi dyskutujących podniesionymi głosami. Tylko kilku z nich w ogóle zauważyło ich przejście. To była jedyna atrakcja salonów Eugenii, oprócz oczywiście doskonałej kuchni: na jej przyjęcia mógł wejść każdy i rozmawiać praktycznie o wszystkim. Toteż bywali tu zarówno *incroyables* ze słomą w butach i ich niedbale ubrane kochanki, jak i elegancko wyfraczeni *haute bourgeoisie*. Wszyscy oni z oczami błyszczącymi ogniem Idei dyskutowali zaciekle o moralnym obowiązku Francji zniewolenia połowy świata.

Grillot z kawalerem dotarli do bufetu. Wessex znów otrzepał surduty i nalał im obu wina. Grillot przyglądał się z nieukrywaną odrazą jego dandysowskiemu strojowi.

— Drogi przyjacielu — zaprotestował łagodnie Wessex dostrzegając jego spojrzenie — wiem doskonale, że naturalną profesją mężczyzny jest wojna, ale przecież niektórzy z nas nie mają talentu do prymitywnej walki zbrojnej. Powinni więc toczyć bitwy na takim polu, na jakim radzą sobie najlepiej — dodał, zerkając w stronę najbliższych pań.

Grillot pociągnął z dezaprobatą nosem i wychylił szklankę do dna. Wessex napełnił ją ponownie. Nad ich głowami płonęły niezliczone białe świece osadzone w ozdobnych kandelabrach, pomnożone przez lustra wiszące na ścianach.

— Ach tak, pola bitwy... — z jakiegoś powodu słowa użyte przez Wessexa rozbawiły Grillota. — Są różne pola bitwy, prawda, drogi kawalerze?

Grillot nie był specjalnie subtelnym człowiekiem. Nawet ktoś, kto nic nie wiedział o jego zdradzie, teraz poczułby się zaniepokojony szczególnym tonem jego głosu.

— Jest tak jak mówisz. — Wessex w dalszym ciągu grał naiwnego Reynarda.

— Ale ty chyba wątpisz w moje słowa, drogi Reynardzie. — Na twarzy Grillota pojawił się złowróźbny uśmiech. — Może przekona cię spacer po ogrodach?

Jeśli Grillot sądził, że Wessex wyłamie się ze swojej roli, przykro się rozczarował.

— Oczywiście, Grillot... jeśli tylko takie jest twoje życzenie — odparł pogodnie Wessex.

Jednak zacisnął w kieszeni rękę na kolbie małego pistoleciku.



Ogród księżnej Eugenii był zaprojektowany do oglądania nocą. Wąskie ścieżki między klombami ozdobnych roślin były wyłożone białymi kamyczkami i muszelkami, co znakomicie ułatwiało orientację w mroku. Wysoki mur ukrywał ogród przed wścibskimi spojrzzeniami z ulicy i z sąsiednich posesji.

Grillot zatrzymał się obok małej ozdobnej altanki.

— Nie dziwi cię, kawalerze, dlaczego ogród *Madame la Princesse* jest taki cichy?

— A jest cichy? — zdziwił się uprzejmie Wessex i obejrzał za siebie. Nie było ich widać z domu. To dobrze.

— Ten Anglik, z którym się tu umówiłeś, oczekuje teraz w kuchni na przybycie Żakierii — syknął Gillot — ale nie będzie czekał długo. Za to pocałunek *Madame la Guillotine* zapamięta na całą wieczność. Tak skończą wszyscy wrogowie Francji!

Z domu dobiegły jakieś krzyki. Grillot wyciągnął z kieszeni pistolet, na pewno nabity i gotowy do użycia. Wessex obserwował go spokojnie. Nie miał zamiaru szarpać się z nim o broń — nie teraz, kiedy chciał uniknąć hałasu, jakiego wystrzał z pistoletu na pewno by narobił.

— Mój drogi Grillot, teraz, kiedy już odkryłeś wszystko, chciałbym ci zadać jeszcze jedno pytanie — powiedział Wessex po angielsku i zupełnie innym głosem niż zwykły mówić obywatel Reynard.

A mówił tylko po to, by odwrócić uwagę od cichutkiego trzasku, jaki rozległ się, gdy nacisnął ukryty przycisk w monoklu, którym bawił się od dłuższego czasu. Teraz tylko nieznaczny ruch ręką i soczewka wypadła ze złotej oprawki, kołysząc się na cieniutkiej, niemal niewidzialnej jedwabnej lince. Zamierzał go użyć niezupełnie do tego, do czego był przeznaczony, ale potrzeba jest matką wynalazków.

— Wkrótce to ty będziesz odpowiadał na pytania zamiast je zadawać, angielski *cochon* — prychnął teatralnie Grillot.

Z domku doszedł ich hałas i Francuz odwrócił się w tamtym kierunku, zapominając na ułamek sekundy, kogo ma przed sobą. A wtedy Wessex błyskawicznym ruchem zarzucił mu na szyję niewidzialną linę i zacisnął mocno. Pociągnął ku sobie niższego mężczyznę i zdusił jego rozpaczliwe próby walki swoimi długimi rękami.

— Pozwolisz, że cię o coś zapytam? — szepnął cicho w ucho Grillota, choć Francuz był już martwy. — Czy naprawdę sądziłeś, że możesz bezkarnie wydać na śmierć Anglika? To się nie uda, mój drogi, musisz wierzyć mi na słowo.

Wessex powiedział te słowa po to, aby zagłuszyć targający nim wstyd. Uczciwa śmierć w uczciwej walce jest normalna dla każdego mężczyzny, ale te szpiegowskie sztuczki... zadawanie śmierci z ukrycia, i to nawet nie przy użyciu uczciwej stali...

Grillot osunął się bezwładnie, a Wessex położył jego ciało na ziemi. Schował na miejsce monokl i zaciągnął trupa na jeden z ozdobnych klombów księżniczki. Przy okazji pozbył się też wytwornego surduta kawalera de Reynarda — po prostu odwrócił go na lewą stronę, odsłaniając w miejsce ozdobnego jedwabiu stonowaną satynę.

Teraz ogród nie był już taki cichy — słyszał dźwięki tłuczonego szkła i krzyk kobiety. Jacks stosowali równie okrutne metody co ich poprzednicy w czasach Wielkiego Terroru, a ich motto znał chyba cały świat: przemoc w służbie wolności nie jest przestępstwem. Wessex życzył ich „wolnym” krajanom dużo szczęścia i radości...

Nasłuchując pozbył się gorsetu, który bardzo zmieniał mu figurę, i wyrzucił go w krzaki. Włożył na siebie surdut satynową stroną na wierzch i od razu przestał wyglądać jak wystrojony dandys. Po pięć złotych napoleonów ukrytych w podeszwie każdego z butów powinno wystarczyć, by dostać się szybko do gospody przy drodze na Calais. Tam miał już przygotowane nowe ubranie, papiery i szybkiego konia... jeżeli Jacks nie wykryli także i tej skrytki.

Tylko jeszcze de Morrisey...

Jeśli wierzyć zgasłemu tak nagle Grillotowi, powinien być więziony w tym właśnie budynku. Może zdoła go jeszcze wyciągnąć teraz, kiedy Jacks masakrują filizanki na werandzie.

Nie namyślając się ani chwili dłużej, Wessex puścił się truchtem w kierunku zabudowań. Unikając jasnych plam światła koło uchylonych drzwi i okien, dotarł do rogu budynku, a po chwili dopadł bocznych drzwi prowadzących do pokojów służby. Jeden porządny kopniak otworzył je na oścież, choć przy okazji Wessex przypomniał sobie boleśnie, że nie ma na sobie podróżnych butów, tylko pantofle do tańca.

Spodziewał się, że podczas takiego przyjęcia gospodarze będą roily się od służby, ale kuchnia, do której wbiegł najpierw, okazała się zupełnie pusta. Tylko poprzewracane butelki, których zawartość rozlewała się po podłodze szkarłatnym strumieniem, wskazywały na gwałtowną ewakuację. A to znaczyło, że żart usłyszany od lojalistów zawierał ziarnko prawdy — Czerwona Żakieria miała szpiegów w każdej kuchni we Francji, ale też w każdej kuchni we Francji wiedziano zawczasu o ruchach Żakierii.

Na schodach nad sobą usłyszał tupot ciężkich butów. Szyb kim spojrzeniem zbadał potencjalne drogi ucieczki i uznał, że największe nadzieje budzą ciężkie dębowe drzwi obite zielonym materiałem, które najwyraźniej oddzielały świat służby od salonów *Madame la Princesse*. Wpadł do pierwszego pomieszczenia. Jedyнным ciężkim meblem, na który padł jego wzrok, był dębowy kredens. Nie namyślając się wiele Wessex podbiegł i pchnął go, naprężając wszystkie mięśnie. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła; kredens drgnął nieznacznie i zaczął powoli sunąć wzdłuż ściany. W tym samym momencie zaczęły się uchylać drzwi...

Wessex włożył całą siłę w ostatnie desperackie pchnięcie; mebel zatrzeszczał, zadygotał i przesunął się gładko, blokując drzwi przy akompaniamencie odgłosów tłukącej się zastawy. Jednocześnie dobiegł gniewny ryk z korytarza. Wessex nie namyślając się długo odpowiedział donośnym okrzykiem tryumfu.

Uśmiechnął się zadowolony, słysząc gniewne łomotanie do zabarykadowanych drzwi. Miał tylko nadzieję, że nieodżałowanej pamięci Grillot nie kłamał mówiąc, że de Morrisey uwięziony jest w kuchni, bo właśnie ją odciał od głównej części domu.

Pod tym względem Grillot okazał się wiarygodny. Kapitan Jego Królewskiej Mości Avery Richard Harriman de Morrisey leżał twarzą do podłogi w wejściu do spiżarni, związany i opakowany jak prezent gwiazdkowy. Stan jego ubrania świadczył, że nie obeszło się przy tym bez walki, a kiedy Wessex go odwrócił, oczy błysnęły mu nieskrywaną nienawiścią.

— Błagam cię, dobry człowieku — przemówił Wessex z najbardziej wytwornym akcentem z Pall Mall — kiedy cię uwolnię, zachowaj całą energię i jakże słuszną chęć zemsty do momentu przybycia naszych wspólnych wrogów. Jestem Wessex. To ze mną miałeś się dzisiaj spotkać, w nieco innych co prawda okolicznościach.

— Trzeba ostrzec króla! — wykrztusił de Morrisey, gdy tylko Wessex usunął knebel z jego ust. — Odkryłem spisek.

— Zawsze jest jakiś spisek — mruknął Wessex do siebie. Zajął się rozsypywaniem więzów krępujących ręce i nogi de Morriseya. Były tak zaciśnięte, że bał się użyć noża, a supły nie należały do łatwych.

A z pewnością nie potrwa długo, zanim Jacks zorientują się, że z kuchni są dwa wyjścia.

— Saint-Lazarre ma być zabity! — dodał de Morrisey. — W Anglii. Zabójca jest już w drodze.

— Kim jest? — zapytał ostro Wessex.

Victor Saint-Lazarre, uchodźca z Francji, dawny dworzanin, był chyba jedynym człowiekiem, który potrafił zapanować nad sporami wszystkich skłóconych francuskich rojalistów. Bez niego plan króla Henryka, zakładający zjednoczenie tych wszystkich grup i wywołanie z angielską pomocą kontrrewolucji w celu przywrócenia na tron Francji

Burbonów, miał małe szansę powodzenia. Zabójstwo tego człowieka byłoby wielkim osiągnięciem Republikanów; pokazaliby w ten sposób Anglikom, że Korsykańska Bestia potrafi osiągnąć swoich wrogów nawet tam.

— Nie wiem. Kurier, którego przechwyciliśmy, wiedział tylko, że Saint-Lazarre ma zostać zamordowany szesnastego germinala.

— Gazette twierdzi, że Saint-Lazarre do następnej sesji Parlamentu ma przebywać w gościnie u markizy Roxbury. Tam uderzy zabójca. Jeśli zostaniemy rozdzieleni, musi pan dotrzeć jak najszybciej do Anglii z tą wiadomością — mówił szybko Wessex.

Szesnasty germinal w rewolucyjnym kalendarzu, to dwudziesty kwietnia w bardziej cywilizowanej rachubie czasu. Osiem dni. Żeby dotrzeć w tym czasie do Anglii i ostrzec kogo trzeba, musi mieć nadludzkie szczęście i nieludzkie tempo.

Ostatni węzeł ustąpił pod wprawnymi palcami Wessexa dokładnie w momencie, kiedy zablokowane drzwi prowadzące do kuchni od strony ogrodu otworzyły się z trzaskiem. De Morrisey wytoczył się ze spiżarni i wstał, błyskawicznie rozprostowując ścierpnięte kończyny. Tryskał energią, a jego zęby lśniły w wilczym uśmiechu.

— Może pan na mnie liczyć, *sir*.

Potem nie było już zbyt wiele czasu na pogawędkę.

Pierwszy Czerwony Jack, który pojawił się w drzwiach, zarobił w gardło kulę z małego pistoletu Wessexa i upadł tryskając fontanną krwi. De Morrisey chwycił jego policyjną pałkę i wyrzucił w szczękę następnego, zdobywając dla Wessexa pałkę, ale także naładowany i gotowy do strzału pistolet.

— Kto chce umrzeć następny? — zapytał z uprzejmą ciekawością Wessex, gdy zobaczył trzech kolejnych napastników. Żaden nie udzielił odpowiedzi. Kątem oka Wessex obserwował, jak de Morrisey wymyka się przez drugie drzwi. Wszystko by było w porządku, gdyby nie to, że w tych łachmanach, bez dokumentów, zostanie prawie natychmiast pochwycony przez któryś z komitetów obywatelskich, włóczących się ulicami miasta. W dodatku de Morrisey nie mówił po francusku... Czerwone czapki Jacksów przybrały kolor krwi w blasku ognia płonącego w palenisku. Ponaglającymi gestami zdobytej broni Wessex kazał im przesunąć się w stronę pieca; stanęli zbici w zdezorientowane stadko. Niepewnie próbowali rozszyfrować ciemną postać na drugim końcu pistoletu. W każdej chwili mogli się zorientować, że mają przewagę liczebną...

— No, dalej! — ponaglił go gorączkowy szept de Morriseya dochodzący od drzwi.

Wessex uniósł broń i strzelił.

Pocisk nie trafił żadnego z Francuzów, bo też żaden z nich nie był jego celem. Wessex mierzył nad ich głowami w przedmiot stojący na półce nad piecem. Olej z rozbitego jednym strzałem słoja popłynął wprost na rozpaloną blachę pieca. Zadymił... i wybuchnął płomieniem.

Blacha momentalnie stanęła w ogniu. Francuzi odskoczyli z przeraźliwym krzykiem; na jednym z nich ubranie płonęło jak pochodnia, drugiego dosięgnął jeszcze w zamieszaniu cios pałki Wessexa.

On nie czekał jednak na koniec przedstawienia. Jednym susem znalazł się przy drzwiach, szarpnął za ramię de Morriseya i wypadł na zewnątrz jak lis ścigany przez sforę psów. Obaj mężczyźni przebiegli przez skąpany w blasku księżyca ogród i wyskoczyli na ulicę tej dotąd tak spokojnej dzielnicy Paryża.

Wessex dobrze znał miasto; było to niezbędne w jego zawodzie. Wkrótce w plątaniu małych uliczek zgubili pościg... przynajmniej chwilowo.

— Co teraz? — sapnął de Morrisey.

— Szybki koń i do Calais — odparł Wessex. — Jestem przecież zaręczony z markizą Roxbury, więc wypada, bym złożył wizytę narzeczonej.

## 5. LA BELLE DAME SANS MERCI

20 KWIETNIA 1805

Od katastrofy dylizansu w drodze do Londynu minęły cztery dni. Leżąca na masywnym łożu dziewczyna rzucała się nerwowo, jakby chciała się uwolnić spod ciężkiej, obszywanej falbankami pierzyny, która miała chronić ją przed kwietniowymi chłodami. Za każdym razem, gdy jej się to udało, siedząca na krześle obok milcząca stara kobieta wstawała i ponownie okrywała nieświadomą chorą. Nazywała się Gardner i od wielu lat była piastunką młodej markizy Roxbury, a przedtem jej matki i matki jej matki.

Staruszka miała twarz pomarszczoną i białą jak porcelana, ale trzymała się prosto, a dziwne oczy — jedno niebieskie, drugie brązowe — błyszczały żarem i inteligencją.

— Jak się czuje?

Dame Alecto weszła do pokoju cicho jak jeden z indiańskich przyjaciół Sary Cunningham. Zaufana emisariuszka Dowager księżnej Wessex spojrzała na łożo, gdzie leżała — jak sądzili wszyscy — cudownie przywrócona do zdrowia markiza Roxbury, pogrążona w głębokim śnie po zażyciu laudanum. Dame Alecto trzymała w dłoniach małą szkatułkę ze srebrnymi, poczerniałymi okuciami.

— Jak każdy, którego dusza wędruje pomiędzy Światami — odparła Gardner z wyraźnym szkockim akcentem, którego nie zdołała się pozbyć od czasu dzieciństwa. — Modłę się, aby los był po naszej stronie. Wtedy może uda się ją ściągnąć znowu do nas.

— Trzeba czegoś więcej niż uśmiechu losu — mruknęła do siebie dame Alecto.

Silna magia otworzyła wrota pomiędzy Światami i pozwoliła Sarze wyjść, a tej drugiej przybyć. Kobieta, która urodziła się w tym domu i w tym łóżku, przebywała teraz martwa w świecie, który znów się przed nimi zamknął. Jej sobowtór z tamtego świata był teraz tutaj z nimi.

Dame Alecto przyjrzała się leżącej. Dostrzegła znacznie więcej niż ktokolwiek ze służby fałszywej markizy. Kiedy znało się prawdę, wyraźnie było widać, że nie jest to ta sama osoba. Szorstka skóra, twarde od pracy dłonie, małe blizny od ran, których Sara Conyngham, markiza Roxbury, nigdy nie odniosła. Różnice były bardzo drobne, ale oczywiste. Doktor Falconer, wezwany do chorej po raz drugi tego dnia, nie zauważył wprawdzie nic, ale też działał w niezwykłym pośpiechu... i w furii, kiedy stwierdził, że pacjentka oddycha głęboko, a infekcja płuc znikła. Falconer nie wpadł wprawdzie na metodę zastosowaną przez dame Alecto, ale miał swoje podejrzenia.

— Mogłem się tego spodziewać — wrzasnął wściekły do przerażonej i zagubionej Sary. — Czy wasza dostojność nie wie, że takie umowy zawsze kończą się fatalnie?

Dame Alecto uśmiechnęła się przypominając sobie chwilę, kiedy obserwowała to zdarzenie w szklanej kuli. Niech młody Falconer sobie myśli, że markiza zawarła jakiś zakazany układ z Najstarszym Ludem — lepsze takie podejrzenia niż gdyby poznał prawdę. A już ona zadba, aby doktor nie ujrzał swojej pacjentki aż do momentu, gdy niczym nie będzie się różniła od kobiety, którą znał od kołyski. Ślady ciężkiej pracy ustąpią z czasem, zwłaszcza gdy będzie się używać odpowiednich kremów. Blizny i zadrapania pokryje makijaż, przepaski i długie satynowe spódnice.

Było jednak coś, czego kremy nie mogły wymazać: ślad w umyśle. Nowa Sara nie wiedziała nic o swoim podwójnym życiu i ciążyących na niej obowiązkach, a trudno było zakładać, że weźmie je na siebie dobrowolnie. Wprzęgnięcie dziewczyny do ich planów będzie wymagało wielu sztuczek, podstępnych i okrutnych. Jednak dame Alecto już się zdecydowała.

— Poczytaj teraz trochę jej dostojności, Gardner, a ja przygotuję lekarstwo.

Gardner wzięła gruby zeszyt i zaczęła. — Czternasty kwietnia 1798 roku. Dzisiaj był pogrzeb mamy. Odbył się nadzwyczaj uroczystość. Karawan ciągnęło sześć czarnych koni ozdobionych piórami, a najgorętsze kondolencje przysłał sam król Henryk. Na pogrzeb przybyła chyba cała marchia. Sama nie wiem, ilu mogło być ludzi. Teraz Mooncoign należy do mnie. Jestem markizą! Jakże to wszystko wydaje się dziwne. Powiedziano mi, że muszę zostać przedstawiona w towarzystwie jeszcze tego roku, ale wciąż jestem w żałobie po mamie, więc wszystko ma się odbyć bardzo skromnie. I oczywiście prezentacja na Dworze... muszę sprawić sobie nową garderobę najlepszej jakości. Wszystko ma być czarne... jakież to nudne. Ale może zapoczątkuję nową modę? Mimo wszystko jestem teraz Roxbury...

Cichy głos Gardner brzmiał jednostajnie, gdy czytała dziennik lady Roxbury. Dame Alecto położyła swoją szkatułkę na stoliku obok łóżka. Otworzyła ją i wyjęła małą kryształową flaszeczkę zawierającą Kordiał Lety. Płyn mienił się błękitną barwą w słabym blasku świec.

Wypicie całej buteleczki tej mikstury — przepisu samego Montespana, który przekazywano przez wiele stuleci — zniszczyłoby pamięć, czyniąc umysł ofiary podobny umysłowi nowo narodzonego dziecka. Ale nie tego przecież chcieli od nowej Sary. Ta z trudem zdobyta zastępczyni miała zająć pozycję lady Roxbury w towarzystwie. Musiała w imieniu Mooncoign wykonać zadanie w walce z korsykańskim tyranem, który podbił kontynent, i we wszystkim innym zastąpić kobietę, której życie zostało ucięte tak gwałtownie przez głupotę i lekkomyślność.

Dame Alecto ostrożnie wlała kilka kropli gęstego płynu na srebrną łyżeczkę. Przeląła odmierzoną porcję do szklaneczki i zalała niewielką ilością wina. Wymieszała dokładnie oba płyny.

— Wasza dostojność — powiedziała do sennej dziewczyny — czas zażyć lekarstwo.

Przez ostatni tydzień Wessex i de Morrisey byli w drodze. Ostrzeżenie, które wieźli, było zbyt ważne, by powierzyć je świetlnemu telegrafowi, którym komunikowano się przez kanał z pomocą patrolujących go angielskich okrętów. Trzy męczące dni zajęło im dotarcie do Calais. Jeszcze jeden dłużący się niemiłosiernie dzień czekali, aż łódź będzie mogła bezpiecznie przybić; do brzegu, by ich zabrać. Kiedy osiągnęli Dover, ich drogi się rozdzieliły. Wessex pognął do Londynu konno, pozostawiając de Morriseya, aby sam zatroszczył się o jakiś środek transportu. Przez cały niebezpieczny dzień, kiedy przekraczali Kanał, Wessex umierał z niepokoju, czy zdąży dostarczyć na czas wiadomość otrzymaną od de Morriseya i ocalić Saint-Lazare'a.

Czy Saint Lazare był rzeczywiście w Mooncoign? — zastanawiał się gorączkowo Wessex. Musiał przyznać, że nie znał zbyt dobrze lady Roxbury, chociaż jego babka była jej matką chrzestną, a on sam został formalnie zaręczony z markizą, gdy ona miała szesnaście lat, a on dwadzieścia cztery. Jednak pracując dla króla i kraju niewiele miał okazji, by widywać dziewczynę w ciągu tych lat — dochodziły go tylko słuchy ojej wystawnych przyjęciach, aroganckim sposobie bycia, dziwnych przyjaźniach. Te skandale były nieustannie tematem plotek, odkąd markiza została przedstawiona w towarzystwie. O dziwo, ich zaręczyn nie komentowano zbyt energicznie. Inna sprawa, że ktoś tak jak on grający w Grę Cienia mało czasu poświęcał klaustrofobicznemu światu Najdostojniejszych Dziesięciu Tysięcy. A poza tym, niezależnie od tego, jak gorszące było zachowanie lady Roxbury, jego z pewnością nie było lepsze.

Rupert St. Ives Dyer, diuk Wessex, był trzecim z tej dostojnej linii. Jego dziadek, zanim został obdarzony tym tytułem, był prawym dziedzicem tytułu Earla Scatnach, który był stary już w czasach, gdy łodzie Wilhelma Zdobywcy\* po raz pierwszy dotknęły saksońskich wybrzeży. Godność diuka Wessex, jak zresztą wiele angielskich tytułów, została wymyślona

---

\* Druga połowa XI wieku.

przez Stuartów, a w tym konkretnym przypadku przez Karola IV z okazji urodzin dziadka Wessexa. Nie zdarzyło się to bez powodu; nawet dziś pewne rysy pokrewieństwa ze Stuartami były widoczne w twarzy Ruperta. Złotopłowe włosy, spięte zgodnie z kontynentalną modą, stanowiły dziedzictwo po Plantagenetach, za to czarne jak węgle oczy pochodziły na pewno od Stuartów, podobnie jak upór w dążeniu do celu, niechęć do zginania karku, lojalność wobec przyjaciół i zaciekleść w obliczu wroga — typowe cechy potomków tej linii królewskiej.

Chociaż dla świata Wessex był przede wszystkim kapitanem jedenastego regimentu huzarów — formacji, która w Europie pod komendą generała Wellesleya usilnie przeszkadzała Napoleonowi we władaniu kontynentem — jego tytuł znakomicie mu ułatwiał poruszanie się w pewnych kręgach. Bowiem Wessex toczył wojnę nie na polach bitew, ale w cieniu korytarzy i komnat obcych dworów, daleko za liniami wroga.

Organizacja, dla której pracował, nie miała charakteru związku militarnego. Po części był to ekskluzywny klub, po części pozostałość po rycerskim zakonie z zamierzchłych czasów — Zakonie Białej Wieży, nazwanym tak od imienia najstarszej twierdzy angielskich królów. Założony przez Karola III, odziedziczył sieć szpiegów stworzoną przez Lorda Walsinghama w czasach Gloriany. Godłem zakonu była srebrzysta wieża na czerwonym polu; broszka z tym symbolem spoczywała w jakiejś zapomnianej szufladzie w domu Wessexa. Odkopywał ją przy tych rzadkich okazjach, kiedy musiał zjawić się na Dworze w oficjalnym stroju.

Biała Wieża była oficjalną organizacją wywiadowczą Korony, a jej członkostwo było zaszczytem nadawanym przez samego króla — po cichu i bez publicznych ceremonii. Organizacja działała w ścisłej tajemnicy; jej sekrety były znane tylko królowi Henrykowi i najbardziej zaufanym z jego ministrów. Od czasu jego utworzenia zakon działał w obronie interesów Korony Brytyjskiej w każdym zakątku ziemi, gdzie były one zagrożone. Zbierał też informacje, które umożliwiały Anglii rozplątywanie zawiłości polityki kontynentalnej. Od kilku lat oczy Zakonu skierowane były na Francję i na jej imperialne ambicje.

Wessex został formalnym członkiem Zakonu Białej Wieży w wieku dwudziestu jeden lat, zaraz po tym, jak opuścił Oxford. Członkowie Zakonu raz do roku spotykali się na obiedzie w historycznej Białej Wieży; dla nie wtajemniczonych był to jedyny przejaw działalności „klubu”. Prawdy nikt nie mógł się dowiedzieć. W czasach, w których czczono Milesa Gloriosusa, a szpiegów kryjących się w cieniu uważano za tchórzy, informacja, że król zatrudnia takie kreatury, mogłaby spowodować wybuch drugiej wojny domowej, a już na pewno upadek rządu. Wesse. odkąd zaczął tą służbę, drżał na myśl, co by było, gdyby rodzin odkryła, w jaki sposób służy Koronie. Wiadomość, że jej ukochany wnuk jest zdradzieckim agentem, mogłaby zabić jego babkę, a upowszechnienie takiej hańby kosztowałoby ją całkowi, wykluczenie z towarzystwa, co było gorsze od śmierci. Główni z tego powodu Wessex niechętnie bywał w towarzystwie, chociaż czasem żałował, że nie bawią go rozrywki własnej klas; społecznej.

Czy to tylko kwestia przypadku, że Saint-Lazarre pojechał do Mooncoign na otwarcie sezonu i że właśnie tam zmierzał teraz francuski zabójca? Czy lady Roxbury mogła prowadzić podwójną grę tak samo jak on?

Wstrząśnięty tą myślą Wessex zamknął ze znużeniem oczy. Angielka czy nie, narzeczona czy nie, jeśli Roxbury służy wrogowi, nie będzie miał dla niej litości. Zmierza na łowy, a polowanie musi zakończyć się sukcesem.

Nie minęła nawet godzina, od kiedy okręt dotarł do Dover a Wessex galopował już na grzbiecie konia drogą wiodącą daj Londynu. Jego Hirondeł położył uszy po sobie i gnał z wiatrem w zawody.

Sześciokonny wóz potrzebował prawie całego dnia, by dojechać z Dover do Londynu. Specjalny powóz wyścigowy, z parą dobrych ogierów przy dyszlu, dałby radę w sześć godzin.

Wessex i Hirondeł zrobili to w cztery godziny. Kiedy opuszczał Dover, było jeszcze ciemno. Kiedy pokazały się odległe wieże, Londynu, był już biały dzień — poranek dziewiętnastego kwietnia — a Hirondeła pokrywały płaty piany. Wessex zwolnił nieco tempo, by oszczędzić zmęczonego wierzchowca, ale nie miał czasu, by odstawić konia do swojej stajni i oddać go pod opiekę; doświadczonej służby. Wiadomość, którą wiozł, była zbyt ważna, by ryzykować choć chwilę opóźnienia.

Jednak ten czarnooki mężczyzna, jadąc ulicami miasta, a potem wręczając wodze wierzchowca jednonogiemu starymu żołnierzowi przed sklepem, w którym szyto ubrania, nie wyglądał na kogoś, komu się spieszy. Zachowywał się, jakby nie miał do załatwienia w mieście niczego ważniejszego niż zakup materiału na nowy płaszcz. Nic też w jego wyglądzie nie zdradziło, że nie widział porządnego łóżka od kilku dni. Wprawdzie buty miał zabłocone, a płaszcz pokryty kurzem i rosą po nocnej jeździe, ale przecież młodzi arystokraci często spędzali czas na podejrzanym rozrywkach.

— Przespaceruj się z nim trochę — polecił Wessex starymu żołnierzowi. — Będę niedługo wracał.

Przeszedł chodnik, pchnął drzwi sklepu i wszedł do środka.

— Lordzie Wessex...

Mężczyzna w sklepie nazywał się Flowers, chociaż Wessex nie miał pojęcia, czy to jego prawdziwe nazwisko ani czy naprawdę trudni się szyciem ubrań, które od czasu do czasu dla niepoznaki tu zamawiał. Krawiec podszedł z ukłonem przywitać dostojnego klienta, a zachowywał się jak przystało na dobrego rzemieślnika, pracującego dla najwyższych sfer.

— Słyszałem, że wasza miłość przebywał ostatnio kilka tygodni na prowincji?

Wessex uśmiechnął się do siebie. Równie dobrze mógłby zapytać, czy Wessex przebywał we Francji.

— Flowers, przybyłem z reklamacją. To ubranie we francuskim stylu wymaga pewnych poprawek.

— Jeśli wasza miłość pozwoli, przejdziemy do przymierzalni — odparł Flowers bez zmrużenia oka.

Poprowadził Wessexa przez pracownię, zastawioną manekinami w niegotowych ubraniach, do małego pomieszczenia na tyłach sklepu. Zostawił go tam i wyszedł, zasłaniając wejście zieloną, lekko zakurzoną kotarą.

Wessex nacisnął fragment tylnej ściany przymierzami i odczekał chwilę, aż usłyszał cichy trzask zaskakującego mechanizmu. Pchnął, a ściana ustąpiła i odsłoniła salę, jakiej nie powstydzilby się nawet ratusz.

Wessexa powitał ubrany w liberię lokaj o nazwisku Charteris. Z każdej strony wejścia stał mężczyzna trzymający staroświecką drewnianą laskę. Wessex doskonale wiedział, że te laski potrafiły być w ich rękach groźną bronią.

— Muszę rozmawiać z Misbourne'em — powiedział krótko.

Tym razem nie musiał ukrywać zmęczenia w głosie.

— Sprawdź, czy lord jest w domu i przyjmuje gości — odparł Charteris oficjalnie, jakby ten konspiracyjny lokal był naprawdę dworem.

Wessex nie po raz pierwszy powstrzymał nagły impuls, by posłać go do wszystkich diabłów.

— Czy wasza miłość zechciałby zaczekać w błękitnym pokoju?

Na parterze ukrytego lokalu były cztery małe pokoje. Od kiedy był członkiem Białej Wieży, Wessexowi zdarzyło się już oczekiwać na audiencję w każdym z nich. Z wyjątkiem kolorów, które przesądzały o ich nazwach, a zarazem dominowały w wystroju — czerwony, żółty, fioletowy i niebieski — pokoiki były identyczne. Wessexowi nigdy nie udało się zauważyć jakiegoś systemu w wysyłaniu oczekującego do tego akurat, a nie innego pokoju.

Zresztą mniejsza o kolor — we wszystkich pomieszczeniach można było znaleźć duży wybór najprzedniejszych napitków.

Wessex nie spał przez kilka ostatnich dni, więc zrezygnował z czerwonego wina. Napełnił sobie kryształową szklanę przeszmuglowaną francuską brandy. Alkohol przywrócił mu część energii, znalazł więc siłę, aby trochę poprawić sfatygowany wygląd, zanim ponownie pojawił się Charteris.

— Zechce wasza miłość pójść za mną — powiedział beznamiętnie.

Wessex podążył po schodach na pierwsze piętro. Drzwi w końcu korytarza były obite czerwoną skórą. Charteris otworzył je bez pukania i wpuścił Wessexa do środka.

Diuk zatrzymał się zaraz za progiem, aby przyzwyczać oczy do panującego wewnątrz półmroku. Pokój oświetlało kilka świec, których blask odbijał się w butelkach z alkoholem i wypełniał pomieszczenie łagodną ciepłą poświatą. W pokoju nie było okien; zaciągnięte kotary po lewej stronie kryły tylko ceglane ściany. Resztę ścian zastawiały półki pełne książek.

Lord Misbourne siedział za biurkiem. Wstał, kiedy w drzwiach pojawił się Wessex. Jak błądy, cierpliwy pająk czekał na informacje, które zaraz wpadną do jego sieci.

Jonathan Milon Arioeh de la Forthe, trzeci baron Misbourne, wstąpił do Świata Cienia z powodu trzech poważnych ułomności: był katolikiem, albinosem i genialnym matematykiem. Ten trzeci defekt był najgorszy. Zajmując się od wczesnej młodości wyłącznie liczbami, baron nie uczynił nic, aby zająć się swoją podejrzaną, obcą religią i dziwnym wyglądem. Ogólny ostracyzm wepchnął go głębiej w matematyczne studia i wkrótce przesłoniły mu one cały świat.

Źle to się skończyło. Matematyka, królowa nauk, jest kapryśną panią — wcześniej uwodzi swoich kochanków, ale też porzuca ich, gdy wciąż jeszcze są młodzi. Pewnego dnia, w wieku trzydziestu lat, baron obudził się i odkrył, że jest wprawdzie właścicielem starożytnego tytułu i zniszczonego majątku, ale poza tym nie ma właściwie niczego.

Ale jednak nie był zupełnie bezużyteczny dla świata. Produktem ubocznym jego matematycznych fascynacji było zainteresowanie szyframi i umiejętność rozwiązywania skomplikowanych zagadek, od dawna budząca podziw małego kręgu jego znajomych. Odsunięty od świata przez albinizm — nawet delikatne zimowe słońce Anglii mogło porazić jego bezbarwne oczy i spowodować ślepotę — a od wszelkich funkcji publicznych przez swoją religię, poszukiwał ujścia dla energii, która dotąd kanalizowała się w namiętym poszukiwaniu czystej wiedzy. Kiedy odsunął się od matematyki, rozwinął w zamian zainteresowanie jej praktycznym zastosowaniem. Za radą nielicznych przyjaciół, których poznał w młodości, Misbourne zaczął testować teorie na ludziach zamiast na liczbach i rozgrywać gambity na szachownicy, którą stanowiła cała Europa. To właśnie Misbourne'owi Wessex składał raporty i od Misbourne'a otrzymywał polecenia. Wessexowi nigdy nie udało się odgadnąć, nawet w przybliżeniu, ile lat ma ten człowiek. Misbourne wyglądał dokładnie tak samo, odkąd Wessex go znał — wychudłe straszidło, niedbale ubrane. Jego bezbarwne oczy odbijały światło świec, płonąć w ciemnościach jak dwa węgle.

— Wessex? — Misbourne jak zwykle nie zwracał uwagi na tytuły. — Obawialiśmy się, że zginąłeś. Nasi agenci w Paryżu donosili o pułapce zastawionej na naszego emisariusza.

Wskazał fotel po drugiej stronie swego biurka. Wessex potrząsnął głową.

— Od zbyt wielu godzin jestem w drodze — wyjaśnił. Nie miał zamiaru zasnąć w obecności zwierzchnika.

Misbourne usiadł i spojrzął na niego wyczekująco.

— A co do pułapki... Kawaler de Reynard chyba zszedł z tego świata — powiedział z lekkim smutkiem Wessex, bo żał mu by tego użytecznego wcielenia — a *Monsieur* Grillot zszedł z całą pewnością. Ale przynęta była tego warta. Informacje de Morriseya brzmią bardzo prawdopodobnie. Nie możemy zaryzykować ich zlekceważenia.



Pominał informacje, które Misbourne znał równie dobrze jak on — o rozbiciu francuskich rojalistów na kłócające się zacieki frakcje — i wyjaśnił, że Victor Saint-Lazarre — ten, który odrzucił swoje arystokratyczne tytuły po egzekucji Ludwika XVI w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym trzecim roku i głosił, że zacznie ich używać dopiero w dniu koronacji następnego Burbona — uczestniczy w tej chwili w otwarciu sezonu w domu markizy Roxbury, gdzie za dwa dni ma go zlikwidować nasłany zabójca.

— Czy kapitan de Morrisey wyjaśnił, jak wszedł w posiadanie tych informacji? — zapytał Misbourne z zawodowym sceptycyzmem.

— Zabójca chełpił się swoim zleceniem na przyjęciu, w którym uczestniczył de Morrisey już po internowaniu. Mają tam w końcu życie towarzyskie? — Wessex westchnął raczej z rozdrażnienia niż ze zmęczenia. To było zupełnie możliwe. Kto w końcu mógł przypuszczać, że więzień internowany w samym sercu republikańskiej Francji ma jakiegokolwiek szansę przekazania wiadomości wrogowi na zewnątrz? Wessex pod wieloma różnymi nazwiskami sam przemykał się czasami do miasta za murami, gdzie Francuzi trzymali internowanych obcokrajowców i wiedział trochę o tym miejscu z własnego doświadczenia.

— A przynajmniej — poprawił się po chwili — namiastkę życia towarzyskiego.

— Rozumiem. Czy kapitan de Morrisey był w stanie powiedzieć coś bliższego o domniemanym zabójcy? — zapytał Misbourne z zawodowym sceptycyzmem.

Usta Wessexa drgnęły z hamowanego rozbawienia.

— Powiedział, że ten człowiek był niski i miał brązowe włosy albo perukę. Jednym słowem nic nadzwyczajnego.

— Opisałeś właśnie połowę Francuzów i większość Anglików — westchnął Misbourne. — Dlaczego nie pójść najprościej drogą i po prostu nie usunąć Saint-Lazarre'a w bezpieczne miejsce?

Przyjrzał się badawczo gościowi. Temperament Wessexa nie dał się dłużej trzymać na wodzy.

— I stracić szansę przesłuchania jednego z tajnych agentów Talleyranda? — wybuchnął. — Nie dowiedzieć się nigdy, kto jeszcze może być zamieszany w spisek?

Charles Maurice de Talleyrand-Perigord — rzeźnik o twarzy anioła i charakterze szatana — stał na czele tajnej policji Napoleona. Nawet generał Savary składał mu raporty. Talleyrand urodził się we francuskiej rodzinie szlacheckiej pół wieku temu, ale byłby może szczęśliwszy, gdyby przyszedł na świat w ubogiej chłopskiej chacie. Okulawiony przez nieuważną położną, wydziedziczony przez nieczułych rodziców na rzecz młodszego brata i zmuszony do wstąpienia do zakonu, stał się zgorzkniały i twardy.

Odetchnął podczas rewolucji, która uwolniła go z tych więzów. Wysoko zaszedł w krwawych rewolucyjnych komitetach i zdołał przekonać Pierwszego Konsula, by dał mu jeszcze większą władzę. Teraz Talleyrand był zatrutym kolcem w łapie angielskiego lwa... miał bowiem długie ręce i niezaspokojone ambicje.

— Spokojnie, mój drogi — Misbourne uniósł delikatne dłonie w geście kapitulacji. — Masz rację, zabójca musi zostać ujęty żywy, jeśli tylko będzie taka sposobność. Pozostaje pytanie, kogo tam posłać? Kto potrafi się znaleźć w towarzystwie? Nie chcą bez potrzeby obrażać lady Roxbury. Ona ma z tobą coś wspólnego, prawda?

— Markiza jest chrześnicą mojej babki, a moją narzeczoną. Pewnie kiedyś ją poślubię, jeśli oboje dożyjemy — wyjaśnił krótko Wessex i wzruszył ramionami. Nie wierzył, żeby Misbourne nie pamiętał tych szczegółów. Ten człowiek magazynował w głowie absolutnie wszystko; często przesądzało to o jego zwycięstwach w Grze Cienia. — Pozwól mi tam jechać. Miałbym lepszy pretekst do takiej wizyty niż ktokolwiek inny.

— Musisz być tam przed jutrzejszym wieczorem, a jeszcze lepiej dzisiaj — przypomniał Misbourne.

Mooncoign leżało w hrabstwie Wiltshire, co najmniej o dzień drogi powozem od Londynu.

Jednak Wessex, świadom, że sprawa dotyczy w pewnym i się jego rodziny, niechętnie zgodziłby się, by w tym polowa zastąpił go ktoś inny.

— Daj mi powóz i stangreta, a będę tam przed zachodem słońca — powiedział. — Znalazłbym się tam wcześniej wierzchem, ale zajeździłem Hirondeła w drodze z Dover. Niewiele mu zostało sił, biedakowi.

— Pewnego dnia zabijesz siebie i konia — przepowiedział Misbourne. — W porządku. Jedź do Wiltshire i złap tego Francuza. Potem zobaczymy, co da się z nim zrobić.

W podróży Wessex od początku prześladował pech. Najpierw okulał mu koń kilka mil za Londynem, a w końcu pękła oś w powozie. W Mooncoign pojawił się więc dopiero za dnia, a nie poprzedniej nocy, jak planował. Przyjechał na wynajętym koniu, a jego bagaż miał dopiero dojechać. Zatrzymał się przed Mooncoign w wiosce Green Maiden, aby zapytać o drogę, choć wcale nie było mu to potrzebne, ale chciał przy okazji wysłuchać okolicznych plotek, co mogło się przydać. Dowiedział się, że wiosenne przyjęcie u markizy odbyło się jak zawsze i jak zwykle towarzyszyły mu sztuczne ognie, nie licząc innych rozrywek. Po przyjęciu lady Roxbury rozchorowała się ciężko, a w dodatku nie dalej jak tydzień temu jadąc powozem zderzyła się z dyliżansem z Bristolu. W wypadku zginęły jej słynne cztery ogiery, ale podobno teraz już czuła się zupełnie dobrze. Tej właśnie nocy zamierzała nawet wyprawić bal maskowy. Ta ostatnia wiadomość wcale nie poprawiła samopoczucia diuka. Każdy właściwie mógł się pojawić i anonimowo na balu maskowym, zwłaszcza że zaproszono pół marchii i jeszcze wielu gości z miasta. Obcy przybysz mógł pozostać nie zauważony. Nawet jeśli będzie to francuski zabójca.

Czy taki właśnie był plan lady Roxbury?

Ta myśl rozzłościła Wessex, raczej ze względu na hańbę, która miała splamić honor jego klasy społecznej niż z powodu takiego głupstwa jak zaręczyny. Równie mocno jak pochwyć mordercę, pragnął raz na zawsze rozstrzygnąć kwestię winy lub niewinności markizy. Gryząc się tą sprawą, podążał długą aleją wiodącą do Mooncoign.

W blasku popołudniowego słońca pomocna fasada dwora z białego kamienia lśniła jak brylant. Dach Mooncoign ozdabiały kamienne skrzydlate figury, które wyglądały, jakby w każdej chwili były gotowe odlecieć. Trzy pokolenia Roxburych tak rozbudowały swoją siedzibę, że mogła śmiało konkurować z pałacem Blenheim. Diuka jednak niezbyt ucieszyła wiadomość, jaką mu zakomunikowano po przybyciu na miejsce — dowiedział się, że lady Roxbury nie przyjmuje gości.

Sara drgnęła nerwowo w półśnie. Czuła w ustach gorzki smak. Przez jej uśpiony umysł przebiegały niewyraźne obrazy — widziała wspaniałe ogiery przyozdobione piórami, czarny powóz gnający wprost na nią... była... jest...

Jest Sarą. Ale temu imieniu towarzyszyły tak różne obrazy — cicha dziewczyna w skórzanej bluzie... wymalowana dama w jedwabiach i klejnotach...

Którą Sarą była?

Jęknęła i otworzyła oczy. Nad głową zobaczyła obcy wzór jedwabnego baldachimu przyozdobionego frędzelkami. Wspomnienia niedawnej przeszłości krążyły w jej umyśle i zderzały się ze sobą powodując zawrót głowy. Jęknęła głośno. Pamiętała zderzenie, o tak! Dokładnie widziała jego przebieg, słyszała rzenie koni i jęki rannych ludzi, czuła ogarniające ją fale bólu. To, co przed wypadkiem, było dziwnie zamazane i mgliste. Potem znów jasny fragment — pani Bulfred, w której domu się obudziła, człowiek nazwiskiem Falconer, który zarzucał ją niezrozumiałymi pretensjami, wypowiedzanymi gniewnym głosem, w którym czuła rozczarowanie... i jazda powozem. Dokąd? Do jej domu?

To nie jest mój dom, pomyślała z nagłym chłodem. Nie należę do tego miejsca. A może jednak należy? Przecież każdy to mówi... tak jej się przynajmniej zdaje.

Sara usiadła i przeciągnęła się. Dawno nie używane mięśnie, zaprotestowały bólem. Przetarła oczy. Zauważyła wymyślne koronkowe mankiety, więc przyjrzała się uważnie temu, co miała na sobie. Zrobiona z najdelikatniejszego materiału, który zwano welonem mniszki, nocna koszula cała była pokryta falbankami i koronkami. Musiało na nią pójść tyle tkaniny, że wołała nawet nie zastanawiać się nad jej kosztem. Sara wpatrywała się w wykwintną szatkę, zamysłona. Coś tu nie pasowało. Coś się wydawało nie na miejscu — jak żaba w śmietanie...

Wciąż zadumana, przełożyła nogi przez krawędź łoża... i o mało nie upadła, tak zakręciło jej się w głowie. Na szczęście przytrzymała się ciężkiej kotary przy łożu. Odetchnęła głęboko i rozejrzała się uważnie po pokoju.

Jej wzrok natychmiast przyciągnął portret wiszący nad kominkiem. Kobieta w kapiącej od klejnotów szacie, z twarzą pomalowaną na kształt maski, patrzyła na nią ostrym spojrzeniem. Taki wzrok widywała tylko w lustrze... Czyżby były spokrewnione? Ozdobione pierścieniami dłonie kobiety dzierżyły klucz, sztylet i różę — przedmioty te Sarze absolutnie z niczym się nie kojarzyły.

Wiedzona nieodpartą siłą, sięgnęła do piersi i nagle sobie sprawę, że nie czuje tam znajomego ciężaru.

Pierścień!

Odrzucając na bok wszelkie inne myśli, Sara rzuciła się do przeszukiwania pokoju. Nie zaprzestała, dopóki nie znalazła pierścienia w jednej z szuflad nocnej szafki. Szybko odwróciła czarny kamień i zobaczyła wyryte w srebrze znane sobie wzory. Po czuła niewysłowioną ulgę. Choć nie wszystko mogła przypomnieć, to jedyne wspomnienie było przynajmniej realne i prawdziwe. Znikła jednak niebieska wstążka. Sara przymierzyła pierścień na każdy palec, aż wreszcie zostawiła go na środkowym lewej ręki. Przynajmniej ten skarb nadal należał do niej. Ale skąd te myśli? Przecież wszystko to należało do niej. To było Mooncoign — jej dom.

Uniosła dłoń do pulsujących bólem skroni. Obcy luksus otaczał ją ze wszystkich stron. Jej spojrzenie przyciągnęło okno a za nim parkowa gęstwina otaczająca Mooncoign, lśniąca zielen w promieniach wiosennego słońca.

To nie jest prawdziwy las. To kłamstwo, jak wszystko wokół, pomyślała z nagłym przestrawieniem.

Tak właśnie było! Wszystko tu było nieprawdziwe. Teatralna sztuka, w której realność nie wierzył żaden z aktorów. Ci ludzie zachowujący się tak dziwnie, tytułujący ją cudzą godnością... to była gra.

Ale kto grał w tę grę i dlaczego? Sara nie znalazła za oknem odpowiedzi na dręczące ją pytania. Jej chwilowa pewność siebie zwiędła i rozsypała się w podarte na strzępy wspomnienia...

Powoli doszło do jej świadomości, że od kilku chwil słyszy narastający gwar ludzkich głosów, dochodzący zza zamkniętych dębowych drzwi, które prowadziły na zewnętrzny świat.

— Nie obchodzi mnie jej ból głowy! Muszę ją widzieć! — wrzasnął nieznanym męskim głosem, gdy drzwi otworzyły się z rozmachem.

Sara spojrzała w tamtym kierunku.

Obcy miał oczy czarne jak otchłań piekła. Jego jasne włosy, przewiązane ciemną wstęgą nad karkiem, opadały swobodnie na plecy. Miał na sobie niebieską koszulę z najprzedniejszej tkaniny, białe skórzane spodnie i ozdobioną frędzlami kurtkę do konnej jazdy. Trzymał parę rękawic i szpicrutę ze srebrnym zakończeniem, a kiedy się poruszył, Sara dostrzegła błysk drogiego kamienia w spince krawata. Patrzyła na niego z nieświadomym zachwytem.

Przybysz nieoczekiwanie zaczerwienił się i zmieształ, kiedy zauważył muślinową koszulę nocną Sary.

— Ja... bardzo przepraszam... lady Roxbury. Nie sadiłem... powinienem był zaczekać... proszę o wybaczenie... — powiedział odwracając oczy.

Zanim Sara zdążyła ochłonać, diuk Wessex wycofał się do salonu i zamknął za sobą cicho drzwi.

Stał teraz w salonie lady Roxbury usiłując dojść do siebie po tym nieoczekiwanym zdarzeniu. Wciąż jeszcze był zarumieniony ze wstydu. Maniery arystokracji były wprawdzie dość swobodne, ale do pewnych granic. Wessex doskonale wiedział, że właśnie przekroczył jedną z nich: wtargnął do prywatnego pokoju niezamężnej kobiety, a w dodatku zastał ją w bieliźnie. Nie miał innego wyjścia; musiał, upokorzony, pokornie wycofać się za drzwi.

Nie udawane zdumienie lady Roxbury tylko zwiększyło jego poczucie winy. Kiedy wpadł jak wicher do komnaty, markiza stała przytrzymując się zasłony, a cienka muślinowa koszula zsunęła się ze szczupłego ramienia. Miała rozpuszczone włosy i bladą twarz bez makijażu; wyglądała na znacznie mniejszą i bardziej bezbronną niż kobieta, jaką zapamiętał.

Czekał cierpliwie, aż markiza do niego wyjdzie. Nic innego mu nie pozostało.

Usłyszał, że otwierają się drzwi, ale nie te prowadzące Sypialni markizy. Pojawiła się w nich wiekowa kobieta, której władcza postawa świadczyła o znaczeniu na dworze.

— Co pana sprowadza do tego domu? — zapytała ostro. Skojarzyło się to Wessexowi z gdakaniem kury, która chroni swoje jedyne pisklę. Przez nie domknięte drzwi za jej plecami dostrzegł kilku uzbrojonych mężczyzn, którzy najwyraźniej czekali na instrukcje.

— Przyjechałem złożyć wyrazy szacunku twojej pani — wyjaśnił Wessex. — Proszę zapytać, czy zechce mnie przyjąć — poprosił uprzejmie, jakby to nie on wtargnął przed chwilą do sypialni lady Roxbury. — Proszę przekazać, że przybył jej narzeczony.

Wolałby wprawdzie nie wykorzystywać tego ostatniego argumentu, zwłaszcza że nie był pewien trwałości tych zaręczyn, ale musiał porozmawiać z markizą. Obawiał się, że po takim wybryku dumna lady Roxbury nie zechce go widzieć.

— Zapytam jej dostojność — odpowiedziała z wahaniem staruszka i znikła w sypialni markizy.

Zamknęła za sobą drzwi nader energicznie — widocznie nie była tak stara ani tak słaba, na jaką chciała wyglądać.

Wessex bez namysłu zamknął drugie drzwi przed nosem stojących na korytarzu służących, zbliżył się do drzwi sypialni i bezszelestnie przyłożył do nich ucho. Niestety nie docierał do niego nawet szmer.

Gardner była równie zdumiona jak Sara przed chwilą, widząc swoją panią na nogach, lekko tylko przytrzymującą się kotary.

— Pani — powiedziała sztywno i służbiście — czy mam wezwać dame Alecto?

Nie! — rozległ się wewnętrzny dzwonek alarmowy w umyśl Sary. Jednocześnie poczuła gwałtowny przypływ energii.

— Po co? — zapytała chłodno. — Czuję się już zupełnie dobrze. Powiedz mi, proszę, kim był ten mężczyzna?

— Natychmiast go odeślę — obiecała Gardner. — Pani, daleko ci jeszcze do pełnego zdrowia. Osłabienie po wypadku...

— To było wiele dni temu — przerwała Sara. Wciąż miała chaos w umyśle, ale czuła też chęć... nie, nie ucieczki, ale przejęcia kontroli nad swoim postępowaniem. — Moi... — zawahała się, ale odpowiednie słowa przyszły same — moi goście z pewnością będą chcieli mnie zobaczyć. Przynieś mi ubranie.

— Ależ, pani... — zaprotestowała Gardner.

Sara nie odezwała się ani słowem. Wreszcie stara piastunka musiała skapitulować.

— Dobrze, lady Roxbury. Przyślę tu Knoyle, aby pomogła ci się ubrać.

A więc zwycięstwo. Ale to jeszcze nie koniec...

— Powiedz temu mężczyźnie, że go przyjmę, gdy tylko się ubiorę — dodała władcym głosem. Przeczuwała, że ten człowiek może mieć klucz do rozwikłania otaczającej ją tajemnicy.

## 6. MASKARADA POŚRÓD CIENI

Kiedy uzyskał zapewnienie Gardner, że markiza przyjmie go, jak tylko się ubierze, Wessex bez protestu udał się za lokajem do drugiego skrzydła dworu. Służący wziął jego kurtkę i buty do wyczyszczenia, a Wessex spróbował poprawić stan reszty stroju na tyle, na ile było to możliwe. Kiedy się z tym uporał, uznał z zadowoleniem, że patrząca na niego z lustra postać bardziej przypomina diuka Wessex niż szalonego kawalera de Reynard albo któregoś z jego duchowych braci. Na szczęście miał przy sobie rodowy sygnet, którym mógł udowodnić swoją tożsamość. Wessex zerknął jeszcze raz uważnie w lustro i stwierdził, że w roli narzeczonego prezentuje się zupełnie nieźle, jak zresztą w każdej, którą musiał odgrywać w różnych okolicznościach.

Dotknął kamienia w pierścieniu, który nosił na lewej dłoni i uśmiechnął się, bo przyszło mu na myśl, że lady Roxbury nie doceniłaby prawdziwego znaczenia tego klejnotu.

Nacisnął jedną z pałek korony herbowej salamandry. Kamień uniósł się na miniaturowym ramieniu, które jeszcze przed chwilą zdawało się ornamentem zdobiącym krawędź. Pod palcem Wessexa obrócił się, by ukazać niespodziankę. Na spodzie mienia widniał precyzyjnie wygrawerowany obraz, który tylko dwunastu mężczyzn i jedna kobieta spośród żyjących mogli oglądać. Był to wizerunek dębu, błyszczący złotem na tle srebrnej pola. U stóp dębu spał z głową na ziemi jednorożec, a nad konarami drzewa błyszczała królewska korona. Boscobel — Królewski Dąb. A dla Wessexa także symbol podwójnej lojalności, która rozdzierała na dwie części jego duszę...

Założyciel sekretnej Ligi był świadkiem ścięcia swojego ojca, króla Karola I, przez jego własnych poddanych. On sam spędził długie lata gorzkiego wygnania na wszystkich dworach Europy, podczas gdy jego dziedziczne prawa deptał twardy but Cromwella. Kiedy Karol Stuart ponownie powrócił na tron, z łaski Lordów i Gmin, ci zdecydowali, że od tej pory to Anglia i król będą tańczyć, jak Parlament zagra, Parlament zaś może lekceważyć żądania króla.

Od tej pory Karol Stuart — Karol II, król Anglii, Szkocji, Irlandii i Walii — tańczył, uśmiechał się i kłaniał, a potajemnie wykuwał miecz, który miał bronić Anglii przed nią samą, gdy nadejdzie taka potrzeba. Liga Boscobel — dwunastu mężczyzn i jedna kobieta, nigdy więcej i nigdy mniej. Każde było wybierane przez swojego poprzednika za aprobatą króla, nieważne, z jakiej warstwy społecznej. Musieli tylko być lojalni wobec króla lub królowej, bardziej niż wobec ojczyzny.

Założyciel postanowił, że Liga nigdy nie obejmie większej liczby członków, że będzie finansowana wyłącznie z prywatne szkatuły i że każdy władca po wstąpieniu na tron raz — ale tylko raz — będzie miał szansę rozwiązania tej sekretnej broni. Pięciu kolejnych władców ją zachowało, ale też nigdy do tej pory miecz nie został użyty.

Do tej pory...

To, co Wessex robił we Francji, odbywało się na rozkaz jego zwierzchników z Białej Wieży. Jednak najpierw przysięgał Lidze i to się liczyło najbardziej. Jeśli taki byłby rozkaz, zdradziłby Anglię dla króla Anglii.

Czy na pewno?

Do tej pory los oszczędzał mu szarpaniny między dwiema przysięgami. Służba dla narodu była służbą dla króla i Wessex miał nadzieję, że nigdy nie będzie inaczej. Prosił o to podczas rzadkich chwil modlitwy.

A przecież taka możliwość istniała. Wessex, zawieszony między Wieżą a Dębem — dwiema świętymi przysięgami — żył z myślą o tym, że pewnego dnia będzie musiał się sprzeniewierzyć jednej z nich. Jeśli miewał inne problemy, uspokajała go świadomość, że naprawdę trudny problem jeszcze jest przed nim.

Usłyszał ciche pukanie do drzwi.

— Markiza przyjmie pana teraz, wasza miłość.

Gdy pokojówka Sary, pod nadzorem Gardner, pomagała jej się ubierać, dame Alecto była nieobecna, ale pojawił się doktor Falconer i zmusił ją, żeby poddała się badaniu. Z uwagą osłuchiwał jej piersi i plecy, a Sara przyglądała mu się z rozbudzoną na nowo podejrzliwością. Ten człowiek podobno jest jej osobistym lekarzem, dlaczego więc wydaje się jej całkowicie obcy? W ogóle go nie pamięta!

Zdołała jednak zachować obojętną minę. Była markizą Roxbury, a to Mooncoign — jej dom. Jak opowieści zasłyszane od innych, powoli wracały do pamięci obrazy z jej życia — osierocenie w dzieciństwie, wyniosłe maniere, odkąd nauczyła się jeździć na swoim pierwszym kucyku, przejęcie pełnej kontroli nad własnym życiem w wieku szesnastu lat...

— Nie znajduję niczego groźnego, wasza dostojność — powiedział wreszcie Falconer ku jej wielkiej uldze. — Wyszła pani cało z tej katastrofy. Zdarzały się gorsze upadki podczas polowań... chociaż nie mogę powiedzieć, by podobał mi się ten czterodniowy sen. — Patrzył jej uważnie w oczy. Wydawało się Sarze, że mają wspólną tajemnicę. Ale jaką? — Ostrzegam, może pani jeszcze żałować tego układu... a niełatwo będzie go zerwać.

Już po raz drugi wspomniał o układzie, a ona w dalszym ciągu nie miała najmniejszego pojęcia, o co mu chodzi. Wzruszyła ramionami.

— Żadnego układu nie można łatwo zerwać, doktorze.

— Spada to na pani sumienie — zawyrokował Falconer, jakby był sędzią, a nie lekarzem.

Zebrał swoje narzędzia i szybkim krokiem opuścił pokój.

Jestem pewna, że go obraziłam, pomyślała Sara. W dodatku absolutnie nie wiem dlaczego. Może byłoby lepiej, gdyby to sądził, że obraził mnie...

Do jej głowy napływały dziwne, obce myśli. Odrzuciła je i dopiero teraz uświadomiła sobie obecność Knoyle. Pokojówka biegła podniecona po pokoju i prezentowała różne części nie znanej Sarze garderoby, aby wybrała sobie stosowny strój. Knoyle ją znała. Knoyle była jej osobistą pokojówką. Dlaczego więc ona nie zna Knoyle?

— ... można powiedzieć, że diuk jest przystojny, a to jego spojrzenie...

— Nicco mnie zaskoczył — powiedziała ostrożnie Sara.

— Bo też wtargnął do pokoju waszej dostojności jak dzikus — dodała z dezaprobatą Knoyle. — Co by jego babka, która jest także matką chrzestną waszej dostojności, powiedziała na zachowanie?

Pytanie najwyraźniej nie wymagało odpowiedzi. Knoyle ciągnęła krytycznie nosem i kontynuowała swój monolog.

— Od kiedy ojciec waszej dostojności zaręczył was oboje szesnastych urodzinach...

— Mam poślubić tego diuka? — przerwała poruszona i przerażona Sara.

— Wasza dostojność musi kogoś poślubić — włączyła się z naciskiem Gardner. — A ziemię diuka graniczą z ziemiami pani, więc co może być stosowniejszego?

W sercu Sary zawrzała bunt. Knoyle, wciąż trajkocząc, zawiązywała tasiemki, a Sara zastanawiała się głęboko. Chociaż wszystkie wspomnienia zdawały jej się bardzo mgliste, jednego by pewna — nigdy nie godziła się na poślubienie tego diuka Wessex.

Knoyle wspominała coś o zaręczynach w dzieciństwie. Ta umowę można chyba łatwo zerwać i wymigać się od tego małżeństwa.

Knoyle wyszła na moment. Sara słyszała dochodzącą zza drzwi jej cichą rozmowę ze służącą, której zadaniem było dbanie o garderobę lady Roxbury. Odwróciła się do starej piastunki, która właśnie zbliżała się z ciepłym pledem, by zarzucić go na ramiona stojącej w samej bieliźnie Sary, chociaż w pokoju, ogrzewanym ogniem w kominku, było bardzo ciepło.

— Nie przesadzaj z tą troskliwością, Gardner. Jestem już dorosła — zaprotestowała Sara.

— Dla mnie i tak zawsze będziesz dzieckiem — powiedziała z przekonaniem Gardner. — W końcu odebrałam cię podczas porodu. Twoja droga mama nie miała nikogo oprócz mnie do pomocy, chociaż niektórzy mówili wtedy, że jestem już na to za stara — dodała jeszcze.

Sara poczuła się zupełnie zagubiona, widząc prawdziwą troskę malującą się na twarzy Gardner. Jak to możliwe, że wszyscy wokół wiedzą o niej wszystko, a ona w ogóle tych ludzi nie pamięta!

— Proszę bardzo, wasza dostojność, oto najnowsza suknia. Jest taka piękna, że na policzki waszej dostojności na pewno powrócą rumieńce.

Sara zerknęła na żółtą jak pierwiosnek, wzorzystą muślinową suknię, którą Knoyle niosła z dumą przewieszoną przez rękę. Kołnierzyk i bufiaste rękawy tej kreacji były ozdobione zielonymi wstążkami i małymi jedwabnymi różyczkami na koronkowym tle.

— Jaka śliczna! — zawołała Sara.

Tak, suknia była piękna jak kwiat — ciesząca oko, ale zupełnie niepraktyczna.

Sara bez oporu pozwoliła Knoyle ubrać się w nią, a potem ułożyć włosy. Gardner narzuciła jej jeszcze kaszmirowy szal na ramiona. Kiedy skończyły, na Sarę patrzyła z lustra obca osoba o wysoko upiętej fryzurze i tak nieprzyzwoicie obnażona... osoba, której nie знаła.

— A teraz przyniosę szkatułkę z klejnotami — powiedziała zadowolona z siebie Knoyle.

— Nie trzeba — zniecierpliwiała się Sara, obracając nerwowo swój pierścień na palcu.

Teraz, kiedy znów odzyskała siły, coraz bardziej pragnęła zobaczyć świat poza ścianami tego pokoju. I dowiedzieć się, czego od niej chce diuk Wessex... a może także zorientować się, jak uniknąć ich przyszłego małżeństwa.

— Więc gdzie jest diuk?

Dom był dla niej zupełnie obcy, ale towarzyszyła jej Knoyle, jakby spodziewała się, że Sara będzie potrzebowała pomoc dłoni, aby dała radę utrzymać się na nogach. Wiodła Sarę przez nieznanne korytarze, aż dotarły do biblioteki. Knoyle stanęła nieruchomo przy drzwiach, niczym któraś ze zbroi, jakie mijaly po drodze, Sara zaś rozglądała się z zainteresowaniem po pokoju. Po głowie przemykały jej historie, które ktoś — kto? — jej opowiadał.

Legendy rodzinne głosiły, że w czasach króla Karola I, nim jeszcze Roxbury'owie przemierzali te korytarze, pokój nie był biblioteką, ale kaplicą służącą katolickim mieszkańcom dworu. Purytańska burza i Restauracja zniszczyły wprawdzie i wody tego, jeśli jakieś w ogóle istniały — ale pozostały wspaniałe witraże na pomocnej ścianie, a ułożone z kolorowych szybek wzory nie pasowały do biblioteki. Sara patrzyła przez witraże na świat, który raz był czerwony, potem zielony, niebieski, aż wreszcie przybrał dziwną bursztynową barwę.

W bibliotece nie było teraz nic poza książkami i dziełami sztuki.

„Tamte antyki ojciec przywiózł z Grecji, a ten obraz Canaletta to podarunek króla Karola dla dziadka”... — przypomina sobie Sara nie wiadomo jakim sposobem.

Podeszła do półek i wzięła pierwszą z brzegu książkę. Było ich tu więcej niż przeczytała w całym swoim życiu... dlaczego ją to dziwiło?

— Lady Roxbury?

Sara odwróciła się automatycznie, odkładając książkę. Nerwowo przekręciła pierścień na palcu. Do biblioteki drugimi drzwiami wszedł diuk Wessex.

— Wasza miłość... — właściwy tytuł jakoś sam się pojawił w pamięci. — Co wasza miłość tu robi?

Wessex zerknął na stojącą przy drzwiach Knoyle i podszedł do Sary.

— Odeślij pokojówkę.

— Słucham? — Sara nie była pewna, czy dobrze go usłyszała.

— To, co mam do powiedzenia, jest przeznaczone tylko dla twoich uszu, lady Roxbury. Nie chcę, by powtarzano to w każdej angielskiej kuchni.



Sara spojrzała na Knoyle, ale nie uzyskała żadnej pomocy. Twarz pokojówki była pozbawiona wyrazu; nic nie sugerowało, czy życzenie Wessexa jest rozsądne, czy też nie do przyjęcia. Sara spojrzała na gościa, starając się go ocenić.

Ostre rysy, ciemne kręgi pod oczami sugerujące zmęczenie. Usta zdradzały temperament, ale i chłodną kalkulację... coś jednak podpowiedziało Sarze, że powinna zgodzić się na jego prośbę.

— Zostaw nas, Knoyle.

Twarz pokojówki skrzywiła się w niemym proteście, ale Sara przymknęła oczy nakazując jej posłuch. Po chwili Knoyle ukloniła się bez słowa i opuściła pokój.

Kiedy tylko wyszła, Wessex okrążył kocim krokiem bibliotekę, jakby mimochodem zerkając za zasłony i za fotel przy kominku. Wyraźnie chciał się upewnić, czy nikt nie ukrywa się w pokoju. Zanim Sara zdążyła go zapytać o powód tego dziwnego zachowania, zwrócił się do niej.

— Victor Saint-Lazarre jest jednym z twoich gości — powiedział bez żadnego wstępu.

„Victor Saint-Lazarre, rojalista” — podpowiedział Sarze jakiś ukryty głos.

— Zgadza się — odparła.

— Dlaczego go zaprosiłaś? — zapytał natarczywie.

Nie miała najmniejszego pojęcia. Zdenerwowała się jeszcze bardziej. Kiedy poruszyła nerwowo ręką, za duży pierścień zsunął się jej z palca, upadł i potoczył się po tureckim dywanie pod błyszczące buty Wessexa. Gość nachylił się i podniósł klejnot. Sara dostrzegła przerażona, że wstrząs uruchomił sekretny mechanizm i kamień obrócił się ukazując ukrytą drugą stronę. Kiedy diuk Wessex zauważył jednorożca u stóp dębu, zamarł w bezruchu.

„Ona jest jedną z nas!” To nieoczekiwane odkrycie spowodowało, że ciężki kamień spadł z serca diuka. Nie musiał więc obawiać się zdrady ze strony lady Roxbury — jeśli była członkiem Ligi Boscobel, zarówno jej honor, jak i lojalność były poza wszelkim podejrzeniem.

Członkowie Ligi nie znali się nawzajem — zarówno oni, jak i kandydaci uczestniczyli w spotkaniach zamaskowani, nie było też żadnej listy uczestników. Wessex sam nie miał pojęcia, kim są pozostali. Ale nie istniał formalny zakaz, by jeden z członki Ligi ujawnił się drugiemu, gdyby zaszła taka konieczność. Wessex błogosławił inteligencję lady Roxbury, że właśnie coś takiego uczyniła. Jej czyn był zresztą zupełnie bezpieczny; ten symbol nie miał absolutnie żadnego znaczenia dla ludzi spoza Ligi... za to dla członków Ligi oznaczał wszystko.

Podniósł wzrok i zobaczył wpatrzony w siebie szare oczy markizy. Jej twarz nie zdradzała żadnych emocji. Cóż, nie mogła wiedzieć, że on też jest członkiem Ligi Boscobel. Na pewno oczekuje teraz wskazówki, czy to posunięcie było udane, czy chybione. Ale nie zdradzała zainteresowania, nieprzenikniona jak pokerzysta. Wessex poczuł się podniesiony na duchu. Jeśli Roxbury będzie po jego stronie w tej grze, z łatwością uratują Saint-Lazarre'a i złapią niedoszłego zabójcę.

— Twój pierścień, lady Roxbury. Bardzo piękny klejnot — dodał, wprawnym ruchem przesuwając kamień i obracając go na właściwą stronę. — Widziałem już kiedyś taki.

— Ach tak? — odparła chłodno markiza, jakby nie interesowało jej to w najmniejszym stopniu. — Czy wasza miłość może łaskawie zdradzić tę tajemnicę, której nie mogła usłyszeć moja pokojówka.

Teraz, kiedy był absolutnie pewien jej lojalności, powie po prostu:

— Victor Saint-Lazarre ma być zamordowany. Tutaj, dzisiaj w twoim domu... przez agenta mistrza szpiegów Talleyranda, który zrobi wszystko, by zniszczyć spisek rojalistów.

— Zamordowany? W moim domu? — głos jej dostojności zachował chłodne brzmienie, ale tym razem nie zdołała ukryć poruszenia.

— Tak, jeżeli w tym nie przeszkodzimy. Nie wiem, kto ma być zabójcą, ale jeśli mamy dostać go żywcem, nie możemy go spłoszyć. Dlatego tu jestem... bo akurat moje odwiedziny można łatwo wytłumaczyć.

— Naszymi zaręczynami, prawda? — Usłyszał w jej głosie jawną niechęć. Wzdrygnął się lekko. Czy kobiety nie mają wycucia czasu?

— Tak — powiedział krótko. — Na razie nie ma co się nad tym rozwodzić. To było dziewięć lat temu. Jeśli o mnie chodzi, możemy pozostać narzeczonymi jeszcze następne sześćdziesiąt. Ważniejsze jest, że dziś w nocy, o czym wie cała marchia, wydajesz bal maskowy. Sądzę, że wtedy właśnie uderzy zabójca.

— Trzeba go powstrzymać — odparła automatycznie Sara i zmarszczyła brwi w zamyśleniu. — Ale jak?

— Pozostaw to mnie — powiedział Wessex. — Chcę tylko zostać zaproszony na ten bal. O resztą już zadbam.

Sara stała chwilę w milczeniu, zastanawiając się, co powinna zrobić. Coś w głębi jej umysłu krzychało, że to wszystko jest dziwne i obce — ale ten wewnętrzny głos był odległy, stłumiony przez zapewnienia doktora i służby, przez samo istnienie Mooncoign. Jestem Roxbury, pomyślała, powtarzając to, co usłyszała, gdy po raz pierwszy obudziła się w tym świecie. Jestem panią Mooncoign. Jestem lojalną poddaną króla. Słaby krzyk protestu zamilkł wobec tych oczywistych faktów. Teraz już przekonana, Sara uniosła wzrok i spojrzała wprost w czarne oczy Wessexa.

— Co mam zrobić? — zapytała pewnym głosem.

## 7. NIEBEZPIECZNE SPOTKANIE W BLASKU KSIĘŻYCA

W swojej wiejskiej posiadłości Wessex ponuro przyglądał się rozrzuconym na łożu różnym częściom garderoby. Wymyślne kostiumy na bale maskowe zamawiano na tygodnie, a nawet czasem miesiące przed balem. Wessex, który nie spodziewał się uczestniczyć w takiej imprezie, nie zadbał o ten drobiazg. No cóż, będzie musiał wystarczyć normalny strój wieczorowy.

Zanim pojechał się przebrać na maskaradę, spędził kilka godzin rozglądając się pośród gości lady Roxbury. Jej pałac niemal pękał w szwach od zjeżdżających się zewsząd ludzi, którzy wyczuwając dobrą zabawę ścigali już od trzech dni. Zresztą wszystkie okoliczne domy, a wśród nich siedziba Wessexa, też przeżywały najazd.

Wprawdzie w rezydencji nie było żadnego członka Rodziny, ale Wessex był pewien, że przed wyjazdem do Francji przekazał komuś zaproszenie — wtedy nie przywiązywał do tego specjalnej wagi. Przy takich okazjach zawsze gościł trochę, arystokratycznej młodzieży, która przed balem wolała zatrzymać się w jego dworze niż w przepełnionym Mooncoign.

Na razie jednak przyglądał się z niechęcią bałaganowi w sypialni. Dzisiejszy bal maskowy z punktu widzenia zabójcy był prawdziwym darem niebios, a on naprawdę nie miał nic odpowiedniego na tę okazję. Zwykły strój będzie go niepotrzebnie wyróżniał, a w dodatku jest niepraktyczny.

Przynajmniej mógł liczyć na pomoc markizy, chociaż ona zapewne nie wiedziała, że dzieli z nią członkostwo w Lidze. Powinien się jej zwierzyć, ale powstrzymała go dziwna ostrożność. Przyswajany przez całe życie nawyk chowania się w cieniu był zbyt silnie zakorzeniony. Nie przestawało go dziwić, że lady Roxbury tak się przed nim odkryła. Jak mało wiemy o ludziach których podobno znamy!

Nagły szelest w krzakach pod otwartym oknem zelektryzował Wessexa. Wsunął błyskawicznie dłoń do kieszeni i chwycił zegarek kieszonkowy, który oprócz wskazywania czasu pełnił jeszcze inną funkcję — był jednorazowym pistoletem dla tych, którzy znali jego sekret. Skradając się kocim krokiem Wessex przywarł do ściany obok okna, trzymając w prawym ręku sekretną broń.

— Wasza miłość, może byś tak pomógł przyjacielowi wdrapać się na górę? — usłyszał znajomy głos.

Wessex uśmiechnął się szeroko. Rozluźniony wychylił się przez okno, pomagając przybyszowi wejść do środka.

— A co ty tu, u diabła, robisz? — zapytał całkiem rozsądnie.

— Przynoszę ci kostium — odparł z uśmiechem Illia Kościuszko.

Mówił po angielsku płynnie, choć z lekkim akcentem. Za to bezbłędnie władał niemieckim, francuskim i oczywiście ojczystym polskim.

Był w galowym mundurze, co Wessex zauważył, kiedy przyjaciel z trudem forsował okno. Wysokie czako z niedźwiedziego futra i sterczące nad głową skrzydła z orlich piór przyłączone z tyłu do ciemnozielonej, podbitej futrem szuby, za nic nie chciały się zmieścić w futrynie. Wreszcie jakoś wszedł, choć Wessex tylko dzięki szybkiemu refleksowi zdołał w porę złapać jego spadające czako.

— Widzę, że podróżujesz incognito — zauważył.

— A, o to chodzi? Mój mundur może być doskonałym strojem na dzisiejszy bal, a gdybym się nie załapał, zawsze mogę iść straszyć dzieci — odparł Illia. Jego oczy błyszczały rozbawieniem.

Przesunął dłonią po płowych włosach, które zgodnie z modą były krótko przycięte z przodu; dłuższe loki z tyłu uczesał w warkoczyki przewiązane jedwabnymi tasiemkami, jak często nosili huzarzy z polskich regimentów.

W ojczystej Polsce Illia Kościuszko był arystokratą i jak wielu najstarszych synów z arystokratycznych rodzin związał swoje losy z armią. Wstąpił do elitarnego regimentu lekkiej jazdy, której uniform właśnie miał na sobie\*. Choć jego kraj właściwie już nie istniał, podzielony jak tort pomiędzy Rosję, Prusy i Austrię podczas trzech rozbiorów, Illia Kościuszko był wielkim patriotą, który marzył o wskrzeszeniu niepodległej Polski, choć nie za wszelką cenę.

W odróżnieniu od wielu swoich rodaków, którzy po ostatecznym unicestwieniu ojczyzny w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym piątym roku uciekli na dwór francuski w poszukiwaniu wsparcia, on wierzył raczej, że ratunek dla kraju przyjdzie ze strony Europy uwolnionej od korsykańskiego tyrana. Nie podążył więc do Francji wraz ze swoim regimentem, ale wybrał drogę intryg i cienia. Na tej drodze zwrócił najpierw na siebie uwagę Wessexa, a potem i Białej Wieży. Już od pięciu lat był towarzyszem i najbliższym przyjacielem diuka.

Tę parę różniło prawie wszystko. Polska była ofiarą trzech potęg — sojuszników Brytanii, a wroga Brytanii — Francję — wielu uważało za ratunek dla Polski. Mimo kaprysów losu, które pozbawiły go tytułów i majątku, Kościuszko pozostał wesołym i otwartym człowiekiem, tak gorącokrwistym, jak Wessex chłodnym, tak autentycznym, jak Wessex sztuczny i zmanierowany...

Ale podobnie jak przyjaciel miał jedną jedyną namiętność: Grę Cienia i walkę z tyranem, który przesunął granice na mapie Europy znacznie brutalniej niż kiedykolwiek czynił to rosyjski car.

— Mówiłeś coś o kostiumie — przypomniał Wessex. — Skąd u licha...

— Mamy swoje sposoby — parsknął śmiechem Kościuszko! Uznałem, że lepiej ci pójdzie z tą małą Roxbury i z tym typkiem Talleyranda, jeśli to włożysz.

Ostrożnie — znając dobrze poczucie humoru przyjaciela — Wessex odwinął pakunek.

Zawierał połączony kartonowy hełm z biegnącym przez środek grzebieniem szkarłatnych czaplich piór, sięgający ziemi, równie szkarłatny jedwabny płaszcz, napierśnik i parę innych, równie starannie wykonanych z drewna i kartonu, połączonych elementów zbroi.

— Strój ma sporo niezłych skrytek, zwłaszcza polecam nakolanniki — wskazał Kościuszko.

— Więc mam być dostojnym Rzymianinem? — zapytał rozbawiony Wessex.

— *Ave Caesar* — mruknął Kościuszko z głębokim ukłonem!

Wessex zdołał w ostatniej chwili uskoczyć z zasięgu skrzydeł, które przecięły powietrze jak dwie pierzaste gilotyny. Wystawały co najmniej o jard nad głowę Kościuszki. Wessex wiedział, że podczas galopu regimentu uderzający w nie pęd powietrza wywoływał przeraźliwy szum, który fatalnie oddziaływał na morale przeciwnika.

— Musisz mi kiedyś pokazać, jak sobie radzisz z tym czymś na plecach — Wessex wskazał wzrokiem orle pióra.

Kościuszko spojrział na niego łagodnie jasnobrażowymi oczami.

— Radzę sobie całkiem nieźle — powiedział tajemniczo. — Zobaczysz, będę się dziś ukrywał w ogrodach lady Roxbury bez obawy, że dostrzeże mnie któryś z jej ogrodników.

— Miejmy nadzieję, że kto inny nie będzie miał tyle szczęścia — odparł na to Wessex.

Nikt nie zostanie zamordowany w Mooncoign. To postanowienie dodawało Sarze odwagi podczas tych kilku godzin między rozmową z Wessexem a wieczornym balem. Uroczysty obiad przełożono o godzinę, aby dać wszystkim gościom czas na przygotowanie się do wieczornej maskarady, a w głównej sali zaczęto już nakrywać na czterdzieści pięć osób.

Dame Alecto wróciła po tajemniczej popołudniowej nieobecności i zapewniła Sarę, że dziś wieczorem wszystko pójdzie dobrze. I rzeczywiście na to się zanosilo.

---

\* Autorka pomieszała elementy umundurowania polskich regimentów z przełomu XVIII i XIX w. ze skrzydłami charakterystycznymi dla polskiej XVII-wiecznej husarii, czyli jazdy ciężkiej.

Jakby wzmocniona oczekiwaniami gości, lady Roxbury z łatwością przewodziła uroczystemu obiadowi; bez trudu wpadła w rolę władczą i pewnej siebie markizy. Rozmowa toczyła się przede wszystkim wokół ostatnich zaręczyn Jakuba księcia Walii z księżniczką duńską Stefanią Julianną — a był to krok, który w zamierzeniach ojca Jakuba miał skończyć z neutralnością Danii i pozbawić Bestię potencjalnej bazy na północy do inwazji na Anglię i Szkocję. — Żadnemu narodowi, nieważne jak bardzo ceni się pojęcie suwerenności, nie można pozwolić na dokonywanie masowych rzezi pośród własnych obywateli, a tym bardziej na ścięcie własnego króla. Tym bardziej nie można pozwolić, aby jeden naród zamieniał całą Europę w swoje imperium. Właśnie na równowadze i wzajemnym szachowaniu się narodów i królestw polega pokój i wolność — mówił Victor Saint-Lazarre.

Po rewelacjach Wessexa Sara postarała się, aby Saint-Lazarre siedział przy stole po jej prawej ręce. Teraz uważnie mu się przyglądała. Jasnowłosa, szczupły mężczyzna o niebieskich oczach mówił z pasją o pokoju w Europie, która właśnie tonęła w morzu krwi.

— W rzeczy samej, *sir*... ale czy to prawda, co mówią, że korsykański tyran jest ateistą? — zapytała dama siedząca po prawej stronie Saint-Lazarre'a.

— Jest czymś jeszcze gorszym — odparł zapytany. — On wierzy, że jest obdarzony szczególnymi łaskami Boga, że jest wybranym, tym, któremu nikt nie może się sprzeciwić. W krajach, którymi rządzi, przegnał czarownice z ich kręgów, a Magiczny Lud z jego wzgórz. Zakazał w ogóle praktykowania Magii.

Rozległy się szeptki zszokowanych współbiedniaków. Jedna z kobiet przesunęła palcami po srebrnej gwiazdce zawieszanej na szyi, jakby chcąc się upewnić, czy wciąż znajduje się na swoim miejscu. Potem jednak rozmowa potoczyła się w innym kierunku. Tak naprawdę wielka polityka nie była w centrum zainteresowania towarzystwa, z wyjątkiem może jednego Saint-Lazarre'a.

Sarze trudno było się powstrzymać przed ostrzeżeniem Saint-Lazarre'a, tak samo jak przed studiowaniem twarzy swoich gości w poszukiwaniu zabójcy. Musiała zaufać Wessexowi, inaczej przysłoby jej samej żeglować przez przerażające morze niepewności. A na to chyba nawet ona nie miała dość hartu ducha. Wessex zresztą był całkowicie przekonany, że jego plan się powiedzie, że zdołają we dwoje poczekać między gośćmi właściwy moment, aż niedoszły morderca Saint-Lazarre'a sam wpadnie im w ręce.

W oczekiwaniu na moment działania rozplynęły się przerażające obszary pustki w pamięci Sary, a przynajmniej ukryły się na razie pośród śmiechu i rozmów. Sara była naprawdę w doskonałym nastroju, gdy razem z pozostałymi kobietami opuściła wreszcie jadalnię. Udały się do zamienionych w garderoby pokojów, aby przygotować wymyślne stroje na wieczorny bal.

Sara Cunningham spojrzała krytycznie na swoje odbicie w lustrze w garderobie. Jasnobrązowe włosy były bardzo starannie udekorowane piórami i wplecionymi w warkocze perełkami. Oczy miała podmalowane, policzki pokryte różem, a na włożenie czekała maska pomalowana w wesołe wzory, imitujące rysunki, jakie dzicy umieszczają na noszonych przez siebie skórkach zwierząt.

Ubrała się w cieniutką skórzaną bluzę i spódnicę, udekorowaną frędzlami. Bluza miała długie, wąskie rękawy, a na plecach imitację pelerynki. Pod spodem nosiła suknię z czerwonego jedwabiu z błyszczącymi ozdobami. Małe skórzane trzewiki były udekorowane kolorowymi paciorkami. Strój uzupełniał szal pomalowany w barbarzyńskie wzory, wykonany futrem wiewiórki.

Londyńska modystka, która właśnie kończyła ubierać swoją klientkę, zapewniała lady Roxbury, że wygląda dokładnie tak jak wyglądają w naturze dzicy Indianie.

— Naprawdę? — zapytała niedowierzająco Sara patrząc na przedstawiony jej katalog strojów, który przedstawiał ze szczegółami ubiory dzikich tubylców odległej amerykańskiej

kolonii. Na kolorowym rysunku stał indiański sachem wraz z towarzyszącą mu kobietą, a oboje wyglądali, jakby właśnie zażywali przechadzki w Green Park. Indianka miała na sobie identyczny strój jak ten, któremu tak krytycznie przyglądała się w lustrze Sara.

W głębi ducha czuła, że w tym kostiumie jest coś nieprawdziwego... ale z drugiej strony nie mogła zaprzeczyć, że *madame* Francine wiernie odtworzyła rysunek. Musiała też przyznać, że kostium robił mocne wrażenie. Pozbyła się więc resztek wątpliwości. Zamierzała już zejść do gości, gdy usłyszała lekkie pukanie do drzwi garderoby.

— Zobacz, kto to — poleciła pokojówce.

Wydawanie rozkazów przychodziło jej coraz naturalniej. W końcu zaczynała czuć się kobietą, której twarz oglądała w lustrze.

W chwilę później weszła Alecto Kennet.

— Dame Alecto? — przywitała ją zaskoczona Sara.

— Zajmę tylko chwilkę, lady Roxbury — odpowiedziała z delikatnym kocim uśmiechem czającym się w kąciakach ust.

— Zawsze jesteś mile widziana — powiedziała powoli Sara. — Nie przebierasz się na bal? Oczywiście kostium maskaradowy nie jest konieczny...

— Myślę, że nie pasowałabym do takiej zabawy — stwierdziła szczerze dame Alecto. — Ale dziękuję za pamięć. Przyszłam podziękować za cierpliwe znoszenie mojej obecności przez te kilka dni. Jednak wzywają mnie inne obowiązki; dawno już nie byłam w Bath. Jeśli pozwolisz, wyjadę dziś wieczorem i oszczędzę służbie kłopotu z szukaniem dla mnie pokoju na dzisiejszą noc.

— Jestem pewna, że gdybyś zechciała pozostać, nie byłoby żadnych problemów z zakwaterowaniem — odparła Sara. Dość dziwny był ten wyjazd gościa w samym środku przyjęcia, ale pamiętała z rozmów podsłuchanych między służbą, że dame Alecto jest bardzo ekscentryczna. Prawdą też było, że księżna Dowager spędzała teraz samotnie czas w Bath i mogła potrzebować swojej powiernicy. Ale czy naprawdę nie mogła poczekać z wyjazdem do jutrzejszego ranka?

— To bardzo uprzejme z twojej strony, moje dziecko, ale twoja matka chrzestna nie ucieszyłaby się, że namawiasz mnie do pozostania, podczas gdy ona mnie tam potrzebuje. Nie chciałam jednak wyjechać bez pożegnania i bez życzeń powodzenia na dzisiejszy wieczór.

Czy Sara się przesłyszała, czy w tonie dame Alecto rzeczywiście było jakieś ukryte znaczenie?

— Przyznaję, że siedziałam tu tak długo, by nabrać pewności, że w pełni doszłaś do siebie po szoku spowodowanym wypadkiem. Przyznam zresztą nieskromnie, że stało się to w dużej mierze dzięki mojej opiece — ciągnęła dame Alecto. — Tak czy inaczej zostawiłam pokojówce buteleczkę z moją miksturą i proszę, abyś dalej ją zażywała. Nie mam wątpliwości, że do pełni sezonu będziesz kwitła zdrowiem.

— Też mam taką nadzieję — zapewniła Sara. Zdążyła już się bowiem nauczyć, że sposób spędzania sezonu przez lady Roxbury wymagał końskiego zdrowia.

— Zobaczymy się niedługo — powiedziała na koniec dame Alecto, wysłuchała automatycznej odpowiedzi Sary i opuścił pokój.

Jakie to dziwne, pomyślała Sara, ale już się nad tym nie zastanawiała, bo trzeba było włożyć maskę, wybrać wachlarz i znaleźć odpowiednie miejsce na karneć balowy, co nie było proste przy tak dziwnym kostiumie. Kiedy wkroczyła do sali balowej, nie myślała już zupełnie o dame Alecto.

Dzisiejszego wieczoru w każdym oknie wielkiego domu paliły się światła. Wszystkie pokoje parteru szeroko otwarto dla gości markizy, a rzędy płonących pochodni oświetlały też ogrody. Sara rozglądała się po głównej sali balowej, która zajmowała większość parteru zachodniego skrzydła dworu. Krwistoczerwone zasłony zostały na tę noc odsunięte, ukazując

szyby podobne do mozaiki z czarnego lodu. Migotały w nich niezliczone gwiazdy płonących w ogrodzie pochodni. Woskowe świece, perfumowane i malowane, rozświetlały wnętrze sali, płonąc między papierowymi dekoracjami, które pokrywały wszystkie ściany. Posadzka była z czarnego i białego marmuru, ułożonego na środku we wzór koła, które zdawało się wirować. Miało ono pomieścić dzisiaj wiele tańczących par. Salę wypełniały dźwięki muzyki dochodzące z pokrytego atłasem podium, gdzie zasiadała orkiestra markizy. Muzycy wyglądali nieco staroświecko w perukach i zielono-srebrnych strojach, ale za to od pierwszego ukłonu na powitanie gości grali niestrudzenie.

Dla tych, którzy nie gustowali w tańcu, przygotowano mniejsze pokoje, gdzie czekały karty, poncz i inne mniej męczące rozrywki.

Czy się pojawi? — Sara zadawała sobie gorączkowo to pytanie, wypatrując zabójcy równie niecierpliwie jak kobieta czekająca na kochanka. Stała poza tłumem gości, obok siostry Saint-Lazarre'a — Izabeli, przebranej za francuską pasterkę. Mimo dość frywolnego kostiumu *mademoiselle* Saint-Lazarre była cichą i skromną osobką; podróżowała z bratem z konieczności raczej niż z politycznego zapалу. I nie przerywała zamyślenia Sary niepotrzebnym trajkotaniem.

Tymczasem przybywali następni goście. Dyrygent orkiestry spojrzął na nią znacząco i wtedy zdała sobie sprawę, że to przecież ona musi poprowadzić pierwszy taniec wieczoru. Na tę myśl poczuła lekki zawrót głowy; nagle zapragnęła łyknąć mikstury, którą zostawiła jej *dame Alecto*. Aby się uspokoić, zerknęła jeszcze na salę, udając, że podziwia kostiumy, które dzisiaj włożyli jej goście.

Oto rozbójnik — chusta, futrzana kurtka, pistolety. To kapitan Stephen Price z Regimentu Inżynierów, który był jej gościem już na obiedzie. Obok dworzanin Króla Słońce Ludwika XIV — Saint-Lazarre. Sara już wcześniej upewniła się, jaki on będzie miał kostium... Dalej faraonowie, księżniczki, karciane figury, Grecy w laurowych wieńcach i dostojni legionieści rzymscy — wszyscy oni wypełnili kolorową cizbą balową salę markizy. Dziś w nocy gościła u siebie słońce, księżyc i gwiazdy.

Tańce miały się zacząć o wpół do dziesiątej, a więc za chwilę. Już wkrótce Sara będzie musiała wybrać partnera, z którym w parze otworzy ten bal, ale na razie wciąż jeszcze wpatrywała się w schody wiodące do sali balowej.

Każdy, kto tu wchodził, musiał najpierw wspiąć się po schodach, na poziom wyższy niż sala, by stanąć pod zwieńczoną łukiem bramą, widzianą przez pozostałych gości wyraźnie jak na scenie. Dopiero stamtąd schodził do nich po sześciu stopniach. Dzięki takiemu rozwiązaniu każdy gość co najmniej raz w ciągu wieczoru znajdzie się w centrum uwagi zebranych. W tym właśnie momencie do sali schodził rzymski generał, niosąc pod pachą ozdobiony pierzastym grzebieniem hełm. Jego długa purpurowa peleryna zamiatała za nim schody.

— Wessex? — Sara rozpoznała go dopiero, gdy znalazł się tuż przy niej.

Powinien wyglądać śmiesznie w tym dziwnym stroju, ale jego poważna mina nie wzbudzała rozbawienia.

Gdy usłyszał swoje imię, przyklęknął na jedno kolano i oddał jej głęboki ukłon.

— We własnej osobie, pani. Czy mogę marzyć, że to mnie spotka honor poprowadzenia pierwszego tańca?

Przejęta dotąd myślą o zabójcy czającym się między jej gośćmi, Sara odmówiła już kilku elegantom błagającym ją o możliwość wpisania swojego imienia w jej karneciku. Zmanierowany ton Wessexa obudził jej irytację. Ten człowiek był stanowczo zbyt pewny siebie. Nie pamiętała wprawdzie, czy kiedykolwiek miała ochotę go poślubić, ale sposób, w jaki niedawno rozprawił się z ich zaręczynami, zupełnie się Sarze nie podobał. Nie odpowiadała jej też beztraska Wessexa, jeśli chodzi o czyhającego w tłumie zabójcę.

— Zobaczymy — mruknęła i otworzyła kolorowy wachlarz. Chciała zapytać Wessexa o mordercę, ale jak to zrobić, gdy wokół tylu ludzi?

— Będę czekał z nadzieją — zapewnił Wessex. — Czy pomoże, jeżeli wyrażę swój zachwyt nad tym oryginalnym kostiumem?

Powiedział to bardzo uprzejmym tonem, ale Sara dostrzegła drwiące skrzywienie jego warg i ironiczny błysk w czarnym oku.

— Wybrałam go bardzo starannie — odpowiedziała chłodno. Prawdę mówiąc nie pamiętała, by kiedykolwiek widziała ten kostium przed dzisiejszym wieczorem. W dodatku odniosła dziwne wrażenie, że mimo zapewnień modystki ten strój niewiele ma wspólnego z prawdziwymi ubraniami amerykańskich Indian. — I jestem z niego nadzwyczaj zadowolona.

— Mój podziw znacznie przewyższa ograniczone umiejętności wyrażenia tego uczucia — dodał Wessex. — Goście niecierpliwie czekają na początek tańców. Gdybym to ja miał być tym szczęśliwcem...

W rezultacie Sara, nie bardzo wiedząc jak do tego doszło, zaczęła ten bal tańcem z diukiem Wessex.

Na czarno-białej posadzce wirował w tańcu Saint-Lazarre. Miał za partnerkę chudą jak patyk, lecz niezwykle hałaśliwą lady Elizabeth Perivale...

Jedyną dobrą rzeczą w tańcu, pomyślała Sara, jest to, że daje sposobność do porozmawiania na osobności. Chociaż może łatwiej będzie zamienić kilka słów podczas walca. Na razie zgodnie z tradycją zaczynali angielskim tańcem dworskim, którego wymyślne figury nie zmieniły się od czasów panowania Karola II.

— Przybędzie tutaj? — zdołała jednak szepnąć Sara.

— Możesz być pewna, pani — odparł Wessex. — Żaden zabójca nie oprze się balowi maskowemu...

Godziny pęły powoli ku północy. Sara zaczęła już marzyć o tym, aby tajemniczy zabójca wreszcie się pojawił. Nie bardzo rozumiała, co wszyscy ci ludzie widzą interesującego w zabawie takiej jak ta. Ona nudziła się potwornie. Może dlatego, że lady Roxbury od czasu prezentacji na dworze uczestniczyła już w tylu balach...

Niestety nie mogła nawet cichcem wycofać się do biblioteki, by poczytać jakąś dobrą książkę. Po dwóch godzinach tańców czuła się już tak zmęczona, że postanowiła poszukać mniej wyczerpującego zajęcia. Wessex oczywiście ulotnił się od razu po pierwszym tańcu. Kiedy więc Saint-Lazarre, także najwyraźniej poszukując chwili odpoczynku, skierował się ku jednemu z pobocznych pokojów, Sara skwapliwie podążyła za nim, w samą porę, by uchwycić ostatnie słowa.

— Chociaż Anglia jest krajem chrześcijańskim, król Henryk przymyka oczy na praktyki białej magii w swoim królestwie, podobnie jak to robił jego wielki dziadek. Czarownice wiele zrobiły, by osadzić Karola II na tronie, który mu się prawnie należał, a jego potomkowie o tym nie zapomnieli — mówił jakiś męski głos.

— Prawdą jest też, że wasze plony i stada mają się o wiele lepiej, odkąd zaprzestaliście zacieklego prześladowania Najstarszego Ludu. Jednak dlaczego ciesząc się pomyślnością, przymykacie oczy na nieszczęścia innych? — To był głos Saint-Lazarre'a.

Ten pokój został przeznaczony na palarnię; w powietrzu wisiała niebieskawa chmura dymu, chociaż wszystkie okna do ogrodu były otwarte. Było tam może z pół tuzina mężczyzn, w tym kapitan Price i Saint-Lazarre, a ich dziwaczne stroje dodawały jeszcze bardziej niesamowitego nastroju tej rozmowie. Sara zatrzymała się za drzwiami, wsłuchując się w dalszy ciąg konwersacji.

— Chodzi ci o to, że nie otwieramy naszych granic przed każdym, kto je chce przekroczyć mając za jedyny paszport opowieści o własnych krzywdach? — zapytał mężczyzna przebrany



za Saracena. — Saint-Lazarre, nikt bardziej niż ja nie martwi się tym, co dzieje się na kontynencie, ale Anglia przede wszystkim musi dbać o siebie. Pamiętaj, że tylko za nasze złoto Prusy i Austria wciąż jeszcze mogą prowadzić wojnę.

Odpowiedź Saint-Lazarre'a umknęła uwadze Sary, bo właśnie w tym momencie dostrzegła nieznaczny ruch za wielkim oknem w ogrodzie. Chociaż jej ogrody były tej nocy dostępne dla wszystkich, było w tym ruchu coś, co obudziło jej uśpione instynkty myśliwego. Błyskawicznie wymknęła się z domu, przez nikogo nie zauważona.

Ogród był kolejnym miejscem, którego w ogóle nie pamiętała. Na szczęście na jednej ze ścian salonu wisiał jego plan i Sara obejrzała go uważnie, czekając na obiad. Pobiegła szybko brzegiem trawnika po wyłożonej białymi kamykami alejce, starając się zlokalizować tamten podejrzany ruch.

Gdzie był Wessex? Sara miała przeczucie, że gdzieś blisko czai się zabójca, więc to diuk powinien być teraz tutaj. W alejce pojawiła się grupka rozbawionych gości — wysoki rudzielec, blondynka w więcej niż skąpym kostiumie, i czarnowłosa mężczyzna przebrany za wschodniego korsarza. Sara odruchowo cofnęła się w krzaki, zadowolona, że jej kostium ma stonowane barwy i brakuje mu jaskrawych ozdób. Może i wyglądał głupio, ale dobrze się nadawał do chowania w ciemnościach. Gdy tylko rozbawiona grupa znikła za rogiem — dama miała ochotę przyjrzeć się z bliska sadzawce, a panowie, jak przystało na dżentelmenów, towarzyszyli jej w tym — Sara pobiegła dalej. Była naprzeciwko jednego z okien palarni, gdy usłyszała za sobą cichy dźwięk, poznała, że to szczęknęcie odciąganego kurka.

Wessex po kilku godzinach rozglądania po pokojach miał prawie pewność, że niebezpieczeństwo przyjdzie raczej spoza domu. Na Saint-Lazarre'a polowano już od wielu lat, a za jego głowę wyznaczono niewiarygodną cenę dziesięciu tysięcy złotych napoleonów, więc sam zdawał sobie sprawę, jak kuszący stanowi cel i dbał o to, by zawsze znajdować się w większej grupie ludzi. Dzięki temu Wessex mógł skoncentrować się na poszukiwaniu zabójcy.

Zbliżała się północ. Księżyc w pełni świecił wysoko, zmieniając kolor nieba z czarnego na ciemnognatowy i kapiąc ogród w srebrnej, nieco upiornej poświacie. Chyba po raz tysięczny, tej nocy Wessex rozważał możliwość ewentualnej pomyłki de Morriseya. Kapitan mógł coś źle zrozumieć albo ktoś wprowadził go w błąd. Ale w jakim celu?

Talleyrand już wiedział, że w Grze Cienia ma godnych przeciwników. Czy poświęcałby tyle energii, by zneutralizować jednego z sekretnych agentów króla Henryka? Przecież nawet nie mógł wiedzieć, kogo tu przyślą. Nie, lepiej zakładać, że informacja de Morriseya jest prawdziwa.

Teraz pozostawało tylko znaleźć człowieka, który przybył tu zabić Saint-Lazarre'a.

Wessex stał na długim tarasie, biegnącym wzdłuż całego skrzydła dworu. Saint-Lazarre był w jednym z pokoi za jego plecami. Diuk żałował, że nie zdążył przygotować sobie kostiumu identycznego ze strojem planowanej ofiary. Potrząsnął niechętnie głową — nie warto się tym gryźć, tak już za późno. Lepiej skoncentrować się na tym, na co jeszcze za późno nie jest. Gdzie może być zabójca nasłany przez Talleyranda?

Sala balowa była tuż nad nim; przez jej otwarte okna Wessex słyszał wyraźnie grającą orkiestrę. Przy odsłoniętych oknach i płonących pochodniach ogród zalewała taka ilość światła, że całe Mooncoign zdawało się stać w płomieniach. Dobiegł go wesoły śmiech i stłumione okrzyki kobiety — ktoś był na tyle odważny, by zażywać drobnych rozkoszy w chłodną kwietniową noc. Wessex miał nadzieję, że to nie Kościuszko; jego partner miał się czaić właśnie z tamtej strony, uzbrojony w parę pistoletów, szablę i niezwykłą umiejętność łgania w razie potrzeby. Polski huzar był teraz jego jedynym wsparciem. Może i była

szaleństwem próba chronienia ofiary tylko we dwóch, ale przynajmniej mieli tę przewagę, że wiedzieli o zabójcy.

Rozglądając się po ogrodzie Wessex dostrzegł nagle ruch między krzewami. Ktoś, kto tam był, poruszał się zdecydowanie za szybko jak na jednego z rozbawionych gości. Nie namyślając się ani chwili Wessex cisnął w krzaki swój rzymski hełm i pognął w tamtym kierunku. Jego długi płaszcz falował za nim w powietrzu jak skrzydła wielkiego nietoperza, ale trwało to krótko, bo zaczepił się o jakiś krzew i zerwał z cichym odgłosem prutego materiału. Pokryta rosą trawa była niebezpiecznie śliska i Wessex dziękował losowi, że jego przebranie umożliwiło mu włożenie wysokich butów do konnej jazdy. Wśród donic z ozdobnymi roślinami stracił na moment orientację i źle skręcając trafił w ślepy zaułek. Rozejrzał się wokół, nie widząc śladu ściganej postaci... ale zorientował się przynajmniej, któredy mogła pójść.

Stąpając ostrożnie pomiędzy zaścielającymi ziemię nasionami, aby ich trzask pod butem nie zdradził przedwcześnie jego obecności, Wessex skradał się do swojej ofiary, powoli wysuwając pistolet ze schowka pod napierśnikiem.

Pistolety to dość niepewne urządzenie i Wessex niespecjalnie lubił nosić pod ubraniem podszypaną i nabitą broń. Równie dobrze mógłby mieć tam armatnią kulę. Dzisiaj jednak nie miał wyboru i musiał przygotować broń przed włożeniem kostiumu. Cichy trzask odciąganej kurki wydał mu się przeraźliwie głośny. Jeśli zabezpieczenie zawiodło, to pistolet zaraz wypali, może mieć niezbyt przyjemne skutki.

Widział przed sobą szczupłą postać stojącą bez ruchu w blasku księżyca. Natychmiast też ją poznał — to Sara, markiza Roxbury.

Pamięć ostatnio ją zawodziła, ale ten dźwięk — odwodzonej go kurka — Sara Cunningham знаła doskonale i całe jej ciało zareagowało odruchowo. Zastygła w bezruchu.

— Jeszcze moment, *mam'selle*, bez ruchu, a zaraz nie niepokoić dłużej — usłyszała głos z dziwnym akcentem; chrapliwa wymowa zupełnie nie przypominała języka, jakim przemawiał kulturalny Saint-Lazarre.

Sara spojrzała w stronę domu i ku swojemu przerażeniu dostrzegła tego ostatniego stojącego w drzwiach prowadzących z palarni na taras, dokładnie oświetlonego blaskiem świec. Jasny, błękitno-biały kostium czynił go wręcz idealnym celem. Za moment wraz z towarzyszącymi mu ludźmi wyjdzie na taras... a wtedy zabójca strzeli.

— Proszę tego nie robić — powiedziała zdesperowana Sara. Gdzie się podziewa Wessex?

— Nie martw nic, *mam'selle* — odparł zabójca. — To nie na twoje klejnoty ani cześć nastawam. Moment jeden i odejdę z twego życia.

— Nie możesz zabić niewinnego człowieka — jęknęła Sara. Zdawała sobie sprawę, że mówi bzdury. Oczywiście, że mógł zabić Saint-Lazarre'a. Niewinni ludzie umierali każdego dnia.

— Ale muszę — odparł po prostu zabójca. — Zapłacone. I muszę też spytać, jak to ty wiesz tak wiele o mnie, ha?

Saint-Lazarre zawahał się. Jeszcze nie wyszedł z cienia, więc nie byłby to najczystszy strzał, ale zabójca najwyraźniej nie dbał o to. Podszedł do Sary i położył jej na ramieniu ciężką dłoń.

— Masz ty mi powiedzieć — zażądał.

Sara mogła teraz przyjrzeć mu się lepiej. Był niechlujny i nieogolony; nosił mocno zniszczone ubranie, a włosy miał brudne i rozczochrane. Najważniejsze było jednak to, że w prawej ręce trzymał połyskujący w blasku księżyca sztucer Bakera. Ta broń, marzenie wielu strzelców, była niezwykle groźna dla potencjalnych ofiar i chociaż mocno kopała przy odrzucie, miała zasięg trzykrotnie większy niż standardowe muszkiety armii. Jeśli ten człowiek wiedział, jak jej używać, nie mógł chybić.

— Ty i Gambit, *ma chère belle*, muszą pogadać.

Wciąż uśmiechnięty, przytknął kolbę do ramienia patrząc w oczy Sary. Za moment strzeli. Sara już chciała podjąć desperacką próbę i przeszkodzić mu w tym, ale ktoś inny był szybszy.

— Nie mam takiej wprawy jak ty, ale z pistoletu trafiam w asa pik na dziesięć metrów, a ty jesteś bliżej. — Słowom Wessexa towarzyszył szcęk broni.

Mimo to zabójca spróbował strzelić. Koło głowy Sary huknęło coś przeraźliwie głośno. Nie miał jednak czasu wymierzyć i kula poszła bokiem. Sara w tym momencie chwyciła za jego sztucer i... poleciała z nim na plecy, bo szarpnąwszy nie napotkała żadnego oporu. Doświadczony strzelec mógłby odpalić z tego sztucera ze trzy razy na minutę, ale zabójca i tak nie miał czasu, by go przeładować, więc broń była teraz bezużyteczna. Sara zerwała się na nogi i w tym momencie przebiegł koło niej Wessex — nierealna figura w szkarłacie i złocie. Pognął za znikającym w krzakach zabójcą. Zerknęła na taras, na którym nagle pojawiło się mnóstwo ludzi. Wszyscy wskazywali palcami na ogród i krzyczeli.

Sara odrzuciła sztucer i nie myśląc wiele przyłączyła się i pościgu.

Cała nadzieja w tym, że Kościuszko słyszał strzał. Wessex nie wiedział nawet, czy Saint-Lazarre jest ranny. Zabójca — Wessex słyszał, jak sam nazwał się Gambit — nie miał czasu, by wymierzyć, ale kule z muszkietu potrafią czasem płać brzydkie figle. Teraz jednak najważniejsze było wziąć go żywcem.

Błyskawicznie przebiegli przez ozdobną część ogrodu, oświetloną pochodniami, i wpadli w ciemność. Gambit wciąż uciekał, chociaż chyba musiał zdawać sobie sprawę, że złapią go nieuchronnie. Roxbury na pewno podniesie wrzask. Lokalny sędzia pokoju był jej gościem, więc teraz cała marchia konno i pieszo będzie polować na zabójcę! Gambit nie mógł uciec... chyba że miał w tej okolicy sojuszników, którzy go ukryją.

Wessex zaczynał tracić oddech, a Gambit śmigał między drzewami chyżo jak sama. Na szczęście dystans między nimi na razie się nie zwiększał. Wessex wciąż miał w rękach pistolety, ale w tej chwili na pewno strząsnął już z panewki cały proch i równie dobrze mógłby trzymać w ręku pałkę.

Pałkę!

Wessex przystanął na moment. Gambit oddalał się w szybkim tempie. Diuk chwycił pistolet za kolbę i cisnął nim przed siebie z całych sił. Pocisk trafił uciekającego pomiędzy łopatki posyłając go na kolana.

Kiedy Gambit w chwilę później porwał się na nogi sięgając po nóż, zza potężnego dębu obok niego wysunął się jeździec. Wyglądał jak duch; zza głowy wystawały mu wielkie skrzydła, które otarłszy się o konary zachrzęściły jak kości szkieletu. Gambit wrzasnął przerażony. Illia Kościuszko zaś, nie tracąc ani chwili, przytknął mu do gardła ostrze szabli.

— Gdzie, u diabła, byłeś? — sapnął z wysiłkiem Wessex. Osunął się na kolana dysząc ciężko. Brzegi zbroi w tym przeklętym kostiumie centuriona boleśnie ocierały mu skórę.

— Szukałem jego konia — odparł Kościuszko wskazując wzrokiem mężczyznę leżącego obok kopyt wierzchowca. — Otóż i mamy towarzystwo! — dodał wesoło.

Wessex zerwał się na nogi i odwrócił, ale zobaczył tylko Sarę, która biegła ku nim ze spódnicą uniesioną ponad kolana. Dostrzegłszy jeźdźca opuściła ją do bardziej stosownej wysokości. Jej kostium także nieco ucierpiał w tej gonitwie — perły i pióra z włosów gdzieś przepadły, tak samo jak wachlarz i jeden z pantofli.

— A co ty tutaj robisz? — zapytał obcesowo Wessex.

— Ja tu mieszkam! — odparła równie nieuprzejmie Sara. — A ten człowiek próbował zastrzelić jednego z moich gości!

— Zostawmy go jej! — zaproponował Kościuszko.

Usta Wessexa drgnęły lekko. Sytuacja była dość niezwykła, a ta absurdalna uwaga tylko go rozbawiła. Zerknął na Gambita. Ten zdawał się brać poważnie wybuch gniewu markizy.

— Kto wie? — odparł Wessex naśladowując ton Kościuszki. — Znajdziemy tu chyba jakąś linę, a potem sąd na pewno to uprawomocni.

— O nie, kapitan. Nie zrobi tego dla Gambit — powiedział przestraszony zabójca.

Żrenice Wessexa zwięzły się. Tylko w pewnych kręgach był znany jak kapitan Dyer. Czy Gambit użył tego tytułu przypadkowo, czy może jednak to on był prawdziwym celem tej pułapki?

— A ty kim jesteś? — spytała Sara, patrząc na fantazyjnie odzianą postać na końskim grzbiecie.

Kościuszko ściągnął czako i schylił się prawie do strzemienia w pełnym uszanowania pokłonie, jakby właśnie przedstawiono ich sobie na dworze.

— Illia Kościuszko, *madame*. W każdej chwili do usług. Uśmiechnął się przy tym szeroko. Ku cichej uldze Wessexa |

Sara również odpowiedziała uśmiechem.

Kościuszko wyprostował się, schował szablę i zeskoczył z konia, po to tylko, by zabrać się za związanie rąk niedoszedłego zabójcy. Oczy Gambita błyszczały gniewem, ale nie odważył się zaprotestować.

— Kościuszko jest moim przyjacielem — dodał Wessex. — Nieszkodliwym, mogę zapewnić.

Sara skrzywiła się niechętnie i spojrzała w stronę domu. W oddali wciąż brzmiała cicho muzyka, ale słyszeli też coraz wyraźniejsze głosy zbliżających się ludzi. Widać najodważniejsi z gości podjęli poszukiwania tajemniczego strzelca i teraz tylko kwestią czasu było, aż zjawią się tutaj.

— Musimy go stąd zabrać — powiedziała.

— Jest to też naszym największym pragnieniem — odparł Wessex.

— Jego koń stoi niedaleko w zaroślach — poinformował Kościuszko. — Nie jest to Hirondeł, ale powinien dać radę ponieść was obu.

— Dobrze.

Kościuszko rzucił Wessexowi zwinięty w toboł płaszcz, który miał przytroczony z tyłu siodła. Diuk narzucił go na siebie, zakrywając swój błyszczący kostium. Dość brutalnie pchnął przed sobą Gambita, Kościuszko zaś wskoczył z powrotem na swojego wierzchowca. W chwilę później trzy postacie rozplynęły się w ciemnościach, jakby były tylko sennym przywidzeniem.

Cudownie, pomyślała zirytowana Sara patrząc za nimi. Miała mieszane uczucia. Pochwycenie niedoszedłego mordercy Saint-Lazarre'a było ważne, to prawda. Ale czy Wessex naprawdę musiał przez cały czas traktować ją, jakby była tylko irytującym obciążeniem, którego należy się pozbyć tak szybko, jak to możliwe? Przecież gdyby nie ona, zabójca odniósłby sukces, a Saint-Lazarre byłby martwy...

Kiedy w zamyśleniu patrzyła na stary dąb, nagle zdała sobie sprawę, że nie jest sama. Ktoś stał przed nią, opierając się plecami o pień drzewa. Ponieważ pojawił się tak nagle, uznała, że był tu już od jakiegoś czasu, tylko po prostu umknął jej uwadze. Przez moment próbowała przekonać samą siebie, że nieznajomy jest jednym z jej gości... ale musiała pogodzić się z tym, co widziały jej oczy.

Istota była mała jak dziecko. Sara, sama niezbyt wysoka, przewyższała nieznajomego o głowę. Miał na sobie coś w rodzaju tuniki z sarniej skóry; ciemną skórę pokrywały cętki, lśniąca zupełnie jak światło księżyca, przebijające spomiędzy drzew. Jasnym blaskiem świecił naszyjnik z czystego złota i zdobiące go bursztyny, które kształtem przypominały żółędzie. W długie włosy nieznajomy powplatał liście, co dodatkowo pomagało mu wtopić się w otoczenie.

Był bosy i jeśli Sara dobrze widziała, nie miał broni. Wystarczyło jednak spojrzenie niesamowitych oczu, by obudzić w niej strach. Były jasne jak toń wodna, w której odbija się księżyc. Pod tym wzrokiem Sara nie była zdołała wykonać najmniejszego ruchu.

— Sara... — Głos obcej istoty był jak wiatr poruszający liśćmi drzew. — Nie należysz do tego miejsca. Po co tu przybyłaś?

Sara nie mogłaby odpowiedzieć na to pytanie, nawet gdyby była w stanie wydać z siebie głos. Nagle poczuła z całą wyrazistością, że nie ma nic wspólnego z Mooncoign. Ale jeśli nie przynależy tutaj, to gdzie?

Wciąż jeszcze szukała odpowiedzi, gdy nieznajomy podszedł bliżej i dotknął chłodnym palcem jej czoła. Mimo zimnego kwietniowego wietrzyku czuła wyraźnie dochodzącą od niego dziwną roślinną woń... gorzką i słodką zarazem.

— Przyzwana, by zająć miejsce tej, która już nie może nam pomóc — zdecydował. — Przyszłaś na jej miejsce, by pomóc tej ziemi, ale nie przyniesie ci to niczego dobrego, jeśli naprawdę nie zwiążesz się z jej przeznaczeniem. Strzeż się, pani na Mooncoign!

Te słowa napełniły jej umysł tysiącem pytań. Gdy nabrała powietrza, by je zadać, nagle ogarnęło ją dziwne uczucie, jakby właśnie wyrwano ją ze snu. A przecież przez cały ten czas zachowała pełną świadomość...

Dziwna istota znikła.

Magiczny Lud... słyszała już o nim dzisiejszego wieczoru, ale wtedy wydało jej się to takie nieprawdopodobne. Czy to był właśnie jeden z nich? A jeśli tak, to dlaczego jej się objawił?

„Nie należysz do tego miejsca” — powiedział.

Sarę ogarnęła przerażająca pewność, że miał rację.

## 8. FARBOWANA LISICA

### KORNWALIA, KWIECIEŃ 1805

W innej części Anglii, kilka godzin wcześniej, zanim diuk Wessex złapał zabójcę, a markiza Roxbury przeżyła niezwykle spo tkanie, odbywała się również ważna rozmowa. Przynajmniej ważna dla jednej ze stron biorących w niej udział. Druga strona; zdawała się nie przywiązywać do tego żadnej wagi.

— Posłuchaj, dziewczyno... — Earl Ripon zorientował się, że mówi za ostro, i spróbował przybrać łagodniejszy ton.

Richard Highclere był siedemnastym w prostej linii earlem Ripon. Przejął ten zaszczytny tytuł wraz z majątkiem jakieś dwa lata temu, po śmierci na polowaniu starszego, owdowiałego brata Guilforda. Zmarła wcześniej żona Guilforda wydała na świat jedno tylko dziecko — córkę. Dzięki temu Richard mógł nagle zająć tak wysoko. Należało przypuszczać, że to dziecko, które nieświadomie przyczyniło się do jego wyniesienia, zostanie otoczone troskliwą miłością i opieką.

Stało się inaczej.

Nowy earl Ripon, doszedłszy do tego miejsca, zapragnął dojść i jeszcze wyżej. Byłoby to możliwe, gdyby udało się zaaranżować odpowiednie małżeństwo.

— Meriel... — zaczął miękko.

Podobnie jak ojciec i starszy brat, Ripon był ciemnowłosy, a jego grube rysy, przywodziły na myśl psa mastiffa. Ożenił się zgodnie z życzeniem rodziny dwanaście lat temu, ale nie miał dzieci. Dziewczyna, do której teraz przemawiał, była w dalszym ciągu jedyną szansą na lepszą przyszłość rodziny.

Meriel Jehanne Greye Bulleyn Highclere skierowała na wuja i opiekuna łagodne spojrzenie błękitnych oczu. Miała siedemnaście lat i była idealną kopią zmarłej matki. Chociaż jej ojciec spoczywał w grobie już od ponad dwóch lat, Meriel wciąż nosiła żałobną czerń, bardziej jednak z powodu zupełnej obojętności wuja na jej stroje, niż z potrzeby serca.

— Dziecko, nie przejmuj się tym tak bardzo. Polubisz Londyn... i na pewno polubisz Jakuba. Wasz związek stanie się głośny...

— A dla twojego wuja oznacza to nowe stroje, pochlebstwa i pozycję na dworze — odezwał się za jego plecami drwiący głos.

Rodzina Highclere była liczna. Obecny earl miał jeszcze czterech braci — dwaj służyli w armii na półwyspie, najmłodszy wstąpił do zakonu na północy Anglii. Czwarty brat, następny pod względem wieku po earlu, stał właśnie w drzwiach komnaty.

Chociaż miał na sobie strój do konnej jazdy, Geoffrey Highclere wyglądał, jakby właśnie opuścił witrynę najlepszego krawca na Bond Street. Wytworny czarno-biały komplet ożywiała tylko ciemnoczerwona kamizelka. Mimo znudzonej miny i niedbałej pozy, musiał być zdenerwowany lub zniecierpliwiony; nerwowo stukał szpicrutą o srebrnej rękojęści o brzeg wysokiego buta.

Geoffrey był tak jasny, jak Ripon ciemny, a życie spędzał głównie na hazardzie i robieniu olbrzymich długów u każdego kupca, który był na tyle głupi, by udzielić mu kredytu. Mimo ustawicznych napomnień starszego brata, uważającego, że służba w armii byłaby najlepszym sposobem na zdobycie wyższej pozycji i spłatę długów, Geoffrey nie przejawiał w tym kierunku najmniejszych zainteresowań... i wciąż jednak zdobywał skądś pieniądze.

Właśnie ze względu na jego finansowe talenty earl Ripon zdecydował się wtajemniczyć brata w swoje plany, gdy wreszcie zaczęły one wychodzić ze sfery marzeń. Spisek potrzebował spiskowców, a Geoffrey Highclere miał pewien wpływ na księcia Jakuba.

— Geoffrey — powitał Ripon młodszego brata, który pochylił się w drwiącym ukłonie.

— Myślałem, że dwór udał się do Londynu.

— Dwór tak. Ale młody książę pozostał w Szkocji. Z jakichś Powodów nie jest zadowolony ze swoich duńskich zaręczyn. — Geoffrey wzruszył ramionami podkreślając swój brak zainteresowania problemami księcia. — Jeszcze mniej cieszy go, że małżeństwo planowane jest na jesień. A jak się ma nasza mała Madonna?

— Nie bluźnij — powiedział odruchowo Ripon i dodał w myśleniu: — Nie sądziłem, że ślub odbędzie się tak szybko.

— Nasz zwycięski król potrzebuje duńskich portów dla swojej floty i duńskich wojsk w polu. Nie wspominając już o duńskiej matce dla dziedzica tronu... chociaż jeśli chodzi o to os nie, i tak pozostało jeszcze sporo protestanckich domów...

— Heretyckich domów — poprawił Ripon i wyrecytował: Potomków pogan, odstępców i szatana.

— ... chociaż król nie ma zamiaru połączyć się drugi raz w pokoleniu z domem niemieckim — zakończył Geoffrey. — Tak więc, jeśli traktat... a raczej jeśli małżeństwo ma dojść do skutku, należy się z nim spieszyć, zanim Bonaparte ponownie zmieni mapę Europy.

Wszedł do pokoju ściągając czarne rękawice. Nie pytając brata, podszedł do stojącego pod oknem stołu i nalał sobie szklankę whisky ze stojącej tam butelki. Zimny, metaliczny blask wiosennego słońca Konwalii oblał jego twarz, nadając mu iście diabelski wygląd.

— W każdym razie skoro Jakub jest w Holyrood, mnie także tam znajdziesz. Przynajmniej dopóki nie zdecyduje się zaszczycić swoją obecnością Buck House. Nie jesteśmy niestety na tyle zaprzyjaźnieni, abym mógł kierować jego krokami. Bardziej słucha uwag tego przeklętego lokaja Brumella — dodał Geoffrey.

— Będziesz musiał się mocno postarać, aby wkraść się w jego łaski — powiedział cicho Ripon.

Mówił do Geoffreya, ale bezwiednie skierował wzrok na siostrzenicę.

Był rok tysiąc osiemset piąty, ale pamięć o wielkich i dawnych czasach pozostawała wciąż żywa...

Ci, którzy nie zmienili religii po zaprzaństwie króla Henryka VIII, byli w mniejszości w dość tolerancyjnym królestwie, jakie stworzył po Restauracji Karol II. Tak, Anglia była tolerancyjna, ale przede wszystkim protestancka, a potęga katolickich lordów, której szczyt przypadał na czasy Krwawej Marii, należała już do przeszłości.

— Książę Jakub nie ma zbyt silnej woli — powiedział Ripon patrząc na Meriel. — Łatwo nim pokierować...

— Skoro tak twierdzisz, bracie... — wymamrotał Geoffrey do szklanki.

Ignorując obecność brata Ripon kontynuował przemowę do milczącej siostrzenicy:

— A kiedy książę poślubi już swoją małżonkę, ona na pewno się postara wyeliminować z dworu niepożądane wpływy i przywrócić Anglię starej religii Świętej Matki Kościoła.

Meriel starała się wytrzymać wzrok wuja Richarda, ale szybko opuściła oczy na splecione dłonie. Wiedziała, że wuj przygotowuje coś niezwykłego — w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy zachowywał się co najmniej dziwnie. Ale nigdy, przenigdy nie przypuszczała, że stanie się przynętą w intrydze takich rozmiarów! Highclere'owie zawsze byli nietolerancyjni dla wyznawców Nowej Wiary, jak kiedyś nazywano protestantów. Meriel nauczono pogardy dla pogan i heretyków w sposób tak samo oczywisty jak łaciny, greki i katechizmu.

Ale za poprzedniego earla rozumiano tę wrogość jak sprawę prywatną i nie obnoszono się z nią w miejscach publicznych. W tamtych czasach Meriel poślubiłaby po prostu członka jednego z katolickich rodów angielskich; spędzałaby życie opiekując się dziećmi i czytając książki.

Ale kiedy jej ojciec umarł, a wuj Richard stał się earlem Ripon i głową rodziny, okazało się, że nie potrafi — tak jak brat — pogodzić się ze zmierzchem rodu. Nagle uroda Meriel —

którą wcześniej nauczono ją ignorować, bo samouwielbienie było poważnym grzechem — stała się niezwykle istotnym atutem: miała posłużyć do wciągnięcia w pułapkę księcia Jakuba.

— Nie zawiedziesz mnie, dziecko, prawda? — nalegał Ripon. — Kiedy na twoim palcu znajdzie się królewski pierścień, zakończymy tę bezsensowną wojnę z Francją. Król jest stary, a jego syn to nieodpowiedzialny smarkacz i zamiast niego dojdą do władzy lepsi. Katolicka Anglia nie będzie zagrożeniem dla imperialnej Francji, ale jej naturalnym sojusznikiem...

— Jeszcze ktoś pomyśli, że ona rozumie, o czym mówisz. Naprawdę aż tak bardzo brak ci słuchaczy, bracie? — zadrwił Geoffrey. — Równie dobrze można przemawiać do dziewczyny, jak do papugi. Ona w ogóle nie pojmuje twoich planów. Prawda, dziecko? — zapytał słodko.

— Tak, wuju Geoffrey — wyszeptała Meriel.

— Ale i tak wykonasz swoje zadanie — skwitował Ripon. — Jeśli mam cię zabrać do Londynu i postawić na drodze księcia, muszę być pewien, że przez twoje tchórzostwo nie legną w gruzach plany, nad którymi pracowałem od tylu lat.

— Och, zrobi, co jej się kaze — powiedział Geoffrey odwracając się od okna i uderzając znacząco szpicrutą o but.

Spojrzał jeszcze raz na siostrzenicę i uśmiechnął się.

— Osobiście tego dopilnuję.

Wiosną tylko głupiec podróżowałby angielskimi drogami licząc na to, że gdziekolwiek uda mu się dotrzeć. Nawet bowiem główne trakty składały się wyłącznie z głazów, na których łatwo było złamać oś, i błota, w którym tonęły konie. Przejazd czegokolwiek większego niż jeździec stanowił olbrzymi problem.

Było to jednak możliwe, jeśli miało się dość cierpliwości, dobrze zaplanowało wyprawę i dysponowało się wieloma dobrymi, ciężkimi powozami.

Jocasta Sybella Honoria Masham Dyer Dowager księżna Wessex, babka obecnego diuka, nie była specjalnie zainteresowana pięknem angielskiego krajobrazu. Kiedy jej syn Andrew jeszcze żył, zносиła życie na wsi ze względu na niego, ale odkąd zaginął we Francji trzynaście lat temu, zamknęła dwór w Wessex i zaczęła dzielić czas pomiędzy Londyn a Bath.

Wieloletnia praktyka pozwalała Dowager dokładnie określić najwcześniejszą porę wiosny, kiedy drogi mogły być już przejezdne. Gdy tylko jej powiernica wróciła z wyprawy do Wiltshire, jej miłość księżna Wessex zdecydowała się wyruszyć do Londynu.

Po tygodniu trudnej podróży znalazła się w rodzinnym, ciasnym wiekowym domu przy Knighttrider Street, stojącym w cieniu katedry św. Pawła, prawie na brzegu Tamizy.

Chociaż nad głównymi drzwiami budynku spatynowana srebrna tabliczka nosiła napis „Tenebrae”, prawdziwą nazwą domu było „Dyer House” — bo też należał on do rodziny Dyer znacznie wcześniej niż księstwo. W ciągu tych wszystkich lat najmodniejsze adresy miasta nieco się zmieniły — Dyer House stał teraz niemal pośrodku City, a bardzo daleko od Oxford Street i zachodnich nowych dzielnic miasta pomiędzy Tyburn a Soho, tak teraz modnych w towarzystwie. Jednak Dyer House należał do rodziny od niepamiętnych czasów, a w tym rodzie równie powoli zmieniało się adresy, jak i zwyczaje. Zaginiony diuk — ojciec Wessex, Andrew — miał tyle szczęścia w interesach, że teraz do jego syna należała większa część Piccadilly, mimo to Dowager nie zdecydowała się na szaleństwo przenoszenia rezydencji do nowych, przestronniejszych i modniejszych dzielnic. Chociaż do maja wciąż brakowało kilku dni, ściągnięto holenderskie nakrycia z antycznych mebli, a na drzwiach powieszono wypolerowaną kołatkę — Dowager księżna Wessex oficjalnie zawitała do swej rezydencji.

— Gdzie jest chłopiec? — zapytała Dowager swoją towarzyszkę.



Dame Alecto Kennet uśmiechnęła się czule do swojej pani.

Była jej oczami i uszami od czasu, gdy jej miłość wycofała się oficjalnie ze świata. Wykonywała też dla niej wszelkie zadania, na które Dowager nie pozwalała jej wysoka pozycja. Była przyzwyczajona do zmiennych nastrojów starej damy.

— Jestem pewna, że zjawi się tu, gdy tylko uzna za stosowne — odparła miękko. — Musi przecież wpaść do swojego oddziału gwardii, a także złożyć wizytę tym dżentelmenom, o których istnieniu jego zdaniem nie masz pojęcia.

Dowager księżna Wessex roześmiała się chrapliwie.

— Kiedy zacznie składać wizyty w koszarach i w Białej Wieży, to nie wiem, czy w ogóle go zobaczę przed końcem sezonu. Mimo wszystko musimy grać w naszą grę najlepiej, jak potrafimy. Dobrze też byłoby powiadomić go o naszych planach. Alecto, spędzałaś trochę czasu z tą dziewczyną. Nada się?

— Nie mogłam niestety przebywać z nią tak długo, jak bym chciała — odparła powoli dame Alecto zbierając myśli. — Kiedy przybył Wessex, wolałam, żeby mnie nie widział. Dziwiłby się zapewne, co tam robię.

— Tak, to musiałyby skończyć się jakimś dochodzeniem — zgodziła się sucho Dowager. — Mój wnuk zadaje zbyt wiele pytań. Chyba się zresztą od tego nie wymigamy, gdy wypłynie w rozmowie kwestia twoich odwiedzin...

— ...albo gdy doktor Falconer da upust swoim podejrzeniom co do niezwykłego uzdrowienia lady Roxbury. Ten człowiek był tam wtedy i wiedział, że ona umiera — powiedziała dame Alecto. — A teraz Falconer podejrzewa, że Roxbury zawarła jakiś nieczysty pakt, żeby ocalić życie.

— Jak zrobiliby to każdy, gdyby miał odpowiednie kontakty — dodała Dowager. — Doktor Falconer nie może jednak nas zdradzić, bo nie dowie się prawdy: że ta Roxbury, którą znał, umarła.

Dowager westchnęła i odsunęła list, który kończyła pisać na małym sekretarzyku w chińskim stylu, stojącym w jednym z rogów pokoju. Dowager lubiła gromadzić takie przedmioty; pokój był zatłoczony różnymi pamiątkami z jej egzotycznych podróży.

— Biedne dziecko. Była moją chrześnicą, ale muszę przyznać, że niewiele dla niej zrobiłam. Ale nie czas rozpaczać teraz nad tym, czego i tak nie możemy zmienić — dodała szybko. — Potrzebna jest markiza Roxbury i Anglia będzie ją miała, wszystko jedno jakim sposobem.

— Sądzę, że to tylko kwestia czasu, aby dziewczyna zapomniała o swoim poprzednim życiu i świecie, z którego ją zabraliśmy — powiedziała powoli dame Alecto. — Kordiał, który jej zostawiłam, będzie wypierał dawne wspomnienia. Jednocześnie codziennie będą jej wtłaczać do głowy szczegóły z życia lady Roxbury. Wkrótce pozna je tak dobrze, jakby to było jej własne życie.

— Będzie też miała Wessex, żeby kontynuować ród — dokończyła Dowager. Chociaż twarz miała spokojną, w głosie zadrgała przy tych słowach nutka niepokoju. — Nie może mi się w tym sprzeciwić. Nasze rodziny zaplanowały to małżeństwo już w dniu, kiedy dziewczyna się urodziła. Conynghamowie zawsze byli blisko związani ze Stuartami, a król Henryk będzie potrzebował poparcia Roxbury, gdy przybędzie tu księżniczka Stefania. Zechce, by Roxbury pomogła znaleźć Stefanii miejsce w towarzystwie, a markiza nie może być przecież jej opiekunką, jeśli sama nie zostanie mężatką.

— A więc diuk Wessex musi poślubić swoją Sarę, i to szybko — zakończyła dame Alecto. — Módlmy się, żeby Najstarszy Lud wybaczył nam zamianę jednej markizy na inną.

— Muszą — odparła Dowager księżna Wessex. — Nie mamy wyboru. Nie, jeśli chcemy ocalić tron.

Słońce powinno mieć nieco litości nad biednym człowiekiem, pomyślał rozespany Wessex, i nie wschodzić tak wcześnie.

Mimo jego blasku zdołałby zapewne ponownie zapaść w ramiona Morfeusza, gdyby nie to, że Atheling wybrał ten właśnie moment, by dyskretnie przypomnieć o swojej obecności i gotowości do świadczenia usług.

Atheling był najważniejszym w hierarchii i najstarszym ze służących Wessexa. Utrzymywał wzorowy porządek w pokojach diuka, a prócz tego dbał, by jego garderoba zawsze pasowała doskonale do każdej okazji, od obiadu na królewskim dworze do nocnej eskapady po dachach Starego Miasta. Dodatkiem do jego niezwykłych umiejętności była cenna i rzadka cecha: brak ciekawości. Wykonywał też te swoje obowiązki, które nie były miłe jego panu. Wchodząc teraz do pokoju i widząc diuka przekręcającego się na drugi bok w pościeli, odkasznął znacząco.

Pod grubym przykryciem coś poruszyło się niemrawo. Zachęcony tym sukcesem Atheling poddał się dalszym zabiegom przeczyszczania gardła.

— Już dobrze, Atheling — wymamrotał przytłumiony głos z głębi pościeli. — Obudziłem się.

Rozległo się trzeszczenie łoża i jego miłość ukazał się światu.

To była jednak długa i męcząca noc. Wrócili do Londynu razem z Kościuszką i zabójcą o pseudonimie Gambit, który, jak okazało się po odpowiednim przesłuchaniu, nazywał się Charles Corday. Urodził się we francuskiej Luizjanie i mimo swojego obskurnego wyglądu był wysoko postawionym agentem w służbie Talleyranda. Przyjaciele pozostawili Cordaya w pewnych rękach Misbourne'a, a sami postanowili uczcić sukces — po ostatnich tygodniach, spędzonych głównie w piwnicach i rowach, wiele miejskich atrakcji kusilo diuka z nieprzepartą siłą.

Wessex przesunął ręką po włosach porządkując je na tyle, by fryzurę można było uznać za zgodną z obecną modą. Spojrzał zamglonym wzrokiem na swoją nocną koszulę, jakby starając sobie przypomnieć, przy jakiej okazji zakładał taki strój, a potem zwrócił baczniejszą uwagę na obecność lokaja i popatrzył na niego pełnym wyrzutu wzrokiem.

— Wasza miłość życzy sobie na śniadanie herbatę czy czekoladę? — spytał słodko Atheling.

— Moja miłość życzy sobie usłyszeć wyjaśnienie, co cię upoważniło, mój drogi Athelingu, do urzędzenia pobudki przed drugą po południu! — Nagle Wessexowi przyszło do głowy dość niemiłe wyjaśnienie tego faktu. — Nie byłem chyba z nikim umówiony na dzisiaj, zwłaszcza rano?

— W rzeczy samej, wasza miłość. Tak jak wasza miłość mi polecił, mam nie pozwalać waszej miłości na prowadzenie działalności towarzyskiej przed późnym popołudniem. Przygotuję teraz gorącą wodę do golenia... a wasza miłość powinien przejrzeć przed śniadaniem poranną pocztę.

Teraz, kiedy osiągnął już swój cel, Atheling wycofał się z sypialni. Diuk zaś poczuł niezwykłą ciekawość, która spowodowała, że się zupełnie obudził.

Co takiego mogło przyjść w poczcie, co spowodowało to amatorskie przedstawienie w wykonaniu Athelinga? — zastanawiał się Wessex.

Zanim zdążył dojść do jakichkolwiek wniosków, Atheling ponownie pojawił się w pokoju. Niósł miednicę i dzban z gorącą wodą, a pod pachą trzymał pudełko z brzytwami diuka. Wessex sięgnął po przygotowany obok na krześle szlafrok i narzucił go. W lustrze, przez otwarte drzwi przebieralni, zauważył zniekształcone odbicie wysokiego blondyna z ponurą miną.

Atheling ustawił miednicę na zniszczonej dębowej komodzie, a obok umieścił dzban. Do małej miseczki wlał odrobinę wody i dorzucił kawałek mydła, a potem mieszał tak długo, aż

naczynie wypełniło się pianą. Kiedy uznał, że już wystarczy, wlał resztę gorącej wody do miednicy. Uniosły się kłęby pary, pokrywając także lustro.

— Jeśli wasza miłość pozwoli...

— Moja miłość nie pozwoli, Atheling, i dobrze o tym wiesz. — Wessex otworzył pudełko i wziął do ręki jedną z brzytw.

To, że diuk zawsze goli się sam, było stałą obrazą wrodzonego Athelinga poczucia smaku i przyzwoitości. Wszelkie prośby Athelinga w tej kwestii trafiały w próżnię, albo co najwyżej spotykały się z wyjaśnieniem diuka, że woli nie polegać wyłącznie na umiejętnościach Athelinga, bo w przypadku utraty służącego musiałby od tej pory pokazywać się na dworze nie ogolony. Ale Atheling nie wierzył w takie bzdury. Wierzył natomiast głęboko, że jego miłość jest dziwakiem, takim jak kiedyś jego ojciec. Z drugiej strony dzięki takim właśnie dziwactwom swojego pana Atheling mógł być dumny ze swojej pracy. Tylko bowiem najlepsi służący mogliby poradzić sobie z tak upartymi chlebobawcami.

Kiedy wreszcie Wessex zaprezentował światu ogolone oblicze, wkroczył do garderoby, gdzie czekał już na niego służący gotów do zrobienia z niego dżentelmena zgodnego z najnowszymi kanonami mody.

Porannej poczty na razie nie było widać. Wessex doskonale wiedział, że pojawi się wraz ze śniadaniem, i niech Bóg ma w swojej opiece człowieka, który chciałby zmienić ten porządek rzeczy, który Atheling uważał za jedyny właściwy. Niech więc tak będzie. Jego miłość zajął się przez ten czas szczegółami swojego stroju.

Zamierzając spędzić popołudnie na przejażdżce w Green Park, Wessex zaaprobował białe skórzane spodnie i ozdobione frędzlami, wysokie wiśniowe buty — luksusowy produkt zakładu Hoby'ego. Śnieżnobiałą koszulę, plisowaną i marszczoną, przykryła kremowożółta kamizelka z egipskiego lnu, ozdobiona pochodzącymi z Rosji guzikami, których szkarłat ładnie kontrastował z jasnym tłem. Przy krawacie diuk chwilę się zawahał, ale ponieważ preferował prosty styl, szybko znalazł taki, który zadowalał jego wymagania.

Atheling zerknął w stronę szafy z surdutami, ale Wessex powstrzymał go nieznacznym ruchem głowy. Najpierw należało dobrać drobiazgi. Diuk szybko wybrał odpowiedni zegarek, dewizkę, małą złotą spinkę do krawata — wszystkie te ozdoby ładnie uzupełniały strój. Na koniec wsunął na palec rodowy sygnet i zaniknął zdecydowanym ruchem szufladę. Z wyborem surduta w kolorze czerwonego wina Wessex nie zamarudził już długo, robiąc to niemal bez zastanowienia. Służba w armii sprawiła, że był mniej zasadniczy w kwestii doboru szczegółów stroju, co zaprzętało w dużym stopniu ludzi jego sfery.

Rzucił okiem na zdobiące pokój militaria i przez moment pomyślał tęsknie o tamtym świecie — mimo jego brudu, pcheł i odmrożeń...

Dyskretne chrząknięcie Athelinga przywołało go do rzeczywistości.

— A więc śniadanie — powiedział Wessex. — I nareszcie ta poranna poczta.

Jego miłość nie był specjalnym wielbicielem obfitych śniadań, ale i tak tym razem zapewne posiłek poczekałby aż do przejrzenia poczty. Tosty dopiero się opiekały; diuk zasiadł do stołu z dużym kubkiem gorzkiej czekolady i sięgnął niecierpliwie do srebrnej tacy na listy, czując się niemal jak ogar na tropie zwierzyny.

Leżący na samej górze list w iliowej kopercie, intensywnie pachnący fiołkami, Wessex cisnął w ogień kominka w ogóle go nie otwierając. Nie było takiej potrzeby — Ivah pisała jedynie wtedy, gdy potrzebowała pieniędzy, a Wessex uznał, że w wystarczającym stopniu finansuje wszelkie jej przyjemności. Wiadomo, że nie mógł wiązać się z kobietą należącą do własnej klasy, ale też istniały granice, do których mógł się poniżyć. Panna Archer zdawała się znacznie bystrzejsza niż wskazywałoby towarzystwo, w którym ją poznał. Wessex zastanowił

się chwilę i doszedł do wniosku, że pożegnalny prezent i wyjaśnienie, że nie będzie kontynuował tej znajomości, powinny tu wystarczyć.

Odłożył na razie ten temat i spojrzął na kolejne przesyłki.

Rachunki. Z Tattersall & Weston, od Aspreya i Talmadge'a — a więc krawiec, sprzedawca tytoniu i szewc. Wessex odłożył je na bok, by opłacić w wymaganym terminie. Jeśli chodzi o zobowiązania finansowe, zachowywał się zgoła niearystokratycznie i regulował je starannie i szybko. Będąc uczestnikiem Gry Cienia, narażał się na ciągłe ryzyko i nie chciał obciążać swojego obecnego spadkobiercy — mało rozgarniętego kuzyna, naukowca — własnymi długami.

Gdyby Wessex zmarł bezpotomnie, spadkobiercy z dalszej linii nie odziedziczyliby nie tylko długów, ale też tytułu diuka — ten tytuł przechodził wyłącznie w prostej linii. Natomiast tytuł earla Scathach dziedziczyły także boczne linie. Nowy earl Scathach odzłowałby zapewne Wessex, bo tytuł earla też był znaczny, a księstwo Scathach wielce zasobne. Siedzibą rodziny Scathach było Lemondhythe, położone na przepięknych wzgórzach Cheviot. Kuzyn–naukowiec, zgodnie z wolą diuka, już tam urzędował. Miał tam zresztą pozostać nawet wtedy, gdyby diuk jakimś niewiarygodnym zrządzeniem losu spłodził jednak legalnego potomka.

Wessex potrząsnął głową niezadowolony, że jego myśli błądzą w takim kierunku. Tak to bywa, gdy wstaje się za późno —człowiek cały dzień chodzi jak błędny. I jeszcze to nieoczekiwane spotkanie z dziewczyną, z którą bądź co bądź był zaręczony... szczęściem Roxbury miała taką samą ochotę na to małżeństwo jak i on.

Co więc w stosie tych papierów tak bardzo zaintrygowało Athelinga?

Wessex nerwowo rozrzucił resztę poczty. Zaproszenia na śmiertelnie nudne przyjęcia, dwa grube pakiety poczty dyplomatycznej...

Aha. O to chodzi. Z listu unosiła się woń pomarańczy. Tak samo zawsze pachniała jej odzież.

Nieczęsto do niego pisała ta niezwykła kobieta, która była mu od czasu śmierci matki najbliższą osobą. A kiedy zaczął się trudnić swoim obecnym zajęciem, listy przestały mieć sens. Ze względów bezpieczeństwa nie mógł przecież jej pisać, jak spędza czas, a z kolei sfery, w których ona się obracała, diukowi po dalekich wjazdach wydawały się po prostu niesamowicie nudne. Łączyła ich w dalszym ciągu szczególna więź, może dlatego, że nie rozdrabniali jej w codziennych, rutynowych kontaktach, woląc bardziej emocjonalne, choć rzadkie spotkania. Tak to już było od czasu, kiedy Hades pochłonął jego ojca i matkę.

Wessex zawahał się przez moment, zanim przeciął kopertę.

Dlaczego babka pisała do niego tutaj?

Nie był z nią w Bath podczas Bożego Narodzenia — spędzał je w zupełnie innym miejscu.

Nie mieli zwyczaju informować się nawzajem o swoich podróżach, ale chociaż list nie miał stempla poczty — co znaczyło, że nie przyszedł spoza Londynu — diuk wciąż był skłonny przypuszczać, że Dowager przebywa w Bath. Taki był zresztą jej stały i niezmienny zwyczaj podczas zimowych miesięcy. Ale w takiej sytuacji musiałaby wtedy przekazać komuś list, nie mając żadnej pewności, że dotrze on do adresata. Wessex przyjechał z Francji dopiero tydzień temu, a do swojej rezydencji zawitał wczoraj w nocy.

Interesujące. Na tyle interesujące, że Atheling miał prawo go obudzić.

Wessex rozerwał kopertę i przeczytał uważnie list babki. Zaciekawienie zamieniło się najpierw w absolutne zdumienie, a potem w przerażenie, kiedy raz i drugi przeczytał krótką wiadomość.

Dowager prosiła o jego obecność na herbacie w czwartek o wpół do trzeciej. Nie było żadnego wyjaśnienia przy tym zadziwiającym wezwaniu. Po prostu nie przewidujące sprzeciwu polecenie.

A czwartek, na który go zapraszała, był właśnie dzisiaj.

— Atheling! — zawołał. Na chwilę jego miłość opanowała ślepa panika. Zerwał się na równe nogi, porzucając wszelką myśl o śniadaniu.

Jego wierny sługa, który — ubrany w fartuszek i pochylony nad tostami — wypełniał najbardziej domowy ze swoich obowiązków, pojawił się w mgnieniu oka.

— Pomyliłem się — powiedział po prostu diuk. — Ten strój nie będzie odpowiedni. Dzisiaj nie przewiduję przejazdki.

Sara Conyngham lady Roxbury — czyli, jak napominała się często — pełnoprawna markiza — rozglądała się ze zdumieniem i rozbawieniem po garderobie w swoim londyńskim mieszkaniu. Każdy dostępny cal pomieszczenia był wypełniony kufkami, z których część, jak z zadowoleniem poinformowała ją służba, nie widziała światła dziennego od czasów babki Sary. Zdaje się, pomyślała z rezygnacją Sara, że niezbyt dokładnie poinformowała Knoyle o celu swej podróży. Pokojówka chyba myślała, że pakuje swoją panią na podróż do Timbaktu. Od czasu balu maskowego w Mooncoign minęły dopiero trzy dni, ale szczęściem to nie Sara musiała spakować zawartość całego domu, żeby przewieźć ją o pięćdziesiąt mil na pomoc. Coroczna podróż lady Roxbury do miasta była na głowie jej służby, a ta zajmowała się tym już od tygodni, posyłając partiami w drogę wszystkie te kufry, pudła, pudełka i paczki, odkąd tylko pozwalał na to stan dróg. Dlatego też w dzień po balu mogła zarządzić natychmiastowy wyjazd do Londynu i tak też uczyniła. Upewniła się przedtem, że ani Wessex, ani jego kompan Illia Kościuszko nie odstawili swojego więźnia do magistratu czy jakiegoś innego domu w okolicy. Podczas ciągnącej się trzy długie dni podróży przemyślała sprawę jeszcze raz. Nawet gdyby udało jej się spotkać z Wessexem, o co właściwie miała go zapytać? Gambit na pewno zdążył się już rozplątać się w Londynie, niezależnie od tego, co planował dla niego Wessex. A zresztą co właściwie Sarę obchodził jego los? Zastanawiało ją coś innego: dlaczego, chociaż nic nie czuła do Wessexa podczas ich dotychczasowych spotkań, miała teraz tak wielką ochotę, by znów go ujrzeć? Nie potrafiła sobie wytłumaczyć, dlaczego tak się działo. Skąd ta dziwna chęć przebywania w jego towarzystwie? Nie czuła przecież do niego pociągu jako do mężczyzny... a zresztą markiza Roxbury na pewno nie jeździłaby za żadnym mężczyzną, choćby nawet za diukiem Wessex!

Towarzyszące jej do tej pory poczucie zagubienia gdzieś się rozwiało, wyparte przez napięcie i strach w dniu balu, a potem przez zamieszanie związane z podróżą do miasta. Z każdym dniem czuła się pewniej i naturalniej w roli lady Roxbury i przestawały ją zadziwiać niezwykle luki w pamięci. Cokolwiek zapomniała, ktoś ze służby natychmiast jej przypominał... albo robił to któryś z gości. Każdy z nich wprost kończył za nią zaczęte zdania. A więc wszystko było w najlepszym porządku. Sara spojrzała w zamyśleniu na czubek buta wystający spod podróżnego ubrania.

Prosta i solidna szaroniebieska suknia z dobrego materiału w delikatny wzorek... oczywiście odpowiednia na podróż, ale nie nadająca się zupełnie do włożenia wśród oszołamiącego przepychu londyńskiego towarzystwa i na napuszonym dworze króla Henryka IX Stuarta.

Nie nadawała się nawet do prezentacji przed matką chrzestną. Wiadomość od tej ostatniej czekała już na Sarę, kiedy przybyła do Heriard House. Ten nowy, znacznie młodszy od wiekowego Mooncoign budynek stał w zachodniej części Piccadilly, zwrócony frontową ścianą z białego marmuru na Park Lane i Hyde Park. Z tyłu miał plac Grosvenor, a na północy, odległa zaledwie o kilka minut drogi, znajdowała się High Holborn — droga łącząca Londyn z Oxfordem. Z tego miejsca Sara miała na oku całe towarzystwo, a tym małym obszarem mogła rządzić w prawdziwie wielkopańskim stylu, pamiętając oczywiście, by nie izolować się zbyt od tych, którzy byli od niej znacznie potężniejsi. A Dowager — księżna Wessex — na pewno do nich należała. Chociaż matka chrzestna Sary wycofała się z

towarzystwa po śmierci syna, wciąż miała wielkie wpływy i gdyby zdecydowała się stanąć przeciwko Sarze...

Ale skąd te myśli? — skarciła się w duchu. Dowager jest przecież twoją matką chrzestną, zawsze ci sprzyjała. Czy to nie ona wysłała dame Alecto, kiedy twój powozik zderzył się z wozem pocztowym?

A wysłała?

Jednak te dodające otuchy rozważania nie odniosły skutku. Pamięć Sary znów okazała się frustrująco pusta. Markiza, zmęczona po podróży, bo jej powóz dopiero niedawno zjechał do Londynu, wzięła do ręki sztywny kremowy bilecik, który leżał na stole, i przeczytała go ponownie.

„Dowager księżna Wessex uprasza o łaskawe przybycie na herbatę w czwartek dwudziestego piątego kwietnia”.

Dzisiaj.

O umówionej godzinie Wessex wysiadł z wynajętego powozu i stanął w progu Dyer House. Jego miłość nie miał w Londynie własnego środka transportu, a przecież nie przeżyłby takiego wstydu, aby pokazać się na herbacie w domu babki w stroju do konnej jazdy.

Odźwierny, który otworzył mu drzwi, był stary i pomarszczony — postarzał się na długoletniej służbie u Dyerów. Gdyby to zależało od diuka, na pewno ktoś znacznie bardziej żwawy otwierałby drzwi rezydencji. Na razie jednak bez słowa podał Langleyowi swoją pelerynę i futrzaną czapkę, po czym, postukując laseczką z bursztynową rączką, wszedł po schodach na pierwsze piętro.

W domu Dyerów było mroczno nawet w środku dnia, toteż dopiero po chwili diuk dojrzał, że oprócz dame Alecto, ktoś jeszcze siedzi przy Dowager. Kobieta...

Potem rozpoznał gościa babki i tylko dzięki długim latom pracy nad opanowywaniem odruchów zdołał zachować nie zmieniony wyraz twarzy.

— Babciu... pani... — powiedział Wessex kłaniając się uprzejmie obu damom.

Sara natomiast najwyraźniej nie starała się ukrywać swoich uczuć, bo patrzyła na przybyłego z prawdziwym przerażeniem.

— Ach — westchnęła Dowager — więc jesteś nareszcie, Wessex. Zdążyłeś już poznać lady Roxbury, prawda? Ależ oczywiście, co ja mówię, w końcu jesteście zaręczeni... ile to już lat? — Dowager zawiesiła głos, ale ani Wessex, ani lady Roxbury nie udzielił jej odpowiedzi.

— No, siadaj wreszcie, Wessex. Zadzwoń po Langleya, aby przyniósł nam herbatę — uśmiechnęła się Dowager.

Sara nie mogła się powstrzymać przed zerkaniem na dame Alecto, która siedziała skromnie na rogu kanapy Dowager. Ale dame Alecto potrafiła doskonale ukrywać swoje uczucia i Sara chcąc nie chcąc musiała dalej prowadzić rozmowę.

— Jestem pewna, że czeka nas rok pełen wrażeń — mówiła Dowager z przekonaniem. — Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę bliski już ślub na królewskim dworze.

— Księżniczka Stefania powinna przyplłynąć tu za jakiś miesiąc — zgodził się chłodnym tonem Wessex. — Jestem pewien, że wyląduje w Szkocji i przyjedzie do Londynu przez York.

W ciągu pół godziny od jego przybycia Sara zdążyła zniechęcić się do Wessexa za łatwość, z jaką natychmiast podejmował każdy z tematów rozpoczętych przez Dowager. Ten człowiek chyba nigdy nie zapominał języka w gębie.

— Każdy będzie się starał dostarczyć jej rozrywki — ciągnęła Dowager — chociaż księżę Jakub nie jest zachwycony małżeństwem. Ale król bardzo naciska, a to załatwia sprawę.

Oczywiście zaprosimy ją na wasze przyjęcie weselne. Jej udział, oprócz królewskiej aprobaty, będzie dodatkowym zaszczytem.

Spokojny rytm konwersacji nagle się załamał, a po chwili zapadła przenikliwa cisza. Wessex tym razem nie odpowiedział. Sara była niemal uśpioną monotonną rozmową, w której nie brała udziału, toteż znaczenie słów księżnej dotarło do niej z opóźnieniem, ale kiedy zrozumiała, o czym mowa, też zaniemówiła.

— Przepraszam, co mówiłaś, babciu? — zdołał wreszcie wykrztusić Wessex.

— Daj spokój — odpowiedziała wcale nie zakłopotana Dowager. — Dziewięć lat od zaręczyn powinno chyba wystarczyć każdemu mężczyźnie. Masz trzydzieści trzy lata, najwyższy czas, abys się ożenił. Teraz jest dobra pora, żeby to ogłosić i ożenić cię w czerwcu. W ten sposób nie będzie to wyglądało, jakbyśmy planowali wszystko zależnie od przyjazdu księżniczki Stefanii.

Wessex rzucił Sarze obojętne spojrzenie, które ona nie wiadomo dlaczego odczytała jako prośbę o pomoc. Nie bardzo jednak wyobrażała sobie, co może dla niego zrobić. Gardner i Knoyle mówiły jej o tych zaręczynach jako o fakcie powszechnie wiadomym. Czy dla towarzystwa miało jakiegokolwiek znaczenie, że Sara widzi przyszłego męża jako zimnego i pozbawionego uczuć pajaca?

— Nie mam zamiaru poślubić jego miłości — usłyszała wreszcie Sara swój głos, dochodzący jakby z oddali.

Ta deklaracja powinna go ucieszyć, skoro nie palił się do tego ślubu bardziej niż ona, ale nieoczekiwanie Wessex spojrzał na nią ostro i wstał.

— Nic z tego, babciu — powiedział. — Kto w dzisiejszych czasach dba o zaręczyny w dzieciństwie? Każdy przecież wie, że nic nie czuję do markizy...

— Zostaliście formalnie zaręczeni, kiedy dziewczyna miała szesnaście lat. Nie była już wtedy dzieckiem, podobnie jak ty — przerwała mu babka i dodała z ironią: — Każdy też wie, że w ostatnim tygodniu spędziłeś sporo czasu w Mooncoign. Zajmij się tą dziewczyną, Wessex. Wprowadź ją do kilku domów. Nie zabraknie wam zaproszeń, jeśli tylko będzie wiadomo, że ich nie odrzucisz.

Sara zdała sobie sprawę, że równie dobrze mogłoby jej nie być w pokoju. Wessex rozmawiał wyłącznie z babką, na nią nie zwracał najmniejszej uwagi.

— Ale odrzucę, babciu. Mężczyzna prowadzący taki styl życia jak ja ma na głowie zbyt wiele, aby dać się zakuć w kajdany...

— Tak — wtrąciła Dowager — musi na przykład pomyśleć o potomku, który przejmie księstwo.

Wessex zaczerwienił się i utkwiał wzrok w ścianie nad głową Sary, ona zaś poczuła, że jej serce bije gniewnym rytmem. Ci dwoje targują się o jej przyszłość, jakby jej tu w ogóle nie było!

— Nie zamierzam wychodzić za mąż — powtórzyła jeszcze raz głośniejszym głosem. — Ani za diuka Wessex, ani za kogokolwiek innego.

— A z jakiego to powodu, dziecko? — zapytała słodko Dowager. Teraz zwróciła na nią uwagę, bo mogło jej się to przydać.

To rzeczowe pytanie zbiło Sarę z tropu. Wytrzeszczała oczy na Dowager,

— Ponieważ byłby to bardzo dziwny ślub, na którym zabrakłoby pana młodego — wyjaśnił Wessex.

— I panny młodej — dodała gorąco Sara.

— Ależ moi drodzy, mam już gotową listę gości na weselne przyjęcie — powiedziała z niezmaconym spokojem Dowager.

Tym razem Wessex nie udzielił odpowiedzi. Zerwał się od stołu i porwał swoje rękawiczki.

— Babciu, wasza dostojność... życzę paniom miłego dnia — ukłonił się sztywno i opuścił pokój, zanim ktokolwiek z obecnych zdążył zareagować.

— No właśnie — skwitowała najwyraźniej zadowolona z siebie Dowager. — Myślę, że poszło całkiem nieźle, nie uważasz, moja droga? Mężczyźni są jak pistolety. Czasem muszą sobie wystrzelić ze dwa czy trzy razy, ale potem można ich bezpiecznie schować do kabury.



## 9. KRÓL WYDAJE ROZKAZ

St. James znajdował się pomiędzy parkiem St. James a Green Park, na południe od Westminsteru i Parlamentu. Po wschodniej stronie miał Pałac Buckingham, a po zachodniej — długie koszary Gwardii Konnej. Otaczające go parkowe alejki i stawy już od trzech stuleci były miejscem wypoczynku rodziny królewskiej — od czasu, gdy król Henryk VIII przebudował dawny budynek szpitala St. James i wzniósł tam nowy pałac. Czerwone ceglane ściany pałacu były świadkiem ostatniej nocy zamordowanego Karola I, jednak także pozostali władcy linii Stuartów utrzymywali swój dwór właśnie w tym budynku.

Choć później wznoszono inne, często okazalsze pałace królewskie, dla lubiących naturę Stuartów nigdy żaden z nich nie dorównał urokowi tego miejsca. Lubili przyglądać się łąbędom i pawiom, dostojnym damom paradującym po alejkach, a nawet farmerom, którzy niezmiennie prowadzili swoje bydło przez pobliski plac na rynek na londyńskim West Endzie.

Nie docierało tu szaleństwo rozgrywające się na kontynencie. W tej atmosferze spokoju trudno było uwierzyć, aby lud mógł znowu dokonać rzezi prawowitych władców w imię szalonych mrzonek.

A jednak we Francji tak się stało. Reperkusje tego czynu odczuwało się nawet tutaj, pod pozornie spokojnym angielskim niebem.

W obszernym apartamencie we wschodnim skrzydle pałacu St. James następca tronu Anglii, Szkocji, Irlandii i Walii wkładał właśnie strój stosowny na audiencję u ojca.

— Nie, nie ten, Brummell. Papa nie dba zupełnie o takie szczegóły!

Jakub Karol Henryk David Robert Stuart, książę Walii i diuk Gloucester — książę Jakubek dla przyjaciół, których miał wielu — miał dziewiętnaście lat, jasnobrązowe włosy i płonące temperamentem oczy, pomieszane dziedzictwo krwi Stuartów i Plantegenetów. Był najmłodszym z pięciorga królewskich dzieci, jedynym chłopcem i następcą tronu, a także nadzieją wielu narodów, nie tylko angielskiego.

Choć jego ojciec, król Henryk, był w pełni sił i zdrowia i spodziewano się jeszcze długich dekad jego rządów, książę Jakub miał już ambicję zajęcia własnego miejsca na światowej scenie i odcisnięcia swojego piętna na historii rozpoczynającego się właśnie wieku. A że miał w sobie diabelski urok Stuartów...

Jednak na razie jego ojciec pozostawał głuchy na wszelkie prośby i plany swego rozmówianego w wojsku syna.

— Starczy już, Brummell, skończone — powiedział wreszcie zniecierpliwiony Jakub do służącego. — Ubranie jest doskonale dobrane. O mało nie spóźniłem się na spotkanie z papą!

Sięgnął po koszulę, którą trzymał w rękach służący i zaczął wciągać ją przez głowę. Brummell skrzywił się, jakby ktoś go uszczypnął i natychmiast pospieszył z pomocą swojemu panu.

— Wcale nie starczy, wasza wysokość, zwłaszcza jeśli chcecie przekonać Jego Majestat do czegoś, czego on nie aprobuje — powiedział napominającym tonem.

Nazywał się George Bryan Brummell, miał dwadzieścia sześć lat i nie wyglądał na starszego od księcia, któremu usługiwał. Miał rumianą cerę, kręcone jasnobrązowe włosy i szare oczy, i w tak młodym wieku cieszył się już opinią znakomitego znawcy mody, co zapewniało mu silną pozycję w królewskiej służbie.

— Ależ on to zaaprobuje — odparł Jakub głosem przytłumionym przez koszulę. — Dlaczego miałbym być jedynym mężczyzną w królestwie, który nie może wziąć udziału w walkach na półwyspie? Każdy przecież może tam pojechać i dołożyć swój kamyczek do tej wojny!

— Cena zaciągu do regimentu huzarów wynosi ponad dwa tysiące funtów, wasza wysokość, wiem to akurat dość dobrze — powiedział surowo Brummell. Przeszłość lokaja

była dość tajemnicza. Plotki głosiły, że służył w armii, ale z powodu nadużywania gier hazardowych został z niej wyrzucony i powrócił do rodzinnych interesów. — Zresztą wasza wysokość jest zbyt inteligentny, by nie widzieć, jakie są prawdziwe powody oporu Jego Majestatu.

Ale w tym akurat przypadku Jakub był głuchy na argumenty kierowane do zdrowego rozsądku. Wyrwał się gwałtownie z rąk służącego obciągając niedbale koszulę, podszedł do kominka i wziął do ręki oprawiony w złote ramki miniaturowy portret młodej kobiety o jasnych włosach, ubranej w gronostaje i perły.

— To przez nią — powiedział Jakub patrząc na dworski portret księżniczki Stefanii Julianny, swojej narzeczonej. Wiedział wcześniej, że planuje się takie małżeństwo. Powiadomiono go o tym w nieobowiązującej rozmowie, więc przypuszczał, że jest to kwestia bardzo odległej przyszłości. Pozostawał w tym złudzeniu aż do momentu, gdy dwa miesiące temu ojciec poinformował go, że ślub odbędzie się we wrześniu. Miało to oznaczać koniec beztróskiego okresu młodości, ale także marzeń o heroicznych czynach na polu bitwy.

Odwrócił się do Brummella, nieświadomie wymachując portretem księżniczki.

— Wiem, że każdy mężczyzna, a zwłaszcza książę, musi się ożenić. Ale ja nie skończyłem jeszcze dwudziestu lat i mam na to mnóstwo czasu. Dlaczego papa nalega na to akurat teraz? Dla politycznych gier pana Pitta wystarczyłyby zaręczyny, a dla mnie tym bardziej.

— A gdybyś, wasza wysokość, miał spotkanie z pociskiem na polu bitwy? — zapytał z przekąsem Brummell. Doskonale wiedział, że może sobie na to pozwolić. — Jeśli korona przejdzie na ród starszej siostry...

— Och, Boże broń! — zawołał głośno Jakub na samą myśl o swojej siostrze, która poślubiła znienawidzone przez naród niemieckie książe. — Ale co ze mną? Nie mogę przecież być całe życie więziony na dworze. Nie mogą odmawiać mi prawa do przygód, które może mieć każdy mężczyzna właściwie urodzony.

— Właśnie — westchnął Brummell. — Każdy widzi, że z waszą wysokością to się nie uda.

Podszedł do księcia, narzucił mu na ramiona pelerynę z zielonego brokatu i spróbował ułożyć ją prosto na książęcych plecach.

— Wasza wysokość się spóźni — powiedział cicho. — Lepiej jednak wyłożyć królowi jeszcze raz tę sprawę.

Jakub wyszedł z pokoju przyjmując postawę księcia w każdym calu... ale jednak wciąż bardzo młodego księcia, a w dodatku beztróskiego jak żaden z jego żyjących w trudnych czasach przodków. Niestety były to czasy, kiedy beztróska mogła mieć bardzo poważne konsekwencje. Brummell miał tylko nadzieję, że Jakub pojmie to, zanim będzie za późno.

— Ale papo... — zaprotestował Jakub.

— Dość! — uciął krótko król Henryk. Henryk został królem w wieku lat trzydziestu, kiedy jego ojciec Karol V — monarcha równie wesoły jak Karol II, ale znacznie bardziej nieodpowiedzialny — zginął na polu bitwy w Niderlandach. Wraz z koroną Henryk odziedziczył sieć sojuszy, które porwał zmieniający się wiatr; polityczne związki z Europą, które zdawały się żywcem wyjęte z wieków średnich oraz bardzo zdolnego, niebezpiecznego i inteligentnego wroga — Napoleona Bonaparte, Wielką Bestię, widmo, które nawiedziło Kontynent.

Zarówno w czasach, gdy był Pierwszym Konsulem, jak i teraz, gdy został cesarzem, ten szalony geniusz wygrywał wszystkie bitwy i przestawiał figury na szachownicy Europy traktując poszczególne kraje jak białe i czarne pola. Bonaparte zamierzał sięgnąć także po Anglię, a Henryk nie miał zamiaru mu jej dać, nawet gdyby musiał zebrać o pomoc i sprzedać w niewolę wszystkie swoje dzieci.

Ten sojusz z Danią był zesłany przez Boga, pozbawiał bowiem Napoleona doskonałej bazy do inwazji na Szkocję — kraj historycznie bliższy Francji niż Anglii. W dodatku kraj nigdy tak do końca nie przekonany do unii z Anglią, od czasu gdy Jakub VI Szkocki został także Jakubem I Angielskim po śmierci Elżbiety I. Kto wie, czy Szkoci nie powitaliby oddziałów francuskich raczej jako sojuszników niż najeźdźców. A gdyby tak się stało, Henryk miałby Korsykańską Bestię na pomocnej granicy, a pomoc — o czym nikt nie przekonał się boleśniej niż jego ród — była jak suche drewno, gotowe wybuchnąć płomieniem przy najmniejszej iskrze.

Ale jeśli księżniczka Stefania poślubi następcę tronu, jeśli zostanie podpisany traktat duńsko-angielski dołączający Danię do sojuszu z Rosją, Prusami i Anglią przeciwko Napoleonowi i dający angielskim okrętom wolny wstęp do duńskich portów — wówczas ta wielka dziura w systemie obronnym wyspy zostanie zatkana, a Henryk będzie wreszcie mógł przygotowywać plany ofensywne zamiast nie kończących się planów obrony.

Ale car rosyjski Aleksander i książę Wilhelm pruski nie byli tak pewni tego sojuszu jak Henryk. Obaj władcy podejrzewali, że związek ten zostanie zerwany w ostatnim momencie i że dotąd neutralni Duńczycy użyją tej wyłącznie dla swojej korzyści, a nie dla pożytku Anglii. A jeśli upadnie Anglia i rozpadnie się sojusz, wówczas Prusy i Rosja podwójnie odczują siłę zemsty Napoleona.

— Ale papo, ja... — spróbował jeszcze raz Jakub. Henryk uciszył go niecierpliwym ruchem dłoni.

— Powiedziałem: nie. I nie chcę już powracać do tej sprawy. — Ale ja nie proszę, żebym mógł się zaciągnąć — powiedział z goryczą jego syn. — Wiem, że nie pozwolisz na takie wyróżnienie. Błagam tylko o pozwolenie na podróż, żebym mógł obserwować walkę. Dziadek często tak robił...

— Właśnie. I jak to się dla niego skończyło? — warknął Henryk. Młody książę spojrział na ojca zdumiony — król rzadko odnosił się do niego tak ostro.

— Podjąłem już decyzję, Jakubie, i nie zmienię jej. Zabraniam ci opuszczać Anglię. Możesz dokonać przeglądu swoich regimentów tu w kraju, jeśli chcesz, albo znajdź sobie inną rozrywkę. Ale nie posłę cię na pewną śmierć na obcym polu bitwy.

W pokoju zapanowała ciężka cisza. Książę uklonił się chłodno i oficjalnie i opuścił komnatę bez słowa.

Król westchnął ciężko. Mógł wezwać Jakuba z powrotem i zażądać przeprosin, ale zdawał sobie sprawę z uczuć, jakie teraz targają synem. Następcy tronu Rosji i Prus walczyli w polu i od dawna już domagano się od Henryka, by jego syn objął sztab generalny sojuszu. Ale chociaż to stanowisko było dość odległe od rzeczywistych walk, Henryk nie chciał odsyłać Jakuba ze względnie bezpiecznej Anglii. Francuskie statki patrolowały Kanał jak głodne rekiny, a metody, jakimi Napoleon prowadził wojnę, nie były zbyt honorowe. Najważniejsze zaś było to, że traktat z Danią wchodził w życie dopiero w dniu ślubu księcia. A bez księcia nie było ślubu...

W porównaniu z romantycznymi polami bitew, nie kończące się dyskusje z ministrami ojca nie mogły pasjonować młodego księcia. Ale przyszły król musi znać tajniki dyplomacji — to podstawa rządzenia krajem.

Niestety królowie musieli znać się też na wojnie.

Ale jeszcze nie teraz...

Na Boga, nie teraz.

Podczas ostatnich dwóch tygodni Sara nauczyła się wielu rzeczy, a między nimi także tego, że cały Londyn uważa styl życia markizy Roxbury za skandaliczny. A przecież nie pamiętała ze swojego życia niczego szczególnie szokującego. Naprawdę nie czuła się jak

ktoś, kto spędził kilka ostatnich lat wywołując skandal za skandalem. A jednak fakty były niezaprzeczone.

Porządne młode panny nie rezydują we własnych domach z minimalną liczbą służby. Porządne panny nie mają własnych powozów. Porządne panny nie jeżdżą po Green Park o nieprawdopodobnych godzinach w towarzystwie jednego tylko lokaja. Otrzymują za to zaproszenia do Almack — ekskluzywnego klubu walca przy Kings Street. Lady Roxbury ich nie otrzymywała. Nie brakowało jej oczywiście zaproszeń na przyjęcia. Od przybycia do miasta codziennie dostawała ich nadmiar. Gdyby nie wzmacniający kordiał, który Knoyle skrupulatnie podawała jej każdego ranka i wieczora, Sara z pewnością nie podołałaby tym wszystkim obowiązkom towarzyskim. Ale ze swoją wyostrzoną wrażliwością leśnej istoty Sara czuła, że wszystkie te przyjęcia, mimo ich blasku, nie są przyjęciami, na które zaprasza się najbardziej szanowane damy z towarzystwa. Inna sprawa, że nie była wcale pewna, czy za nimi tęskni — zapewne im bardziej dostojne przyjęcie, tym większa nuda. Ale Dowager księżna Wessex robiła wszystko, co w jej mocy, aby podnieść pozycję towarzyską Sary wśród śmietanki towarzyskiej. Za kilka tygodni Sara miała być przedstawiona królowi Henrykowi na dworze, a tego samego wieczoru księżna miała wydać wielki bal w Herriard House, bo dom księżnej nie miał odpowiedniej sali balowej. W następstwie tych dwóch wydarzeń miało oczywiście pojawić się zaproszenie do Almack.

Sara mogła tylko podziwiać oddanie i energię księżnej... zwłaszcza że i tak nie mogła nie zrobić, aby ją powstrzymać. Zgodnie z poleceniami zamówiła już suknię na dworską audiencję oraz suknię balową, i miała tylko nadzieję, że wydarzy się coś, co przyhamuje nieco ten porywający ją wir wydarzeń. Przynajmniej Wessex jej się nie narzucał. Choć Sara musiała uczciwie przyznać, że tak naprawdę nigdy jej się nie narzucał. I to właśnie było jeszcze bardziej oburzające — wiedziała, jakie miał wobec niej plany, a jednak wciąż nie pojawiał się z oświadczeniami, które mogłaby stanowczo odrzucić. A odrzuci je z pewnością, postanowiła, bo nie widziała najmniejszego powodu, dla którego miałyby je przyjąć. Podobnie jak Wessex uważała, że umowa między rodzinami, zawarta gdy oni oboje byli niemal dziećmi, nie miała wielkiego znaczenia w nowoczesnym świecie tysiąc osiemset piątego roku. Jednak... skoro te formalne zaręczyny odbyły się gdy miała szesnaście lat, skoro ustalono wtedy, że poślubi Wessexa... dlaczego w takim razie w ogóle tego nie pamięta? Dlaczego nie pamięta samego Wessexa?

Nie umiała sobie odpowiedzieć na to pytanie. Zresztą nieważne, pamięta czy nie pamięta — odmówi Wessexowi, obojętne jak często jego babka będzie jej go podsuwać. Potem zakończy sezon, wróci do Mooncoign i...

I co?

Nagle Sara poczuła chłodny dreszcz trwogi. Miała wrażenie, że oto zatrzymała się na samej krawędzi przepaści i jeden nieostrożny krok spowoduje niewyobrażalną katastrofę. Ale gdzie czai się niebezpieczeństwo? Do jej umysłu wdarł się obraz istoty, którą spotkała w ogrodzie tej nocy, gdy odbywał się bal. Tak samo jak była pewna, że takie stworzenia nie istnieją tam, miała też niezłomne przekonanie, że istnieją tutaj.

Ale gdzie jest tamten świat? I gdzie ja jestem, jeśli nie jest to miejsce, w którym się urodziłam? — pojawiły się w jej umyśle gorączkowe pytania.

— Pani... — głos Knoyle natarczywie wtargnął w jej rozmyślania.

Sara zdała sobie nagle sprawę, że stoi na samym środku ruchliwej londyńskiej ulicy. A przecież miał to być poranny spacer dla oczyszczenia głowy z nocnych koszmarów!

Stała przed ozdobnymi, zielono-złotymi, podwójnymi drzwiami do księgarni Hatcharda na Piccadilly...

Jedną z największych przyjemności pobytu w Londynie była możliwość spędzania całych godzin na przeglądaniu książek i katalogów w rozlicznych księgarniach i kupowania wszelkich tomów, jakich tylko zapragnęła jej dusza. Co srode przychodziła do Hatcharda w

poszukiwaniu nowych tytułów, a godziny spędzone między zakurzonymi półkami w olbrzymiej księgarni uważała za najszcześniejsze w dotychczasowym życiu.

Była szczęśliwa. W końcu księżna Wessex to tylko zwykła stara kobieta, która przedwcześnie straciła męża i dzieci, a teraz z dobrego serca starała się zapewnić szczęście swojemu wnukowi... może tylko zbyt mocno się starała.

Wzruszając ramionami Sara pchnęła drzwi i weszła do księgni. Wewnątrz było tak spokojnie. Z olbrzymiego żyrandola padało łagodne światło świec wprost na okrągłą ladę i biegnące promieniście od niej rzędy półek z książkami. Na ich widok pierzchyły resztki złych myśli.

Nie zatrzymała się nawet, by zapytać, czy jest już zamówiona paczka. Natychmiast podeszła do półek i zaczęła grzebać w kolorowych, oprawnych w skórę tomach.

Robiła to już od kilku minut, kiedy jej uwagę, niemal bez udziału świadomości, przyciągnęła obecność młodej kobiety. Sara zerknęła na nią spod ronda kapelusza zastanawiając się, dlaczego właściwie tak nagle zainteresowała się nieznajomą. Młoda kobieta ubrana była z kwakerską prostotą — gładka perkalowa suknia w kolorze lawendy wyglądała niemal jak strój żałobny. Ale kiedy uniosła twarz w poszukiwaniu jakiejś książki, Sara stwierdziła, że wszelkie ozdoby byłyby najzupełniej zbędne — miała przed sobą zadziwiająco piękną dziewczynę, najładniejszą, jaką kiedykolwiek widziała.

Jej skóra była biała jak alabaster, a puszyste loki otaczające twarz tak absolutnie czarne, że zdawały się rzucać delikatny błękitnawy cień na policzki. Długie rzęsy ocieniały oczy o zadziwiającej zielonej barwie, kojarzącej się z drogimi kamieniami na jubilerskiej wystawie. Młoda dama była zjawiskiem przyciągającym wzrok; Sarze przebiegła przez głowę niechętna myśl, że ktoś tak piękny z pewnością nie może być osobą szanowaną w towarzystwie. Jednak natychmiast skarciła się za to. Wszystko bowiem — począwszy od skromnego stroju, a skończywszy na dyskretnej obecności niemłodej służącej, wskazywało na coś wręcz przeciwnego. Sara uświadomiła sobie nagle, że ta dama wygląda na znacznie bardziej godną szacunku niż ona sama.

Cóż, była to zasłużona opinia po tych wszystkich latach, jakie markiza Roxbury spędziła na niewyszukanych zabawach zamiast dbać o swoją pozycję towarzyską. Ręka Sary bezwiednie powędrowała ku piersiom, gdzie pod warstwami jedwabiu, muślinu i płóciennego gorsetu spoczywał bezpiecznie pierścień ojca.

Nagle coś zakłóciło tok jej myślenia, jakby ukryta część świadomości starała się o czymś przypomnieć. Pierścień ojca...

I właśnie w momencie, gdy znów oładnęło ją nagłe uczucie, że nie pasuje do tego świata, Sara zrobiła nieuważnie krok do przodu i wpadła na obiekt swoich niedawnych obserwacji.

— Och! — krzyknęła cicho.

Rozległ się niesamowity trzask spadających książek. Zarumieniona ze wstydu Sara w ostatniej chwili zdołała pochwycić nieznajomą.

— Bardzo przepraszam — jęknęła pochylając się nad rozrzuconymi tomami. — Byłam taka niezgrabna.

— Nic się nie stało — odparła młoda kobieta. — Nie zauważyła mnie pani zza tych wszystkich książek. To moja wina. Wuj już wiele razy mi mówił...

— Pozwoli pani, że wezmę na siebie odpowiedzialność — powiedziała zdecydowanie Sara. — Jestem markiza Roxbury. Zapewniam panią, że nie zawsze traktuję klientów księgarni.

— Jestem zaszczycona, że mogłam poznać waszą dostojność. — Głos młodej nieznajomej brzmiał zupełnie szczerze. — Jestem Meriel Bulleyn z... zresztą to nieważne. Spędzam ten sezon w Londynie... — Panna Bulleyn zdaje się chciała powiedzieć coś więcej, ale ugryzła się w język.

— Więc zostanemy przyjaciółkami — zdecydowała Sara poddając się nagłemu impulsowi. Zebrała przez ten czas rozrzucone książki i wręczyła nowej znajomej. — Przyznam, że bardzo ucieszyłaby mnie przyjaciółka w Londynie.

— Panią? Lady Roxbury? — zapytała panna Bulleyn, najwyraźniej zdumiona taką możliwością.

— Właśnie — odpowiedziała Sara z uśmiechem. — Nikt nie ma aż tylu przyjaciół, żeby nie cieszyć się z jeszcze jednego.

Prawdę mówiąc, przy ludziach, którzy ostatnio pojawiali się w Herriard House, Sara nie czuła się swobodnie. Niewątpliwie były to postacie modne i mniej lub bardziej dostojne, ale wszystkie te ceremonialne odwiedziny i rozmowy stałe w tym samym kręgu trudno nazwać otwartymi i przyjacielskimi, a Sara tęskniła za kimś, z kim naprawdę dobrze by się czuła.

— Będę zachwycona, jeśli zostaniesz moją przyjaciółką — dodała spontanicznie.

Przez moment zdało jej się, że panna Bulleyn przygląda jej się zimno zielonymi kocimi oczami, ale musiało to być tylko złudzenie, bo po chwili dziewczyna uśmiechnęła się ciepło.

— Bardzo chętnie zostanę pani przyjaciółką, lady Roxbury.

— O, nie! — zawołała Sara impulsywnie. — Jeśli mamy być przyjaciółkami, musisz zwracać się do mnie po imieniu — Sara, — a ja będę mówić do ciebie Meriel. Ładne imię i takie niezwykłe.

— To jest kornwalijskie imię — odparła panna Bulleyn z lekkim wahaniem, ale zaraz się uśmiechnęła. — Ale może lepiej stąd wyjdźmy, jeśli skończyłaś zakupy, bo jeśli zostaniemy tu dłużej, wyniosę pół księgarni.

— Chętnie wybrałabym się na przejażdżkę po parku — powiedziała Sara. Odkryty powóz jechał za nią wolno podczas spaceru do księgarni i oczekiwał teraz na rogu. — Niestety jestem umówiona z *madame* Francine na przymiarkę sukni. Za dwa tygodnie mam być przedstawiona na dworze, a podobno odpowiedni dobór stroju na tę uroczystość jest sprawą najwyższej wagi.

Sara podała ramię Meriel. Dziewczęta szły wolnym krokiem, a za nimi w pewnej odległości podążały obciążone pakunkami służące.

Kiedy Meriel usłyszała ostatnie słowa Sary, przez jej twarz przemknął lekki grymas zazdrości.

— To musi być wspaniale mieć taką suknię! Ja też miałam zostać przedstawiona na dworze, ale kiedy umarł tata, mój wuj i reszta rodziny nie zgodzili się na taki niepotrzebny wydatek — powiedziała panna Bulleyn, z wyraźnym wysiłkiem utrzymując normalny ton.

— To okropne — wzdrygnęła się Sara. — Każdy przecież wie, że prezentacja na dworze to *conge* do najlepszego towarzystwa. A to przecież najważniejsza rzecz dla młodej damy. Może twój wuj jeszcze zmieni zdanie?

— Na pewno nie — odparła panna Bulleyn ze smutną pewnością. — Wuj Richard ma wobec mnie inne plany. Ale bardzo chciałabym chociaż zobaczyć taką suknię... — westchnęła.

— Możesz przynajmniej obejrzeć moją, jeśli tylko chcesz — zdecydowała Sara. — Nie widzę powodu, dla którego nie miałabyś ze mną wstąpić do *madame* Francine. Twój wuj nie może ci chyba zabronić mieć przyjaciół w Londynie?

— Nie — odpowiedziała rozjaśniona nagle panna Bulleyn. Uśmiechnęła się szeroko, ukazując równe białe zęby i czarujące dołeczki w policzkach. — Wuj nie może mi zabronić spotykać się z tobą.

*Madame* Francine urodziła się jako Sara Franks w małej wiosce w środkowej Anglii. Dzięki talentowi, determinacji i hojności bogatego kochanka stała się jedną z najwybitniejszych krawcowych, szyjących suknie dla pań z najwyższych sfer. Kiedy ostatnio

Sara odwiedzała jej zakład, zauważyła, że chociaż podobno była tu od dawna stałą klientką, jakoś w ogóle nie pamiętała tego budynku. Odkryła także, że *madame* Francine nie tylko znała wszystkie plotki z wyższych i niższych sfer, ale także, że jej modne dodatki pochodzą wprost z Paryża, jakby w ogóle nie istniała blokada handlowa. *Madame* Francine, podobnie jak wszyscy, starała się uprzyjemnić Sarze pobyt w mieście, toteż kiedy zjawiała się w zakładzie z nową przyjaciółką, natychmiast zostały poczęstowane herbatą i ciastkami. Nowy gość mógł poczuć, że jest miło przyjęty.

Meriel bardzo łatwo nawiązywała kontakt z ludźmi. Jeszcze zanim długa przymiarka dobiegła końca, młode kobiety serdecznie się zaprzyjaźniły, a Meriel uzyskała zaproszenie do odwiedzenia domu lady Roxbury, kiedy tylko zechce. Sara, zaprzątnięta rozmyślaniami o łowcach posagów i groźbą małżeństwa z diukiem Wessex, nawet nie pomyślała, że mogą istnieć ukryte powody, dla których jakaś kobieta miałaby szukać znajomości z lady Roxbury. Nie przyszło jej też do głowy, w jaki sposób taką znajomość można wykorzystać.

Tego samego majowego dnia, podczas którego nastąpiło tak wiele interesujących spotkań, także diuk Wessex przyjmował gościa.

Młody diuk po ostatniej wizycie u babki zaszył się w swoich apartamentach. Po pierwsze chciał uniknąć nie kończących się przyjęć, które go nudziły, a po drugie zamierzał przemyśleć trudny problem, przed jakim postawiła go ukochana babka. Rzecz w tym, że nie przychodził mu do głowy żaden dobry powód, dla którego nie miałby poślubić markizy Roxbury... a przynajmniej żaden powód, który zaakceptowałaby babka. Byli zaręczeni od wielu lat, no i miała odpowiedni charakter — na ile ją poznał, nie wymagałaby od męża namiętnych uczuć i przesadnej galanterii. Mógłby wieść swoje życie, a ona swoje i gdyby tylko nie uszczęśliwiła go bękartem, spokojnie mógłby zaakceptować każdy z jej wyskoków. Ale Wessex nie zamierzał się żenić. Jego styl życia był zbyt niepewny, ciężar służby dla króla i kraju zbyt wielki, aby mógł stać się statecznym mężem przyzwoitej kobiety. Na jego krwi ciążyło przekleństwo. Jak inaczej wytłumaczyć fakt, że dwóch kolejnych diuków przed nim również skusiła mroczna tajemnica Gry Cieni? Kiedyś w chwili rozpaczony Wessex poprzysiągł, że na nim ród się skończy. Ale przecież nie mógł przedstawić tych oczywistych powodów kochającej babce.

A gdybym nawet chciał się ożenić, na pewno wybrałbym mniej kłopotliwą kobietę niż Roxbury, pomyślał.

Czy naprawdę kłopotliwą? Wessex już miał zamiar zastanowić się nad tym określeniem, kiedy rozległo się ciche pukanie do drzwi.

— Pan Kościuszko, wasza miłość — zapowiedział Atheling.

Podczas pobytu w mieście Illia Kościuszko nie wkładał swojego oryginalnego munduru. Po pierwsze nie chciał narażać się na śmieszność, a po drugie regiment w takich właśnie mundurach walczył po stronie największego wroga Anglii.

Wierny sługa Wessexa nie czuł się bynajmniej uszczęśliwiony przybyciem gościa, którego właśnie zaanonsował. Dało się to wyraźnie wyczytać z jego twarzy. Nie akceptował energicznego cudzoziemca, który wpadał do jego pana nie zapowiedziany i o bardzo dziwnych porach, a potem jeszcze wyciągał go na różne eskapady, zawsze kończące się uszczerbkiem dla garderoby.

— Wprowadź go — polecił Wessex, zgarniając na bok stosy rachunków i zaproszeń.

Nie czekał długo. Illia Kościuszko, tym razem po cywilnemu, choć ubrany w sposób dość rzucający się w oczy, wtargnął do salonu z właściwym sobie temperamentem, wraz z kapeluszem, rękawicami i laseczką, które próbował odebrać mu na progu zrezygnowany Atheling.

Cywilne ubranie Kościuszki mało przypominało stonowany i spokojny styl przyjęty w Londynie. Illia wystroił się w żółte pantalony, doskonale pasujące barwą do rękawiczek.

Splecione w warkoczyki włosy, przewiązane także żółtą wstęgą, opadały na ozdobioną rzędem srebrnych guzików fioletową kamizelkę, której krój mógł zadziwić nawet wytrawnych znawców mody. Na nią zarzucił brokatowy wzorzysty surdut, a na głowie miał czapkę z dobrze wyprawionej bobrzej skóry. Jeśli dodać do tego diamentową spinkę w krawacie, zwisający z kieszonki złoty łańcuszek od zegarka, kolczyk w jednym uchu i wreszcie laseczkę z lakierowanego drewna, którą dziarsko wymachiwał, otrzymano się jedyny w swoim rodzaju, wielce inspirujący widok.

— Dobry Boże — westchnął Wessex. Kościuszko rozpromienił się w uśmiechu.

— Nieźle, prawda? Śmiał przypuszczać, że będę wyglądał na dzisiejszym przyjęciu lady Jersey, jak przystało na egzotycznego cudzoziemca.

— Z całą pewnością — przyznał uczciwie Wessex. — Nikt nie weźmie cię za kogoś innego. Ale co cię tu sprowadza? Oczywiście rad jestem z twojego przybycia...

— ...ale jeśli częściej nas będą widywać razem w Londynie, ktoś może zacząć się zastanawiać, co łączy jego miłość diuka Wessex z tym podejrzanym uchodźcą z kontynentu? — dokończył Kościuszko. Nie czekając na zaproszenie rozsiadł się wygodnie na podniszczonym skórzanym fotelu przy biurku Wessexa i wziął do ręki nie naładowany pistolet, którego diuk używał jako przycisku do papieru.

— Jeden z judaszowskiej pary? — zapytał z zainteresowaniem, spoglądając doświadczonego okiem na zamek. Chociaż pistolet wyglądał zupełnie normalnie, był zaprojektowany w ten sposób, że strzelał w tył, a nie do przodu, zabijając w pojedynku strzelca zamiast osoby, do której tamten mierzył.

— Zdobyłem go na człowieku Wartławka zesłej wiosny w Calais — odparł Wessex. — Pewnie pamiętasz fałszywą operację Malhythe'a, która prawie wykończyła tamtejsze podziemie.

— Przynajmniej przekonało to Home Office, aby trzymać się z dala od interesów Białej Wieży — powiedział spokojnie Kościuszko. — Teraz robią to, co umieją najlepiej... inna sprawa, że nie jest to warte nawet połowy czasu, który na to tracą. Ale miałem mówić o czymś innym. Spędziłem ten poranek słuchając lorda Misbourne'a i umieram z pragnienia.

— Wiesz, gdzie szukać — powiedział beznamiętnie Wessex. Kościuszko odłożył pistolet na biurko i rozejrzał się w poszukiwaniu napitku. Przyniosło mu to sukces w postaci gąsiorka, który wyciągnął spod rozmaitych śmieci walających się po kawalerskim mieszkaniu. Po chwili roześmiany Polak z dużą szklanką brandy w dłoni zasiadł z powrotem w fotelu, spokojnie wytrzymując uważne, choć zaintrygowane spojrzenie Wessexa.

— Mogę ci zdradzić coś niecoś, bo i tak na pewno od kogoś się dowiesz. Mam wsiąść na statek do Kopenhagi w najbliższy piątek. — Kościuszko powiedział to takim tonem, jakby jego celem była Antarktyka, a nie Dania. — Mam się tam wybrać, żeby zabawić przyszłą angielską królową, dopóki tu nie przyżegluje, a może także potem.

Wessex zmarszczył brwi. Ustalono — zanim jeszcze pojechał do Francji i zaangażował się w *l'affaire de Morrisey* — że to on ma być członkiem eskorty księżniczki Stefanii.

— Kiedy się o tym dowiedziałeś?

— Wszyscy już wiedzą — pouczył Kościuszko. — Ty też byś wiedział, gdybyś zadał sobie trud przeczytania swojej poczty. — Polak wyciągnął z kieszeni pomiętą, zapieczętowany papier i rzucił Wessexowi, który chwycił go zgrabnie w powietrzu. Papier był ciężki z powodu wielkiej woskowej pieczęci, w której Wessex bez trudu rozpoznał prywatny sygnet króla Henryka. List wyglądał na nie otwierany.

Przelamawszy pieczęć Wessex szybko przebiegł wzrokiem kilka linijek starannego, równego pisma króla. Wiadomość była precyzyjnie sformułowana, choć niezbyt wiele wyjaśniała. Król wyjątkowo potrzebował obecności Wessexa w Londynie przez następne dwa



miesiące, więc wycofywał swoje poprzednie zaproszenie, aby diuk towarzyszył eskorcie duńskiej księżniczki.

Wessex spalił list w płomieniu stojącej na biurku świeczki. Kiedy papier spłonął, wsypał jego resztki do popiołu w kominku, gdzie przykrył je spalonymi węgielkami.

— Nie muszę nawet pytać, czy Misbourne to czytał — powiedział niezadowolony.

Liczył, że planowana wyprawa do Danii oddali go od machinacji babki. Zastanawiał się nawet, czy to nie ona użyła swoich wpływów na dworze, aby zatrzymać go w mieście teraz, gdy zamierzała doprowadzić do tego małżeństwa, na które tak się uparła.

— Czy czytał? — roześmiał się Kościuszko. — Podejrzewam, że jest właściwym autorem. Na pewno wiele radości sprawi mu przebranie mnie za zwykłego marynarza na dwa miesiące. Ale nie martw się, dla ciebie też może się znaleźć coś ciekawego w czasie, kiedy ja będę zażywał luksusu i rozpusty na obcych dworach. Saint-Lazarre zniknął.

— Zniknął? — Wessex natychmiast stał się czujny. — Czy jest... martwy?

— Może i martwy — zgodził się Kościuszko — ale jeszcze cztery dni temu był żywy i podróżował w blasku księżycy z jakimś nieznanym dżentelmenem w kierunku Norfolk. Nasi ludzie nie mieli rozkazów, aby zatrzymać Saint-Lazarre'a w Anglii, więc pozwolili mu odpłynąć.

— Nie ma co, ten człowiek lubi ryzyko — mruknął Wessex. — Z takiego stateczku można go równie dobrze wysadzić na środku Kanału jak i dowieźć do Francji. Admiralicja powinna dokładnie go wypytać, co zamierza.

Jeżeli Admiralicja uważa, że misja Saint-Lazarre'a jest warta zachodu.

— Trzeba chyba założyć, że nasz Victor nie pytał ich o zdanie — zakończył temat Kościuszko. — Chociaż powinien. Ma tu dobrych przyjaciół i naturalnych sojuszników. A Anglia ma wszelkie powody, by wspomagać działalność Saint-Lazarre'a.

— *M'sieur* Corday nie rozjaśni tej zagadki, prawda? — zapytał Wessex.

Kościuszko wykrzywił usta w uśmiechu.

— Zadaliśmy mu trochę pytań, ale nie bardzo chciał współpracować. — Wzruszył ramionami. — Przypuszczam, że lord Misbourne będzie musiał zapytać Talleyranda, czy chce z powrotem tego faceta, albo odesłać go do kolonii, chociaż wtedy będziemy go mieli z głowy tylko dopóty, dopóki nie dotrze do Luizjany. Kolonia jest rojalistyczna i królewski gubernator nie współpracowałby zapewne z jednym z *sans-culottes*. Jednak nasz panicz Gambit na pewno nie będzie trąbił na prawo i lewo, kto mu płaci. Odegra raczej dotkniętego niesłusznymi podejrzeniami podróżnika.

— A gubernator, chociaż niewątpliwie występuje przeciw swojemu *soi-disant* Imperatorowi, niekoniecznie musi współpracować z Anglią — dokończył Wessex. — Mimo to byłoby zabawnie potraktować Gambita Cordaya w ten sposób.

— To nie zależy od nas — przypomniał mu Kościuszko. Wessex poznawał po pozornie obojętnym tonie przyjaciela, że podobnie jak on gubi się w domysłach, co takiego ważnego wywabiło Saint-Lazarre'a z powrotem do Francji, gdzie niemal każdy był jego wrogiem, a złapanie go mogło przynieść bardzo wymierną korzyść materialną. Jaką dostał informację, którą nie podzielił się nawet z tymi rojalistami, z którymi miał kontakt? Co spowodowało tę samobójczą wyprawę?

— No, teraz muszę zadbać o własne sprawy i powiedzieć pewnej damie, że porzucam ją dla innej — przerwał milczenie Kościuszko. — Muszę także się spakować i odwiedzić kilka miłych spelunek, zanim odpłynie „Endevour”. — Dopił brandy i wstał, sięgając po rękawiczki, laseczkę i kapelusz. — Tak czy inaczej możesz się pocieszać, że będę teraz przez jakiś czas ciężko pracował, a prawdopodobnie i tak nie wydarzy się nic interesującego.

— Masz rację — zgodził się Wessex, odprowadzając przyjaciela do wyjścia. — Cała zabawa zacznie się dopiero, gdy księżniczka Stefania tu przybędzie, a król będzie musiał przekonać Jakuba, by zaakceptował swoją przyszłą żonę.

Myśli o rodzicielsko–matrymonialnych troskach dawno wywietrzały z głowy Wessexa, gdy dwa tygodnie później został przyjęty wieczorem przez króla Henryka w dworskim salonie. Jeszcze rano tego samego dnia Wessex nie pamiętał nawet, że na ten wieczór obiecał także Dowager księżnej Wessex swoją obecność na balu w Herriard House — balu z okazji prezentacji markizy Roxbury na dworze. Teraz jednak już sobie o tym przypomniał, a to za sprawą Athelinga, który koniecznie chciał się dowiedzieć, czy jego pan włoży na tę okazję strój wieczorowy, czy też galowy mundur. Od tego momentu nie mógł o rym zapomnieć. Cały poranek spędził przy swoim biurku na Bond Street (członkowie Białej Wieży mieli do czytania nie mniej dokumentów niż politycy, a Misbourne nie pochwałał wynoszenia ważnych papierów do domu), a popołudnie w samej Białej Wieży. Kiedy tylko słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, wymknął się do swoich apartamentów, przebrał i podążył prosto do pałacu St. James. Natychmiast zaprowadzono go do króla. Nikogo to nie zdziwiło, bo wiadomo było powszechnie, że król Henryk często zasięga rady Wessexa w sprawach dotyczących armii. Tak też stało się tym razem. Przez ponad trzy kwadranse król i jego poddany dyskutowali problemy dostaw dla wojska przez Kanał, po którym kręciło się mnóstwo francuskich okrętów wojennych; delikatne sprawy obecności na polach bitewnych mało użytecznych książąt, arcyksiążąt i królów oraz brak wiarygodności nieregularnych oddziałów, które były większą zawadą niż pomocą dla lorda Wellesleya na Półwyspie.

— Twój młody przyjaciel Kościuszko dotarł bezpiecznie do Kopenhagi — dodał jeszcze król. — Został wszystko w takim stanie, jak się spodziewałem.

Kościuszko nie musiał oczywiście podróżować na pokładzie „Endevour” jako zwykły marynarz, nie mógł jednak także podróżować jako Illia Kościuszko, były gwardzista Jego Królewskiej Mości Króla Polski — czarujący, wesoły szlachcic, chętnie zabawiający się w towarzystwie ludzi niższego stanu. Ktoś taki na pewno nie mógłby znaleźć się w świątyni księżniczki Stefanii, a i obecność takiego człowieka na pokładzie statku byłaby zanadto widoczna. Wessex wiedział, że Kościuszko mógł z łatwością przybrać z pół tuzina osobowości podczas tej morskiej podróży. Kiedy dopłynął do celu, zapewne zniknął wszystkim z oczu i pojawił się w Danii jako jeszcze inny człowiek.

— To znaczy, *sir*? — zapytał uprzejmie Wessex. Wewnętrzny głos ostrzegł go, że Jego Majestat zaczyna powoli zmierzać ku tematowi, który był właściwym powodem wezwania Wessexa na dwór.

— Dezorganizacja i opóźnienia. Francuski poseł, ten przechrzta Saint–Germain, naturalnie robi wszystko co może, by nakłonić księcia regenta do zmiany postanowienia. Ale ufam, że *sir* John poradzi sobie z każdą przeszkodą na gruncie dyplomatycznym, tak więc przypuszczam, że konwój znajdzie się w drodze z lekkim tylko opóźnieniem. Tu zresztą dochodzimy do sprawy, którą chciałbym omówić właśnie z tobą, Wessex.

Wessex stał się czujny, nie dał jednak po sobie nic poznać.

— O ile ci wiadomo, książę Jakub... nie jest specjalnie zadowolony z przybycia księżniczki Stefanii — powiedział król z naciskiem.

Wessex zeszywniał. Wszystkim było wiadomo, że Jakub broni się przed małżeństwem, ale o pewnych rzeczach, nawet oczywistych, po prostu się nie rozmawiało.

— Jestem pewien, że księżniczka Stefania jest bardzo sympatyczna — odparł Wessex oschle.

— Cieszę się że tak myślisz — uśmiechnął się Henryk. — Wiesz jednak, że nie każdy z tym się zgodzi. Fox już wzywa do złagodzenia konfliktu, a torysom nie może podobać się posunięcie, które dla nich jest tylko tworzeniem nowych układów w starej wojnie.

Zakładając oczywiście, że Duńczycy będą tańczyć tak, jak im zagramy, pomyślał Wessex. Głośno powiedział:

— Jestem pewien, że z czasem zrozumieją, iż się mylili. Książę Jakub jest we właściwym wieku do małżeństwa, a Dania...

— Leży daleko i ta biedna dziewczyna będzie pomiędzy nami bardzo samotna. Jestem przekonany, że opinia towarzystwa na temat słuszności tego małżeństwa będzie w dużej mierze zależała od tego, czy zaaprobuje samą księżniczkę... dlatego właśnie chciałem porozmawiać z tobą.

Podświadomie Wessex przygotował się na cios.

— Mam zamiar nadać markizie Roxbury tytuł Wielkiej Garderobianej...

Teraz już Wessex wiedział, do czego zmierza ta rozmowa i przeklinał sam siebie, że nie był na tyle przewidujący, by zaokrętować się na pokład „Endevour” albo wyjechać na Wyspy Ludożerców, albo strzelić sobie w łeb. Tytuł Wielkiej Garderobianej wiele znaczył w hierarchii dworskiej... ale nie mogła go sprawować kobieta niezamężna.

A król Henryk wciąż mówił.

— Chcę, aby księżniczka Stefania ubierała się zgodnie z obowiązującą modą. Nie mam zamiaru mieć pod własnym dachem następnej takiej pary, jak Maria i ten jej niemiecki Georgie. Ten człowiek nawet nie potrafi nauczyć się angielskiego. Ludzie uciekają, gdy tylko się do nich zbliży. Księżniczka Stefania przybędzie do Anglii w połowie lipca i chciałbym, żebyście ty i markiza byli do tego czasu małżeństwem. Roxbury zdołała wyrobić sobie całkiem niezłą opinię w Londynie ostatnimi laty, a ty jesteś dość niekonwencjonalnym człowiekiem. Oboje wprowadzicie księżniczkę Stefanę w towarzystwo i zadbacie o to, aby wszystko dobrze się skończyło. Chcę, żebyś to dla mnie zrobił, Rupercie.

W Wessexie zamarło serce, ale przecież nie mógł odmówić królowi tej przysługi, skoro wcześniej poświęcił dla służby swój honor. Jeśli żonaty diuk ma być bardziej użyteczny dla króla niż diuk i markiza Roxbury osobno, Wessex poślubi tę dziewczynę. Król wydał rozkaz, a jeszcze się nie zdarzyło, by diuk nie posłuchał królewskiego polecenia. Ale przeklęta linia Dyerów skończy się wraz z nim. Nie spłodzi więcej szpiegów. Tej przysięgi Wessex nie zamierzał złamać.

— Nie zawiodę, wasza wysokość — powiedział cicho. Ciekawe, czy markiza też okaże uległość królewskiej woli. Cóż, widział talizman, który nosiła. Jako członek Ligi Boscobel, jedna z tych, którzy przysięgli służyć królowi, będzie musiała być posłuszna, gdy tylko się dowie, że jest to życzenie samego króla.

Henryk dojrzał niezdecydowanie w oczach Wessexa i opacznie je zrozumiał.

— Mój drogi Rupercie — powiedział z uśmiechem — czy to możliwe, żebyś się bał, że Roxbury ci odmówi? Dziewczyna ma wprawdzie o sobie bardzo wysokie mniemanie, ale jej rodzina zawsze była zaprzyjaźniona z Koroną. Aby zaoszczędzić ci zmartwień, sam ją poproszę. W twoim imieniu oczywiście — roześmiał się król.

Sara nie mogła powstrzymać dreszczu zdenerwowania, kiedy przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze o pozłacanych ramach. Suknia zdawała się mocno staroświecka — z okropnie szeroką spódnicą z błyszczącej białej satyny, ozdobioną srebrnymi koronkami i mnóstwem drogich kamieni. Ten sam fason, nieco tylko unowocześniony, został zastosowany w sukni balowej, którą miała włożyć później. Sara liczyła tylko na to, że zdenerwowanie pozwoli jej doczekać tej chwili. Na szczęście prezentacja była bardzo formalną ceremonią — wraz z tuzinem innych szczęśliwych pańek wprowadzają do salonu, gdzie poczeka na króla. Potem każda zostanie przedstawiona monarsze i będzie miała okazję oddać mu ukłon. Wszystko przebiegnie bardzo szybko, tak jej przynajmniej powiedziano.

Z uwagi na szczególną rangę markizy udostępniono jej prywatną komnatę, gdzie w oczekiwaniu na ten moment mogła poprawić garderobę. Knoyle naprawdę potrzebowała tych kilku chwil, aby doprowadzić do porządku jej fryzurę, która, upięta zbyt wysoko, nie przetrwała podróży powozem. Musiała też dokończyć opinanie diamentów na każdym

dostępnym miejscu sukni. Sara patrzyła w lustro. Z przejęcia była nienaturalnie blada, a suknia zdawała się świecić, jakby była ze śniegu, a nie z jedwabiu. Jeszcze tylko kilka minut — widziała to na zabytkowym zegarze stojącym na stole — i poproszą ją do króla.

Według tradycji Sara powinna pokłonić się królowi w tym samym czasie, kiedy przedstawiono ją w towarzystwie — osiem lat temu. Do tej pory nie mogła sobie przypomnieć, jak to się stało, że wtedy tego nie uczyniła. Napięcie, jakie teraz przeżywała, powodowały bez wątpienia te dziwne i niepokojące sny, które ją ostatnio męczyły. Może gdy minie ten wieczór, znikną także sny?

Gdyby nie znikły, nie wytrzyma ich dłużej. Tylko dzięki towarzystwu panny Bulleyn ostatnie kilka tygodni było do zniesienia.

Sara chciała zaprosić pannę Bulleyn na swój bal i nawet poruszyła ten temat w rozmowie z przyjaciółką. Ale Meriel natychmiast ucięła temat mówiąc, że jej wuj na pewno się nie zgodzi i w dodatku niewątpliwie się dowie, gdyby poszła tam bez jego zgody. Sara zaczynała czuć niechęć do pana Richarda Bulleyna, kimkolwiek był — mężczyzna, który zabraniał swojej siostrzenicy takiej nieszkodliwej rozrywki jak bal wydawany przez księżnę Wessex dla jej chrześnicy, z pewnością nie zasługiwał na miłe uczucia. A przyszłość, jaką szykował swojej siostrzenicy, trzymając ją z dala od kontaktów z towarzystwem, była naprawdę godna pożałowania.

Inna sprawa, że jej własna przyszłość nie wyglądała wcale różowo. Westchnęła. Mimo swoich triumfów towarzyskich zamierzała powrócić na wieś, gdy tylko skończy się ten bal. Miasto nie było miejscem dla niej. Czegokolwiek szukała w życiu, z pewnością nie znajdzie tego tutaj. Jej melancholijne myśli przerwał pukanie do drzwi. Knoyle ruszyła je otworzyć.

W progu stał gwardzista w pałacowym uniformie — złotej bluzie i przypudrowanej peruce.

— Lady Roxbury? Król Henryk przysłał mnie, abym zaprowadził panią do salonu.

Salon był zatłoczony i duszny. Przez okno było jeszcze widać ostatnie promienie zachodzącego słońca, ale zapalono już także świece w ciężkich kandelabrach i zapach rozgrzanego wosku wypełniał powietrze. Sara stała tak nieruchomo, że nawet nie błyskały diamenty na jej sukni. Odkąd bez słowa stanęła w miejscu, które wskazał jej gwardzista, nawet nie próbowała go zmieniać.

Ściany salonu były obwieszane grubymi kotarami z czerwonego jedwabiu, których monotonię gdzieniegdzie przerywały lustra. Podłoga pod ozdobionymi diamentami trzewikami Sary lśniła wypolerowanym marmurem. Na malowanym i pozłacanym suficie cherubiny otaczały portrety dawnych królów — wyciągających miecze ze skały, przekuwających je na kowadle, odbierających broń z rąk kobiet wychylających się z toni jeziora.

Trzy wielkie kandelabry błyskały świecami, których blask odbijał się także w lustrach i drażnił oczy. Aby dać im odpocząć, Sara przestała podziwiać sufit i dyskretnie rozejrzała się po najbliższym otoczeniu, uważając jednak, by nie zmienić wyznaczonego jej miejsca.

Większość czekających obok dziewcząt była znacznie młodsza od niej; cóż, ona miała bądź co bądź dwadzieścia pięć lat. I wszystkie były potwornie zdenerwowane, chociaż, w odróżnieniu od Sary, każdej z nich towarzyszyła co najmniej jedna starsza krewna. Na widok ich przerażonych twarzy Sara poczuła się nagle dziwnie uspokojona. W sali zobaczyła też wielu mężczyzn, najwyraźniej bywalców dworu, a kiedy przyjrzała im się lepiej, dostrzegła, że jednym ze stojących przy oknie huzarów w galowych mundurach jest Wessex. Miał na sobie krótką błękitną bluzę ze srebrnymi znakami Jedenastego Regimentu Huzarów, a przez ramię przewieszoną podbitą niedźwiedzim futrem pelerynę. Ciemnoczerwone nogawki spodni ze złotymi lampasami wpuszczone były w wysokie buty, zakończone u góry frędzelkami. Do ramienia miał przymocowane ozdobione piórami czako.

Bez szabli mundur wyglądał na niekompletny, ale Wessex nie mógł pojawić się z bronią w obecności króla. Miał jednak przy pasie pochwę udekorowaną odpowiednimi dla regimentu wzorami. W tym stroju Wessex wyglądał groźnie i dostojnie, i w niczym nie przypominał tego oschłego i zmanierowanego pajaca, jakiego znała.

Dostrzegł ją i nagle zeszywniał; zupełnie jak lampart, który zauważył myśliwego. Przez moment poczuła na sobie spojrzenie jego czarnych oczu. Potem jednak natychmiast odwrócił od niej wzrok nie skłaniając nawet najlżejszym ruchem głowy.

Teraz z kolei oczy Sary rozpalily się gniewem. A więc sądzi, że może ją ignorować, udawać, że jej nie widzi, jakby była jakimś wyrzutkiem czy służącą?

Nie wydałoby się jej to tak irytujące, gdyby nie to, że w ciągu ostatnich kilku tygodni Sara zdołała zorientować się lepiej w swojej wysokiej pozycji... i gdyby nie to, że od pierwszej chwili poczuła jakąś niezwykłą więź łączącą ją z Wessexem. Nie chodziło tu o żadne zaręczyny. Po prostu instynkt podpowiedział jej, że powinni być przyjaciółmi, ale tak się nie stało.

Spojrzała w inną stronę, a kiedy znów powróciła wzrokiem w tamto miejsce, diuk zniknął pośród innych dostojnych mundurów. Już miała zamiar go poszukać, gdy do sali wkroczył przez ukryte drzwi gwardzista z długą laską z kości słoniowej i zastukał nią donośnie o podłogę, ściągając na siebie uwagę zebranych.

— Jego Królewski Majestat Henryk Karol Jakub Artur Christian, król Anglii, Irlandii, Szkocji i Walii!

Wizerunek króla znajdował się na każdej monecie, począwszy od złotej gwinei a skończywszy na miedzianych pensach; Sara widziała też jego twarz na wielu obrazach, ale po raz pierwszy, odkąd pamiętała, zobaczyła monarchę — żywego człowieka. Nie był tak wysoki jak oczekiwała, a charakterystyczne dla Stuartów jasne włosy pociemniały nieco z wiekiem. Ale nawet bez korony i królewskich szat Henryk był królem w każdym calu. Sara poczuła, że w reakcji na otaczającą go aurę królewskości budzi się w niej niezwykły szacunek. Król wolnym krokiem przechodził wokół sali, zatrzymując się przy każdym z obecnych, żeby się przywitać. Spotkania w salonie królewskim służyły temu, aby lud Anglii mógł się przekonać, że jego monarcha jest zdrowy i cały; powstrzymywało to wszelkie plotki o chorobach czy nawet śmierci władców, szerzące się bardzo łatwo w tych niespokojnych czasach.

Wielu z pałacowych dygnitarzy podążało w ślad za monarchą i Sara zirytowała się, dostrzegłszy w tej grupie Wessexa. Nie wiedziała, że diuk jest tak blisko króla i nie wiadomo z jakiego powodu odnotowanie tego faktu zaniepokoiło ją.

Kiedy wreszcie król się zbliżył, Sara zgięła się w pokłonie, który ćwiczyła przez wiele godzin. Brzeg jej krynoliny stuknął cicho o marmurową posadzkę, a biała satyna i srebrne koronki rozłożyły się wokół niej jak wachlarz. Pochyliła głowę, a jej przyozdobiony piórami kapeluszek pochylił się wraz z nią; widziała i przed nosem tylko czubki piór. Potem spojrzała w górę i ku swojemu zdziwieniu dostrzegła wyciągniętą dłoń króla, który spieszył z pomocą przy wstawianiu.

Nie liczyła na tak szczególny znak łaski. Podając mu dłoń w rękawiczce pozwoliła dźwignąć się z posadzki.

— Jak podoba się pani Londyn, lady Roxbury? — zapytał z figlarnym błyskiem w oku król Henryk.

Sara uśmiechnęła się. Nie mogła popełnić takiego niewybaczalnego nietaktu, aby odwrócić wzrok od króla i szukać za jego i plecami Wessexa, ale widziała, że diuk, gdziekolwiek był, teraz j na nią patrzy.

— Interesujące miejsce, wasza wysokość — odpowiedziała.

— Ale nie tak interesujące jak Mooncoign, prawda, lady Roxbury? — odpowiedział król, wciąż w dobrym humorze. — Musi mi pani o nim opowiedzieć.

Niemal bez zastanowienia Sara zaczęła mówić o wspaniałych łąkach Wiltshire. Król zdawał się zaszuchany w jej opowieści, aż nagle Sara zdała sobie sprawę, że trąkocze jak przekupka na rynku.

— Ale jego wysokość zapewne nie ma ochoty wysłuchiwać tego wszystkiego — zakończyła trzeźwiejąc nagle.

— *Au contraire*, to cudowna opowieść. Ale to tylko utwierdza nas w przekonaniu, że musimy zrobić nieco więcej, by zabawić panią tu, w Londynie. Może zechcesz pani zatroszczyć się o księżniczkę Stefanię, kiedy tu przybędzie, i oprowadzić ją po mieście?

— Ależ z przyjemnością, *sir* — odparła szybko Sara.

Los tej duńskiej księżniczki — wysłanej daleko od domu na podstawie traktatu politycznego i zaręczonej z księciem, który nie chciał jej przybycia — wydał jej się bardzo smutny już wtedy, gdy usłyszała o niej po raz pierwszy.

— A zatem ustalone. Księżniczce będzie bardzo miło mieć za przewodnika młodą mężatkę z nie byle jakiej rodziny. I koniecznie musicie przysłać nam zaproszenie na wasze wesele. Chętnie weźmiemy w nim udział.

— Wasza wysokość jest zbyt łaskaw — odpowiedziała automatycznie Sara. Tylko dzięki długim ćwiczeniom udało jej się zachować nie zmieniony wyraz twarzy, gdy król puścił jej dłoń i oddalił się wolnym krokiem.

Młoda mężatka? Odruchowo rozejrzała się za Wessexem, ale nie było go nigdzie w pobliżu.

## 10. KSIĄŻĘ POWODUJE ZAMĘT

Moja droga, stała się najlepsza rzecz, o jakiej mogłyśmy marzyć! Król rozmawiał z tobą prawie dziesięć minut! Sukces masz zapewniony — zachwycała się Dowager księżna Wessex.

Sara odwróciła wzrok od lustra. Knoyle właśnie poprawiała drugą już tego wieczoru uroczystą kreację markizy.

— Tak — powiedziała powoli Sara. — Też tak sędzę.

Ale ten sukces na dworze wydał jej się mało istotny. Król Henryk mówił tak, jakby jej małżeństwo było już przesądzone, a jego data ustalona — co mogła mu wobec tego odpowiedzieć?

— Biedne dziecko — powiedziała Dowager. — Chyba już jesteś gotowa. Niedługo musisz tam zejść, bo nie wiadomo, jakie plotki powstaną na temat twojej nieobecności. Ale masz jeszcze chwilę, akurat tyle, żebyś coś szybko zjadła, zanim pójdziesz powitać gości.

Bal był dokładnie taki, jakiego oczekiwała Dowager, a obawiała się Sara. Cały Londyn przybył, by ją odwiedzić, z wyjątkiem jednej osoby.

Nikt nie miał pojęcia, gdzie się podziewa diuk Wessex.

Sara tańczyła z earlem Riponem bez wielkiego entuzjazmu. Znała go tylko z opowieści. Highclere'owie byli rodziną katolicką, która od wielu pokoleń miała za złe Stuartom ich nawrócenie na wiarę anglikańską i porzucenie Starej Religii. Zajmowali wprawdzie pewną pozycję w towarzystwie, ale nawet teraz protestowali przeciwko wszelkim poczynaniom politycznym króla — od wojny na Kontynencie począwszy, a na liberalnym postępowaniu z amerykańskimi koloniami skończywszy.

Ale jeśli Dowager księżna Wessex uznała, że należy zaprosić Ripona na bal, markiza Roxbury mogła z nim ostatecznie zatańczyć. Musiała przyznać, że Ripon nie próbował poruszać tematów politycznych, uznając widocznie, że jest to spotkanie czysto towarzyskie. A jednak było w jego wzroku coś, co zdecydowanie się Sarze nie podobało... coś nieprzyjemnego i mrocznego...

Ale co to może mieć wspólnego ze mną? — zgromiła się w myślach. Wciąż była zła z powodu nieobecności Wessexa i najwyraźniej szukała ujścia dla swojego gniewu...

Melodia zbliżała się do końca i tańczący zaczęli się już rozglądać na boki w bezwiednym poszukiwaniu kolejnych partnerów. Ale zanim zabrzmiały ostatnie takty, Ripon zatrzymał Sarę w tańcu tak gwałtownie, że spojrzała nań zdumiona.

— Geoffrey — wymamrotał.

Jednak oczy zebranych nie były skierowane na młodszego brata Ripona, ale na osobę, która razem z nim wkraczała do sali balowej tak dostojnym krokiem, jakby całe to przyjęcie było wydane na jej cześć.

Oto przybył Jakub książę Walii, i to w całkiem licznym towarzystwie.

Ripon i Sara przesunęli się ku krawędzi parkietu.

Książę Walii nie był zaproszony, chociaż utarło się, że wszyscy członkowie rodziny królewskiej mają wstęp na każde spotkanie, które tylko zechcą zaszczyścić swoją obecnością. Ale zazwyczaj książę Jakub obracał się w zupełnie innym towarzystwie niż Dowager księżna Wessex, a listę uczestników tego balu układała głównie ona. Sara osobiście nie знаła nikogo ze świty otaczającej księcia, chociaż niektórych rozpoznawała na podstawie plotek. Jasnówłosy mężczyzna, na którego patrzył Ripon, był prawie na pewno jego młodszym bratem Geoffreyem. A ten obok księcia, tak ciemny jak Geoffrey jasny, musiał być lordem Drewmore, którego wyczyny zyskały sobie tak skandaliczną sławę, że nawet nie rozmawiało

się o nich w przyzwoitym towarzystwie. Kobieta przy jego ramieniu... ta, której jasne loki z pewnością nie były dziełem natury... też wydawała się Sarze znajoma.

Ależ tak, to na pewno Karolina Truelove, młoda wdowa po *sir* Arturze Truelove, który wyróżnił się, a zaraz potem zginął na polu bitwy, niecałe trzy lata temu. Młoda i piękna wdowa odbyła potem podróż przez niemal wszystkie europejskie stolicy, wydając przy okazji całe pieniądze *sir* Artura, aby wreszcie osiąść w Anglii, przy rodzinie męża. Niestety młodszy brat *sir* Artura, który odziedziczył po nim i baronię, i obowiązek opieki nad dwoma małoletnimi synami brata, nie zamierzał być tak tolerancyjny dla lady Truelove jak zmarły mąż. Pozbawiona złudzeń na szansę zwiększenia swojej wdowiej renty i nadziei na to, by pozwolono jej zabierać synów na długie wyprawy po okolicznych przyjęciach, lady Truelove poddała się wrodzonej niefrasobliwości, jak liść niesiony przez wiatr, i trafiła do kompanii, która wielce sobie ceniła wesołą zabawę i za nic miała wszelkie skandale.

Sara przypomniała sobie, że widziała niedawno lady Truelove w Mooncoign. Była jednak pewna, że Dowager nie zaprosiła jej na dzisiejszy wieczór. Lady Truelove miała na sobie suknię prosto z Paryża — zieloną, jedwabną, z głębokim dekoltem, ozdobioną wstążkami i brylantami. Wyglądała w niej znacznie mniej przyzwoicie niż tancerka w operze na scenie Covent Garden.

— Przywitałabyś lepiej swoich gości — warknął Ripon prosto w ucho Sary, a ona rzuciła mu wściekle spojrzenie.

Jak on śmie przemawiać do mnie w taki sposób! Zupełnie jakbym to ja była winna tej katastrofy!

Muzyka znów zaczęła grać, a Sara podążyła w stronę grupki otaczającej księcia. Dowager musiała widocznie nakazać muzykom, by nie przerywali. Sara była jej wdzięczna, bo towarzyszące muzyce i tańcom zamieszanie pozwalało jej ukryć emocje. Kiedy zbliżyła się do księcia, zauważyła, że następca tronu zdążył już sporo wypić. Policzki miał zaczerwienione, a oczy błyszczące i wyglądał stanowczo na zbyt pijanego, by Sara mogła być spokojna o dalszy przebieg tej nieoczekiwanej wizyty.

— Lady Roxbury — zawołał wesoło książę Walii, gdy tylko ją dostrzegł. — Cudownie, że cię widzę... a, jest też diuk Wessex! Cholernie dostojnie wyglądasz w tym mundurze, mój drogi. Ale czy nie szkoda marnować mundur dla faceta, który mógłby być za morzem, gdyby tylko zechciał, a nie chce?

Sara zaryzykowała szybkie spojrzenie w tył i za plecami zobaczyła Wessexa w tym samym galowym mundurze, który nosił na królewskich salonach. Zastanawiała się, kiedy wszedł, skoro dotąd go nie widziała. On zaś uśmiechał się, jakby to nie jego właśnie przed chwilą książę Walii nazwał tchórzem.

— W rzeczy samej, wasza wysokość — powiedział uprzejmie i zrobił krok do przodu. — Skoro jednak Jedenasty Regiment jest własnym regimentem księcia, a ten mundur księcia obraża, pozostaje tylko zmienić jego krój.

Chyba rozbawił tym dostojnego gościa, bo Jakub roześmiał się i klepnął Wessexa w ramię.

— Jak na kogoś, kto cały czas wisi na uchu mojego ojca, nie jesteś aż takim nudziarzem. Kate, przywitaj się z jego miłością.

Lady Truelove uśmiechnęła się zmysłowo do Wessexa, jak ktoś, kto doskonale wie, że może sobie na wiele pozwolić. Widząc to Sara nabrała ochoty, żeby jej przyłożyć. Nie miała pojęcia, dlaczego dotąd uważała tę kobietę za interesującą, ale mogła się założyć, że od tej pory zostanie skreślona z listy znajomych lady Roxbury.

— Jestem zaszczycona, wasza wysokość, że zechcieliście pojawić się na moim balu — powiedziała Sara przejmując kontrolę nad sytuacją.

Przy boku księcia został już tylko Geoffrey Highclere. Pozostali jego towarzysze zdążyli rozejść się w poszukiwaniu rozrywki.

— Czy wasza wysokość życzy sobie coś do picia?



— Doskonały pomysł! — rozjaśnił się w uśmiechu Jakub. Na szczęście jakieś pary wróciły już na parkiet. Sara miała nadzieję, że nieoczekiwane i hałaśliwe wejście pijanego księcia przestanie zwracać powszechną uwagę. Niestety plan zabrania kłopotliwego gościa i jego skandalicznej świty z publicznego widoku spalił na panewce. Podczas gdy Sara prowadziła księcia przez pokoje otwarte dla gości, jego głośne zachowanie ściągało na nich spojrzenia wszystkich, czego właśnie Sara starała się uniknąć.

— Czy to prawda, że powinniśmy dzisiaj wieczoru oczekiwać ważnych deklaracji, lady Roxbury? — zapytała chichocząc lady Truelove. — Niczego tak nie lubię jak możliwości życzenia komuś szczęścia.

Sara miała nadzieję, że na jej twarzy nie odmalowało się osłupienie. Lady Truelove wyglądała raczej na osobę, która cieszy się z nieszczęść znajomych. Na pewno chodziło jej o to, że podobnie jak połowa świata, oczekuje dzisiaj ogłoszenia jej zaręczyn, a może nawet daty ślubu.

— Mam już dość tego spaceru, lady — oznajmił Jakub i zatrzymał się gwałtownie. Jeden z lokajów przechodził właśnie ze szklanką szampana. Książę połknął jej zawartość, jakby to była woda i skinął, by przyniesiono więcej. Rozejrzał się i opadł ciężko na najbliższą sofę, a lady Truelove skwapliwie ulokowała się obok niego. Sara i Wessex nie mogli zrobić nic innego, jak tylko też się zatrzymać.

— Jeśli dobrze zrozumiałem, ty też masz wstąpić w związek małżeński, książę — Geoffrey Highclere wyrósł jak spod ziemi u boku Jakuba. — Z jakąś przeraźliwie nudną duńską szkapą.

Policzki Jakuba spurpurowiały; nie można było tego przypisać wyłącznie ilości alkoholu, jaką wypił.

— Niech mnie diabli, jeśli się z nią ożenię! — krzyknął z temperamentem właściwym Stuartom. Zerwał się na nogi i gniewnie rozejrzał po otaczających gościach. Nie wszyscy niestety należeli do jego osobistej świty. — Księżniczka Stefania może sobie płynąć do Anglii, a nawet do piekła, ale ja jej nie poślubię! Żaden Stuart nie będzie...

— ...sprzedany za to, co Anglia może łatwo osiągnąć na polu bitwy — dopowiedział usłużnie Highclere.

— Dokładnie, Geoffrey — odparł Jakub, zadowolony z bystrości towarzysza. — Niech Duńczycy zajmą się swoimi interesami, a brytyjski lew...

— Jeszcze wina, Wasza Wysokość? — zapytał uprzejmie Wessex.

Musi być jakiś sposób, aby to zakończyć, pomyślała z desperacją Sara. Nagle przyszedł jej do głowy znakomity pomysł.

— Panie Highclere — powiedziała szybko — proszę wyświadczyć mi przysługę i zatańczyć ze mną następny taniec.

Spojrzenie Sary zderzyło się z gniewnym wzrokiem młodego Ripona. Geofrery nie mógł jednak zignorować takiego zaproszenia. Ukłonił się uprzejmie.

— Do usług, lady Roxbury.

Mobilizując całą swoją pomysłowość, Sara utrzymała przy sobie Geoffreya Highclere'a przez następny kwadrans, chociaż w jego obecności czuła się zdecydowanie źle. Z wielką ulgą powitała widok powracającego do sali balowej Wessexu. Mogła wreszcie pozwolić swojemu zniecierpliwionemu partnerowi odprowadzić się do krzesła. Gdy tylko tam się znalazła, Highclere wybiegł w pośpiechu z sali. Wessex przyglądał się temu z zimnym uśmiechem.

Sara zaniepokojona wstała.

— Niech sobie idzie, lady Roxbury — uspokoił ją Wessex. — Z przykrością oznajmiam, że książę opuścił twoje przyjęcie i udał się gdzie indziej. Mam nadzieję, że pan Highclere nieprędko go znajdzie.

— Dzięki niebiosom — powiedziała z ulgą Sara. Rozłożyła wachlarz i pomachała nim energicznie, bardziej aby ukryć miotające nią uczucia, niż w celu ochłody. Rozejrzała się dyskretnie, poszukując wzrokiem lorda Ripona. Starszego brata Geoffreya, ku swej radości, również nigdzie nie mogła dostrzec.

— Na razie sprawa się wyjaśniła — powiedział Wessex. — Niestety nieprzemyślane słowa księcia będą znane całemu Londynowi jeszcze przed świtem, a to spowoduje... Lady Roxbury, czy mógłbym zamienić z tobą kilka słów na osobności?

Sara spojrzała na niego spode łba. Zastanawiała się gorączkowo, w jaki sposób, u diabła, uniknąć tej rozmowy. Tylko głupiec by się nie domyślił, o czym chce rozmawiać Wessex, a dyskusji na ten temat Sara wolałaby uniknąć. Patrzyła na diuka z wahaniem, a on nieoczekiwanie uśmiechnął się szeroko.

— Tak, wiem, że bardzo ci to nie w smak i że masz ochotę posłać mnie do wszystkich diabłów. Ale żadne z nas nie może sobie pozwolić, by zachowywać się zgodnie z własnymi życzeniami, jeśli więc wasza dostojność wyświadczy mi ten honor...

Podsunał jej ramię, a Sara, jakby nie mogła się oprzeć sile jego osobowości, pozwoliła bezwiednie poprowadzić się przez salę balową.

Chociaż, o ile wiedziała, Wessex nigdy nie był w tym domu, zdawał się znać rozkład pokoiów lepiej niż ona sama. Już po chwili znaleźli się na wąskiej klatce schodowej, prowadzącej do prywatnego saloniku Sary na pierwszym piętrze. Wessex prawie wepchnął ją do pokoju i zamknął za nimi drzwi.

— Chciałeś ze mną mówić... wasza miłość? — Znów na moment poczuła pustkę w głowie; umknęła jej właściwa forma tytułu diuka, którą przecież lady Roxbury musiała znać niemal od kołyski. Trwało to bardzo krótko i Sara wątpiła, by Wessex coś zauważył. Przemierzyła pokój i usiadła w wygodnym fotelu naprzeciw kominka. Mimo płonącego w nim ognia dygotała lekko. Teraz, gdy nie było świadków, twarz Wessexa przybrała wyraz powagi, jakby musiał spełnić bolesny obowiązek. Sara wiedziała, jaki to obowiązek.

— Wasza miłość... — zaczęła.

— Nic nie mów! — przerwał jej ostro Wessex. — Są pewne rzeczy, o których nie wiesz, i dzisiaj właśnie powinnaś się o nich dowiedzieć. Księżę Jakub od jakiegoś czasu, mimo wysiłków króla, otacza się ludźmi, którzy, mówiąc ogólnie, wciąż żałują odsunięcia od władzy młodszego brata Karola II — katolika, także Jakuba. Z jednym z głównych architektów tej partii tańczyłaś pani dziś wieczorem. Earl Ripon jest jednym z tych, którzy uważają, że Anglia powinna stać po stronie katolickich królestw Europy i porzucić politykę tolerancji i postępu. — Wessex patrzył przez chwilę w zamyśleniu w ogień kominka, zanim przemówił znowu.

— Małżeństwo księcia z księżniczką z domu Schleswig–Holstein–Sonderberg–Glücksborg będzie bardzo poważnym ciosem dla ich planów. Jak mogłaś pani zaobserwować, stronnicy Ripona robią wszystko co w ich mocy, by zniechęcić Jakuba do małżeństwa, które zaplanował dla niego ojciec. Niewielu ludzi jednak wie, że Ripon ma własną kandydatkę na księżnę Walii — swoją młodą siostrzenicę, która została bardzo dokładnie przygotowana do odegrania roli w tych machinacjach. Ripon zamierza wplątać Jakuba w związek z tą dziewczyną, aby księżę nie mógł się już wycofać. Spowodowałoby to skandal tak wielki, że duński księżę regent wycofa się zarówno z małżeństwa siostry, jak i z traktatu wojskowego.

— Rozumiem. — Ręka Sary bezwiednie powędrowała do pierścienia ojca, zawieszzonego pod suknią.

— Wątpię, abyś rozumiała wszystko, lady Roxbury. Jeśli duńskie małżeństwo nie dojdzie do skutku, Anglia straci ważnego sojusznika. A jeśli księżę Jakub poślubi siostrzenicę Ripona, Ripon uzyska takie wpływy na dworze, że może osiągnąć swój cel główny: wycofanie Anglii z Trójprzymierza i zmuszenie jej do zawarcia odrębnego pokoju z Bonapartem.

— Ale... ale to niemożliwe. Siostrzenica Ripona musi być katoliczką.

— I sądzisz, że taki mariaż nie jest możliwy wobec Aktu o Sukcesji — dokończył Wessex.  
— Uwierz mi, *madame*: jeśli Ripon przeprowadzi swój plan, król będzie musiał zgodzić się na małżeństwo albo tronem wstrząśnie taki skandal, że królestwo niełatwo wróci do równowagi.

— A earl wygra i tak, i tak — dokończyła Sara. Zaczynała powoli rozumieć polityczną intrygę, którą przedstawiał jej Wessex. — On chce zakończyć przymierze, a jeśli w Anglii będzie takie zamieszanie...

— Nasi ukochani sojusznicy pognają z powrotem jak spłoszone konie — zgodził się Wessex.

Patrzył w ogień nieobecny spojrzeniem. Dopiero po chwili odezwał się, jakby sam do siebie.

— Do tego nie można dopuścić. Gdyby ktoś obudził w Jakubie poczucie odpowiedzialności, gdyby on przestał zadawać się z bratem Ripona... ale nade wszystko gdyby księżniczka Stefania zdobyła sympatię angielskiego ludu, nacisk opinii publicznej zmusiłby księcia do właściwego zachowania.

Wessex wziął głęboki oddech.

— W obliczu niechęci księcia Jakuba księżniczka będzie potrzebowała przyjaciół i mentorów. Ty, lady Roxbury, nie możesz być jej przewodnikiem po towarzystwie, bo jesteś niezamężna. Ja też nie będę mógł się do niej zbliżyć bez... załatwienia przedtem pewnej delikatnej sprawy pomiędzy nami.

Wessex zamilkł, a Sara wbrew woli zastanowiła się nad jego słowami. Nie dbała zupełnie o Ripona, ale o księciu Jakubie pomyślała nagle jak starsza siostra o bracie, który pakuje się w kłopoty. Księżniczki Stefanii nie znała w ogóle, ale gdy myślała o tej młodej, samotnej kobiecie odbywającej daleką podróż do nieznanego kraju, czuła do niej niewytłumaczalną sympatię. Uważała, że powinna zrobić co w jej mocy, aby ta duńska księżniczka znalazła szczęście w Anglii i w małżeństwie.

Małżeństwo. A więc ostatecznie wszystko do tego się sprowadza. Małżeństwo i diuk Wessex. Sara nie wątpiła, że diuk mówi prawdę — że bez tego małżeństwa nie będzie mogła pomóc ani księżniczce, ani księciu. Czy o to chodziło tej istocie, którą spotkała w nocy w Mooncoign? Czy dlatego Sara usłyszała wtedy, że musi stać się częścią tego świata albo umrze?

— Więc chcesz, abym cię poślubiła? — zapytała.

Ze słów Wessexa wynikało, że traktuje to jako czystą formalność, coś, co musi być załatwione z uwagi na znacznie ważniejszy cel. A król Henryk też życzył sobie tego ślubu, chociaż Wessex nie podchodził do niego z entuzjazmem.

— Tak — odparł sucho diuk.

Z trudem zmusił się do wygłoszenia tej przemowy, która miała w końcu doprowadzić do ich małżeństwa. Należało chyba podziękować earlowi Riponowi za spowodowanie incydentu, który był doskonałą ilustracją do tej historii. W pewnym sensie Wessex zacznie teraz niemal jawnie brać udział w walce z wrogami Anglii. W końcu wraz z żoną staną na czele tej części towarzystwa, która będzie przeciwdziałać izolacjonistycznym planom Ripona. Nie wymagano zresztą od niego nic, co by przerastało jego możliwości. Po prostu jeszcze jedna maskarada, jeszcze jedna rola do zagrania, a lady Roxbury była po prostu kolejnym partnerem w Grze Cienia. A więc teraz wciągamy w to także ją, pomyślał diuk.

— Dobrze — powiedziała Sara wzruszając ramionami, aby podkreślić, jak mało istotna jest to dla niej kwestia.

Wessex poczuł coś na kształt ulgi. Markiza najwyraźniej przejmowała się tym wszystkim jeszcze mniej niż on. Perspektywa małżeństwa nie wzruszyła jej dostojności w najmniejszym stopniu. Może zatem polubi też Grę Cienia?

Diuk przypomniał sobie o najważniejszym. Zdjął rękawiczkę, a potem pierścień, który ze względów bezpieczeństwa nosił na małym palcu. Galowy mundur regimentu książęcego nie miał zbyt wielu kieszeni..

Wyciągnął rękę z pierścieniem ku przyszłej małżonce.

— Pewnie chciałabyś dostać także to — odezwał się. — Tak każe tradycja.

W palcach diuka lśniła gruba złota obrączka. Sara wzięła pierścień z taką ostrożnością, jakby podawano jej zatrutą czekoladkę. Był stary, wytarty przez upływ czasu. Przedstawiał salamandrę w płomieniach — ogon płaza otaczał palec, błyszcząc czerwienią ognia i malutkimi żółtymi brylancikami, które imitowały iskry. Ciało salamandry ozdabiały łuski z pereł i rubinowe, płomienie. Głowę tworzył duży diament; zamigotał w blasku świeczki, gdy Sara obróciła pierścień w palcach.

Zaręczynowy pierścień. Przecież zgodziła się poślubić diuka. A jednak nie mogła się zmusić, by wsunąć klejnot na palec.

Weessex złapał ją za lewą dłoń. Wciąż nosiła klejnoty założone na ceremonię prezentacji. Diuk ściągnął jej z palca duży pierścień z brylantem i wsunął na to miejsce salamandrę w płomieniach.

Stało się! — jęknął głos w głębi jej umysłu. Pomimo wszelkich możliwych przeszkód. Patrzyła na złocistą salamandrę otaczającą jej palec, jakby ta mała istota miała zaraz przemówić.

— Co mam teraz robić? — zapytała drewnianym głosem.

— Myślę — odparł ponuro Wessex — że najlepiej będzie ogłosić to radosne wydarzenie i dać twoim gościom dobry temat do rozmów na resztę wieczoru.

## 11. WŁASNOŚĆ PANI

Ostatecznie okazało się, że zaręczyny wcale dużo nie zmieniły. Ot, zwykły pobyt w Londynie. A ludzie i tak wiedzieli, co myśleć o markizie Roxbury. Wprawdzie plotkowano wokół, że diuk kupuje używany towar, ale Sara nie czuła się na tyle związana uczuciowo z tym nieznośnym człowiekiem, aby przejmować się jego reputacją. W ciągu dwóch tygodni od zaręczyn nie udało jej się pozbyć uciążliwych bólów głowy. W końcu musiała uczciwie przyznać się przed sobą, że jej chwilowe luki w pamięci nie są tak niewinne, jak próbowała to sobie tłumaczyć.

Choćby nie wiadomo jak bardzo się wysilała, nie mogła sobie przypomnieć niczego, co się zdarzyło, zanim obudziła się po wypadku u pani Bulford. Mooncoign, gdzie przecież podobno dorastała, było dla niej tak samo nieznane jak Londyn. Z kręgu swoich przyjaciół Sara nie pamiętała ani jednej osoby, z którą wcześniej by się spotkała. Przeczytała uważnie pamiętniki markizy i zupełnie nie potrafiła sobie wyobrazić, by sama napisała coś takiego. Nawet nie podobała się jej ta kobieta, która wyłaniała się z tych zapisanych stron — pusta i arogancka. Sara nie umiała nawet się wstydzić za swoje poprzednie zachowanie; nie mogła w żaden sposób zmusić się do uwierzenia, że ta kobieta z pamiętnika w czerwonych okładkach miała z nią cokolwiek wspólnego. Czy taką właśnie kobietę chciał poślubić ten zarozumiały diuk Wessex? To i tak nie ma znaczenia, pomyślała z rezygnacją; przecież Weesex wyraźnie dał jej do zrozumienia, że żeni się z nią z obowiązku.

Nie będzie więc o tym myśleć. Wystarczy, że robi co może dla Korony. Jej rodzina zawsze służyła Stuartom...

Klacz, na której siedziała, potknęła się nagle, co przywróciło Sarę do rzeczywistości. Jej życie osobiste było mocno poplątane, ale przecież i tak miała za co dziękować losowi.

Maj ustąpił miejsca czerwcowi i przy coraz cieplejszej pogodzie Sara każdego poranka zażywała cudownej konnej przejażdżki. Zgodnie z jej poleceniem służba czekała na nią przed parkową bramą. W pięknym, lesistym Green Parku zdołała na chwilę zapomnieć, że oto jeszcze jedno miejsce, którego nie pamięta, choć powinna.

O tej porze dnia park był także doskonałym miejscem na spotkanie z kimś, kto nie chciał być widziany przez wielu świadków.

Po kilku minutach truchtu Sara dojechała do małej polanki wśród drzew, przy samej dróżce. Strzegła jej statuetka Apollina. Każdy, kto chciałby się ukryć między tymi drzewkami, był doskonale widoczny dla ludzi spacerujących dróżką. Modny Londyn wybierał się na przejażdżki po południu, a na razie poranne słońce dopiero złociło dachy Piccadilly. W oddali błyszczała złotem kopuła katedry. Sara zatrzymała się na polance, obróciła klacz z powrotem w kierunku dróżki i czekała.

Już niebawem usłyszała tętent kopyt i jej oczom ukazała się Meriel Bulleyn.

Panna Bulleyn miała na sobie ładny i bardzo modny kostium, skrojony na wzór huzarskiego munduru, z podwójnym rzędem srebrnych guzików, które błyszczały z daleka na tle nieskazitelnej czerni żakietu. Woalka opuszczona na twarz miała zapewnić dziewczynie anonimowość; za to koń, na którym jechała, stawiał te zamiary pod znakiem zapytania. Miał sierść tak absolutnie czarną jak włosy panny Bulleyn, z wyjątkiem srebrnej plamki na samym środku czoła, która wyglądała jak ślad po pocałunku wróżki. Gdy Meriel zatrzymała go ściągając wodze, zatańczył na tylnych nogach, okazując wyraźne niezadowolenie, że musi skończyć bieg.

Sara zastanawiała się często, jak to jest: dlaczego wuj Meriel podarował jej wierzchowca, jakiego trudno byłoby znaleźć nawet w królewskich stajniach, a jednocześnie trzymają z dala od towarzystwa.

— Dzień dobry — zawołała panna Bulleyn.

Sara wiedziała, że służący Meriel czeka za zakrętem dróżki. Musiał być bardziej lojalny wobec panny Bulleyn niż wobec wuja Richarda; może zresztą ten ostami nic widział nic niewłaściwego w tych porannych spotkaniach.

— Co u ciebie słyhać? — zapytała Meriel odrzucając woalkę.

— Mam dość tych przygotowań do ślubu. Dowager twierdzi, że mój narzeczony też jest w podłym humorze, bo zamierza kupić dla nas dom. Dyer House jest o wiele za mały, poza tym Dowager mieszka w nim już od trzech lat, a przecież jej nie wyrzucimy. Nie mogę sobie też wyobrazić, żeby dom na West Endzie, który proponuje Wessex, był gotowy do czasu naszego ślubu. — Kiedy teraz opowiadała o tych kłopotach, poczuła, jakie są w gruncie rzeczy błaha. Wrócił jej dobry humor i uśmiechnęła się.

Meriel odpowiedziała głośnym śmiechem.

— Będzie musiał przywyknąć do pewnych niewygód. I do krótkich cugli, bo do tego musi przywyknąć każdy mąż. A ty nie masz własnego domu?

— Mam, oczywiście — odparła Sara. — Musisz go koniecznie zobaczyć, Meriel. Naprawdę boli mnie serce, że z moją najlepszą przyjaciółką musimy się chować po krzakach. Mam być księżną Wessex, przyjaciółką króla, więc twój wuj nie powinien mieć nic przeciwko naszym spotkaniom.

— On... on jest bardzo zadowolony, że się poznałyśmy, ale... nie prosz mnie o wyjaśnienia. Wiele bym dała, aby uczestniczyć w tych przyjęciach, o których mi opowiadałaś, ale nie mogę. Jeszcze nie — westchnęła Meriel.

— Jeszcze? — Sara nie mogła powstrzymać ciekawości. Kiedy jednak zauważyła zmieszanie na twarzy Meriel, uznała, że musi trochę poczekać. — No dobrze, dajmy spokój. Nie zamierzam cię wypytywać.

— Jesteś dla mnie taka dobra — powiedziała jej przyjaciółka cicho. — Gdybyś wiedziała, kim naprawdę jestem, nie byłabyś taka miła.

— Choćbyś nawet była samym diabłem, i tak nie przestanę cię kochać — stwierdziła z przekonaniem Sara. — Ruszajmy. Dobry galop wyleczy każdą depresję!

Data ślubu zbliżała się coraz bardziej, a diuk Wessex oczekiwał jej z takim mniej więcej fatalizmem jak dnia egzekucji. Miało się to wydarzyć bez względu na wszystko, więc najlepiej było do tego czasu zajmować się wszystkim, co rozprasza ponure myśli.

Wessex odwiedzał zatem regularnie ulubione kluby, spędzał sporo czasu w koszarach Gwardii, trenował boks i szermierkę i jeździł konno po Hyde Parku. Rzadko widywał swoją narzeczoną (co zresztą mu odpowiadało), ale miał o niej stałe wieści od wspólnych znajomych. Miejskie rozrywki wciągały, Wessex pozwolił więc po prostu dać się wciągnąć. Co kilka dni znajdował jednak chwilę, by zatrzymać się przy pewnym budynku na Bond Street. Dopiero tego popołudnia dowiedział się, że Lord Misbourne go oczekuje.

Wessex zmiął kartkę papieru i położył ją na srebrnej tacy trzymanej przez Charterisa. Lokaj uklonił się i odszedł, by wrzucić zgnieciony papier do zamkniętego pieca, gdzie ładowały wszystkie niepotrzebne dokumenty Białej Wieży.

Diuk rozejrzał się po pokoju, który wyglądał jak biblioteka w normalnym klubie. Kilka siedzących tam osób nawet nie uniosło głów znad papierów. Dwóch z obecnych Wessex znał z nazwiska, trzeci był mu zupełnie obcy, ale w tych ścianach wszyscy byli sobie równi i wszyscy jednakowo anonimowi.

Westchnął. Nie można było nic zrobić, aby opóźnić ten moment, ani też by dowiedzieć się wcześniej, czego chce od niego Misbourne. Wyszedł z pokoju i skierował się korytarzem do obitych skórą drzwi gabinetu Misbourne'a.

— Ona spotyka się z siostrzenicą Ripona niemal codziennie. W Green Parku — powiedział lord Misbourne, gdy tylko diuk stanął w progu.

Wessex zamrugał, zaskoczony tym dość niekonwencjonalnym powitaniem. Misbourne majaczył w półmroku pokoju niczym bestia z morskich głębin, wyciągnięta na powierzchnię w rybackiej sieci.

— Dobry wieczór, lordzie Misbourne — odpowiedział uprzejmie Wessex. Od razu domyślił się, o kogo chodzi Misbourne'owi. — Mówi pan o lady Roxbury?

— Stała się bardzo bliską przyjaciółką tej latorośli Ripona — potwierdził Misbourne wpatrując się badawczo w Wessexa. bezbarwnymi oczami.

— To nie moja wina — mruknął Wessex. — Ja tylko żenię się z tą kobietą.

— I dlatego jej życie towarzyskie wcale cię nie obchodzi. Ale jej motywów powinny — napomniął go Misbourne.

Wessex zmarszczył brwi. Nagle zdał sobie sprawę, jak niewiele wie o charakterze swojej narzeczonej. Z jednej strony wiedział, że należy do Ligi Boscobel, ale tym sekretem nie mógł się podzielić nawet z Misbourne'em, więc teraz nie miało to znaczenia. Zresztą uczestnictwo markizy w Lidze nie wykluczało konszachtów z siostrzenicą Ripona, zwłaszcza jeśli Roxbury toczyła jakąś tajemniczą grę z polecenia króla.

— Może być wiele prawdopodobnych motywów — powiedział diuk, co zresztą było prawdą. — A co robi Ripon?

— Nic — odpowiedział po prostu Misbourne. — Trzyma swoją siostrzenicę pod korcem, wygląda na to, że ukrywa ją przed towarzystwem. Mała nie chodzi nigdzie i nie spotyka się z nikim... z wyjątkiem lady Roxbury.

— Interesujące — odparł Wessex ze spokojem, którego wcale nie odczuwał. Miał wielką ochotę dopaść markizy i potrząsać nią tak długo, aż wydobędzie odpowiedź. Sądził, że może jej ufać... że nie musi zaprzętać sobie nią głowy. A tu coś takiego... Zdał sobie nagle sprawę, że Misbourne uważnie go obserwuje.

— Są jakieś wieści z Danii? — zapytał.

— Nic więcej, niż oczekiwaliśmy — odparł Misbourne. — Kościuszko informuje, że nadal planują podróż na koniec lipca, kiedy morze jest najspokojniejsze. Książę regent wciąż próbuje zmienić traktat, aby Duńczycy nie musieli nic robić, a *sir* John, stary lis, kontruje go umiejętnie.

Wessex uśmiechnął się lekko. W politycznych kręgach *sir* John nosił przydomek „Małego buldoga” z powodu swojej nieustępliwości.

— Powinniśmy raczej martwić się przyjęciem księżniczki tu, na miejscu. Nieodpowiedzialne wybryki księcia Jakuba powtarzają się coraz częściej i mówi się, że nie do uniknięcia jest otwarty konflikt między księciem a jego ojcem.

Taki rozłam w ich stosunkach dałby Jakubowi okazję sformowania własnej partii. Zresztą na pewno zrobiłby to dla niego Ripon. Przynajmniej na razie nie kusił księcia swoją siostrzenicą. Wessex był pewien, że o tak katastrofalnym obrocie sprawy Misbourne by mu wspomniął.

Piękna kotka Ripona spędza na razie czas z narzeczoną Wessexa.

— Być może uda mi się wpłynąć na markizę — powiedział powoli Wessex — a przynajmniej zwrócić jej uwagę na pewne fakty. Wątpię, żeby posłuchała moich rad, ale jeśli będę się sprzeciwiał jej kontaktom z siostrzenicą Ripona, sprawa może nabrać rozgłosu, a tego Ripon zdaje się bardzo pragnie uniknąć.

Misbourne przyglądał się Wessexowi przez dłuższą chwilę przezroczyście jak szkło oczami.

— Nic nie rób — powiedział w końcu. — Lisica opuściła norę. Zobaczmy, dokąd pobiegnie.

## 12. MAŁŻEŃSTWO SILNYCH LUDZI

Piętnastego lipca tysiąc osiemset piątego roku, w Kaplicy Królewskiej pałacu St. James, kapitan Rupert St. Ives Dyer diuk Wessex zawarł święty związek małżeński z Sara Marią Eloizą Arkadią Dowsabelle Conyngham, markizą Roxbury. Pan młody był ubrany stosownie do okoliczności — w szarą kamizelkę, piaskowej barwy bryczesy i ciemnogrnatowy frak. Panna młoda błyszczała srebrem. Król osobiście poprowadził Sarę do ołtarza, bo markiza była sierotą i wobec prawa właśnie Karol II był jej opiekunem.

Przyjęcie weselne należało raczej do skromnych. W Heriard House, u markizy, nakryto stoły na sto pięćdziesiąt osób. Mała armia kucharzy przyrządziła wszelkie możliwe przysmaki, aby zaspokoić wybredne gusta gości. Same tylko galaretki i lody serwowano w całej tęczy barw i smaków. Miała to być przecież wesoła uroczystość. Diuk Wessex żałował trochę, że nie może w niej wziąć udziału Kościuszko; w gruncie rzeczy wolałby, żeby Kościuszko był teraz na jego miejscu, bo on sam chętnie uciekłby stąd do wszystkich diabłów.

To okropny błąd. Mimo wyraźnego życzenia babki, a nawet samego monarchy, Wessex nie powinien był poślubić Roxbury. Wiedział to doskonale już od momentu, gdy wkroczył do kaplicy i zobaczył postać stojącą przy ołtarzu — obsypana klejnotami zjawa, przywodząca na myśl posąg ze stali i lodu. Dziewczyna wyglądała na tak przerażoną, jakby zaraz miała się odbyć jej egzekucja. Wessex, który czuł się podobnie, uśmiechnął się nawet, by dodać jej odwagi. Nie wiedział, czy to zauważyła.

Potem zaczęła się ceremonia. Każde padające podczas niej słowo diuk odczuwał jak uderzenie młota, przypieczętowujące nieodwołalność tego, co się dzieje. Kiedy zostaną połączeni węzłem małżeńskim, tylko specjalna uchwała Parlamentu będzie mogła ich rozdzielić.

Ale skoro już się zaczęło, było za późno na jakiegokolwiek kroki. Stało się. Wessex pocałował żonę w lodowate usta. Na szczęście Sara nie miała okazji powiedzieć mu, co o tym myśli. Nie wtedy, kiedy wszyscy w zamieszaniu wychodzili z kościoła, a potem wsiadali do powozów wiozących ich na przyjęcie. Potem zaś Wessex zadbał o to, aby nie mogła się do niego zbliżyć na osobności. Tę noc szczęśliwa młoda para miała spędzić w Dyer House, jak wiele pokoleń diuków i ich małżonek przed nimi. I tylko Wessex wiedział, że stanie się to pierwszy i ostatni raz. Na razie jednak płynęły strumienie szampana, w których można by utopić całą Gwardię Królewską. Wessex w każdym razie nie zamierzał się przed tym bronić.

Nawet jeśli nie udało mu się upić do końca, przynajmniej znieczulił się na tyle, że nie przeszkadzały mu wznoszone przez gości życzenia i toasty. Chyba nawet uśmiechnął się do oblubienicy.

Wessex wiele razy zabijał w służbie króla i kraju, ale nigdy nie sprawiało mu to przyjemności. Teraz też jej nie odczuwał, rujnując życie tej kobiety, która właśnie poślubiła szpiega — czyli najnikczemniejszego z nikczemnych. Jeśli kiedykolwiek wyjdzie na jaw działalność diuka dla Białej Wieży, nie czeka go wieniec laurowy, tylko wieczna hańba dla całej rodziny, której członek parał się tym odrażającym zajęciem. Jakby tego było mało, nieszczęśliwa markiza poślubiła dziś człowieka, który nie życzył sobie kontynuacji swojego rodu. Mogłaby uzyskać unieważnienie związku, gdyby to udowodniła (i gdyby Wessex narobił sobie wystarczająco wielu wrogów w określonych sferach). Za parę lat mogłoby to być odpowiednim wyjściem z sytuacji, ale na razie skandal okazałby się zabójczy.

Świeżo poślubiony małżonek może także zginąć...

Wessex nagle poczuł się lepiej. Ta możliwość do tej pory nie przyszła mu do głowy, ale przy jego zajęciu była wielce prawdopodobna. Jeśli zginie, jego wstydlivy sekret odejdzie wraz z nim, wdowa po nim będzie mogła znów dobrze wyjść za mąż, a jego babka nigdy się



nie dowie, jakim potworem był naprawdę jej wnuk. Pod wpływem sporej ilości szampana Wessex nabral pewności, że jego śmierć na służbie jest najlepszym rozwiązaniem wszelkich problemów i najlepszym wyjściem z sytuacji, w jakiej się znalazł.

Będzie musiał to zaaranżować. Kiedy tylko Jakub szczęśliwie się ożeni i zostanie podpisany ten przeklęty traktat...

Ale najpierw musi coś zrobić ze swoją nocą poślubną.

Sara, od dzisiaj księżna Wessex, siedziała bez ruchu na małżeńskim łożu, w pozycji, w jakiej na nie opadła, i tępym wzrokiem przyglądała się drgającej jeszcze kotarze, którą przed momentem opuściła Knoyle. Mdle światło ze stojącego na stole lichterza prześwitywało przez delikatną tkaninę, pozostawiając jasną smużkę w miejscu, gdzie jedwab nie został zasunięty do końca. Kiedy ucichły kroki pokojówki, do uszu Sary dotarły odległe odgłosy usypiającego Dyer House. Nie słyszała jednak wśród nich kroków męża, wchodzącego po schodach, by dołączyć do oblubienicy. Pewna, że Knoyle już nie wróci, Sara odsłoniła kotary przy łożu i wstała. Jej kaszmirowy szeroki szal leżał na oparciu stojącego obok krzesła. Wzięła go, by otulić nagie ramiona. Pokoje w Dyer House były maleńkie. Chociaż ta sypialnia była jedną z większych, jej sufit, udekorowany wspaniałym wizerunkiem katedry św. Pawła w otoczeniu aniołów, opadał ku oknu w tylnej ścianie pod ostrym kątem. Sara musiała schylić głowę, żeby tam się dostać. Staroświeckie ramy otwierały się w dość skomplikowany sposób, jednak po chwili Sara otworzyła okno i wychyliła się na zewnątrz.

Nocne powietrze było ciężkie od wilgoci rzeki, a znad Tamizy unosiła się mgła. Kłębiła się wokół budynku i zasłaniała widok. Było bardzo późno. Księżyc w pełni wisiał na niebie okrągły i błyszczący, a jego światło, przebijające się przez opary mgły, zmieniało kształty znanego świata w niesamowity, obcy krajobraz. Za wąskim oknem, które wychodziło na ciemny przydomowy ogródek, słychać było Londyn, oczekujący odległego jeszcze świtu. Sara słyszała dalekie dudnienie końskich kopyt na bruku, słabe odbijające się echem krzyki rybaków na Tamizie...

Gdzie się podział Wessex?

Zupełnie nieoczekiwanie Sara poczuła się porzucona. Nieważne, czy czuła jakikolwiek pociąg do męża. Z pewnością nie wchodziły tu w grę uczucia. Przecież Wessex każdym słowem i gestem dawał jej do zrozumienia, że ich małżeństwo jest wyłącznie kwestią obowiązku, królewskiego polecenia. Cóż, to nie to samo, co być panną młodą, pozostawioną samą w noc poślubną.

A jeśli w ogóle nie ma zamiaru się pojawić?

Tym lepiej, stwierdziła stanowczo. Chociaż jeszcze lepiej by było, gdyby powiedział jej to od razu. Nie musiałyby wtedy czekać, obawiając się, że w każdej chwili do jej sypialni może wtargnąć ktoś obcy. Bo tak właśnie jego miłość Wessex już raz zachował się wobec byłej Sary Cunningham z Baltimore...

Ale ona była zawsze Sarą Conyngham, markizą Roxbury. Lady Roxbury. Była panią na Mooncoign, które miało należeć do niej i do jej córek tak długo, jak dotrzymana była przysięga...

To Roxbury złożyła przysięgę, nie ja. Ja nie byłam związana z tą ziemią...

Sara ścisnęła oburącz bolące skronie. Napłynęła nowa fala zmęczenia. Ten dzień zaczął się dla niej przed świtem, a teraz dochodziła pomoc. Była zmęczona jak chyba nigdy w życiu, a nie mogła zażyć zwykłej wieczornej porcji wzmacniającego kordiału, bo w całym tym przedślubnym zamieszaniu butelka została w jej sypialni w Heriard House. Nic więc dziwnego, że ma w głowie taki chaos. Przecież nawet nie bardzo wie, kim jest i gdzie teraz powinna być.

Lekki podmuch zachybotał płomieniem świeczki. Wizerunek katedry na suficie nagle wydał się większy i drżący, jakby w każdej chwili mógł się zmienić w zupełnie inny obraz.

Sara jęknęła, zamknęła oczy i oparła głowę na chłodnym parapecie. Bardzo niewiele jadła podczas wielogodzinnego weselnego przyjęcia; wypła tylko kilka kieliszków przemyconego francuskiego szampana, aby przejść przez to wszystko. Nic dziwnego, że źle się czuła.

Odeszła od okna i usiadła na krześle podciągając nogi, by nie dotykać zimnej podłogi. Siedziała tak owinięta kaszmirowym szalem i rozmyślała nad wszystkim, co ją ostatnio spotkało. Jeśli diuka nie było tutaj — nieważne dlaczego — to gdzie był? Straciła z nim kontakt pod koniec zabawy w Heriard House, ale dobrze wiedział, że będzie spała tutaj, w Dyer House. Sam na to nalegał. Widocznie miłość własna nie pozwalała mu zaczynać małżeństwa w domu żony. Wtedy jeszcze paliły się latarnie, a Sara z ochotą pojechała do Dyer House, licząc, że tu wreszcie odpocznie. Oczywiście przypuszczała, że Wessex natychmiast podąży za nią — ten człowiek był zlepkim zasad i obowiązków, więc powinien zachować się dokładnie tak, jak w danej sytuacji dyktują zwyczaje.

Tym razem jednak tak się nie stało.

Godziny mijały i Sara spróbowała rozczesać wymyślną fryzurę panny młodej. Wessex wciąż nie przybywał, a ona jakoś nie mogła się zmusić, by zapytać Dowager, gdzie podziewa się jej wnuk, a mąż Sary.

Poczuła nawrót bólu głowy, osłabienia i poczucia nierzeczywistości. Wessex na pewno nie pojawi się w najbliższym czasie. W ogóle nie pojawi się tej nocy. Sara była przekonana, że Langley dawno już zamknął zewnętrzne drzwi, więc jeśli diuk nie zaryzykuje wspinaczki na drugie piętro do okna jej sypialni, będzie musiał spędzić tę noc na ulicy. Czego zresztą szczerze życzyła mu jego żona. Świeczka wypaliła się już do połowy; Sara westchnęła wreszcie z rezygnacją i wsunęła się zmarznięta do łóżka. Dlaczego się nie zjawił? To on nalegał na to małżeństwo, on ofiarował jej pierścień i swoje nazwisko... dlaczego więc tak ją upokarza? Dlaczego?

Pokój o różowych ścianach był pełen luster i świec. Rozstawiono tu gęsto stoły nakryte białym płótnem, od którego wyraźnie odcinały się kolorowe koszulki kart i stopy złotych gwinei. Całe fortuny zmieniały tu właścicieli za jednym rozdaniem, a mężczyźni, którzy zniszczyli przez to miejsce swoje rodziny, opuszczali je, by zakończyć życie w nurtach Tamizy lub w zaciszu prywatnej biblioteki. Pokój zostawał taki sam.

Ten przybytek hazardu nosił nazwę „U Gavina”. Siedzący w rogu mężczyzna przebywał w nim już od północy. Obok jego łokcia stała pusta butelka po whisky. Był jednym z niewielu obecnych, którzy nie zmienili eleganckiego stroju na oferowane przez klub lniane bluzy. Było już dobrze po czwartej, za oknem szarzało, a on wciąż siedział w tym samym miejscu. Grał mechanicznie i obstawiał tak desperacko, jakby od tej gry zależało całe jego życie. A jednak, ku zdziwieniu wszystkich przyglądających się grze, jego miłość Wessex wygrywał nieustannie, odkąd zasiadł do gry.

Bystry służący bezszelestnie zabrał pustą butelkę i zamienił ją na pełną. Jego miłość zdawał się tego nie zauważać.

„U Gavina” był jednym z wielu klubów, do których należał Wessex i bynajmniej nie pierwszym, który odwiedził, odkąd kilka godzin temu opuścił Heriard House. Jego pierwszym celem był prywatny apartament, dokąd mógł się łatwo wymknąć zarówno gościom, jak i świeżo poślubionej żonie. Tam Wessex zmienił weselne ubranie na coś mniej rzucającego się w oczy, a kiedy już to zrobił, uznał, że lepiej poszukać rozrywki wśród anonimowych bywalców klubów niż w ramionach żony. W końcu trafił i do Gavina.

Klub Gavina był wyjątkowy pod wieloma względami; wystarczy wspomnieć, że wpuszczali tu także kobiety i cudzoziemców.

Właścicielem tego przybytku, przynajmniej nominalnie, był Irlandczyk O'Donnell — postać na tyle podejrzana, że niewielu członków tego klubu przyjęłoby go w przedpokoju swojego domu. Mówiono, że O'Donnell zabił kiedyś człowieka jednym uderzeniem pięści,

choć nikt nie wiedział dokładnie, kiedy i gdzie właściwie miało miejsce to interesujące zdarzenie. Nikt, oprócz diuka Wessexa, który miał własne źródła wiadomości o wielu interesujących rzeczach. Mówiło się także, że O'Donnell miał w tym interesie partnera — kobietę, ale nikt, tym razem nie wyłączając Wessexa, nie miał pojęcia kim ona była. Nikt też nie wiedział, dlaczego klub nazywa się „U Gavina” albo skąd O'Donnell miał pieniądze, by go otworzyć. Irlandczyk ze swej strony nie był zbyt rozmowny. Ta atmosfera tajemnicy wcale zresztą nie zmniejszała atrakcyjności klubu, wręcz przeciwnie. Niektórzy dobrze się czuli przy tej iluzji niebezpieczeństwa, inni sądzą, że człowiek o tak mrocznej przyszłości nie będzie specjalnie zwracał uwagi na ich obecne sprawki. A O'Donnell w dalszym ciągu nie był zbyt rozmowny.

Na parterze lokalu znajdowały się małe pokoje, dostępne dla członków klubu po wcześniejszym umówieniu. Była to też jedyna część, do której mieli wstęp także ludzie spoza klubu, chociaż wyłącznie w towarzystwie członka. Tylko te pokoje miały okna, zresztą zamknięte naглуcho i zabarykadowane, mimo że lokal znajdował się w jednej z lepszych dzielnic. Pomieszczenia na pierwszym piętrze — sale do gry w faraona, wista i ruletkę, a także salon, w którym dżentelmeni mogli w ciszy i spokoju podelektować się napitkami — nie miały ani jednego okna. Piętro wyżej była sala do fechtunku, w której ci, których to bawiło, mogli poćwiczyć tę trudną sztukę, walcząc ze sobą lub biorąc lekcje u mistrza, zatrudnionego u Irlandczyka. Na tym samym piętrze odbywały się od czasu do czasu, ku uciesze członków klubu, nielegalne pojedynki bokserskie. Piwnice pod lokalem były niezwykle rozległe i zapewniały wystarczająco wiele miejsca do ewentualnego rozstrzygnięcia nieporozumień, których nie dało się załagodzić słowami ani bronią białą. Chociaż „U Gavina” nie było kuchni (podawano tylko chleb, ser i zimne mięsa), polecano tam za to spory wybór win i innych trunków, również przechowywanych w piwnicach. Plotka głosiła, że znajdowały się tam też podziemne, wiodące aż do Tamizy tunele, którymi ewakuowało się na Kontynent i do amerykańskich kolonii wielu zwycięzców nielegalnych pojedynków. Większość członków klubu nie była do końca pewna, czy takie tunele w ogóle istnieją, ale opowieści o nich dodawały temu miejscu uroku tajemnicy.

W tym lokalu członkowie mogli być absolutnie pewni, że nikt nie będzie im przeszkadzał i zakłócał ich prywatności. Pokoje tutejsze były miejscem absolutnej izolacji, niczym średniowieczne kościoły. Nikt niepowołany nie miał do nich wstępu; nawet członek klubu mógł być pewien, że rychło wyleci na ulicę, jeśli będzie zbyt natarczywie nagabywał innych gości.

Dlatego właśnie należy uznać za niezwykle fakt, że tego lipcowego poranka ktoś jednak przeszkodził diukowi Wessex podczas zbożnego zajęcia — grania w karty i picia whisky. Mężczyzna, który wkroczył do pomieszczenia graczy, był wyjątkowo paskudny. Jego strój wieczorowy — ciemnogranatowy surdut i tego samego koloru bryczesy sięgające kolan, gdzie kończyły się ozdobnymi guzikami, a do tego białe rajtuzy i czarne lakierki — zdawał się niemal nieporozumieniem. Nie znalazłby się chyba ani jeden odźwierny, który by kogoś z taką twarzą wpuścił na jakiegokolwiek wieczorne przyjęcie. Chciało się o niej zapomnieć od razu po ujrzeniu. Zresztą niezależnie od wyglądu nie powinien był ominąć strażnika na dole przy wejściu, a tym bardziej zostać wpuszczony na górę.

Kiedy przechodził przez pokój, stopniowo dostrzegali go kolejni goście. Ciche rozmowy graczy nagle umilkły. Kiedy ta nagła cisza dotarła do świadomości Wessexa, uniósł głowę i spojrzął na salę, dostrzegając intruza.

Powolnym ruchem opuścił karty na stół i napełnił sobie szklanekę, wpatrzony w dżentelmena, który zmierzał najwyraźniej do jego stolika. Wessex nie uczynił żadnego gestu, który sugerowałby, że on też jest tego świadom. Wpatrywał się tylko w nadchodzącego spokojnym, nieruchomym wzrokiem.

Ten stanął wreszcie tuż przy diuku. Reszta zebranych tymczasem wróciła do swoich zajęć, nabrawszy pewności, że to nie ich prywatność ma być naruszona. Tylko partnerzy przy stole Wessexa, który z całą pewnością był powodem przybycia obcego, czekali w ciszy na rozwój wydarzeń.

— Jest ktoś, kto pragnie się z tobą spotkać, wasza miłość — powiedział przybysz.

— Więc niech przyjdzie do mnie sam.

Wessex nie okazywał gniewu, ale w ciągu ostatnich godzin wypił tyle, że mógł stać się nieobliczalny. W takim stanie można wyzwąć kogoś na pojedynek tylko z powodu złośliwego komentarza na temat krawata.

— Ale ten dżentelmen nie jest członkiem klubu — zabrzmiała odpowiedź.

— Więc niech się zapisze — odparł całkiem rozsądnie Wessex.

— Niestety, interes, który ma do waszej miłości, nie może czekać, aż załatwi się odpowiednie procedury.

— Jeśli zajdzie potrzeba, O'Donnell poradzi sobie bez udziału Komitetu Członkowskiego — nie dawał za wygraną Wessex.

— Możliwe, że pan O'Donnell nie chciałby, aby ten człowiek został członkiem klubu — powiedział obcy.

Wessex obrzucił go ostrym spojrzeniem. Jego cierpliwość była już na wyczerpaniu.

— Jest bardziej niż możliwe, że cię zastrzelę, jeśli zaraz sobie stąd nie pójdziesz.

— Interes, który ma do waszej miłości ten człowiek, jest bardzo pilny — nalegał obcy. — Czy wasza miłość wyjdzie?

Może dopiero w tym momencie Wessex uświadomił sobie, że obcy wszedł tu nie zatrzymany, a może po prostu był zmęczony tą potyczką słowną. Nie powiedział już więcej ani słowa. Zgarnął leżący przed nim stos złotych monet, wrzucił je do kieszeni i nakazał gestem, żeby natrętny przybysz szedł przed nim.

O świcie panował przenikliwy chłód. Wessex odczuł to, gdy tylko stanął na progu klubu. Mgła była gęsta, ale dostrzegł od razu latarnie na ciężkim powozie stojącym o dwa domy dalej. Zatrzymał się odruchowo, a jego ręka powędrowała do ukrytej kieszeni kamizelki.

— Nie ma powodów do obaw, wasza miłość — zauważył jego ruch nieznajomy. — Jestem na służbie Pałacu.

— Każdy może tak powiedzieć.

A poza tym w pałacu St. James było wiele rozmaitych frakcji. — Ale nie każdy będzie miał przy sobie to. Wyślanik sięgnął do kieszeni i wyjął portfel, a z portfela blaszkę, którą pokazał Wessexowi. Zaświeciła złotem i zalśniła kolorowymi wzorami w świetle padającym z uchylonych drzwi klubu.

Wessex natychmiast pobiegł do powozu i otworzył drzwiczki.

— Wasza wysokość!

Król Henryk był wściekły. Wessex poznał to po jego błyszczących oczach i zaczerwienionych policzkach.

— Wessex, tak właśnie służysz swemu królowi? — wybuchnął Henryk.

Diuk natychmiast stał się zupełnie i bardzo nieprzyjemnie trzeźwy. Przypomniał sobie, że powinien teraz być w domu. I to już od kilku godzin.

— Chyba wyjaśniłem, czego oczekuję po tym małżeństwie! Diuk i księżna Wessex, szanowani w towarzystwie, mają pomóc wkraść się w jego łaski także księżniczce Stefanii. Jak sądzisz, czy dobrze wpłynie na reputację księżnej informacja, że jej mąż spędził noc poślubną wałęsając się po klubach zamiast u niej w łóżku?

Głos króla był lodowato zimny. Wessexowi nie przychodziło do głowy absolutnie żadne wytłumaczenie.

— Nie wpłynie dobrze, wasza wysokość — powiedział cicho.

— A więc może jest to twój gambit w jakiejś wielce skomplikowanej grze? Może liczysz, że towarzystwo wzruszy się krzywdą księżnej Wessex? Jakim cudem kobieta opuszczona przez męża w noc poślubną może nie stać się obiektem drwin? W dodatku zrobiłeś to tak ostentacyjnie!

Zgadza się, pomyślał Wessex z desperacją. Czy naprawdę zwariował, że dokonał dezercji na oczach połowy Wielkiego Świata? Nawet jeśli ci, z którymi grał przez pół wieczoru „U Gavina”, nie pisną słowa, to przecież włóczył się jeszcze po innych takich przybytkach.

Nie miał nic do powiedzenia.

Król spojrział na niego badawczo i Wessex pomyślał z rezygnacją, że Henryk zrozumiał absolutnie wszystko, co wydarzyło się dzisiejszej nocy, łącznie ze sprawami, które Wessex starał się ukryć przed samym sobą.

— Sądysz, że uda się jeszcze naprawić szkodę? — zapytał w końcu monarcha.

— Musi się udać — przyrzekł Wessex. Da się to zrobić, jeśli on wykaże trochę determinacji, a markiza zechce współpracować. Początek był fatalny, ale przy odrobinie szczęścia mogą jeszcze dobrze odegrać swoje role. On będzie troskliwym i opiekuńczym mężem, a Sara jego dostojną małżonką.

Przynajmniej publicznie.

— A więc nie ma o czym mówić — zdecydował Henryk.

Zapukał w ściankę i Wessex poczuł, że powóz rusza.

Oczywiście, pomyślał. Trzeba przecież w jakiś sposób usprawiedliwić godzinę powrotu męża do Dyer House.

Ale ta podróż, choć bardzo krótka, nie była wcale przyjemna.

Była Sarą Cunningham i we śnie przedzierała się przez las, w którym nigdy chyba jeszcze nie postąpiła stopa człowieka. Poruszała się jak pstrąg w strumieniu, jak zwierzę w środowisku, do którego zostało stworzone. Nie miała na sobie powiewnych muślinów, brokatów, podwiązek, halki, gorsetu. Jej włosy nie były upięte wysoko i przyozdobione wstążkami. Nie trzymała też w ręku kolorowego wachlarza i nie stąpała delikatnymi ciżemkami po marmurowej posadzce. O, nie.

We śnie włosy Sary, splecione w warkocz, opadały swobodnie na plecy, a wpięła w nie tylko orle pióra. Na twarzy miała znaki łowcy naniesione czerwoną, żółtą i białą farbą, a ubrana była w skórzaną bluzę i także rajtuzy wojownika Ludu. W lewej ręce niosła muszkiet w ozdobionym frędzlami i paciorkami pokrowcu.

Była Sara Cunningham z Baltimore, z kraju, który nie uznawał władzy szalonego i złego angielskiego króla Jerzego od momentu, kiedy się urodziła.

Ale przecież to Henryk Stuart jest królem, a nie Jerzy z dynastii hanowerskiej!

Mogła sobie być zacofaną kolonistką, ignorantką w sprawach władzy tam daleko, na Wschodzie, któremu kiedyś podlegał jej kraj, ale nawet ona wiedziała przecież, że...

Ale pamięć przeplatała się ze snem — pamięć o przepięknej sukni, jakiej nie znalazłoby się w całym Marylandzie i o władcy, który uśmiechał się do niej, gdy pomagał jej wstać... gdy pomagał wstać lady Roxbury, swojej poddanej.

Ale to nie była rzeczywistość. To nie mogło się wydarzyć.

Była Sarą Cunningham z Baltimore. Była nią! Nie było żadnej markizy Roxbury.

A jeśli będzie wciąż powracać do tamtej fantazji, oszaleje.

Wróciła jej pamięć. Była Sarą Cunningham, córką Alasdaira Cunninghama, wychowanką wojowników Kriksów. To była rzeczywistość. Stała bez ruchu, wciągając w nozdrza ostrą woń letniej puszczy. Wiatr wiał ku niej od strony zwierzyny, którą chciała upolować.

Jakby ściągnęła zły los tą myślą, wiatr nagle zmienił kierunek i poczuła silny odór rozkładu i śmierci. Coś się tutaj czaiło. Coś potwornego i złego. I zbliżało się do niej.

Sara zastygła zmrożona strachem, nie wierząc w to, co się dzieje, dopóki nie usłyszała ciężkiego przedzierania się przez krzaki. Coś zdecydowanie się zbliżało, aby na nią zapolować.

Sara zaczęła biec.

Hałas za jej plecami stawał się coraz donośniejszy, a smrodliwy oddech potwora był teraz jedyną wonią, jaką czuła. Nie wiedziała, co to takiego — puma czy dzik... ale bała się tak, jak jeszcze nigdy w życiu. Jeśli ją dopadnie, spotkają los gorszy od śmierci.

Kiedy tak gnała przed siebie w panice, las zaczął się przersedzać, ale zamiast pól i białych domów — bo tak wyglądało Baltimore w tamtych czasach — zobaczyła wokół siebie olbrzymi, zadbany park.

To jest Mooncoign.

Sara zatrzymała się kompletnie zdezorientowana, na moment zapominając o swoim prześladowcy. Nowe wspomnienia mieszały się ze starymi, i choć bardzo się starała, nie mogła rozwikłać tego węzła. Podróżowała do Anglii, wsiadła na statek w Baltimore...

Nie. Urodziła się w Mooncoign...

Oba te fakty naraz nie mogą być prawdziwe.

— Ależ mogą.

Sara obejrzała się nerwowo. Głos dochodził z tyłu i przeraziła się, że to potwór przemówił do niej ludzkim głosem. Potem dojrzała mówiącego i przez chwilę myślała, że to jeden z jej braci Kriksów. Ale obcy, choć odziany w zwierzęce skóry i z długą włócznią w rękę, miał skórę jasnoróżową jak angielskie dziecko. Białe włosy z przodu tworzyły sterczący grzebień, a z tyłu opadały swobodnie. Niebieskie linie wokół oczu nadawały jego spojrzeniu sowią intensywność. Na szyi miał naszyjnik z czystego złota. Kiedy przypatrywał jej się uważnie, nagle zdała sobie sprawę, że już go gdzieś widziała.

W ogrodzie Mooncoign, tej nocy, kiedy trwał bal maskowy.

— W jaki sposób — zapytała drżącym głosem — w jaki sposób jedno i drugie może być prawdziwe?

Obcy uśmiechnął się, jakby oczekiwał tego pytania, i wyciągnął do niej rękę.

Podał mu swoją.

Teraz sen się zmienił. Razem z obcym spacerowała po alejkach ogrodu Mooncoign, a przed nimi pojawił się dwór, którego biała fasada w chłodzie poranka zdawała się przybierać błękitną barwę. Sara wciąż miała na sobie to samo skórzane ubranie, ale jej towarzysz był odziany w fantastyczny kostium z zielonego sukna i maskę zwieńczoną jelenimi rogami.

Wskazał na dom dłonią w ozdobionej klejnotami rękawicze.

— Wszystko zaczyna się tutaj. Ale gdzie się kończy? Hmm... oto zagadka. I nie ja ją rozwiążę, ale ty, Saro Cunningham.

— Ja? — zapytała zdumiona Sara. Teraz w jej pamięci zaczęły z dziwną jasnością pojawiać się brakujące fragmenty przeszłości, a wtłaczana jej do głowy pamięć Mooncoign odchodziła w mrok. Było naprawdę Baltimore i statek, i powóz...

I dame Alecto — w Baltimore i tutaj.

— Ta sama kobieta, ale nie ta sama osoba — powiedział jej przewodnik.

Teraz miał na sobie lamparcią skórę, zarzuconą na czarny aksamitny strój w elżbietańskim stylu. Jego mądre oczy wyglądały jak dwa szmaragdy.

— Mówisz zagadkami — powiedziała ze złością Sara. Zapomniała, że śni, ale cały czas pamiętała o złowieszczej bestii, która ścigała ją w lesie. Jeśli nie była tylko sztuczką jej uśmiechniętego towarzysza — a tego odgadnąć nie potrafiła — mogła powrócić w każdej chwili.

— Zagadki to moja natura — odparł nieznajomy. — Bo to ja jestem Mistrzem Bramy Rogu i Kości Słoniowej. Ale oto twoja odpowiedź, Saro. Spójrz.

Sara spojrzała. Stali teraz w cieniu domu i przez okno na parterze mogła zobaczyć bogato umeblowany pokój, z ogniem płonącym w kominku, nad którym wisiał portret kobiety w staroświeckim stroju i klejnotach.

— To jest moja sypialnia — powiedziała Sara. — Nie, to sypialnia markizy Roxbury... ale przecież każdy mi mówi, że to ja nią jestem.

— Naprawdę? — zapytał obcy. — Więc dlaczego to nie ty jesteś tam w łóżku?

Sara spojrzała raz jeszcze. W ozdobnym łóżu leżała młoda kobieta o szarobrązowych włosach. Jej szczupła postać wyraźnie odcinała się na stosie białych poduszek.

— Ależ właśnie tam leżę — odparła Sara z jeszcze większym zmieszaniem. Przez okno mogła dokładnie dostrzec swoją twarz...

Tak jak widziała ją na moment przed zderzeniem powozów. Słońce wtedy wschodziło...

Zachodziło...

Ona kierowała powozem...

Siedziała w dylizansie i miała...

— Dość! — jęknęła Sara odwracając się gwałtownie od okna. — Jak mogę być w dwóch miejscach naraz?

Ta sama kobieta... ale nie ta sama osoba.

— Ach — powiedział obcy — na to pytanie mogę odpowiedzieć. Pociągnął Sarę za rękaw i odeszli od okna.

Ta ozdobna sadzawka została wykopana w parku przez ostatniego markiza Roxbury, dziadka Sary. Ale której Sary? Podążając za swoim przewodnikiem Sara nagle zdała sobie sprawę, że wszystkiego, co wiedziała o Mooncoign albo o londyńskim towarzystwie — nauczono ją w ciągu kilku tygodni po wypadku.

A jej własne wspomnienia ukryto przed nią.

Pochyliła się i zajrzała w spokojną, srebrną toń jeziora. Chociaż wyraźnie czuła przy sobie obecność swojego towarzysza, w wodnej toni odbijała się tylko ona.

Niemal instynktownie chciała się odwrócić i upewnić na własne oczy, że klęczy obok niej, ale dłoń na ramieniu powstrzymała ją.

— Nie, Saro. Popatrz w wodę i zobacz w niej prawdę.

Sara pochyliła się jeszcze niżej, a lustrzana toń nagle pociemniała. Zdawała się, jakby otworzyła się przed nią bezdenne przepaść. Tam, w odległych ciemnościach, dostrzegła błysk światła. Wpatrywała się w niego gorączkowo, a on zaczął nagle przybierać formy i kolory.

Osoby, obrazy. Scenki. A centralną postacią każdej z nich była Sara.

Czasem było to tak, jakby patrzyła w lustro, a kiedy indziej w ogóle się nie poznawała. Widziała niejedną terażniejszość — niektóre były znajome, inne tak obce, że nie mogła uwierzyć w to, co widziały jej oczy.

Oto była dziewczyną Kriksów, z niemowlęciem w ramionach i wysokim wojownikiem u boku. Na obrazie obok wciąż harowała jak niewolnik w domu kuzyna w Baltimore. A tutaj stała u boku diuka Wessexa...

— Nie chcę już na to patrzeć! — krzyknęła Sara i uderzyła dłonią w wodę niszcząc obraz. — Co to znaczy? One wszystkie są mną, ale...

— Ale są na swoim miejscu, Saro Cunningham z Baltimore, a ty nie — dokończył jej towarzysz. — Zostałaś przeniesiona ze swojego świata na miejsce tej, która zawiodła... ale nie odważyła się zawieść do końca. Bo Istota poluje właśnie w tym świecie...

W oddali Sara usłyszała dziki skowyt. Chociaż dzień był jasny i pogodny, wydało się jej nagle, że chmura przesłoniła słońce, a poranek stał się ciemniejszy i chłodniejszy.

Wycie rozległo się znowu. Sara skojarzyła je natychmiast z potworem, który ją ścigał.

— To jest właśnie to, co musisz pomóc nam zniszczyć — powiedział z powagą jej towarzysz.

Sara otworzyła usta, by znów zaprotestować przeciwko tak niejasnym wypowiedziom, ale usłyszeli skowyt, znacznie teraz bliższy i zerwali się na równe nogi. I znów Sarze wydało się, że czuje woń rozkładu, woń śmierci, woń łowcy.

— Uciekaj — powiedział obcy popychając ją w kierunku drzew. — Musisz uciekać, Saro. Powstrzymam Bestię przez jakiś czas, ale to nie mojej krwi ona pragnie. Pamiętaj wszystko, co ci powiedziałem. Pamiętaj także, że nie należysz jeszcze całkowicie do tego świata. A jeśli nie staniesz się jednością z tą ziemią, umrzesz, Saro, a Wielkie Dzieło pozostanie nie zakończone.

— Ale... — wyjąkała Sara. Dostała tylko niemożliwe do zaakceptowania obrazy i wątle wskazówki. — Jak może z tego skorzystać?

Jej towarzysz miał teraz na sobie srebrną zbroję, a na jasnym tle jego puklerza lśnił rubinowym blaskiem czerwony krzyż. W jednej ręce trzymał miecz, który błyszczał tak jasno, jakby był wykuty ze złota; w drugiej równie lśniącą tarczę.

— Uciekaj!

Rozległ się huk, jakby coś przebijało się z potworną siłą przez zabudowania dworu. Sara nagle poczuła przyływ paniki. A kiedy rozpoznała trwogę w głosie swojego towarzysza, zaczęła biec...

Biegając słyszała głos za plecami, który wzywał ją do powrotu. Słyszała też przeciągły świst, jakby gwałtowny wiatr przemknął po koronach drzew.

Wessex ostrożnie otworzył drzwi do swojej sypialni. Białe światło pierwszego brzasku wpadało przez wąskie okno, tworząc nierzeczywisty nastrój. Mógł jednak rozróżnić zarysy przedmiotów w znanym sobie pokoju i nie musiał korzystać z latarni, którą przyniósł ze sobą. Świeczka przy łóżku wypaliła się do końca, pokrywając podstawkę białą warstwą stopionego wosku. Okno najwyraźniej ktoś otwierał i po przymknięciu nie dociągnął zasuwki, bo wiatr uchylił je ponownie, a w pokoju panował poranny chłód.

Wessex sięgnął do kieszeni i skradając się podszedł do łóżka. Latarnia nawet nie skrzypnęła, kiedy otworzył jej obudowę i skierował strumień światła na łóżko. Jego uśpiona żona wyglądała na białym tle poduszek jak anioł z renesansowych obrazów. Niedbale spleciony warkocz wił się po szyi, długie rzęsy rzucały cień na policzki, a koronkowa śnieżnobiała koszula nocna nadawała Sarze niemal dziecienny wygląd. Dręczona najwyraźniej przykrym snem, poruszyła się nerwowo. Wyglądała w oczach Wessexa młodo i niewinnie.

Jej życie, jej los, wreszcie jej reputacja były teraz w jego rękach.

Nigdy cię nie skrzywdzę, przyrzekł sobie patrząc na nią, ale uczciwość kazała mu sprostować to oświadczenie. Skrzywdzę cię tylko na tyle, na ile będę musiał.

Ale przybył tu w innym celu. Miał zamiar wykonać swoje zadanie, nie budząc jej. Ostrożnie postawił latarnię na stole i wyciągnął jakiś przedmiot z kieszeni surduta. W świetle latami zabłysło złoto i rubiny. Naszyjnik miał pośrodku rubinowe serce wielkości dużej wiśni, a otaczał je krąg malutkich diamentów, czystych jak lodowe krople. Po obu stronach rubinowego serca dwa mniejsze diamentowe serduszka łączyły tę część naszyjnika z grubym złotym łańcuszkiem. Od ponad dwustu lat w jego rodzie istniał zwyczaj dawania małżonkom tego właśnie klejnotu — Płomiennego Serca — pierwszego poślubnego poranka.

Odwrocił klejnot. Oprawa mniejszych serduszek była z czystego złota, na którym wygrawerowano inicjały kilku pokoleń Dyerów. Błyszczały tam także całkiem świeże ozdobne litery „R” i „S”, wryte ręką mistrza w zakładzie Rudel & Bridges. Rupert i Sara.

Ostrożnie, by nie obudzić żony, Wessex położył błyszczący naszyjnik na poduszce obok jej głowy a potem zabrał ze stołu latarnię. W chwilę później już go nie było, jakby jego bytność w tym pokoju była tylko złudzeniem. Drzwi domknęły się cicho.

Sara się nie obudziła.



Poruszając się jak duch po swoim uśpionym domu — tak naprawdę była to rezydencja jego matki, ale nie czyniło to żadnej różnicy — Wessex dotarł do biblioteki i zamknął za sobą drzwi. Dopiero tam odetchnął swobodnie. Nikt nie będzie mu tu przeszkadzał i on nie będzie przeszkadzał nikomu. Za życia jego ojca było to wyłącznie męskie miejsce. Z tamtych czasów wciąż pozostało ciężkie mahoniowe biurko i kredens, a także dębowe polki z równo ustawionymi książkami. A jednak Dowager ze swoim damskim towarzystwem pozostawiła tu swoje ślady — obok kominka pojawiło się krzesło i podnózek używany przy tkaniu, kosz z kłębkami wełny, a także na wpół skończona tkanina leżąca na krześle.

Wessex postawił na stole latarnię, szybko przejrzał szuflady i wyjął fidybus. Przytknął go do płomienia latarni i zapalił najpierw świeczki na kominku, a potem w wielkim świeczniku, stojącym na centralnym stole biblioteki. W pokoju zrobiło się jasno; pierzchła gdzieś upiorna atmosfera opuszczonego miejsca.

Naszykowany w kominku opał na jutro zajął się szybko, promieniując miłym ciepłem. Wessex znalazł butelkę brandy i nalał sobie pełną szklankę. Langley wciąż dbał o zapasy alkoholu.

Dowager, chociaż używała tego pokoju, nie zmieniała jego wystroju od czasu śmierci syna.

Wessex bezwiednie spojrział na portret wiszący nad kominkiem — dzieło LeBruna, przedstawiające jego ojca w czasach młodości. Ubrany w satynę i aksamit, z rapierem u boku, hardy i elegancki młodzieniec z portretu zaginął dwanaście lat temu we Francji podczas szaleńczej próby ratowania Delfina ze szponów Terroru. Babcia wciąż żyła oczekiwaniem, że pewnego dnia Andrew Dyer stanie u frontowych drzwi, chociaż z tuzin mężczyzn poświadczyło jego śmierć, a Sąd Kanclerski dawno już zdecydował o przejściu tytułu diuka na jego syna. A jednak wbrew wszelkiej logice Dowager nie przestała nigdy wierzyć, że Andrew może pewnego dnia powrócić. Wessex niekiedy myślał, że może ona ma rację; że wszystko, co podsuwa nam rozum, jest tylko budowlą z piasku, a życie maskaradą, na której zdarzają się rzeczy niewytłumaczalne. Potrząsnął głową odganiając te niedorzeczne myśli. Albo nie powinien zaczynać tej brandy, albo powinien wypić więcej. Gwałtownym ruchem uniósł szklankę do ust i opróżnił ją do połowy. Nie zamierzał ofiarować Sarze Płomiennego Serca. Może to dziecinada, ale sądził, że w ten sposób nie skapituluje zupełnie. Płomienne Serce było podarunkiem miłości, a on i Sara nigdy się nie kochali i nigdy się nie pokochają. Poślubił ją na rozkaz króla i z tego samego powodu ona zaakceptowała go jako męża. Ale jednak dał Sarze swoje nazwisko i tytuł, a tym samym miała też prawo do wszystkiego, co się z tym wiązało. Nie było sensu rezygnować z tradycyjnego podarunku tylko dlatego, że ich związek oparty był na kłamstwie.

Opróżnił szklankę do końca i napełnił znowu, choć wiedział, że alkohol jest tylko doraźnym lekarstwem na jego problemy, a jutro będzie musiał stanąć przed żoną bez jego wsparcia.

Jutro i przez resztę życia.

Wessex westchnął ciężko i podszedł do kominka ze szklanką w dłoni. Kiedy przechodził koło tkackiego stołka, jego stopa zawadziła o ukryty pod brzegiem dywanu przedmiot. Zaintrygowany Wessex sięgnął pod dywan i wydobył szkicownik w pozłacanej okładce. Usiadł razem z nim na krześle przesuwając automatycznie kosz z włóczką. Jeśli dobrze pamiętał, ani babka, ani dame Alecto nie rysowały. Ciekawe, czyje to rysunki?

Strony pokrywały precyzyjne szkice, niektóre już wykończone tuszem albo akwarelą. Z pewnością wykonała je ręka młodej kobiety, o czym świadczyły tematy — półmiski z owocami, kwiaty, ale też konie, długonogie damy w wymyślnych sukniach, najwyraźniej skopiiowanych z katalogów Ackermana. Były także inne rysunki — same w sobie bez znaczenia, ale dla Wessexa bardzo intrygujące. Pokład statku — oddany dokładnie, ale bardzo fragmentarycznie, jakby autor próbował wydobyć ten obraz ze swojej pamięci. Osada kolonistów: proste budynki z białego kamienia, rozrzucone wzdłuż nieznanego wybrzeża.

Kobieta ubijająca masło. Inna, siedząca przy kołowrotku. A potem strona za stroną Indianie — wspaniali, dzicy, w pióropuszcach i z wojennymi barwami na twarzy. Artysta musiał spędzić wiele dni przyglądając się swoim obiektom, bo każdy szczegół ich ubrania i pierwotnego otoczenia oddany był z niezwykłą dokładnością i bardzo prawdziwie. Wessex wiedział doskonale, że rysunki ukazują prawdę, bo przebywał wraz z wesołym Kościuszką przez ponad sześć miesięcy wśród krajowców Ameryki. Przeżył tam zresztą pamiętne przygody. Ale jednak nawet w koloniach trudno byłoby znaleźć kobietę, która tak dokładnie zdołała poznać ubiory i zwyczaje Kriksów. A artystka najwyraźniej posiadała taką wiedzę. Pod niektórymi rysunkami były podpisy i z nich Wessex dowiedział się, kto jest właścicielem szkicownika — Sara markiza Roxbury.

Jego żona.

A to z pewnością niemożliwe. Gdyby Sara podróżowała do Ameryki, Wessex na pewno by o tym wiedział... a jeśli nie odbyła tej podróży, nie mogła wykonać tak dokładnych i precyzyjnych rysunków.

Po raz pierwszy Wessex zaczął się zastanawiać, kim właściwie jest osoba, którą poślubił.

Sara uciekała przed Potworem, który ścigał ją przez coraz bardziej nierealne krajobrazy, aż wreszcie strach wypchnął ją ze snu. Przebudziła się.

Leżała na nieznanym łóżku, w obcym sobie, ciasnym pokoju. Złote promienie słońca zamieniały przeciwległą ścianę i sufit w jasną plamę, która zdawała się płonąć ogniem.

Właśnie. Była w Dyer House i wczoraj poślubiła diuka Wessexa.

Sara ziewnęła i przeciągnęła się. Przez krótki moment myślała, że to też tylko część jej snu.

Gdy teraz próbowała przywołać ten koszmar, strzępki wspomnień krążyły chaotycznie po jej umyśle. Czegoś się dowiedziała... jakiejś prawdy, którą powinna była zapamiętać...

Ale prawda uciekła.

Sara zirytowana uderzyła ręką w poduszkę i cofnęła się przestraszona, gdy natrafiła na coś chłodnego, co owinęło jej nadgarstek. Zerwała się i otworzyła szeroko zaspane oczy. Na łożu leżał naszyjnik, który właśnie spadł z poduszki. Zdumiona podniosła go zastanawiając się, czy to możliwe, że we wczorajszym zamieszaniu położyła się spać z tym klejnotem na szyi.

Nie, to nie była jej własność. Sara przyjrzała się wielkiemu rubinowi i zrozumiała nagle, skąd się tu wziął.

Podczas snu odwiedził ją diuk Wessex i to on musiał zostawić naszyjnik. Sara obróciła lśniący przedmiot i dostrzegła wygrawerowane inicjały. Kosztowna łapówka! Cena za milczenie na temat jego nieobecności dzisiejszej nocy. Kupował ją, jakby była służącą, zwykłą prostytutką stojącą na londyńskiej ulicy! Jakby nie mógł uwierzyć w jej poczucie honoru albo chociaż obowiązku i uważał, że jej milczenie można tylko kupić!

Sara zacisnęła zęby w gwałtownym ataku złości. Wessex nie cenił chyba zanadto swojego rodu, jeśli kobietę, za jaką ją uważa, był gotów uczynić księżną. Gniew chwilowo wymazał z jej pamięci wszystkie niepokojące myśli z ostatnich tygodni, a także wspomnienie dzisiejszego dziwacznego snu. Wessex obraził ją śmiertelnie i Sara miała zamiar dopilnować, by tego pożałował.

Z biało-żółtej werandy na parterze, gdzie podano śniadanie, był doskonały widok na cichą uliczkę. Diuk Wessex jednak nie interesował się zupełnie otoczeniem. Stojąca przed nim czarka z chińskiej porcelany zawierała tym razem kawę zamiast zwykłej porannej czekolady. Nawet po zabiegach Athelinga, włącznie z wylewaniem na głowę lodowatej wody, Wessex czuł się równie krucho jak ta czarka.

Rano zszedł na śniadanie, jakby wszystko było w największym porządku. Przywitał się z babką (Dowager zawsze wstawiała o brzasku i wnuk nie był specjalnie zaskoczony, widząc ją

na nogach, mimo że o tej porze większość towarzystwa wylegiwała się jeszcze w łóżach) i powiedział jej, że Sara wciąż jeszcze śpi. Jak dotąd nie musiał kłamać, a jakie wnioski wyciągnie z jego słów babka... Cóż, najważniejsze, że nie obciąża mu to dodatkowo sumienia.

Jeśli Dowager miała cokolwiek do powiedzenia na temat późnego powrotu Wessexu do domu albo jego stanu, zachowała to dla siebie. Promienie słońca lśniły na srebrnej zastawie i białym obrusie, podkreślając barwę pięknych, dojrzałych pomarańczy na paterze pośrodku stołu. Dowager spokojnie jadła swoje tosty z marmoladą i popijała je herbatą, jakby był to normalny poranek. Wessex zdał sobie sprawę, że planując ten katastrofalny związek mógł uczynić poważny błąd w założeniach. Wprawdzie początkowo maskarada z udziałem współpracującej partnerki poszła nie najgorzej, ale zupełnie nie wiedział, dokąd doprowadzi go odgrywana w tym przedstawieniu rola. Czy potrafi cały czas udawać przed oczami towarzystwa — a przede wszystkim przed oczami kogoś znacznie bardziej wymagającego, to jest swojej babki — że jego małżeństwo jest prawdziwe?

Na razie porzucił te rozważania, bo pojawiła się księżna.

Sara wkroczyła tak dostojnie, jakby właśnie dokonywała się jej prezentacja na dworze. Przystanąła przy krześle Dowager i pocałowała ją w policzek.

— Dzień dobry, moja droga — przywitała ją babka. — Olśniewająco dzisiaj wyglądasz.

— Dziękuję, matko chrzestna — odparła Sara.

Miała na sobie różową poranną suknię wykończoną ciemniejszymi lamówkami, a na jej szyi lśniło, dopasowane barwą, Płomienne Serce. Spojrzała nad stołem na Wessex, który wstał na jej powitanie.

— Rupercie... — powiedziała cicho.

Oczywiście miała prawo zwracać się do niego po imieniu, skoro byli małżeństwem. Jednak Wessex poczuł się nieco zaniepokojony tym chłodnym podkreśleniem jej nowego statusu.

Pochylił się do dłoni Sary z gracją, którą czarował zarówno hrabiny, jak kurtyzany we wszystkich europejskich stolicach. Poprowadził ją do jej krzesła.

— Mam nadzieję, że spałaś dobrze? — spytała Dowager, kiedy do stołu podszedł służący, aby nalać Sarze herbatę. — Czasem trudno jest zasnąć w nowym miejscu.

Sara uśmiechnęła się do Wessexu, a na jej policzkach pojawiły się rumieńce.

— Spałam doskonale — powiedziała unosząc do ust filiżankę. Na jej palcu błysnął pierścień kryjący tajemnicę Ligi Boscobel. Sara zmniejszyła jego obwód umieszczając wewnątrz obrączki grudkę wosku.

Spoglądając na żonę Wessex rozluźnił się. A zatem zgodziła się na jego warunki i pomoże mu rozegrać tę partię. Poślubieni rozkazem króla będą białym małżeństwem, a ich ciała nie połączą się ze sobą, nie rozgrzeją namiętnością. Sara zdobyła tytuł diuka, zdobyła jego klejnoty.

Ale nie zdobędzie jego samego.

## 13, SAMOTNA KSIĘŻNA

Bardzo dobrze się złożyło, pomyślała księżna Wessex pewnego czerwcowego poranka, dokładnie tydzień po ślubie, że mąż został wezwany na dwór w niecierpiącej zwłoki sprawie. Bardzo dobrze, bo skoro go nie było, nie mógł zaprotestować, że postanowiła przenieść się z powrotem do własnego, znacznie wygodniejszego domu. W dodatku jego nieobecność była znakomitym usprawiedliwieniem tego czynu.

Przeprowadzka do własnego domu dała jej chwilę oddechu i możliwość spokojnego zastanowienia, co dalej zrobić ze swoim życiem. Dla króla Henryka i nieznannej księżniczki Stefanii Sara powinna podtrzymywać iluzję udanego życia małżeńskiego. A to oznacza, że będzie musiała codziennie widywać Wessexa, a także mieszkać z nim pod jednym dachem.

Ale jeszcze nie teraz, myślała z ulgą. Mąż był daleko, a ona została w mieście i mogła czerpać wszelkie korzyści ze swojego nowego statusu nie cierpiąc z powodu obecności diuka. A pozycja, jaką zyskała, była zaiste mocna. Jednak Sary nie interesowało brylowanie w towarzystwie.

Zdziwione spojrzenia służby i znajomych uświadamiały jej, jak bardzo różni się zachowaniem od markizy Roxbury, którą dotąd znano. Ale ona nie była markizą; doszła do tego wniosku podczas bezsennych nocy. Tylko Mooncoign zdawało jej się realne, ale nie otaczający ją pompacyjny rytuał, a już na pewno nie Londyn z jego hulaszczym stylem życia. Na szczęście podczas pobytu w mieście udało jej się zdobyć jedną prawdziwą przyjaciółkę. Odkryła ku swojemu zadowoleniu, że tytuł księżnej okazał się dla przekłętogo wuja Meriel wystarczającą motywacją, aby przewyciężył swą niechęć do przyjaźni siostrzenicy. Panna Bulleyn dostała dziś pozwolenie, aby odwiedzić księżnę Wessex i wypić z nią herbatę.

Sara krzątała się nerwowo po salonie, jakby armia służących w Heriard House nie potrafiła zadbać o porządek w domu albo jakby kucharz nie zdążył przygotować całego mnóstwa przysmaków. Od czasu do czasu przystawała, by przez okno przyjrzeć się powozom, które przejeżdżały obok domu. Nie miało to większego sensu, bo stojący na kominku zegar upewniał ją, że nie powinna oczekiwać Meriel jeszcze przez najbliższy kwadrans.

Sara zdała sobie sprawę, że nawet nie wie, gdzie mieszka panna Bulleyn. Zawsze spotykały się w miejscach publicznych i o dokładnie wyznaczonym czasie. A każde następne spotkanie planowały pod koniec poprzedniego. Ta konspiracja dzisiaj się skończy, przyrzekła sobie Sara. Jeśli nawet wuj Meriel mógł sobie pozwolić na ignorowanie pragnień markizy, to życzenia księżnej Wessex po prostu się spełniało.

Na widok znajomej sylwetki na ulicy Sara wydała zgola nie książecko okrzyk radości. Kiedy jednak Buckland oznajmił jej przybycie oczekiwanego gościa, zdołała się na tyle opanować, jak przystało damie.

Panna Bulleyn wyglądała przepięknie w białej muślinowej sukni i kapeluszu o szerokim rondzie. Zdobiące kapelusz wstążki, tak samo jak jej zakiet, miały barwę głębokiej zieleni, co świetnie pasowało do szmaragdowych kolczyków. Taka nieprawdopodobna uroda to przecież...

Ale Sara porzuciła tę myśl, zanim się na dobre uformowała. Natychmiast jednak o niej zapomniała, gdy podbiegła uściskać przyjaciółkę, co dziewczyna ochno odwzajemniła.

— Świetnie wyglądasz! — zawołała Meriel. — Małżeństwo ci służy.

— Służy mi wyjazd męża — odparła uśmiechnięta Sara, a w oczach Meriel zamigotały figlarne ogniki.

— W takim razie cieszę się wraz z tobą, że wyjechał, ale chyba jest prawdziwym głupcem, skoro zostawił cię zaraz po ślubie. — Meriel rozwiązała wstążki kapelusza, odłożyła go na bok i zaczęła powoli ściągać koronkowe bawełniane rękawiczki.

— To nie był jego wybór. — Sara ku własnemu zdziwieniu odczuła nagle potrzebę obrony męża. — To rozkaz króla. Ma to coś wspólnego z wojskiem — dokończyła niepewnie, bo zdała sobie nagle sprawę, że w długim i nudnym wyjaśnieniu Wessex tak naprawdę niczego jej nie powiedział.

— Cóż, skoro król rozkazuje, rzeczą lojalnego poddanego jest usłuchać — stwierdziła przyjaciółka.

Meriel na pewno nie chciała, aby jej wypowiedź zabrzmiała tak kąśliwie. Sara zdecydowała, że to jej nerwy, napięte po nieprzespanych nocach, płatają jej takie figle. Wprawdzie nie miała pojęcia, jakie są poglądy polityczne jej przyjaciółki, ale z pewnością w jej charakterze nie było złośliwości. Sarę rozbawiła niedorzeczność tej myśli. Potrząsnęła głową. Meriel opisała po prostu stan faktyczny. Ostatecznie, co mógł ktokolwiek zrobić wobec królewskiego rozkazu? Przecież ona właśnie z jego powodu poślubiła Wessexa.

— Mam nadzieję, że nie unieszczęśliwi cię zbytnio — dodała jeszcze Meriel.

— Król? — spytała bezmyślnie Sara, a Meriel roześmiała się błyskając perełkami białych zębów.

— Twój mąż, głupia! Chyba nie myślisz o królu, kiedy powinnaś myśleć o nim...

— Rzeczywiście — odparła Sara z udawanym smutkiem. — Ale przecież nie byłabym dobrą poddaną, nie pamiętając o królu przy każdej możliwej okazji.

Tak jak się spodziewała, Meriel roześmiała się ponownie.

Początek wizyty przebiegał gładko — młode kobiety ochoczo plotkowały na interesujące je tematy: o książkach, zakupach, zabawach, w których brały udział.

Nie miały wielu wspólnych znajomych. Chociaż Sara nie przepadała specjalnie za towarzystwem, zajmowała w nim ważną pozycję, natomiast Meriel zdaje się nie bywała w nim w ogóle. Sara starała się wymóc na przyjaciółce obietnicę, że odwiedzi ją ponownie, ale reakcja Meriel była co najmniej dziwna. Nie odrzuciła wprost zaproszenia, ale spuściła oczy, jakby dręczyło ją poczucie winy. W końcu zdecydowała się przemówić.

— Widzę, że dłużej nie uda mi się tego ukrywać. Jednak błagam cię, Saro... ze względu na naszą przyjaźń nie zacznij mnie nienawidzić za to, co muszę zrobić.

Z kieszonki sukni Meriel wyjęła małą kopertę, kryjącą sztywny bilecik wizytowy.

Zaintrygowana Sara wzięła z rąk Meriel tajemniczą kopertę. Otworzyła ją i przeczytała, z początku nic nie rozumiejąc, tekst zaproszenia, starannym charakterem pisma wykaligrafowanego na białym bileciku:

Earl Ripon prosi o łaskawą obecność księżnej Wessex na balu wydanym z okazji prezentacji towarzystwu jego siostrzenicy, lady Meriel Jehanne Bulleyn Highclere...

— Więc ten twój złośliwy wuj Richard to earl Ripon? — zapytała niebotycznie zdumiona Sara.

Co oznaczało — usłużnie odpowiedziała jej pamięć — że jej droga przyjaciółka Meriel jest właśnie tą kobietą, która miała posłużyć za przynętę w pułapce zastawionej na księcia Walii. Tą, która wedle słów Wessexa tkwiła w samym środku katolickiego spisku.

— Tak — przyznała cicho Meriel. — Kiedy dowiedziałam się, kim jesteś, nie chciałam wyznać ci prawdy, bo twój mąż i mój wuj są politycznym wrogami. Ale wuj Richard nalegał... — jej głos zadrżał i ucichł.

Sara spojrzała na Meriel spod oka. Trudno było wyobrazić sobie coś zabawniejszego niż pomysł, że Meriel może brać udział w tym mrocznym spisku — ale tak twierdził Wessex, a cokolwiek Sara mogła zarzucić temu człowiekowi, to na pewno nie skłonność do

konfabulacji. Jeśli więc Meriel rzeczywiście tkwi w tym po uszy, będzie potrzebowała pomocy przyjaciółki, aby znaleźć drogę wyjścia.

— Och, Meriel, proszę, nie rób takiej ponurej miny! Nie dbam ani trochę o kłótnie między Wessexem a Riponem — powiedziała Sara, bardziej kierując się uczuciem niż rozsądkiem. — Przecież jesteśmy przyjaciółkami, prawda? I mam nadzieję, że tak już pozostanie.

— Więc... nie przeszkadza ci to? — zapytała cichutko Meriel. Sara się zawahała. Nie wiedziała, jak powiedzieć Meriel, że te jej słowa nie odnoszą się do spisku Ripona. Chociaż niezadowolona z męża, była jednak lojalną poddaną króla i nawet nie przyszło jej do głowy, by wątpić w mądrość duńskiego traktatu i małżeństwa, którym musiał być okupiony. Sara zdecydowała, że przede wszystkim musi wydobyć od Meriel przyrzeczenie, że nie stanie się częścią planu, który ma usidlić księcia Walii.

Nigdy nie miała się dowiedzieć, czy jej pomysł miał jakieś szansę powodzenia, bo w tym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł nie zapowiedziany Wessex. Drgnął na widok Meriel, ale było już za późno, żeby się wycofać, bo za nim szedł jeszcze ktoś. W ten sposób w chwilę później Jakub książę Walii stanął twarzą w twarz z lady Meriel Highclere.

Dziewczyna skłoniła się przed nim, zerkając w górę spod czarnych długich rzęs.

— Książno! — przemówił Jakub, nie spuszczać przy tym oczu z twarzy Meriel. Zaraz też podszedł do niej i pomógł się podnieść z głębokiego ukłonu. — Wessex, dlaczego nie mówiłeś nigdy, że twoja żona ma takie czarujące przyjaciółki?

— Wasza wysokość pozwoli, że przedstawię lady Meriel Highclere, siostrzenicę earla Ripona — powiedział ponuro Wessex.

Sara spojrzała na niego zdumiona. Skąd wiedział, kim jest Meriel?

— Tak, właśnie — powiedziała słabym głosem. — Przyszła tu... przyszła na herbatę — skończyła kulawo, mnąc nerwowo za plecami zaproszenie Ripona.

Jakby przyzwany tymi słowami, pojawił się Buckland z zastawioną tacą. Sara zerknęła na zegar na kominku. Była czwarta i właśnie o tej porze zamówiła herbatę. Doprawdy, mogła lepiej wybrać czas...

— Doskonale — powiedział z zadowoleniem książę. — Herbata to świetny pomysł... zwłaszcza w tak uroczym towarzystwie. Ale muszę przy okazji zmyć głowę panu Highclere. Geoff nigdy mi nie wspomniał, że ma tak piękną siostrzenicę.

— Wasza wysokość zawstydzona mnie tymi komplementami — wymamrotała zmieszana Meriel. Na jej alabastrowe policzki wypłynął purpurowy rumieniec. Cały czas przytrzymała się ramienia księcia, jakby nie mogła ustać na nogach. — Wasza wysokość jest szeroko znany jako koneser w różnych dziedzinach, więc takie słowa tym bardziej przyprawiają mnie o konfuzję.

— Och, człowiek z moją pozycją musi znać się na pięknie — odparł Jakub, przełykając pochlebstwo bez zmrużenia oka. — Proszę, usiądź, Meriel — dodał prowadząc ją do krzesła przy stoliku z herbatą i samemu zasiadając obok.

Zrozpaczona Sara opadła ciężko na sofę. Starła się nawet nie patrzeć w kierunku Wessexu. Że też akurat ten moment musiał sobie wybrać na powrót! Nieważne, że sam wrócił... Ważne, w jakim towarzystwie!

I co też musiał pomyśleć, zastając ją na poufalej rozmowie z siostrzenicą Ripona? Prawdą jest, że Wessex nie zabronił jej takich kontaktów, kiedy opowiadał o planach earla. Ale wtedy nie wiedział, że takie kontakty istnieją... a może wiedział?

Na razie postanowiła nie roztrząsać tego problemu. Nalała herbatę swojemu przyszłemu władcy, potem swojemu gościowi, mężowi, a na końcu sobie. Słuchając ożywionej pogawędki księcia z Meriel zdała sobie nagle sprawę, że wypadałoby zacząć rozmowę z Wessexem.

Odnaleziono trop Saint-Lazarre'a, na tyle jeszcze gorący, że król posłał Wessexa w drogę mimo jego szalonego postępu poprzedniej nocy. Źródłem informacji był jeden z wcześniejszych kontaktów diuka, Wessex miał więc okazję zrobić coś, co zmazałoby niedawny królewski gniew.

Osiadł Hirondele i wyruszył, aby wyciągnąć od niektórych, milczących zazwyczaj ludzi potrzebne informacje. To, czego się dowiedział, spowodowało, że przeprawił się przez Kanał i dalej podążając tropem Saint-Lazarre'a, spędził trzy dni we Francji udając bretońskiego rybaka, który zdezerterował z armii. Przy okazji o mało nie wpadł w ręce łapaczy. Nie miał zamiaru służyć ani chwili we flocie La Belle France — ani na pokładzie dumnego okrętu wojennego, ani pod pokładem więziennej galery — więc potraktował to niemiłe spotkanie jako wyraźny sygnał, że czas wracać do Anglii. Wieści, jakie zdobył, były zbyt istotne, by ryzykować wpadkę, a on był jedynym, który je znał.

Pewnego styczniowego dnia dwanaście lat temu zgilotynowano króla Francji rozkazem żądającego krwi Konwentu. Ludwik Karol, francuski Delfin, miał wtedy zaledwie siedem lat.

Ludwik Karol — król Ludwik XVII od momentu, gdy krwawe ostrze spadło na szyję jego ojca — spędził już potem tylko kilka miesięcy w towarzystwie matki i starszej siostry, czternastoletniej Marii Teresy. Potem przeniesiono go w bezpieczniejsze miejsce. Jeszcze przed końcem tegoż roku jego matka, siostra i ciotka zostały ścięte... ale nikt nie wiedział, gdzie przebywał młody Ludwik Karol.

Ojciec Wessexa zginając próbując to ustalić. Po egzekucji króla Francji Andrew diuk Wessex został wyprawiony przez Białą Wieżę, aby spróbować uratować resztę rodziny królewskiej, a przede wszystkim cennego dziedzica tronu Burbonów. Ale diuk zaginął bez śladu i bez najmniejszej wskazówki, jak blisko miał do wypełnienia swojej misji. Los młodego króla wciąż pozostawał tajemnicą, która interesowała całą Europę. Paru emigrantów, którzy zdołali uciec z Francji kilka lat później, przywiozło wiadomość, że chłopiec zmarł w więzieniu, ale zostało to potraktowane przez wszystkich jako zręczna bajka, która miała na celu wzmocnienie władzy Napoleona we Francji. W przypadku bowiem śmierci młodego Ludwika rojalisci byliby zmuszeni uznać przebywającego na emigracji hrabiego Prowansji za króla Ludwika XVIII. A przyznanie prawa do tronu temu niepopularnemu Burbonowi zapewne bardzo wzmocniłoby poparcie Francuzów dla Napoleona w kraju.

Hrabia Prowansji odmówił jednak przyjęcia tytułu króla wyłącznie na podstawie plotek o śmierci Karola Ludwika. Zażądał od Francuzów okazania mu ciała jego bratanka albo przynajmniej wskazania wiarygodnego świadka jego śmierci. Nikt jednak nie był w stanie przedstawić Ludwika, żywego czy umarłego, i tym samym sprawa sukcesji pozostała nierozstrzygnięta. I tak się sprawy miały przez następne dziesięć lat. Rosło jednak przekonanie, że mały królewicz musiał zginąć, bo gdyby żył, na pewno już by się objawił światu, chociażby jako marionetka na cesarskim dworze Bonapartego. Gdyby jednak żył, jego nagłe pojawienie się na politycznej scenie tchnęłoby w Trójprzymierze nową energią i zjednoczyło przy okazji wszystkie francuskie rojalistyczne frakcje, bo tego jednego pretendenta do tronu Francji musieliby uznać wszyscy.

Tak więc wszyscy zakładali, że Karol Ludwik nie żyje, ale nie wszyscy byli o tym zupełnie przekonani. I oto pojawia się nagle sprawa Saint-Lazarre'a, który najwyraźniej uważał, że młody król żyje. Ba, sądził chyba nawet, że wie, w którym miejscu należy go szukać. Saint-Lazarre był znany z cynizmu i sceptycyzmu, więc musiał dostać wiadomość, która go przekonała. To dlatego znikł tak nieoczekiwanie z Anglii i wyruszył w podróż do Francji, nie mówiąc nikomu ani słowa.

Czy była to prawda, czy zręczne kłamstwo, ta wieść mogła całkowicie zmienić europejski układ sił i uczestnicy Gry Cienia musieli dowiedzieć się o tym natychmiast. Tak więc Wessex wrócił co tchu do Anglii i nie kryjąc już swojej tożsamości, pognął na grzbiecie Hirondele wprost do Londynu, by zameldować się w pałacu St. James.

Złożył raport dwukrotnie — najpierw królowi Henrykowi, a potem baronowi Misbourne'owi — a każdy z nich zasypał go gradem pytań. Wiadomość tej wagi nie mogła zostać tak po prostu przyjęta — należało ją zmierzyć, zważyć, sprawdzić, zbadać... ale jeśli była prawdziwa, jeśli chociaż istniało prawdopodobieństwo, że była prawdziwa, ktoś musiał natychmiast udać się do Francji, podjąć trop i dotrzeć do młodego króla, zanim dotrze do niego Saint-Lazarre i ukryje go w innym miejscu. Należało mieć absolutną pewność, że król Ludwik będzie czekał na swoją restaurację w Anglii, a nie gdziekolwiek indziej.

Ale to nie Wessexowi miało przypaść w udziale to delikatne zadanie. Król Henryk bardzo jasno wyraził swoje zdanie na ten temat. Miejsce Wessexa było w Londynie. Miał skakać koło swojej żony i przygotowywać się na przyjazd księżniczki Stefanii, zamiast włóczyć się po Kontynencie.

Tak więc Wessex powrócił w końcu do Dyer House, zresztą tylko po to, by się dowiedzieć, że jego żony już tam nie ma. Powiedziano mu, że Sara przeniosła się z powrotem do Herriard House, tak jakby ich ślub w ogóle nie miał miejsca.

Wessex z przyjemnością zostawiłby ją tam, gdzie była — ale mając w pamięci niedawną rozmowę z królem i jego dokładne instrukcje, nie miał wątpliwości, że jego obowiązkiem jest uczynić coś zgoła przeciwnego. Natomiast to, że po drodze spotkał księcia Jakuba, było po prostu fatalnym zbiegiem okoliczności. Zobaczył go wychodzącego z jednego z klubów w towarzystwie Geofreya Highclere i chcąc choć na chwilę wyciągnąć księcia spod złego wpływu tego dzentelmena, zaprosił go do Herriard House. Jamie zachował w miłej pamięci ostatnie spotkanie ze świeżo upieczoną małżonką Wessexa, toteż łatwo dał się przekonać, że wypada złożyć jej wyrazy uszanowania. Wessex zresztą uznał, że przyjscie z gościem da mu czas na zastanowienie się, co właściwie powinien powiedzieć żonie o swojej nieobecności.

Teraz wiedział już bardzo dokładnie, co ma jej powiedzieć. Niestety w ten sposób dobrze wychowany mężczyzna w ogóle nie powinien zwracać się do kobiety.

— Jaką mieliście pogodę w Londynie? — zwrócił się zatem diuk Wessex do swojej małżonki.

Następny kwadrans minął Wessexowi i księżnej na takiej właśnie obrzydliwie uprzejmej wymianie zdań. W tym czasie zaś Jakub i Meriel naprawdę miło spędzali czas. Sara, oprócz targających nią od wielu dni emocji, miała jeszcze zaznać poczucia zdrady. Sądziła, że Meriel ma dość rozumu i wrażliwości, aby nie dać się wykorzystać w ambitnych planach jej wuja, mających na celu omotanie Jakuba i przecignięcie go do katolickiej frakcji.

Najwyraźniej się myliła. Meriel odgrywała z takim talentem rolę zalotnej i głupiutkiej panienki, że Sara się zastanawiała, czy kiedykolwiek znała przyjaciółkę.

W końcu księżę Jakub wstał, aby ich opuścić. W tym samym momencie wstała też Meriel, oznajmiając przerażonym głosem, że spóźniła się na umówione spotkanie. Potem jeszcze szybkie wkładanie kapeluszy i rękawiczek, i nareszcie księżna Wessex została sam na sam ze swoim mężem...

Z wahaniem zaryzykowała spojrzenie na niego. Miał zaciśnięte wargi, a czarne oczy błyszczały wściekłością.

— Zadam tylko jedno pytanie: wasza miłość, czy zdajesz sobie sprawę z tego, co dzisiaj zrobiłaś? — powiedział w końcu.

Gniew podyktował jej stosowną odpowiedź:

— Nie ja przyprowadziłam tutaj księcia. Z jakiego to powodu zjawiliście się tu obaj? Chciałeś wprowadzić go w sam środek katolickiego spisku, który może sam wymyśliłeś?

Wessex aż się zatrząsł w hamowanej furii, a jego twarz zbladła, jakby uciekła z niej cała krew.



— Jak możesz? — powiedział zduszonym głosem. — Tak słyszysz królowi i Lidze? Sama rozgrywasz jakieś potajemne gierki. Jak rozpuszczone dziecko bawisz się rzeczami, które należą do dorosłych.

— Jak śmiesz? — Sara też nie panowała już nad nerwami. — Ty mnie nazywasz dzieckiem? Ty, który nie masz pojęcia ani o mnie, ani o moim charakterze!

— Tu się mylisz — odparł Wessex śmiertelnie lodowatym tonem, który przejmował dreszczem bardziej niż poprzedni wybuch gniewu. — Znam na wylot każdą cechę twojego charakteru, choć wcale nie jest to przyjemna wiedza. Jesteś zepsuta, oddana wyłącznie przyjemnościom i pełna złej woli. Zdradziłaś sekretny związek dla własnej pustej zabawy...

Sara nie do końca pojmowała, o co chodzi Wessexowi, więc tym bardziej przestraszyły ją jego słowa.

— Pustej zabawy! — zareagowała na ten fragment jego zarzutów, który, jak jej się wydawało, rozumiała. — Meriel jest moją przyjaciółką i delikatnie mówiąc, nie darzy miłością swojego wuja. Z pewnością też nie zrobi nic z tego, co sugerujesz, aby go zadowolić. Wiem, że sytuujesz ją w samym środku spisku Ripona, ale ona nie jest aż taka głupia.

— Och, naprawdę? — zapytał drwiąco Wessex. — Jej dzisiejsze zachowanie zdawało się o tym świadczyć. Powiedz mi, co to za idiotyczny pomysł, żeby przyjmować ją w tym domu?

— To jest mój dom, wasza miłość, gdybyś przypadkiem o tym zapomniał. t

— Jeśli wyniknie z tego jakiś skandal, który zresztą Ripon umiejętnie wykorzysta, duński książę regent nie zawaha się wycofać z zaręczyn ani z traktatu...

— A czy książę Jakub o tym nie wie? — zapytała lodowatym tonem Sara.

— Jakub to rozpuszczony smarkacz, a jego ojciec król polecił nam obojgu strzec go przed popełnianiem takich głupich błędów, w jakie właśnie się pakuje dzięki tobie.

— Więc jest głupcem, który nigdy nie powinien zasiąść na tronie! — wrzasnęła Sara i zamilkła przerażona własnymi słowami.

— Masz zamiar bawić się w osadzanie królów na tronach, *madame*? — zapytał bardzo cicho Wessex. — Ostrzegam cię, bo takie pomysły mogą zaprowadzić w bardzo niemiłe miejsce.

Kłótnia rozwijała się w kierunku, w którym Sara wcale nie zamierzała podążać. Wessex zachowywał się teraz nie jak rozgniewany mąż, ale jak wróg, którego obecność była śmiertelnym zagrożeniem.

— Nie wiem, o czym mówisz! — wrzasnęła. — Nigdy, przenigdy nie chciałam cię poślubić! I żałuję, że w ogóle się urodziłam!

Chwyciła pierwszy lepszy przedmiot, jaki nawinął się pod rękę — porcelanową cukiernicę — i cisnęła nim w głowę Wessexa, który niemal automatycznie chwycił pocisk.

Sara wybiegła z pokoju.

Wessex odstawił cukiernicę na najbliższą płaską powierzchnię, podszedł do drzwi i zamknął je bezszelestnie. Nigdy nie czuł się mniej pewnie niż teraz, a taka niepewność bywa wielce niebezpieczna.

W jaką grę grała Sara? Czy była lojalna wobec Ligi Boscobel, czy też chciała ją zniszczyć, a wraz z nią króla? Czy zaprzyjaźniając się z Meriel współpracowała z Riponem, czy wręcz przeciwnie, chciała zniweczyć jego plany? Wessex zastanowił się głęboko i spróbował wybiec myślą poza dzisiejszą katastrofę. To, że Sara prowadziła jakieś własne działania, nie ulegało wątpliwości... ale na razie to lady Meriel przejęła inicjatywę, i to Ripon nią sterował, niezależnie od tego, jakie były dalsze plany Sary. Czy diuk powinien pozostawić żonę w mieście, czy też wywieźć ją na dwór Wessex i trzymać tam z dala od miejskich pokus? Mężczyzna mógł zrobić z żoną co chciał — to była jedna z zalet małżeństwa. Ale z drugiej strony, i tak doszło już do fatalnego spotkania lady Meriel i księcia Jakuba. Jeśli Meriel celowo zawarła znajomość z żoną Wessexa, by doszło do niby przypadkowego spotkania z

księciem, to właściwie księżna nie jest jej już potrzebna. A jeśli to jednak Meriel została wykorzystana przez księżnę w zręcznej intrydze...

Kiedy już zupełnie zaplątał się w myślach, jego wzrok padł na skrawek papieru wetknięty pod oparcie sofy. Wyciągnął go ostrożnie, jakby obawiał się eksplozji, i obejrzał z uwagą.

Zaproszenie na bal, który Ripon wydawał w imieniu siostrzenicy.

Fascynujące. Na tyle fascynujące, że Wessex znów zmienił zdanie na temat działań swojej żony. Teraz musiał przyznać, że nie ma najmniejszego pojęcia, w co gra ta kobieta. Dlaczego tak bardzo chciała pójść na ten bal Ripona, że ukryła zaproszenie przed własnym mężem? I jeszcze ciekawsze pytanie: po co Ripon ją zapraszał?

Sara uciekła do swojego pokoju, jakby umykała przed Bestią, która ściagała ją w na wpół już zapomnianym śnie. Zakładała, że Wessex ułatwi jej trwanie w tym fikcyjnym małżeństwie, ale teraz zdała sobie sprawę, że nie może liczyć na pokój między nimi. Z uczuciem zbliżonym do paniki wpadła do bezpiecznego azylu swojej sypialni i zatrzasnęła za sobą drzwi. Wessex najwyraźniej jej nie ściagał, więc zdołała w miarę szybko ochłonąć w atmosferze prywatności. Wojownik nigdy nie ulega panice, strach jest drogą donikąd, strach jest zagubioną ścieżką...

Przez krótką chwilę dwie Sary — Sara Cunningham z Balitmore i fałszywa markiza Roxbury, którą potem się stała — walczyły o kontrolę nad jej osobowością. Ale jej prawdziwe ja szybko umknęło i znikło w zakamarkach umysłu, pozostawiając jednak pewną myśl...

Oni wszyscy chcą, żebym udawała księżnę Wessex i przewodziła towarzystwu w tym tanecznym korowodzie. Ale nie wiem, jak to zrobić. Nie jestem tą kobietą, za którą zapłacili...

Sara opadła ciężko na krzesło i splotła dłonie. Wiszące naprzeciwko lustro drwiło z niej najwyraźniej, pokazując zupełnie obcą osobę — spokojną, pewną siebie arystokratkę w złocie i błękitach; kobietę może nie piękną, ale o zdecydowanych rysach i silnej woli.

Ale na pewno nie markizę Roxbury. Za to chyba jednak jestem księżną Wessex, skoro poślubiłam diuka? Ale nie tą księżną, za którą on mnie bierze...

Jednak pamięć znów ją zdradziła i Sara za nic nie mogła sobie przypomnieć, w jaki sposób znalazła się na miejscu markizy. A jeśli chodzi o wcześniejsze życie, o to, kim była, zanim zaczęła się ta maskarada... wciąż jej się zdawało, że zna odpowiedź na to pytanie, i że ta odpowiedź czeka tylko na właściwy moment, aby błysnąć w jej umyśle.

Wzięła głęboki oddech. A więc miała pewność co do jednego: wiedziała, kim nie jest. Na razie pozostałe problemy straciły znaczenie.

Tylko co powinna teraz zrobić?

Nie zostanie w Londynie. Nie może uczestniczyć w tej szopce ani chwili dłużej. Chciała być sojuszniczką Wessexa od pierwszej chwili, kiedy poprosił ją o pomoc, ale on zdaje się żądał jej współpracy, podczas gdy ją samą odpychał. A teraz w dodatku był wściekły. To prawda, że spotkanie Meriel i księcia Jakuba było katastrofą, ale Wessex był temu winien w równym stopniu co i ona, i razem powinni naprawić tę szkodę. On jednak nie był zainteresowany współpracą. A ona nie życzyła sobie być zawsze tą jedyną, która dąży do kompromisu. Kiedyś trzeba z tym skończyć — najlepiej w tej chwili. Podjedzie do Mooncoign i zostawi Wessexa, by sam rozwiązywał swoje problemy. Wątpiła, by protestował.

Wessex wciąż jeszcze przypatrywał się uważnie zaproszeniu Ripona, gdy w drzwiach stanął Buckland z zatroskaną twarzą.

— Wasza miłość, niejaki pan Farrar prosi o posłuchanie. Mówi, że sprawa jest pilna.

Gdyby Wessex był kimkolwiek innym, z przyjemnością odesłałby teraz pana Farrara do wszystkich diabłów. Ale w jego zawodzie nie można było tak po prostu pozbywać się nieznanym ludzi.

— Niech wejdzie, Buckland. I niech ktoś uprzątnie ten bałagan — machnął ręką w stronę pustych filizanek i cukiernicy.

Pan Farrar był milej powierzchowności dżentelmenem w ciemnozielonym surducie. Wessex, jak się okazało, znał go całkiem nieźle, chociaż nie z nazwiska.

— Wielki Boże — wykrzyknął. — Toby! Co ty tutaj robisz?

— To delikatna sprawa. I niezbyt miła, wasza miłość. Przepraszam za tę zabawę w przebierańców, ale lord Misbourne nie chciał powierzyć tej sprawy papierowi i sądził, że najlepiej będzie posłać mnie.

Człowiek, którego Wessex znał jako Toby'ego — chociaż z pewnością było to równie nieprawdziwe imię, jak Farrar nazwisko — nie należał do towarzystwa, choć, gdyby chciał, mógłby uchodzić za dżentelmena. Gdyby zresztą Wessex kiedykolwiek spotkał go w prywatnym życiu, Misbourne nigdy nie pozwoliłby spotkać im się w Wieży. Wychodził z założenia, że nawet na torturach nie zdradzi się tego, czego się nie wie. Tak więc dla Wessexa istnienie Toby'ego Farrara zaczynało się i kończyło w korytarzach i bibliotece na Bond Street.

Ale oto Toby pojawił się tutaj. Sytuacja, w której nie dało się wezwać Wessexa zwykłym trybem, przekazując umówiony sygnał w zupełnie neutralnej przesyłce, musiała być niewątpliwie niezwykła.

— Mów — powiedział krótko Wessex.

— Księżniczka Stefania znikła — odparł beznamyślnie Toby.

Oficjalnie duński gość miał pojawić się w Londynie pod koniec lipca. Jednak księżniczka wsiadła w sekrecie na statek miesiąc wcześniej, co było dość rozsądne, bo statek wiozący członka duńskiej rodziny królewskiej stanowił łakomy kąsek. Dwa okręty — „Królowa Christina” i „Trygve Lie” wypłynęły z Danii cztery dni temu. Jeden z nich dotarł do Roskild. Drugi nie.

— Kapitan Kościuszko mówił, że stracili kontakt z „Królową Christiną” we mgle. Podobno była tak gęsta, że cała nieprzyjacielska flota mogłaby przepłynąć o dziesięć stóp od nich, a i tak nic by nie dostrzegli. Kiedy mgła się podniosła, statku już nie było. I nie dotarł do portu przed nimi.

Znikła księżniczka Stefania, najważniejsza dla traktatu osoba!

— Jak aktualna jest ta informacja? — zapytał Wessex.

— Nie starsza niż trzydzieści sześć godzin, wasza miłość. Do Szkocji dotarła telegrafem słonecznym, a z Edynburga gołębiem — odparł Toby.

Wessex nie tracił czasu na pytanie, czy informacja jest pewna. Tego nikt nie mógł wiedzieć. Musieli założyć, że pewna i działać zgodnie z tym założeniem.

— Kto jeszcze wie? — padło kolejne krótkie pytanie. — I jak długo potrwa, zanim dowiedzą się wszyscy?

— Załoga, kapitanat portu Roskild, król Henryk, baron Misbourne — zabrzmiała odpowiedź. — Kościuszko twierdzi, że według jego wiedzy „Christina” nie została zaatakowana.

A więc jej zniknięcie było zaplanowane... przez kogoś.

— Czy mamy jakieś podejrzenia, dlaczego „Królowa Christina” znikła?

Toby Farrar skrzywił się niechętnie.

— Słowa lorda Misbouma brzmią: jedź i zobacz.

## 14. TANIEC Z DIABLEM W BLASKU KSIĘŻYCA

Dwa tygodnie później Sara księżna Wessex wzięła udział w balu wydanym przez earla Ripona z okazji prezentacji w towarzystwie jego siostrzenicy lady Meriel Highclere.

Te dwa tygodnie były bardzo nieprzyjemne. Kiedy w końcu Sara zdołała otrząsnąć się z zagubienia i gotowa była do rzeczowej rozmowy z mężem, aby mu wyjaśnić, dlaczego musi pojechać na wieś, jego już nie było. Nie było go też w Dyer House, ani w jego kawalerskich apartamentach, które, jak przy okazji odkryła, wciąż wynajmował. Nie było go wreszcie w żadnym z klubów. Dwa dni później nadeszła wreszcie dość chaotyczna wiadomość od Wessex, adresowana do niej i do Dowager, a wysłana do Dyer House; diuk zawiadamiał, że pilne sprawy związane z wojskiem wezwały go do podróży i pisał, że ma nadzieję, że nie czują się bardzo dotknięte jego nieobecnością.

Wiadomość była na tyle nedorzeczna, że Sara nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Na szczęście teraz, kiedy Wessex wyjechał, nie musiała opuszczać miasta, aby uniknąć z nim kontaktu. Poza tym powinna właściwie mieć na oku lady Meriel. Zresztą obserwowanie lady Meriel nie było specjalnie kłopotliwe, bo mówił o niej niemal każdy, kogo Sara spotykała. Widziano ją w towarzystwie księcia. Wybrali się na konną przejażdżkę. Jechali razem powozem. Oczekiwano jego obecności na balu. Porzucił Karolinę Truelove i swe pozostałe kochanki. Udał się do domu wuja Meriel i spędził tam całe popołudnie. Pogłoski. Plotki. Niepokoje. A Meriel nie odpowiadała na listy Sary, nie spotkała się z nią w żadnym z umówionych miejsc. Sara wybrała się raz do niej osobiście, po to, żeby usłyszeć od służby, że lady Meriel nie ma teraz w domu.

Aż wreszcie nadszedł czas balu u earla Ripona.

Powóz Sary, na którego drzwiczkach wciąż widniały herby Roxbury, a nie Wessex, podskakiwał i trząsł na wyboistej drodze. Kabina starego typu opierała się na skórzanych pasach, a nie na nowocześniejszych sprężynach, jednak powóz był obszerny i wygodny, i kiedy nie pędziło się galopem, zapewniał wyjątkowy komfort. A tego wieczoru galopem z powodu zatłoczenia dróg nie dawało się jechać.

Z powozu zdjęto tym razem skórzane pozłacane zasłony, aby zapewnić lepszy dostęp powietrza. Teraz, gdy się znowu zatrzymali, Sara otworzyła okno i wyrzała zaciekawiona na zewnątrz. Stali niedaleko od rogu ulicy — widziała to wyraźnie, mimo natłoku powozów. Najdalej za pół godziny powinni być na miejscu. Z daleka widziała londyńską rezydencję Ripona — wielkie, niemal średniowieczne domostwo. Pośród sąsiednich budynków wyglądało jak wielkolud wypatrujący ofiary — z gotycką fasadą z ciemnych kornwalijskich kamieni, oświetloną teraz niezliczonymi pochodniami. Chociaż największe letnie upały miały dopiero nadejść, tej dusznej lipcowej nocy Sara dziękowała Bogu, że jej balowa suknia jest, zgodnie z duchem mody, uszyta z lekkiego muślinu i jedwabiu, zamiast ze sztywnego brokatu i aksamitu. Włosy miał ułożone w prostą fryzurę, ozdobioną tylko pojedynczą kokardą, czaplami piórami i paroma diamentkami. Na zwiewnej błękitnej kreacji naszyto cekiny i wyszywane srebrną nicią rozetki. Nie chciała przyćmić strojem Meriel, do której miała należeć ta noc, ale też nie zamierzała wyglądać, jakby była w żałobie po nieobecnym mężu.

Ręka Sary odruchowo powędrowała do ukrytego za gorsem pierścienia. Tkwił w specjalnie w tym celu zrobionej wewnętrznej kieszonce, którą wymyśliła na prośbę Sary *madame Francine*. Nie mogła niestety sięgnąć do pierścienia, wąski dekolt sukni skutecznie to uniemożliwiał, ale samo jego dotknięcie, choćby przez materiał, zawsze ją uspokajało. I zarazem budziło nowe pytania.

Pierścień należał do jej ojca — tego Sara była pewna. Ale z całą pewnością nie należał do ojca lady Roxbury. Kiedy Sara po raz pierwszy spotkała Wessex, ten rozpoznał pierścień i

uruchomił ukryty mechanizm. Oznaczało to, że pierścień kryje w sobie jakiś sekret, może klucz do całej tej historii — i Wessex wie, jaki to sekret.

Powóz szarpnął gwałtownie i wytrącił ją z zamyślenia. Stojące w korku ulicznym powozy ruszyły znowu. Zbliżała się do celu podróży.

Jego miłość kapitan diuk Wessex, podróżujący z racji pośpiechu pod własną tożsamością, stał na pokładzie okrętu Jego Królewskiej Mości „Widowmaker” i zbliżał się do najbardziej na pomoc wysuniętej ziemi Korony — wysp Orkadów. W tej podróży Atheling towarzyszył swojemu panu, bo wyjątkowo Wessex występował tu jako oficjalny przedstawiciel króla Henryka i nie mógł podróżować bez służby.

Orkady — wyspy, które przeszły spod panowania duńskiego pod szkockie za czasów nieśmiertelnej przez literaturę lady Macbeth — były zamieszkane głównie przez niewielkie społeczności rybaków, których życie niewiele się zmieniło w ciągu ostatniego tysiąca lat. Największym miastem w łańcuchu wysp było Roskild; jego port był też jedynym na tyle głębokim, by mógł w nim rzucić kotwicę większy okręt. Kotwiczyl tam swego czasu „Trygve Lie” i teraz okręt Wessexa podążał w jego ślady. Wypłynął z Londynu podczas przypływu i żeglując na pomoc trzymał się cały czas brytyjskiego wybrzeża — ku wielkiemu niezadowoleniu kapitana — aby nie prowokować francuskich okrętów wojennych, które kręciły się po Kanale jak głodne rekiny. Dzięki okrętowi podróż, która konno zajęłaby ponad tydzień, mogła odbyć się w ciągu czterech dni. O świcie piątego dnia „Widowmaker” wpłynął do portu w Roskild, korzystając z porannego przypływu.

Tu, daleko na pomocy, gdzie słońce dopiero wychylnęło spoza chmur, wszyscy, nawet najgorliwsi kupcy, byli jeszcze w łózkach. Wessex pozostawił kapitanowi wątpliwą przyjemność załatwienia całej papierkowej roboty w kapitanacie portu, a sam udał się na poszukiwania swojego przyjaciela Kościuszki.

Polski huzar (który zresztą w oczach tubylców nie uchodził ani za Polaka, ani za huzara) wynajął pokój w mniejszym z dwóch hoteli w Roskild. Przybytek ten był położony na tyle daleko od portu, że nie dałoby się go pomylić z podłą tawerną, w jakich popijali marynarze, ale też trudno by w nim było podejmować arystokratów... gdyby się jakiś trafił w Roskild.

Wessex nigdy nie był „Pod Syrenką”, ale znał tysiące identycznych miejsc. Główne drzwi hotelu trzymano zamknięte i zabarykadowane dla ochrony przed nocnymi włóczęgami, ale drzwi kuchenne były zgodnie z jego przewidywaniami uchylone. Wessex skorzystał z nich i wszedł od razu na pierwsze piętro.

Zauważył tu tylko dwoje drzwi; spoza jednych dochodziło gromkie chrapanie. Wessex otworzył te drugie.

Illia Kościuszko leżał w poprzek rozrzuconego łóża pogrążony w głębokim śnie, z jedną ręką pod zmietoszoną poduszką. Wąsy miał ogolone, a włosy w nieładzie. Miał na sobie tylko koszulę i pantalon, i wyglądał jak pierwszy lepszy student, uchodźca czy podróżnik.

Wessex energicznie zamknął za sobą drzwi. Towarzyszący temu dźwięk zagłuszył odciążenie pistoletowego kurka. Kiedy diuk odwrócił się znów w stronę łóża, zobaczył, że, Kościuszko już unosi się na łokciu i trzyma pistolet wymierzony prosto w jego głowę. Rozpoznał twarz gościa, zabezpieczył broń i odłożył ją na bok.

— Powinieneś lepiej się ubierać, przyjacielu. Patrząc na ten zmietoszony płaszcz byłem pewien, że mam do czynienia z Francuzem. — Kościuszko przejechał ręką po czuprynie i skrzywił się, gdy natrafił na zlepione kosmyki.

— Jeśli spodziewasz się Francuza, to może lepiej byłoby zamknąć drzwi — zasugerował Wessex.

— Kiedy ja właśnie miałem nadzieję, że jakiś wejdzie do środka — wyznał szczerze Kościuszko. — Ale jaki jest sens wystawiać się na atak, skoro nikt nie chce skorzystać z okazji?

Wstał z łóżka i zaczął przeszukiwać bałagan w poszukiwaniu najpierw butów, a potem butelki brandy. — A nikt nie skorzystał? — zapytał Wessex.

— Zostałem pobłogosławiony nieobecnością jakichkolwiek wrogów — odparł Kościuszko i uzupełnił to długą i niezrozumiałą frazą we własnym języku. Wessex podejrzewał, że przyjaciel posłużył się swoim ulubionym powiedzonkiem: jak diabeł straci poczucie humoru, to ci zsyła spokój.

— Zupełnie nie potrafię sobie wytłumaczyć tego spokoju — dodał wciągając na nogi buty, co prawda ciężkie i zniszczone, ale pasujące do jego nowej tożsamości.

Wessex rozejrzał się po pokoju, ale nie znalazł żadnych mebli oprócz łóżka i stołu, usiadł więc na ziemi opierając się o ścianę.

— Zdaje się, że miałeś płynąć na tym samym statku co księżniczka — przeszedł do rzeczy.

— I płynąłem. Całkiem niezłe odgrywałem rolę holenderskiego lekarza, który dzięki uprzejmości *sir* Johna mógł odbyć podróż na statku do Anglii. Szkoda, że mnie nie widziałeś. Ale jej wysokość kazała mnie przenieść na drugi statek, zanim jeszcze wypłynęliśmy, twierdząc, że nie podoba jej się ten Van Helsing. A zbyt mało czasu zostało do początku rejsu, abym zdążył się pojawić jako ktoś inny. Zresztą wtedy niespecjalnie się tym zmartwiłem. Sprawdziłem dokładnie załogę „Królowej Christiny”, kiedy jeszcze staliśmy w porcie, i wykluczam obecność pośród nich zdrajcy. Nie było też żadnych zmian w ostatniej chwili.

Jedynym minusem mojego rejsu na „Trygve Lie” było to, że nie mogłem bezpośrednio pilnować księżniczki. Ale był przy niej *sir* John, który na pewno złożyłby lepszy raport na temat jej nastrojów podczas podróży niż zrobiłbym to ja. A potem „Królowa Christina” po prostu znikła bez śladu, raptem o pół dnia drogi od szkockiego wybrzeża.

Wessex wiedział, że zgodnie z planem okręty miały się trzymać brytyjskiego brzegu, aby uniknąć spotkania z francuskimi jednostkami.

— I to wszystko, co wiesz? — zapytał z wyraźnym rozczarowaniem.

Kościuszko uniósł ręce do góry.

— Nie mam nic więcej do dodania — powiedział ze skruchą. — Nikt na „Trygve” się nie spodziewał, że księżniczka zniknie. Upewniłem się co do tego. I nikt na pokładzie nie ma też najmniejszego pomysłu, co się z nią stało.

— Musimy przyjąć — zauważył rozsądnie Wessex — że sama chciała gdzieś wylądować. Ale gdyby to było na tym wybrzeżu, coś już byśmy usłyszeli.

— Co oznacza Francję — mruknął z ponurą miną Kościuszko.

— Co prawdopodobnie oznacza Francję — zgodził się Wessex. — Nie da się ukryć przed księciem, że straciliśmy jego siostrę. Trzeba założyć, że już się dowiedział. Teraz wyruszam na pokładzie „Widowmakera” do Kopenhagi. Przy okazji powęszę na duńskim dworze i zorientuję się, czy tam przypadkiem nie wiedzą czegoś więcej o tym tajemniczym zniknięciu.

— Jadę z tobą — zgłosił się natychmiast Kościuszko.

— Nie — odmówił zdecydowanie Wessex. — Ty pojedziesz do Anglii. Książę Jakub związał się z dziewczyną Ripona, a ty musisz ją od niego odciągnąć.

— Ja? — zdziwił się Kościuszko. Po chwili uśmiechnął się ze zrozumieniem. — Warto spróbować. Ładna?

— Bardziej niż na to zasługujesz. Zadbaj o wygląd i zbieraj się do drogi.

— Jej miłość księżna Wessex! — oznajmił donośnie strażnik w peruce, gdy Sara doszła do szczytu schodów.

Sala balowa zajmowała całe drugie piętro pałacu Ripona. Sara mimo woli porównała ją do sali balowej w Mooncoign, zastanawiając się, czy różnice pochodzą od charakterów właścicieli. Sala balowa w Mooncoign była urządzona z przepychem — wszystko tam błyszczało złotem, przyciągało wzrok i zachwycało. Ale Brookstone — dom Ripona nazwano

tak od jednego z jego tytułów — miał przede wszystkim przytłaczać. I to nie tylko ogromem, ale i potęgą rodu, do którego należał. Zbroje i broń z herbami Highclere'ów spotykało się tu na każdym kroku, jakby były trofeami zdobytymi na wrogach, a niezliczone lustra odbijały blask świec z żyrandoli, tworząc orgię światła, która zmuszała do mrużenia oczu.

Sara celowo przyszła wcześniej, mając nadzieję, że przyłapie na chwilę Meriel i zdoła ją wypytać o jej plany, ale tłok na ulicach opóźnił jej przyjazd na tyle, że zjawiała się grubo po dziesiątej. Sala balowa była wypełniona gośćmi, a w zimnym lśnieniu kryształów i luster Sara nie mogła dostrzec ani Meriel, ani księcia Jakuba. Może jednak książę nie przybył...

— Jak miło, że zaszczyciła nas pani swoją obecnością! — U boku Sary nagle zmaterializował się earl Ripon.

— Mnie też jest miło — odburknęła Sara, nie siląc się na uprzejmość. Czy Ripon naprawdę wierzył, że zdoła zrobić z Jakuba zasiadającą na tronie marionetkę? I czy kiedykolwiek zastanowił się, jaki jest koszt tych jego planów?

— Czy przybędzie też mąż pani? — nalegał Ripon. — Diuk — dodał, jakby Sara mogła zapomnieć, kogo poślubiła miesiąc temu.

Mocniej zacisnęła dłoń na wachlarzu.

— Mój mąż niespecjalnie tęskni do pańskiego towarzystwa — odparła ze złością. Nie miała zamiaru bawić się w uprzejmości. Do tej pory starała się zachowywać jak dama. Rzadko wychodziło jej to na dobre, więc może należało zmienić sposób bycia.

Ripon nie wydawał się zmiądzony tym oświadczeniem.

— Może uda mi się przekonać chociaż panią do zmiany opinii o mnie.

Wątpię, pomyślała Sara, ale powstrzymała się przed powiedzeniem tego na głos. Pozwoliła nawet Riponowi poprowadzić się przez salę balową do następnego pomieszczenia, gdzie earl podał jej kieliszek zimnego szampana, uklonił się uprzejmie i pozostawił ją w spokoju. Z obłudą, która zaskoczyła nawet ją samą, Sara spędziła następne pół godziny uśmiechając się fałszywie do gości i obiecując tańce, których nie zamierzała tańczyć, aż wreszcie wyruszyła na poszukiwania Meriel.

Musiała przyznać, że Ripon bardzo się postarał — chyba z połowa Górnych Dziesięciu Tysięcy tłoczyła się teraz w komnatach jego pałacu.

Szybko przemknęła przez otwarte dla gości pokoje i upewniła się, że nie znajdzie tam obiektu swoich poszukiwań. Ale przecież to niemożliwe, żeby lady Meriel była nieobecna na balu wydanym z okazji wprowadzenia jej do towarzystwa. Mogła jednak wciąż jeszcze przebywać w swoich prywatnych komnatach i Sara postanowiła to sprawdzić.

Bez trudu opuściła salę balową, ale kiedy już znalazła się na wyższym piętrze obcego domu, doszła do wniosku, że nie ma pojęcia, gdzie szukać pokoi Meriel. Wzruszyła ramionami i poprawiła szal. Musi szukać, aż znajdzie. Teraz, kiedy wszyscy są na dole, spotka co najwyżej jakiegoś zagubionego służącego. Ostatecznie osoby z wyższych sfer bywały ekscentryczne, więc nie zdziwiłoby to służby, a drobna łapówka powinna wystarczyć, by Ripon nie dowiedział się o jej wycieczce po domu. Znalazła następne schody i zaczęła się po nich wspinać. Otworzyła jedne czy drugie drzwi na trzecim piętrze, ale prowadziły tylko do pogrążonych w mroku małych pokoików. Żaden z nich nie sprawiał wrażenia zamieszkanego. Sara już miała zamiar zaprzestać poszukiwań na tym piętrze, kiedy wychyliła się za róg korytarza i dostrzegła blask światła w szparze pod jeszcze jednym zamkniętymi drzwiami. Może tam właśnie była Meriel? Ale przecież nie może tak po prostu podejść i zapukać. Jakie poda powody swojego przyjścia?

Kiedy doszła do wniosku, że to głupi pomysł, drzwi, spod których dochodziło światło, otworzyły się gwałtownie.

— Tam nikogo nie ma — powiedział earl Ripon.

— Oczywiście, że nie ma! — warknął Geoffrey Highclere. — Tylko ta jęcząca ofiara, nasza siostrzenica, cały dom służby i z pięciuset gości.

Kurier z Francji...

Geoffrey z trudem powściągnął gniew. Nie warto zrażać brata, zwłaszcza że to on wymyślił plan osaczenia księcia Walii. Ale francuscy mocodawcy Geofreya, a zwłaszcza pajak Talleyrand — sekretny władca Francji — podchwycili plan natychmiast i teraz Geoffrey musiał być pewien, że zamierzenia jego brata osiągną zadowalający efekt. Oczywiście Ripon nie będzie wiedział, kto jeszcze się za tym kryje. Brat był na swój sposób lojalny wobec Anglii i jego spisek miał posłużyć tylko wewnętrznemu przesunięciu sił. Ale jeżeli spuszcza się z łańcucha takie moce, mogą pchnąć kraj w wielu różnych kierunkach...

— Za bardzo się tym przejmujesz, Geoffrey — powiedział uspokajającym tonem brat. — Meriel wypłakuje się teraz w ramionach pokojówki po lekcji, jaką dałeś jej przedtem, a wszyscy pozostali są na balu. Swoją obecnością zaszczyliła nas nawet księżna Wessex i nie należy jej zaniedbywać.

— Wessex! — syknął Geoffrey z nienawiścią. Kurier przywiózł z Francji wiadomości, że Wessex staje się niebezpiecznym człowiekiem, znacznie bardziej niż Geoffrey przypuszczał. — On cały czas przeszkadza w naszych planach.

— W jaki sposób? — zapytał rozsądnie Ripon. — Przecież wyjechał na wieś.

— Nieprawda — odparł Geoffrey. — Pojechał do Danii. Księżniczka Stefania znikła. Jej statek nie dotarł do portu na Orkadach.

— Co? — Ripon wyglądał jak rażony gromem. — Kiedy powiedziałaś, że masz ważne wieści, myślałem, że wiążą się z naszą sprawą.

Twoją sprawą, bracie, poprawił go w myślach Geoffrey.

— A nie wiążą? Uważasz, że Francja nie byłaby zainteresowana każdym sposobem, który mógłby znów uczynić z Anglii jej naturalnego sojusznika przeciwko wszystkim tym przeklętym heretykom? — podpowiedział gładko Geoffrey. — Teraz nam pomogła. Księżniczka Stefania nigdy nie dotrze do Edynburga.

Plotki o zniknięciu księżniczki Stefanii krążyły już po dworze, a kurier przywiózł Geoffreyowi tylko ich potwierdzenie. Ale jego informator doniósł także, że zniknięcie księżniczki Stefanii to tylko mydlenie oczu, które ma usprawiedliwić pospieszoną podróż na Kontynent diuka Wessexa.

— Znikła! — uśmiechnął się Ripon. — Mamy więc dość czasu, by rozegrać sprawę z księciem. Nie musiałeś dziś wieczorem być taki surowy dla Meriel.

— Może wcale nie mamy tak wiele czasu, jak myślisz — powiedział powoli Geoffrey. Wahał się wciąż, jak wiele może powiedzieć bratu. Wziął głęboki oddech i przywołał na pomoc cały swój dyplomatyczny talent.

— Moje... źródła sądzą, że prawdziwa misja Wessexa nie ma nic wspólnego z księżniczką Stefanią. To tylko przekonująca wymówka dla tych, którzy wiedzą, że diuk jest agentem króla Henryka. Niektórzy sądzą, że tak naprawdę Wessex jest na tropie króla Ludwika XVII. Zdaje się, że młody król żyje, a jeśli tak, Wessex zamierza przywieźć chłopca do Anglii i stworzyć tu opozycyjny francuski rząd.

Ripon przez chwilę trawił otrzymaną wiadomość, a Geoffrey zastanawiał się, czyjego brat chwyci przynętę.

— To możliwe — powiedział w końcu earl. — Czy to nie ojciec Wessexa wybrał się do Francji, by uratować to dziecko i nie udało mu się? Zaraz, czy na pewno mu się nie udało? Jeśli stary diuk jednak zdołał ukryć chłopca w jakiejś rojalistycznej rodzinie...

— ...to syn zamierza teraz dokończyć dzieła, którego nie mógł skończyć ojciec — uzupełnił Geoffrey. — A kiedy młody król będzie w angielskich rękach, bardzo to osłabi imperium francuskie. Anglia nigdy nie poprosi o oddzielny pokój...



— ...i nasza sprawa będzie przegrana — zmarszczył brwi Ripon. — Wessexa trzeba powstrzymać.

— Jego tutaj nie ma, więc nie da się go powstrzymać — zauważył Geoffrey. — Jak proponujesz go zneutralizować?

— Mam pewien plan, który może cię ucieszyć, Geoffrey — odparł earl. — Będzie wymagał podróży na Kontynent...

Sara wycofała się za róg, gdy tylko drzwi się otworzyły. Taki nakazywał rozsądek. Czy miała dać się złapać na zwiedzaniu korytarzy domów obcych ludzi? Kiedy usłyszała denerwujący głos Geoffreya Highclere'a, była zadowolona, że podjęła taką właśnie decyzję. Zapewne korzystał z okazji, aby znów prosić brata o finansowe wsparcie. Każdy wiedział, że pan Highclere tonie w długach.

Zrozumiała, jaki może być powód nieobecności Meriel. Dziewczyna nigdy dotąd nie bywała w towarzystwie, a w dodatku zaplątała się w skandalizujący romans. Nic więc dziwnego, że po prostu bała się pojawić na balu. Najrozsądniej było zaraz powrócić do sali balowej i poczekać na sposobność zapytania lorda Ripona o powody nieobecności Meriel.

Chyba rozsądek nie podpowiedział najmądrzej, doszła do wniosku Sara kilka godzin później. Na stoliku w jej pokoju paliła się tylko jedna świeczka, a ona siedziała przed lustrem w szarym jedwabnym szlafroku obszytym białymi koronkami, z twarzą wciąż wilgotną po zmyciu makijażu. Odesłała Knoyle do łóżka, gdy pokojówka zdjęła z niej suknię i wyjęła klejnoty z włosów. Potem jeszcze godzinę przygotowywała się do spania.

Krytycznym wzrokiem przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze. Nie była intrygantką ani najważniejszą damą w towarzystwie, za jaką chciał ją uważać król Henryk. I nie zdołała zamienić z Meriel nawet jednego słowa na osobności. Za to widziała mnóstwo rzeczy, które nie powinny się były wydarzyć. Księżę Jakub wyglądał bowiem na absolutnie olśnionego urodą Meirel. Był w niej najwyraźniej niebezpiecznie i głupio zadurzony. A Meirel rozgrywała to jak metresa z dworskich romansów, wymagając skandalicznych i publicznych dowodów jego oddania.

Gdyby Wessex tu był, Sara przełknęłaby jakoś dumę i poszła z tym do niego. Katastrofa była zbyt wielka, by przejmować się swoimi zranionymi uczuciami, jeśli była szansa na jego pomoc. Ale Wessex wyjechał i nie miała pojęcia, kto zna miejsce jego pobytu.

Z westchnieniem zaczęła rozczesywać włosy. Markiza Roxbury miała wielu sojuszników, ale Sara Cunningham nie miała żadnego. A to znaczyło, że chociaż czuła się odpowiedzialna za fiasko duńskiego traktatu, nie mogła w żaden sposób temu przeciwdziałać...

Nie! Nie może się z tym pogodzić! Meriel jest jej przyjaciółką i musi istnieć jakiś sposób, by do niej dotrzeć.

Może jutro odkryje, jaki to sposób.

Była Roxbury. Była panią Mooncoign. Prastara przysięga i prastara więź były jej częścią. Sara nagle to zrozumiała, mimo zasłony amnezji, która okrywała jej umysł. Była wybranką Najstarszego Ludu — wojownikiem, który miał strzec ich ziem przed intruzami, co chcieli nimi zawładnąć. To była ta odpowiedzialność, o której zapomniała tamta Sara. Ta sama, którą ona — jej sobowtór — tak beztrąsko wzięła na siebie. Podobnie jak jej poprzedniczka, wierzyła nierozważnie, że nie istnieje wróg, z którym trzeba walczyć. I podobnie jak jej poprzedniczka była w błędzie.

Święte Głazy otaczały ją wokół i wyrastały wysoko w górę — filary miasta pozbawionego ścian. W świetle dnia były tylko zimną skałą, ale tu, w świetle snów — srebrzystym kryształem pokrytym świecącymi runicznymi napisami. Sara stała pośrodku, a przed sobą miała kryształowy blok, w którym tkwił pokryty tajemniczymi znakami lśniący miecz. Był to

miecz ceremonialny — zbyt wielki, by mogła nim władać jakakolwiek ludzka istota. Miecz giganta. Ale ona miała go unieść, wyrwać ze skały i ponieść przeciwko wrogom Ludu. Przeciwko Potworowi, który czaił się tuż za granicami ich ziem.

A oni na nią patrzyli. Kątem oka widziała, jak stoją między głazami, które stanowiły zewnętrzny krąg. Rząd za rzędem stał Najstarszy Lud, choć ich ciała były jak zwiewna mgła. Stali tam i czekali, aż Sara wypełni swoją obietnicę.

Tylko że to nie ona złożyła obietnicę. To za nią przysięgano. Ją sprowadzono tu z jej bezpiecznego świata, aby dotrzymała przyrzeczenia, którego nigdy nie złożyła.

A mimo to Sara ich nie zawiedzie. Walka była bliska, a ona miała zamiar odegrać w niej swoją rolę. Ale kiedy uspokoiła wreszcie nerwy i sięgnęła po miecz, nie mogła uchwycić jego ozdobionej klejnotami rękojeści. Raz po raz jej palce ześlizgiwały się z broni.

— Nie jesteś częścią tej ziemi.

To był ten, który pokazał Sarze jej drugie wcielenie w jeziorze w Mooncoign. Teraz zamiast zielonej szaty miał na sobie srebrne ubranie, lśniące tak jasno, że nie mogła na niego patrzeć bez mrużenia oczu. Wokół jego czoła widniał rząd rubinów, a kiedy na nie patrzyła, jeden po drugim ciemniały, pękały i spływały w dół jego twarzy, nie jak kamienie, ale jak krople krwi.

— Dopóki nie będziesz częścią tej ziemi, nie możesz jej służyć. A ona nie da ci mocy. Nie zawieź nas, Saro...

— Czekać! — krzyknęła. — Nie rozumiem!

Sara usiadła gwałtownie na łóżku z bijącym sercem. Rozejrzała się oszołomiona po ciemnej sypialni, dostrzegając tylko jaśniejszą plamę w miejscu, gdzie znajdowało się uchylone podczas tej gorącej lipcowej nocy okno.

— Nie rozumiem — wyszeptała, ale było już za późno, by ścigać postacie z jej snu. Nagle pomiędzy łóżkiem a oknem poruszył się jakiś cień i Sara zdała sobie z przerażeniem sprawę, że nie jest sama w pokoju.

— Tsss — usłyszała cichy głos, gdy już nabrała powietrza, aby zaalarmować krzykiem służbę.

— Meriel? — wyszeptała z niedowierzaniem.

Cień zbliżył się do jej łóżka. Rzeczywiście była to lady Meriel, ubrana w długie, czarne domino narzucone na białą jedwabną suknię balową, w której Sara widziała ją wcześniej tego wieczoru.

Odrzuciła kołdrę i zerwała się na równe nogi.

— Co ty tutaj robisz? — zapytała ostrzej niż zamierzała. Podeszła do stołu z zamiarem zapalenia stojącej tam świeczki, ale Meriel dopadła jej jeszcze szybciej.

— Nie! — szepnęła zdecydowanie. — Żadnego światła. Ktoś może zobaczyć.

— Kto? — zapytała nagle czujna Sara. Zamknęła natychmiast okno i zasunęła ciężkie brokatowe zasłony.

— Wuj Geoffrey — odparła cichym głosem Meriel. — Jeśli zobaczy światło...

— Już w porządku, Meriel — uspokoiła ją Sara. — Nikt nie może nas zobaczyć.

Grube zasłony z pewnością uniemożliwiałyby dostrzeżenie jednej zapalanej świeczki obserwatorowi z ulicy, nawet jeśli ktoś naprawdę czaił się w ogrodzie Sary.

— Ale on i tak wie, że tu jestem — powiedziała dygocąc ze strachu dziewczyna. — Wuj Geoffrey zawsze wie wszystko... to on kazał mi zaprzyjaźnić się z tobą, twierdząc, że twoja lojalność wobec króla będzie dobrą zasłoną dla jego... dla jego planów. Powiedział, że jesteś zimna i wyniosła... ale ty zawsze byłaś dla mnie taka dobra... — głos Meriel zadrżał i nie mogła mówić dalej.

— Teraz to nie ma znaczenia — wtrąciła szybko Sara. Odstawiła świeczkę na stół i chwyciła Meriel za ramię. Nawet przez domino i jedwab sukni czuła, że jej ciało jest lodowato zimne. — Bardziej istotne jest, dlaczego tu się znalazłaś, i to w środku nocy.

Meriel zdobyła się na drżący uśmiech.

— Jest już prawie rano. Teraz miałam zostać znaleziona z księciem w ogrodach Vauxhall w jednej z prywatnych kabin. W jakim celu? Chyba się domyślasz. Wuj Geoffrey wyszedł z księciem po balu, a do jego butelki brandy dołał laudanum. Potem książę miał stracić przytomność, a ja miałam do nich dołączyć, żeby nas znaleźli sam na sam... — głos Meriel załamał się i wybuchnęła niepohamowanym szlochem.

Sara uspokajała ją jak umiała, ale w jej głowie zapaliły się iskry gniewu. To, co chciano zrobić księciu, a zwłaszcza Meriel, \_ było obrzydliwe. Gdyby Jakub nie poddał się panice i jej nie j poślubił, gdyby król nie ustąpił przed skandalem, życie Meriel i tak byłoby zrujnowane. Tylko dla chorych ambicji i chciwości jej wuja.

— Ale nie pojechałaś do Vauxhall? — na w pół stwierdziła, na w pół spytała Sara.

— Wuj Geoffrey posłał po mnie powóz. — powiedziała Meriel, a w jej głosie pojawiła się lekka nutka triumfu. — Nie zatrzasnęłam do końca drzwi i kiedy zatrzymaliśmy się przy browarze obok doków, wyskoczyłam, a powóz pojechał dalej beze mnie. Ale potem nie wiedziałam, dokąd pójść... więc przyszedłam do ciebie.

— Szłaś całą drogę piechotą? — zapytała przerażona Sara. Słyszała opowieści o bandach wyrostków z arystokratycznych rodzin, którzy tylko czatowali na chodzące samotnie po nocy kobiety. A tutaj nad rzeką było jeszcze bardziej niebezpiecznie. Meriel miała naprawdę wielkie szczęście, że dotarła do Herriard House i nikt nie podciął jej po drodze gardła albo nie zrobił czegoś jeszcze gorszego.

— Nie miałam wyjścia — odpowiedziała Meriel.

W ciemnościach wyglądała jak zwiewny cień i Sara przez moment miała wrażenie, że to dalszy ciąg jej snu. Po nocy wszystko zdawało się takie nierealne, ale działo się naprawdę. Przez krótki moment Sara zapragnęła, by był z nią Wessex. To wprawdzie zimny i wyrachowany człowiek, ale nie miała wątpliwości, że wiedziałby dokładnie, co należy teraz zrobić. Na pewno znalazłby sposób, by wydostać Meriel z łap jej przeklętego wuja, choćby nawet trzeba było w tym celu zastrzelić Ripona.

Niestety Sara nie miała najmniejszego pojęcia, gdzie można go znaleźć. Może Dowager by wiedziała...

— Wiem, że nie powinnam była tak tu wtargnąć — powiedziała zawstydzona Meriel, jakby dopiero teraz dotarło do niej, co zrobiła. — Ale będę dla ciebie kłopotem jeszcze tylko krótką chwilę. Miałam sporo czasu na przemyślenie, co powinnam dalej zrobić. Plan wuja Richarda nie był dla mnie tajemnicą już od ponad roku. Teraz muszę się udać w miejsce, w którym nigdy mnie nie znajdzie.

— Gdzie jest takie miejsce? — zapytała Sara obawiając się najgorszego. — Meriel, nie bój się. Mogę zabrać cię na wieś, do Mooncoign...

Ale Ripon bardzo łatwo znajdzie tam Meriel. Wystarczy, że pojawi się przed drzwiami Sary i zażąda jej powrotu, i ani Sara, ani jej służba nie będą mogli się temu sprzeciwić. Chociaż usilnie myślała, nie przychodził jej do głowy żaden inny pomysł.

— Nie — zaprotestowała Meriel, po raz pierwszy podnosząc odrobinę głos. — Pojadę do rodziny matki do Hiszpanii. Oni mnie przyjmą, a wuj nie odważy się tam za mną podążyć...

— Do Hiszpanii! Meriel, czy ty straciłaś rozum? — oburzyła się Sara. Dopiero w grudniu Anglia wypowiedziała Hiszpanii wojnę. Hiszpania była teraz krajem podbitym przez Napoleona, a jej wygnani władcy — jak inni w całej Europie — kontynuowali walkę, by uwolnić swój kraj spod korsykańskiego buta.

— Tam jest rodzina mamy — upierała się Meriel. — Znam bardzo dobrze ciotkę Meristellę. Dopóki wuj Richard mi nie zakazał, pisywałam do niej co tydzień. Ona mnie przyjmie i to będzie koniec spisku moich wujów.

Sara usiłowała wybić Meriel z głowy ten szalony plan. Podróż przez pół Europy w samym środku wojennej zawieruchy? Ale przecież angielskie statki wciąż pływały do Lizbony, stolicy ciągle jeszcze neutralnej Portugalii, a tam Meriel zapewne znalazłaby eskortę, która doprowadziłaby ją do domu ciotki. Był to argument, którego Sara nie zdołała obalić mimo usilnych starań. Zapaliła nawet świeczkę, ale jej blask nie wniósł wiele światła rozumu do tej dyskusji.

— Saro, ja nie mam wyjścia! — ucięła wreszcie Meriel nagłymi wybuchem. — Nie wrócę do domu. Nawet nie wiesz, co mi wtedy robi wuj Geoffrey. Spójrz!

Zrzuciła domino, zadarła suknię balową i podniosła bieliznę. Odwróciła się plecami do Sary, która w blasku świecy dostrzegła dwie brzydkie czerwone rysy znaczące wyraźnie skórę Meriel.

Lady Meriel została wychłostana.

— Twój wuj ci to zrobił? — zapytała Sara wstrzymując oddech

— Wuj Geoffrey — przytaknęła Meriel. — Nie chciałam brać w tym udziału, nie chciałam spotkać się z księciem ostatniej nocy. Ale wuj Geoffrey zagroził, że jeśli nie spełnię ich żądania, zniknę tam, gdzie nikt mnie nie znajdzie... i ja mu wierzę. Mam pieniądze — dodała wyciągając spod sukni ciężką sakiewkę — i klejnoty mamy. Wystarczy, aby dostać się do Madrytu — dokończyła z uporem. — Jeśli tylko dojadę do Dover, znajdą się tacy, którzy mi pomogą. Znam ludzi, z którymi Geoffrey robi interesy. Dla nich liczy się wyłącznie złoto. A ja je mam.

To zmienia zupełnie postać rzeczy, uznała Sara. Sama nie miała żadnej szansy, by ukryć lady Meriel, jeśli jej opiekunowie, zechcą ponownie jej użyć w spisku. A nie mogła zostawić Jakuba w ich sieci, zwłaszcza teraz, kiedy się dowiedziała, jak daleko mogą się posunąć.

Co robić? Co robić?

— Musisz się przebrać — powiedziała zdecydowanie, wskazując na pogniecioną i wysmarowaną błotem balową suknię Meriel. — Zadzwoń po Knoyle i przyniesie ci coś odpowiedniego. Każę też przygotować powóz...

— Nie! — zaprotestowała Meriel.

— Ależ Meriel, jak inaczej dostaniesz się do Dover? — skarciła ją Sara. — Mówisz, że masz tam jakichś przyjaciół, a mnie się wydaje, że potrzebujesz ich także tutaj.

Wciąż brakowało co najmniej godziny do świtu, kiedy Sara i Meriel wsiadły do podróżnego, dobrze resorowanego powozu markizy Roxbury. W odróżnieniu od ciężkiego, uroczystego potwora, którym Sara zajechała poprzedniego wieczoru na bal Ripona, ten żółty powozik był szybki i lekki, i powinien dowieźć swoich pasażerów do Dover w ciągu jednego dnia. Knoyle, ze zgorszoną miną, zasiadła w powozie naprzeciwko obu dam, a obok niej na żółtym welwetowym siedzeniu ulokowano najbardziej niezbędne w podróży bagaże. Kosz z zimnym prowiantem — bo każdy podróżnik zdawał sobie sprawę, jak obrzydliwe są potrawy w angielskich przydrożnych gospodach — spoczywał w przejściu przy nogach. Wszystkie trzy kobiety były owinięte ciepłymi i grubymi szalami, i same też wyglądały nieco jak podróżne pakunki — było wprawdzie lato, ale nawet latem poranki były chłodne.

Zamknięto drzwi i Sara usłyszała trzask bicia nad głową pierwszej pary koni. W tej samej chwili powóz zaczął się toczyć po brukowanej ulicy. Z tyłu usłyszała też tętent kopyt konia podążającego za powozem uzbrojonego strażnika.

Trudno było nazwać ten wyjazd konspiracyjnym i niezauważalnym, ale podróż bez woźnicy i dwóch uzbrojonych ludzi w eskorcie — jednego z tyłu wozu, drugiego jadącego

wierzchem — byłąby prowokowaniem nieszczęścia. A Knoyle była potrzebna nie tylko po to, by robić za przyzwoitkę podczas powrotu...

Tylko po to, by nie można było jej schwytać i wypytać — choćby i bezprawnie — kiedy mnie tu nie będzie, pomyślała Sara.

Nie bardzo wiedziała skąd, ale miała pewność, że nie należy lekceważyć potęgi Ripona. On wiedział, że była przyjaciółką Meriel. Kiedy Meriel zniknie, Ripon na pewno będzie chciał się dowiedzieć, co wie na ten temat jej przyjaciółka, a Sara nie była tak pewna... jak byłaby prawdziwa księżna Wessex...

... że jej pozycja ochroni ją przed ciekawością Ripona. W końcu ten człowiek już popełnił zdradę stanu, co wobec tego znaczyła jedna księżna? Kiedy Meriel zostanie już bezpiecznie wyprawiona w podróż — a Sara miała zamiar upewnić się co do tego — ona sama zamierzała osiąść w Mooncoign pod zbrojną ochroną, do czasu, aż zlokalizuje Wessex...

... i nie wytłumaczy mu, jak bardzo się mylił co do charakteru lady Meriel, chociaż należy przyznać, że miał rację co do reszty! jej rodziny, zamyśliła się ponuro Sara. Przeklęty włóczęga! Gdzie on się podziewa?

Pałac Amalienborg w Kopenhadze był surową i potężną warownią z szarego kamienia, o wielkim wewnętrznym dziedzincu. „Widowmaker” zawinał do kopenhaskiego portu już przedwczoraj, ale dwa dni trwało załatwianie wszelkich protokolarnych zezwoleń, których dziesiątki strzegły dostępu do duńskiego dworu, aby Wessex mógł wreszcie zostać przyjęty przez księcia Frederyka, który rządził jako regent w zastępstwie swojego ojca Christiana VII. Król Christian już od lat podlegał tak nieopanowanym atakom, na przemian gniewu i melancholii, że rządy nad krajem stopniowo musiały przejść w ręce jego najstarszego syna.

Księżę Frederyk był ojcem księżniczki Stefanii. Wessex czuł się nieswojo przynosząc mu wieść o zaginięciu jej okrętu bez śladu na brytyjskich wodach.

Amalienborg był stosunkowo nową konstrukcją. Jego klasyczna marmurowa fasada odznaczała się chłodem i wyniosłością. Sam Wessex też był raczej chłodny i wyniosły. Jego niebieski mundur ze srebrnymi lampasami wyglądał jak spod igły, a w czarnych wysokich butach można było się przejrzeć jak w lustrze. Pod pachą niósł niewielką teczkę.

Przy pałacowych drzwiach zatrzymał diuka człowiek w liberii; uważnie przejrzał jego dokumenty, zanim wpuścił go do środka. Kolejny dworzanin — w staroświeckim stroju i peruce — już tam na niego czekał. Odwrócił się na pięcie, nie patrząc w oczy Wessexowi i powiódł go przez pałacowe korytarze. Diuk szedł za swoim przewodnikiem, a jego podkute buty dudniły echem na wypolerowanej marmurowej posadzce, kiedy przemierzali kolejne pomieszczenia pełne kolumn i luster. Brązowe drzwi, przy których w końcu się zatrzymali, były strzeżone przez dwóch uzbrojonych ludzi w galowych mundurach.

Dokumenty, które Wessex dostarczył wczoraj, a które już mu zwrócono, by mógł je formalnie przedstawić na dworze, powinny teoretycznie zapewnić mu audiencję u księcia Frederyka, ale wiadomo było, że na obcych dworach nie należy z góry niczego zakładać. Równie dobrze może zostać dzisiaj przyjęty, jak i nie zobaczyć księcia przez najbliższych kilka dni.

Wciąż jeszcze musiał przedostać się przez szambelana — przypomniał sobie Wessex — a na samym końcu pokonać jakichś dworaków w komnatach prywatnych. Duński protokół dworski był znacznie bardziej wymyślny niż na stosunkowo nieskomplikowanym dworze Stuartów, którego emisariuszem był Wessex. Przy całym niesmaku, jakie budziły te słowa wobec wypadków we Francji, Wessex był nawet skłonny twierdzić, że wiatry Wolności i Równości, które tam wzniciły taki płomień, wiały chyba najskuteczniej właśnie w Anglii i jej amerykańskich koloniach. Wraz z upływem lat Wielka Brytania i jej dominia zaczynały mieć coraz mniej wspólnego z Kontynentem.

Ale nie pora była na takie rozmyślania. Przewodnik prowadził coraz głębiej w pałacowe komnaty, a potem w górę po kilku stopniach schodów. Wessex ocenił, że oddalali się od ceremonialnej części dworu.

A więc miała to być prywatna audyencja.

Dworzanin zatrzymał się przy wyjątkowo ozdobnych drzwiach, pokrytych rzeźbionymi i malowanymi duńskimi symbolami królewskimi. Dwaj stojący przy nich strażnicy odwrócili się i sprawnie pchnęli oba skrzydła do środka. Przewodnik Wessexa wyprężył się nieruchomo jak posąg, a Wessex, odgadując swoją rolę w tym przedstawieniu, minął go i wszedł do środka.

Ściany tej małej, pozbawionej okien komnaty wyłożono złotymi draperiami. Znajdowały się one nawet na suficie, formując w centralnym punkcie kształt wielkiego słońca. Gruba tkanina pokrywająca ściany i sufit tłumiała wszelkie dźwięki, tworząc poczucie izolacji. Wessex wiedział, że jest w tej chwili wczesne popołudnie, ale tutaj mogła być równie dobrze północ lub jakkolwiek inna godzina... podobnie jak dosłownie wszystko mogło się kryć za tymi ścianami ze złotogłowiu.

W wyściełającym podłogę dywanie także dominował złoto–bursztynowy kolor, a jedynymi meblami były tu olbrzymie biurko, którego blat stanowiła pojedyncza płyta z zielonego malachitu oraz stojące za nim, podobne do tronu krzesło, na którym zasiadał człowiek, którego Wessex pragnął zobaczyć.

Tyle że księżę Frederyk nie był sam. Kiedy Wessex rozpoznał jego towarzysza, miał przez moment wrażenie, jakby ktoś; dźgnął go sztyletem w brzuch.

Markiz Donatien Alphonse Franpois de Sade był niegdyś pensjonariuszem domu dla obłąkanych w Charenton, skąd uwolniła go zwycięska Rewolucja. Zła sława, która otaczała jego nazwisko, do pewnego stopnia wyjaśniała, dlaczego Napoleon był dla niego tolerancyjny. O ile na angielskim dworze markiz de Sade, był uważany w takim samym stopniu za czciociela Szatana, co i za dewianta, o tyle na dworze apostatów Napoleona jego biegłość w czarnej magii mogła być bardzo użyteczna. Już od czasów Ludwika XIV i sprawy markizy de Montespan wiedziano, że sztuka ezoteryczna, zwana też czasem magią, mogła być potężną bronią, zwłaszcza w rękach kogoś, kto nie czuje się związany przez żadne etyczne czy religijne ograniczenia. Wiara w Lucyfera — upadłego anioła — była szczególnie popularna właśnie we Francji, a de Sade był w niej biegłym kapłanem... jak również w kilku innych rzeczach, o czym Anglia mogła się już przekonać.

Ale co de Sade robił tutaj, w świątobliwej, religijnej i protestanckiej Danii? Jeszcze w tej chwili Dania była neutralna, ale to miało się skończyć natychmiast po podpisaniu traktatu, a wtedy de Sade zostałby aresztowany albo w najlepszym razie demonstracyjnie wygnany. A przecież de Sade nie wiedział, że zaginął najważniejszy element traktatu — księżniczka Stefania. Katastrofa wydarzyła się niecały tydzień temu i wieści dostarczane normalnymi kanałami nie mogły jeszcze dotrzeć na duński dwór. A więc de Sade nie mógł wiedzieć...

A jeśli wiedział?

Dworzanin wszedł do komnaty w ślad ze Wessexem, wyprężył się jak dobrze wyszkolony żołnierz w jego własnym regimencie i zaanonsował:

— Jego miłość diuk Wessex błaga o pozwolenie na podejście do Waszej Arcychrześcijańskiej Wysokości.

Wessex nie miał zwyczaju błagać nikogo o pozwolenie na cokolwiek, a już najmniej obcych monarchów, którzy nawet jeszcze nie byli sojusznikami Anglii, ale zdecydował się na razie ugryźć w język.

— Wasza wysokość — powiedział. Podeszedł do biurka, uklonił się i podał teczkę z listami uwierzytelniającymi, którą służący wziął z jego rąk i położył na blacie przed monarchą. Na teczce widniała złota pieczęć przedstawiająca angielskiego lwa i jednorożca otaczające herb królewski; pieczęć zalśniła w blasku świec, gdy Frederyk otworzył teczkę i wydobyl

dokument ciężki od woskowych pieczęci, zapisany niemożliwym do pomylenia, starannym pismem króla Henryka. Nie było czasu, by na papierze wdawać się w szczegóły zniknięcia księżniczki, toteż główną wiadomość Wessex, jak niegdyś antyczni posłowie, miał w głowie.

W czasie gdy książę Fryderyk studiował dokument, Wessex studiował księcia Fryderyka. Książę regent był blady i miał orli nos, podobnie jak cała reszta duńskiej rodziny królewskiej. Jasnoblond włosy miał zaczesane do tyłu, a wysokie czoło i przenikliwe błękitne oczy znamionowały nie byle jaką inteligencją. Był ubrany w niebieski mundur, zapewne uniform królewskiego regimentu. Dania była przede wszystkim potęgą morską i to raczej duńskiej floty jako potężnego przeciwnika obawiała się Anglia, gdyby kraj ten został podporządkowany przez Napoleona.

Ani król Henryk, który prowadził z księciem Fryderykiem długie negocjacje nad traktatem i małżeństwem, ani Wessex, który uważnie przestudiował wszystkie dokumenty Białej Wieży, które odnosiły się do księcia, nie wiedzieli wiele o tym człowieku. Przez ostatnie dwie dekady Dania prowadziła bardzo wyrafinowaną grę, lawirując ostrożnie pomiędzy sojuszami i koalicjami, które pojawiały się na mapie Europy po wybuchu francuskiej rewolucji. Nawet dziś jej pozycja odległa była od angielskich marzeń. A teraz oto Wessex musi zawiadomić duńskiego władcę o zniknięciu jego córki, czego ten Francuz de Sade nie omieszką natychmiast wykorzystać na niekorzyść Anglii.

— Więc jesteś, panie, diukiem Wessex? — zapytał Fryderyk po angielsku, choć z silnym akcentem.

Wessex pochylał głowę. De Sade wydał z siebie prawie niesłyszalne parsknięcie. W jego oczach odbijał się płomień świeczki; zwracał je to na Fryderyka, to na Wessexa. Akolita diabła był odziany w czerń, a blada, pokryta pudrem cera przywodziła na myśl oblicze trupa. Twarz markiza, dziwnie nalana, sprawiała wrażenie opuchniętej z powodu choroby lub pijaństwa. Dłonie miał długie i smukłe zakończone szokującymi długimi, spiczastymi i pomalowanymi na czarno paznokciami. Wessex szczylił się wprawdzie swoim opanowaniem, ale nawet on odpychał siebie myśl o tym, do czego mogą służyć te szpony. Na palcach markiz nosił wielkie pierścienie, których czerwone kamienie lśniły w blasku świec jak otwarte rany.

— Miałem nadzieję, że będę mógł porozmawiać z waszą wysokością prywatnie — zaryzykował gambit Wessex.

— Nie sądzę, aby powiedziano tu coś, co nie powinno dotrzeć do uszu mojego przyjaciela markiza — odparł z dezaproba tą książę Fryderyk.

Wessex wpatrywał się w twarz monarchy, która nie zdradzała żadnych emocji; kątem oka dostrzegł wyraźną satysfakcją malującą się na twarzy de Sade'a, któremu sprawiało wielką radość zakłopotanie Wessexa. Markiz zatarł nawet nieznacznie rękę, o czym diuka upewniło ciche grzechotanie pierścieni.

— Muszę z przykrością przekazać waszej wysokości wyrazy smutku i żalu króla Henryka przy szerszej nieco publiczności.; Mój król jest zmuszony poinformować waszą wysokość, że statek księżniczki Stefanii zniknął, a ona i cała towarzysząca jej załoga zaginęli.

Wessex wyrzucił z siebie tę wiadomość i zaraz skupił się na ocenie reakcji swoich słuchaczy. Nie rozczarował się. Twarz księcia regenta stała się trupioblada, co utwierdziło Wessexa w przekonaniu, że nie spodziewał się takich nowin. De Sade natomiast nie wyglądał na specjalnie zaskoczonego wieścią o zniknięciu księżniczki. Na jego twarzy pojawił się lekki, prawie niewidoczny pod warstwą pudru rumieniec, jakby markiz wysysał energię życiową, która właśnie opuszczała księcia regenta.

— Zaginęła? — zapytał książę Fryderyk. Jego jasne oczy, które na moment przymknęły się po usłyszeniu tej nieoczekiwanej i tragicznej wieści, znów spoczęły na Wessexie, a w ich głębi rozjarzyły się ogniki gniewu.

— Jej okręt zaginął o dzień żeglugi od Roskild, ale wciąż na wodach duńskich — powtórzył jeszcze raz Wessex. Roskild było najbardziej na pomoc wysuniętym portem

brytyjskim i wpływy Brytanii tam się kończyły. Tak więc Wessex miał rację, że księżniczka znikła na wodach duńskich, choć niewiele to zmieniało.

— Oto przykład, w jaki sposób jaki Anglicy traktują swoich sojuszników — wtrącił się de Sade. Mówił oczywiście po francusku, jakby przekonany, że cały świat musi znać ten język.

— Zamilcz — warknął krótko ksiązę w tym samym języku, nawet nie odwracając głowy. Markiz syknął cicho i cofnął się o krok.

— Proszę powiedzieć mi, co się stało — zwrócił się ksiązę do Wessexa swoim sztywnym angielskim. — Gdzie teraz przebywa moja córka?

— Wasza wysokość... — zaczął Wessex kłaniając się ponownie i przystąpił do długiej, zupełnie bezprzedmiotowej oracji w dyplomatycznym i napuszczonym języku, która miała zamaskować, jak niewiele naprawdę wiedziano. Fakty zaś przedstawiały się tak, że „Królowa Christina” w drodze z Kopenhagi do Rosklid po prostu znikła w gęstej mgle.

— I to ma być ta eskorta, którą zapewniliście moje biednej córce? — Akcent księcia regenta stał się jeszcze twardszy po usłyszeniu tych informacji. Twarz pociemniała mu z gniewu.

— Eskorta córki waszej wysokości znikła wraz z nią — zauważył Wessex. — A także z wieloma brytyjskimi dyplomatami. Oczywiście król Henryk wysłał okręty na poszukiwania „Królowej Christiny” i ufa, że wasza wysokość zrobi to samo. Jednak — tu Wessex wskazał głową na de Sade’a — są pewne elementy, które mogą utrudnić mojemu królowi prowadzenie tych poszukiwań.

— Nic mnie to nie obchodzi — powiedział ksiązę wstając sztywno. Starał się spojrzeć na Wessexa z góry, co było o tyle trudne, że diuk był nieco wyższy. — Znajdziecie moją córkę i odeślecie ją tutaj! Potem przedyskutujemy dalsze losy tego traktatu.

— Jestem pewien, że jego wysokość nie zechce bez powodu robić sobie niebezpiecznych wrogów — zagadnął po francusku Wessex takim tonem, jakby pytał de Sade’a o pogodę.

Ksiązę Frederyk zeszczywniał nagle, jak uderzony. Jego twarz stała się alarmująco purpurowa i przez moment Wessex się bał, że ksiązę regent może wybuchnąć takim samym atakiem ślepej furii, jakie przydarzały się jego ojcu.

— Znajdźcie moją córkę! — ryknął ksiązę machając pięścią przed oczami Wessexa.

Nie czekając na odpowiedź odwrócił się i podszedł do drzwi ukrytych za draperią w tylnej ścianie. Rozgarnął tkaninę i wyszedł. Rozległ się cichy trzask zamka i nagle pokój wydał się o wiele mniejszy.

Wessex stał bez ruchu, przyglądając się, jak złota draperia opada na swoje miejsce. Przekazał wiadomość i uzyskał w zamian pewną informację. Teraz mógł prowadzić dalsze poszukiwania, ale instynkt i doświadczenie podpowiadały mu, że niewiele się dowie tu, w murach Amalienborgu.

— Och, *duc d’Angleterre*, rozegrałeś to naprawdę dobrze — powiedział po francusku de Sade. Niski człowieczek podszedł do biurka, chociaż ksiązę nie dał jeszcze żadnemu z nich pozwolenia na odejście.

— Tak sądzisz? — odparł uprzejmie Wessex w tym samym języku. — Obawiałem się, że może zabrakło mi nieco subtelności... Wypada docenić uznanie mistrza. Widać dobrze to rozegrałem.

— Proszę, mówisz cywilizowanym językiem — powiedział de Sade ukrywając zdumienie odpowiedzią Wessexa.

— Ten język był cywilizowany jakiś czas temu. Teraz niestety nie utwierdzają go w tym cnoty tych, którzy władają krajem — odparł Wessex smutnym tonem. — Ale może za jakiś czas... — dodał uprzejmie.

— Możesz sobie drwić, angielski diuku. Francja i tak będzie śmiała się ostatnia, kiedy już pogrzebiemy waszą angielszczyznę. Imperator jest człowiekiem, jaki rodzi się raz na stulecie!



Będzie tak, jak on zaplanuje. A na razie uważa, że to Francja powinna władać Europą. Narysuj jej nową mapę jeszcze za swojego życia — uniósł się de Sade.

— A kiedy umrze, po prostu poprawimy ją znowu — odparł Wessex, niezbyt przejęty retoryką de Sade'a. — Nie powinieneś chyba być specjalnie dumny z tego, że potrafiłeś przejąć jeden statek. Statek to mimo wszystko nie naród. Ani nawet regiment.

Wessex nie był do końca pewien, czy Francuzi maczali palce w zniknięciu „Królowej Christiny”, ale spotkanie z perwersyjnym francuskim magiem i tak było istotną informacją. De Sade musiał być w Amalienborgu, zanim statek wypłynął... czy mógł w jakiś sposób przyczynić się do jego zniknięcia? A może po prostu tylko wie, kto się do tego przyczynił?

Ale o dziwo markiz tym razem nie chwycił przynęty. Uśmiechnął się tylko swoim gadzim uśmiechem, a pierścienie zalśniły krwawo, gdy splótł palce.

— Och, bądźmy ze sobą szczerzy, angielski diuku. Mała księżniczka nie jest ani w połowie tak ważna jak ten, kogo naprawdę szukasz. Wiemy, kim jesteś i wiemy, czym jest Biała Wieża. Jesteś psem gończym króla Henryka i nie myśl, że Francja nie wie, jakiej zwierzyny tym razem szukasz. Ciekaw jestem, czy on jest tutaj, czy też przybyłeś tu tylko dla odwrócenia uwagi, a inni prowadzą polowanie za ciebie?

Wessex postarał się, aby nie okazać po sobie zdumienia. A także zmartwienia, że de Sade wiedział, kim diuk naprawdę jest — czyli szpiegiem.

— Mój drogi markizie — powiedział wesoło — powinieneś wiedzieć, że polowanie jest ulubioną rozrywką Anglików. Jeśli zaś chodzi o miejsce ukrycia tego, kogo szukam, to z pewnością bardziej ubawisz się, próbując sam rozwiązać tę zagadkę, *m'sieur le marquis*.

— Co tu robi de Sade? — zapytał Wessex bez żadnych wstępów, wchodząc do biblioteki w małym, niepozornym domku w bocznej ulicy, ale prawie w centrum miasta. Rezydencja *sir* Gavina — nieporównanie mniejsza i nie tak dostojna jak biura ambasady — nie różniła się niczym od pozostałych budynków na tej cichej uliczce. W odróżnieniu od Londynu, który wciąż przebudowywano po licznych pożarach, unicestwiających budowle poprzednich pokoleń, Kopenhaga wciąż była średniowiecznym miastem — szarym i ciasnym. Iście rzymski rozmach architektoniczny rodziny królewskiej odczuwało się raczej na przedmieściach. W większości dzielnic budynki z kamienia i drewna wyglądały dokładnie tak samo jak trzy wieki temu.

*Sir* Gavin MacLaren przez chwilę przyglądał się Wessexowi nie odpowiadając. MacLaren był wysokim i małomównym Szkotem, którego przodkowie w czasach Wielkiego Eksperymentu Cromwella w siedemnastym wieku walczyli po stronie Stuartów. Jego prezbiteriańskie cnoty, a także poczucie humoru, pozwalały mu wytrzymać wśród surowej żarliwości religijnej duńskiego dworu. Od wielu już lat był przedstawicielem króla Henryka na tej najtrudniejszej z politycznych placówek, zresztą niejako ambasador czy oficjalny dyplomata, ale raczej jako człowiek do rozwiązywania małych i dużych problemów. A zniknięcie księżniczki Stefanii było problemem całkiem dużych rozmiarów.

— De Sade siedzi tu co najmniej od trzech miesięcy. Zastąpił poprzedniego ambasadora, co jest dość dziwnym posunięciem — powiedział wreszcie *sir* Gavin. — Nie zdołałem dotąd odkryć, jaki jest cel jego pobytu, oprócz oczywiście wspierania interesów Francji. Nie mogę też niestety w żaden sposób pozbyć się tej obrzydliwej kreatury. — *Sir* Gavin zapraszającym gestem wskazał na komodę, na której w blasku słabego północnego słońca błyszczał rząd butelek. — Do tej pory nie zrobił też niczego na tyle obrzydliwego, aby go stąd wydalono... co wydaje się o tyle dziwne, że Frederyk jest fanatycznym purytaninem.

— Ciekawie to brzmi w twoich ustach — uśmiechnął się lekko Wessex.

Podszedł do komody i nalał sobie whisky.

— Ależ wasza miłość, nawet zapał religijny może być szkodliwy, jeśli się z nim przesadza — zapewnił go poważnie *sir* Gavin.

— Ale dlaczego on tu jest? — nalegał Wessex. Oparł się o komodę i zaczął odpinać wysoki srebrny kołnierz munduru. — De Sade jest rozpustnikiem, w dodatku biegłym w filozofii i czarnej magii. Mógłby być bardzo użyteczny w Paryżu, do szantażu, do rozsiewania plotek... ale dlaczego przysłano go tutaj, by obrażał Duńczyków?

*Sir Gavin* wzruszył ramionami, nie ruszając się ze swojego wygodnego fotela.

— Nie ma tu też śladu działalności współwyznawców de Sade'a. Na bardziej dzikich terenach silny jest tu jeszcze Najstarszy Lud, a oni, jak wiesz, nie zaakceptowali jeszcze nikogo z panteonu Białego Chrystusa.

— Nie do uwierzenia jest też, by Czarna Loża działała na samym dworze. Ale jeśli nie ze względu na jego specjalne talenty, to w jakim celu przysłano tu de Sade'a? — wciąż zastanawiał się Wessex.

— A nie pomyślałeś, że on może nie być jedynym czarnoksiężnikiem, którego przysłali tutaj Francuzi... za to najbardziej widocznym? — zapytał *sir Gavin*.

— Oczywiście. Ale niezależnie od tego, czy pracuje sam, czy w grupie, chciałbym wiedzieć, po co się tu znalazł? — odparł Wessex.

I co sądzi na temat powodu mojego przybycia, dodał w myśli diuk.

## 15. WYZWANY NA POJEDYNEK

Mimo obaw przed pogonią naslaną przez earla Ripona, godziny podróży wlokły się im przeraźliwie wolno. Zarówno Sara, jak i Meriel były zbyt przejęte, by rozmawiać, w dodatku Meriel nie chciała na razie mówić o swoich przyszłych planach. Obie uciekinierki spoglądały w milczeniu przez przeciwległe okna na mijany po drodze krajobraz. Konie zmieniano co dwie godziny, a w południe zatrzymały się na godzinę w przydrożnej gospodzie, aby zjeść swój prowiant w bezpieczniejszym i wygodniejszym miejscu. Gospoda, którą wybrał eskortujący je służący, była stosunkowo czysta i na tyle wygodna, że Sara niemal żałowała, że zabrały własny prowiant. Damom udostępniono jedno z pomieszczeń na własny użytek, a żona właściciela dostarczyła im tam dodatkowo cydr i mocną kawę. Zyskały też możliwość odświeżenia się po długiej podróży w pomieszczeniu na piętrze. Jednak ta miła przerwa była stanowczo za krótka i wkrótce ponownie znalazły się w drodze.

— Wcześniej czy później będziesz musiała mi powiedzieć, dokąd właściwie zmierzasz — zauważyła rozsądnie Sara. — Chyba nie oczekujesz, że John przewiezie nas tym powozem przez morze?

Słyszając to przyjaciółka cicho zachichotała.

— Nie, nie, Saro. Oczywiście, że ci powiem, ale... planowałam to od tak dawna... i to jest moja jedyna szansa...

Trudno zaufać komukolwiek, jeśli każdy, kogo spotykasz, może okazać się wrogiem, pomyślała ze współczuciem Sara.

Kiedy następnym razem zatrzymały się, aby zmienić konie, Meriel powiedziała w końcu Sarze, dokąd zmierzają — nie do samego Dover, ale do małej rybackiej wioski, kilka mil w dół wybrzeża. Zanim dotarły do Talitho — jechały wolniej, oszczędzając konie, bo możliwość ich zmiany poza głównymi drogami była ograniczona — słońce już zaszło, a znad morza zaczęła się unosić wieczorna mgła. Latarnie po obu bokach powozu, zapalone podczas ostatniego postoju, płonęły mętym, ciepłym światłem.

Wioska Talitho była małą, odizolowaną od świata osadą, przytuloną do wysokiego wybrzeża; najwyraźniej niewiele się zmieniła w ciągu ostatnich wieków. Kościół i gospoda stały po obu stronach głównej drogi. Powóz Sary przejechał koło kościoła i zatrzymał się przed zajazdem.

Sara pchnęła drzwiczki powozu, szczęśliwa, że ma okazję rozprostować nogi. Wciągnęła w płuca woń morza. Chętnie wybrałaby się na wybrzeże, mimo mżawki, która powoli przenikała wszystko wilgocią. Hajduk jadący z tyłu powozu zeskoczył i przystawił stopień, a Sara wyszła na zewnątrz. Za nią pojawiła się Meriel, zmęczona trudami podróży, ale wciąż żywa... jak lekko przygnieciona róża.

— Simon, zobacz, czy możliwe jest wynajęcie osobnej sali w gospodzie — wydała polecenie Sara. — John, postaw powóz za stodołą i wyprzęgnij konie. Musimy dostać nowe, jeśli mamy jeszcze gdzieś jechać dalej.

Nie zdecydowała jeszcze, czy pytać o pokoje na noc. Gospoda była ciasna, a sprawa noclegu mogła poczekać, aż odświeżą się trochę po podróży.

— A zatem, Meriel — zwróciła się Sara do towarzyszki, gdy powóz potoczył się powoli za stajnię — przybyliśmy bezpiecznie tam, gdzie chciałaś. Co dalej?

Meriel wzruszyła ramionami. Na jej twarzy w świetle powozowych lamp wyraźnie było widać zmęczenie. Sara ujęła ją pod ramię i obie kobiety, poprzedzane przez Knoyle, podeszły do drzwi gospody, gdzie o mało nie zderzyły się z hajdukiem.

— Przepraszam, wasza miłość. Właściciel mówi, że osobna sala jest już zarezerwowana... dla lady Meriel.

Kto wiedział, że przyjedziemy?

Sara spojrzała na Meriel. Wyglądała na przerażoną, a więc to nie ona dokonała rezerwacji. W nagłym przeczuciu niebezpieczeństwa Sara pomyślała o broni. W snach wiele razy czuła w rękach ciężar strzelby i nie wątpiła, że potrafi z niej strzelać, a nawet zabijać. Ostatnie mgły fałszywych wspomnień, którymi otoczyły ją dame Alecto i Dowager, nagle opadły w obliczu tej katastrofy. Sara wiedziała już, kim naprawdę jest.

Jestem Sara Cunningham ze Stanów Zjednoczonych Ameryki. A to nie jest mój świat.

Dalsze pytania związane z tym odkryciem musiały poczekać wobec bardziej bezpośredniego zagrożenia. Dzięki obudzonemu nagle instynktowi wojownika Sara wiedziała już, że nie mogą wejść do tej pułapki. Chwyliła Meriel za ramię. Trzeba wracać do powozu i uciekać! To jedyne wyjście.

— Simon... — zaczęła. Hajduk właśnie się odsuwał, aby przepuścić człowieka stojącego za nim.

— Jak miło, lady — odezwał się tamten. — Meriel, sala i kawa dla ciebie i przyjaciółki już zamówione. Jest mokro i ciemno, więc lepiej wejdźcie do środka. Zwłaszcza że mam w kieszeni pistolet i nie zawaham się przed jego użyciem.

W mrocznym pomieszczeniu żadna z nich nie widziała twarzy mówiącego, ale głos nie pozostawił miejsca na wątpliwości.

To był Geoffrey Highclere.

Ostatnie dziesięć dni zanudziłoby na śmierć każdego innego, ale Wessex posiadał umiejętność cierpliwego znoszenia monotonii. Zwłaszcza że niewiele było rzeczy, które mogły mu się wydać ciekawe i zaskakujące.

Nawet gorączkowe poszukiwania księżniczki Stefanii, której zniknięcie stawało się coraz powszechniej wiadome, nie przynosiło niespodzianek, bo też nikt nie oczekiwał, że po tak długim czasie uda się znaleźć ją albo statek. Woda nie oddawała łatwo swoich ofiar; katastrofa na morzu nie pozostawiała śladów. Gdyby jednak ciało księżniczki zostało wyrzucone na wybrzeżu brytyjskim, duńskim lub któregoś z krajów bałtyckich, Wessex już by o tym wiedział...

Pozostawało jeszcze jedno miejsce, gdzie mogła wylądować — Francja.

W pierwszej chwili Wessex wykluczył taką możliwość. W lipcu była dobra pogoda do żeglugi, więc statek w żaden sposób nie mógł tak bardzo zboczyć z kursu. Zarówno kapitan, jak i załoga byli sprawdzeni i lojalni, co wykluczało celowe odpiływanie. Gdyby zaś w grę wchodził piraci, Wessex dawno już dowiedziałaby się o tym z któregoś ze swoich źródeł. Nie było więc żadnej możliwości, aby „Królowa Christina” dopłynęła aż tak daleko.

Żadnej normalnej możliwości...

Ale żyli w nienormalnych czasach i chociaż Wessex był dość sceptyczny wobec magii, jednak nie mógł jej całkowicie wykluczyć ze swoich hipotez. Na wyspach nazywanych kiedyś Logres Najstarszy Lud stworzył wrota, które łączyły różne światy i czasy, a więc sprawa nie była taka całkowicie nierealna. Czy w ten sam sposób, w jaki chrześcijańscy magowie przyzywali szatana, nie można było unicestwić przestrzeni, spowodować zniknięcia statku z wybrzeży Szkocji i przeniesienia go do wybrzeży francuskich? Załóżmy, że tak. A wtedy pojawienie się de Sade'a na duńskim dworze stałoby się bardziej zrozumiałe. Miał namówić księcia regenta, aby skłonił się w kierunku Francji, za pomocą wszelkich nacisków... więc mógł też użyć swojej mocy, aby rzucić zaklęcie na statek. W ten sposób przetrzymywana we Francji księżniczka Stefania stawała się zakładnikiem, który zapewniał współpracę księcia Frederyka.

Wessex żałował, że nie ma tu Kościuszki, który teraz bezpiecznie siedział sobie w Anglii. Polski huzar z niejednego pieca chleb jadł i już kilka razy uratował skórę Wessexu i swoją własną, używając magicznych zaklęć, które poznał w czasie swoich licznych włóczęg po

świecie. Kościuszek mógłby przynajmniej mu powiedzieć, czy de Sade dysponuje takimi możliwościami, jakie przypisywał mu diuk. Bo na razie jego pomysł był tylko szukaniem po omacku.

Ale mimo że nie natrafił na żadne ślady, ktoś próbował go wczoraj zabić.

Wessex wracał do domu MacLarena wczesnym rankiem. Cały poprzedni, niezwykle męczący dzień spędził prezentując w oficjalnych kręgach zatroskaną twarz Anglii z racji nieszczęścia, jakie wydarzyło się jej przyszłemu sojusznikowi. Noc spędził w nieco bardziej interesujący sposób — na przyjęciu u barona Andresena, które okazało się całkiem niezłym źródłem plotek i zarazem podejrzeń. Nie widział nic niezwykłego w powrocie do domu piechotą, bo księżyc był niemal w pełni, a ulice duńskiej stolicy miały opinię wyjątkowo bezpiecznych. Wziął małą latarnię, aby oświetlać sobie ciemniejsze zaułki, jeśli będzie musiał się w nie zapuścić, pożegnał się serdecznie z gospodarzami i ruszył w drogę.

Ktoś jednak go śledził.

Chociaż wypił sporo alkoholu — bo było to wyłącznie męskie przyjęcie — Wessex prawie natychmiast odkrył obecność podążających za nim ludzi. Dwóch ludzi. Albo bardzo się spieszących, albo niezbyt doświadczonych. Zanim przeszedł dziesięć kroków, wiedział już, co należy zrobić. Zaczął posuwać się lekko chwiejnym krokiem, udając znacznie bardziej pijanego niż był. Wąska ulica otworzyła się na mały plac, na którym stała pompa, a pod nią korytko. Wessex zatrzymał się tam, spryskał sobie twarz wodą i odszedł... pozostawiając przez zapomnienie latarnię. Tak jak się spodziewał, tamci skorzystali z okazji. Nie doszedł jeszcze do przeciwległego końca skraju skwerku, kiedy zaatakowali.

— W czym mogę pomóc, panowie? — zapytał Wessex dobywając szabli i odwracając się ku nim jednym wytrenowanym ruchem. Tak się szczęśliwie złożyło, że akurat był w mundurze. Nie musiał używać żadnej ze zdradzieckich szpiegowskich broni przeciwko tym dwóm, skoro miał w ręku uczciwą stal.

Żaden z dwóch napastników nie wyglądał na Duńczyka. Wyższy, który mógł być Irlandczykiem, trzymał potężny dębowy kij, którego właśnie zamierzał użyć. Jego kompan, niższy i ciemniejszy, za pas miał zatknięty pistolet, a w jego dłoniach lśniło ostrze sztyletu.

Wessex rozpoznał go. To był Charles Corday — Gambit, zabójca nasłany przez Taileyranda.

— *Allons!* — rozkazał krótko Gambit i Irlandczyk ruszył w stronę ofiary, wymachując wprawnie swoją lagą. Wessex cofał się czujnie. Jego szabla była z najlepszej stali, ale masywna pałka przeciwnika mogła złamać ostrze jednym uderzeniem.

— Pomóc można, ale niestety to po życie waszej lordowskiej mości tu przyszliśmy. Więc jeśli chcecie nam pomóc, to trzeba położyć się grzecznie, jakem Sean O'Brien.

— Powiem ci coś, O'Brien — odparł lekko Wessex. — Odłóż ten kij i powiedz mi, kto cię nasłał, a obiecuję, że skończy się na płazowaniu.

Sean O'Brien odrzucił do tyłu rudą głowę i ryknął głośnym śmiechem.

— Niewątpliwie śmierć waszej lordowskiej mości to duża strata — powiedział.

Ale w jego głosie nie było żalu, tylko chłodne wyczekiwanie. Oczy lśniły mu jak zimna stal. Bez żadnego ostrzeżenia rzucił się do przodu.

Ale Wessex tam nie było. Jak matador przyjmujący na siebie atak wściekłego byka, usunął się na bok płynnym ruchem, pozwalając, aby O'Brien całym impetem ataku przemknął obok niego. W blasku księżyca błysnęło ostrze i Irlandczyk cięty przez udo upadł z rykiem bólu. Wessex natychmiast zwrócił się w stronę Gambita, próbując przebić wzrokiem cień zaułka. Był już przygotowany na przyjęcie drugiego napastnika, ale Gambit nie kwapił się do szarży. Stał wciąż u wylotu alejki, a w jego dłoni Wessex dostrzegł pistolet.

— Ty nie tak pijany, jak wyglądasz, *cher* — odezwał się z aprobatą w głosie Gambit Corday swoją prymitywną angielszczyzną. Mierzył pewnie mimo słabego oświetlenia. Mundur Jedenastego Regimentu był łatwym celem.

— A ty nie przypominasz Duńczyka, Francuzie — odpowiedział diuk.

O'Brien właśnie podnosił się z ziemi. Gambit za chwilę wypali...

— Ja nie Francuz. Akkadianin — powiedział z dumą Gambit i wypalił jednym nieuchwytnym ruchem... prosto w pierś O'Briena.

Irlandczyk upadł z jękiem, a z jego piersi buchnęła fontanna krwi. Trwało to zaledwie kilka sekund, bo prawie natychmiast jego serce przestało bić. Ten huk na pewno ściągnie strażę; Wessex nie zamierzał czekać, aż się tu zjawią. Spojrzał badawczo na Gambita.

Akkadianin — a więc osadnik z Akkadii, jednej z byłych francuskich kolonii w Nowym Świecie, która przeszła we władanie Anglii ponad sto lat temu. Jej mieszkańcy nie przyjęli z zadowoleniem zmiany rządów, więc większość z nich wygnano. Wielu udało się na południe i osiedliło we wciąż francuskiej Luizjanie. Ale Wessex wiedział, że dzieci i wnuki osadników wciąż żałowały utraconej ojczyzny.

— Byli my po stronach naprzeciwko, ale teraz chyba po tej samej, *eh?* To, co szukasz, lepiej żebyś znalazł, *eh?* Tam wróci, gdzie jego miejsce i nikt nie będzie za morzem nas gnębił.

Wessex nie zdążył odpowiedzieć, kiedy Gambit znikł w ciemnych uliczkach. Usłyszał za to skrzypienie otwieranych okiennic i wiedział, że nie ma zbyt wiele czasu, jeśli nie chce, by znaleziono go z trupem. Pochylił się nad ciałem.

Najpierw de Sade, teraz Gambit. Ich obecność świadczyła o rozmiarach operacji szpiegowskiej, która trwała w Danii, a o której Wessex nie miał najmniejszego pojęcia. Dlaczego Gambit uważał, że należy mu pomóc, chociaż z całą pewnością miał rozkaz wyprawić go na tamten świat?

O'Brien niewiele miał przy sobie wartościowych rzeczy i niestety nic na piśmie. Możliwe nawet, że nie umiał czytać. Ale najwyraźniej potrafił dobrze liczyć... miał w kieszeni dziesięć złotych imperialnych monet z wizerunkiem Napoleona w laurowym wieńcu na skroni.

Wessex schował monety i oddalił się pospiesznie.

W kilka minut później zameldował się bezpiecznie przed drzwiami MacLarena. Od razu wpadł w ręce Athelinga, który z wyrzutem spojrzał na jego ubranie.

— Zlituj się, człowieku — zaprotestował Wessex odgadując znaczenie tego spojrzenia. — Nie mam na sobie ani plamki krwi.

— Wasza miłość niestety się myli — wymamrotał Atheling wskazując Wessexowi purpurową smugę na spodniach, która zasychając zaczęła już przybierać brązowy kolor. — Ale śmiem powiedzieć, że da się jeszcze coś z tym zrobić, wasza miłość.

Wessex machnął ręką. Wiedział, że Atheling zna chyba każdą możliwą metodę wywabiania krwawych plam z różnych tkanin.

— Można by sądzić, że dzisiejszego wieczoru miał miejsce jakiś niezwykle wypadek — odezwał się jeszcze służący.

— Nic takiego — odpowiedział krótko Wessex.

Nic takiego, pewnie. Tyle że dwóch ludzi opłaconych przez Francuzów chciało go dziś zamordować. W dodatku jeden z nich zamiast wykonać zlecenie wolał zabić swego towarzysza. No i jeszcze okazało się, że ten Gambit — Akkadianin, choć na francuskim żołdzie — chciał, aby Wessex znalazł to, czego szuka i przywrócił na właściwe miejsce...

Wessex był pewien, że Gambit nie mówił o księżniczce Stefanii. Kogo lub co w takim razie miał na myśli?

Na to pytanie diuk nie znajdował odpowiedzi. To wszystko było bardzo tajemnicze. A atmosfera się zagęszczała.

Wydawało się, że nie mają wielkiego wyboru: mogły przyjąć zaproszenie pana Highclere albo zostać zastrzelone na miejscu. Sara odesłała więc Simona i razem z Meriel weszły do pokoju, który dla nich zarezerwowano. Meriel była blada jak kreda i drżała od szoku, co stanowiło pewny dowód, że w pułapce, w jaką wpadły, nie brała udziału.

Na stole naszykowano już dla nich przyjęcie: lekką przekąskę — ciasta i sery oraz parujący dzbanuszek z kawą. W kominku palił się wesoły ogień; Sara wbrew sobie poczuła się nagle zmęczona i głodna.

Wiedziała już, kim jest, a towarzyszyło temu uczucie, że jej uporządkowany amerykański świat ktoś wyrzucił do góry nogami. Oto rzucono ją w dziwacznie wykrzywione, lustrzane odbicie Anglii, którą ledwie rozpoznawała — w świat duchów i leśnych istot. Jak każda córka Ludu wiedziała, że dzielą ten świat nie tylko z Mówiącymi Zwierzętami, ale także z Pierworodnymi Wielkiego Ducha, jednak Sara Cunningham z Baltimore nie spodziewała się, że kiedykolwiek spotka żywe tego dowody. Nie spodziewała się też, że będzie musiała grać rolę swojej bliźniaczki w świecie, w którym te istoty żyły nie ukrywając się.

Ale mimo tej niewiarygodnej sytuacji pan Highclere stanowił bardziej bezpośrednie zagrożenie niż wszelka magia. Jakkolwiek nierealny i mistyczny był ten świat, pistolet Geoffreya wyglądał na bardzo materialny.

Rzeczywistość i fikcja zlały się w jedno.

Sara prowadząc za rękę Meriel przeszła obok Geoffreya nie zwracając na niego uwagi, tak jak zrobiłaby prawdziwa księżna Wessex. Usiadły na jednej z długich ław, stojących po obu stronach stołu. Za ich plecami Geoffrey zatrzaskał drzwi, aby nie przeszkadzały im ciekawskie spojrzenia.

— Teraz, kiedy już nas masz, panie Highclere, co właściwie zamierzasz z nami zrobić?

Sara zauważyła, że jej głos brzmi teraz inaczej — było to coś pośredniego między przeciąganiem samogłosek charakterystycznym dla wymowy Baltimore a brytyjskim ucinaniem końcówek, jakiego nauczyła się jako markiza Roxbury. To tak jakby przespala kilka ostatnich miesięcy i nagle się obudziła... tylko czym skończy się to przebudzenie?

Geoffrey zignorował jej pytanie. Nalał im obu kawy i zachęcał do jedzenia, jak przystało na gospodarza.

— Może skusi panią kawałek szynki, wasza miłość? Kucharz upiekł wprawdzie doskonałe ciasto, ale po tak długiej podróży przydałoby się chyba najpierw coś solidniejszego niż szarlotka. Ten chleb jest upieczony dzisiaj. Mamy też kilka gatunków ryb. Obawiam się, że niewiele więcej możemy zaproponować tu, nad samym morzem. Meriel, widzę, że nie wyglądasz najlepiej...

— Wystarczy tego lawirowania — warknęła Sara. — Powiedz od razu, o co ci chodzi.

Highclere lekko się zmieszał. Najwyraźniej amerykańska bezpośredniość stropiła angielskiego arystokratę. Ale szybko odzyskał pewność siebie i uśmiechnął się szeroko.

— Och, chciałem tylko pogratulować siostrzenicy, że okazała w końcu ślad rozumu, wasza miłość. Pomysł Dicka, by zmusić księcia do małżeństwa ze Starą Religią i nawrócić Anglię z powrotem na dawną wiarę, jest co najmniej idiotyczny. Znam Jakuba znacznie lepiej niż on. Nasz Jakub może by i poślubił dziewczynę, ale zupełnie nie liczyłby się z jej zdaniem. A małżeństwo tnożna rozwiązać, i to na kilka sposobów.

— Co... co masz na myśli? — uniosła się Meriel, która przewyciężyła już na tyle przestkach, że mogła się odezwać. — Nie rozwiodłabym się z nim! — odruchowo sięgnęła do szyi, jakby w poszukiwaniu nieobecnego krzyżyka.

— Pewno, że nie — odparł Highclere z okrutnym uśmiechem. — Zawsze jednak mogłabyś umrzeć, moja droga. Król już by o to zadbał... albo ten jego rzeźnik Wessex.

— Król Henryk nigdy nie posunąłby się do czegoś takiego — oburzyła się Sara. Uniosła filizankę z kawą i upiła ostrożnie łyk. Rozchodzące się po ciele ciepło nappełniło ją energią i

odwagą. — Napij się kawy, Meriel. Jestem pewna, że pan Highclere zaraz nam wytłumaczy, o co mu dokładnie chodzi.

— To o mnie mu chodzi — powiedziała cicho Meriel z nieszczęśliwą miną. Drżącą ręką uniosła filiżankę.

— Tu się mylisz, moja droga — odpowiedział jej uprzejmie wuj. — Jak już powiedziałem, plan Dicka miał wiele minusów. Początkowo mu pomagałem, bo to było doskonałym sposobem na zniszczenie duńskiego traktatu, ale teraz, gdy znikła księżniczka, nie ma potrzeby tego ciągnąć. Wciąż jednak pozostaje problem Wessexu. Ten człowiek jest wyjątkowo irytujący.

Sara niezbyt ciepło myślała o Wessexie, nie mogła jednak pozwolić, aby ktoś oprócz niej ośmielał się krytykować jej męża.

— Obawiam się, że nie mamy pojęcia, o czym pan mówi — odezwała się zimno. — Diuk Wessex jest człowiekiem o nieskazitelnym charakterze.

— Ależ droga księżno — odparł Highclere — ranisz mnie wkładając mi w usta słowa, których nie wypowiedziałem. Czy ja twierdzę, że jego charakter nie jest nieskazitelny? Wskazuję tylko na fakt, że jest on zabójcą i szpiegiem w służbie króla Henryka. Bardzo przepraszam, jeśli cię to zdenerwowało, ale to chyba niemożliwe, żebyś nie wiedziała nic o podwójnym życiu swojego męża.

Wessex agentem króla! Umysł Sary odsunął na razie od siebie dalsze implikacje tego faktu. Ale to tak wiele wyjaśniało... i zarazem nic.

— To nie...

To nie twoja sprawa, chciała powiedzieć, ale słowa uwięzły jej w gardle.

— Więc już mnie nie potrzebujesz? Mogę odjechać? — odezwała się Meriel głosem pełnym nadziei. Wypiła duży łyk kawy.

Uśmiech Highclere'a stał się jeszcze szerszy.

— Ależ nie, skarbie. Czy ja tak powiedziałem? Plan Dicka wprawdzie się nie powiódł, ale przecież dziewczynę taką jak ty można jeszcze wykorzystać na tak wiele sposobów...

Sara próbowała odstawić filiżankę, ale blat stołu nagle jej uciekł, a sztywne palce nie zdołały utrzymać naczynia. Kawa rozlała się po stole ciemną strugą.

Narkotyk — chciała krzyknąć, ale nie udało jej się wykrztusić ani słowa. Chciała wstać, ale nie panowała już nad swoim ciałem. Cały świat pociemniał i nie wiedziała nawet, kiedy straciła przytomność.

Pierwszy lipca zastał Illię Kościuszko w Edynburgu. Tam zniknął młody holenderski artysta Jan van Harmenz, który przyплыł do miasta na wynajętej łodzi rybackiej, a jego miejsce zajął pogodny francuski emigrant o imieniu Jean-Marie. Ten też nie zabawił długo w mieście — tyle tylko, by odpocząć w wynajętym pokoju i posłać gołębia pocztowego do Londynu. Następnie Jean-Marie udał się do granicy, skąd polski huzar mógł wreszcie podróżować dalej pod własnym nazwiskiem, gnając na złamanie karku do pewnego domu na Bond Street w Londynie.

Tam spędził kolejny tydzień, szczegółowo wypytywany o wszystko, co widział i słyszał w ciągu ostatniego miesiąca, sam zaś dowiedział się, że księżniczki wciąż nie odnaleziono i że przebywający w dalekiej Kopenhadze Wessex nie rozwiązał niestety zagadki jej zniknięcia. Z bliższych źródeł dowiedział się też, że księżę Walii wciąż kontynuuje swój skandaliczny i niewłaściwy flirt z siostrzenicą earla Ripona oraz że księżna Wessex zdaje się sprzyjać temu związkowi, przyjęła bowiem zaproszenie na bal wydawany na cześć lady Meriel.

Kościuszko zastanawiał się, co zrobi z tym wszystkim Wessex. Znał wystarczająco dobrze tajemnice swojego milczącego przyjaciela, by wiedzieć, że Wessex nigdy by się nie ożenił, gdyby nie wyraźny rozkaz króla. Małej Roxbury, która była z konieczności wybranką Wessexu, Kościuszko nie znał w ogóle.



Nawet nie miał okazji się zastanowić, czy diuk będzie z nią szczęśliwy... natomiast od jakiegoś czasu zastanawiał się bardzo usilnie, czy można jej ufać.

Z powodu tej ciekawości Kościuszko postanowił zmienić skórę raz jeszcze. Stał się Davym Vaughnem, młodym stajennym w służbie barona Misbourne'a, który postanowił zmienić pracę po kłótni z majordomusem jego lordowskiej mości. Został przyjęty do Herriard House na próbę. Stworzyło mu to sposobność swobodnego myszkowania po domu i wysłuchiwania plotek, które służba zawsze roznosiła na temat tych, którym posługiwała.

Davy Vaughn przejrzał dokładnie pokoje księżnej, kiedy ta przebywała na balu i nie znalazł żadnych dowodów zdrady stanu. Był też świadkiem niezwykłego nocnego spektaklu, kiedy młoda dama w dominie i balowej sukni wspinała się po kracie do okna sypialni księżnej. Niestety mimo całego swego sprytu Davy nie potrafił się dowiedzieć, co zaszło tam na górze. Potem zajął dobrą pozycję w stajni i dzięki temu był świadkiem pospiesznego przygotowywania do podróży powozu księżnej, na długo zanim pojawiły się pierwsze promienie wschodzącego słońca. Podróż zapowiadała się ciekawie, bo hajduk z tyłu powozu miał ze sobą muszkiet i pistolet, a jadący wierzchem dostał dwa naładowane pistolety i wystarczająco dużo złota, by zapewnić częste zmiany f zaprzęgu. Gdy tylko powóz księżnej Wessex odtoczył się spod drzwi domu, Davy Vaughn na zawsze stąd zniknął, zwłaszcza iż odkrył, że nocny gość księżnej był nikim innym jak samą lady Meriel Highclere, niebezpieczną *inamorata* księcia Jakuba.

W godzinę później Illia Kościuszko usiadł na grzbiecie swojego upartego, grubokościstego siwka i ruszył drogą na Holborn w pościgu za powozem księżnej Wessex. Pierwsze promienie słońca dopiero oświetliły kościelne wieże.

Powóz nie posuwał się zbyt szybko i jadący wierzchem Illia Kościuszko z łatwością mógłby go dogonić, a nawet przegonić, gdyby tylko sobie tego zażyczył. Bardziej jednak interesowało go, dokąd i po co zmierzają księżna i lady Meriel. Dopóki był pewien, że wciąż jedzie w ślad za nimi, oszczędzał w miarę możliwości konia. Kiedy słońce stało już wysoko, powóz skręcił z drogi na Holborn w kierunku Dover i Kościuszko zaczął przypuszczać, że podróż miała być naprawdę bardzo długa. Jeśli wsiadało się na statek w Dover, prawdopodobny był tylko jeden kierunek podróży...

Podążał za powozem przez cały dzień, pozostając poza zasięgiem wzroku jadących i często podróżując przez pola, aby nie zwracać na siebie uwagi. Tak był pewien, że to właśnie Dover jest celem ich podróży, że o mało ich nie zgubił, kiedy nagle skręcili na zachód, omijając to ruchliwe portowe miasto. Zapadła noc i zaczął padać dokuczliwy drobny deszczyk, więc Kościuszko mógł się znacznie zbliżyć do powozu. Wkrótce też przekonał się, że zatrzymał się on we wiosce Talitho. Kiedy już był pewien ich celu, nakłonił swojego konia do zaprezentowania wyuczonego triku; w ten sposób będzie mógł się pojawić w gospodzie jako zmoknięty i śmiertelnie zmęczony podróżny dosiadający okulawionego wierzchowca.

Chłopiec stajenny powiódł więc siwka — który potykał się i niemal padał ze zmęczenia przy każdym kroku — do stajni, obiecując zrobić wszystko, żeby umożliwić dalszą podróż na grzbiecie zwierzęcia następnego ranka. Kościuszko skierował kroki do gospody.

— Potrzebuję oczywiście oddzielnej sali — powiedział wyniośle na wstępie. Osobowość, którą teraz przybrał, służyła mu już kilkakrotnie przy różnych okazjach: miał to być prywatny sekretarz byłego diuka.

— Oczywiście, *sir* — odparł karczmarz i poprowadził gościa unizenie, chowając skwapliwie rzuconą mu złotą monetę. Miał dla niego osobny pokój na tyłach gospody.

Przechodząc przez wspólną salę Kościuszko rozejrzał się szybko w poszukiwaniu mężczyzn w liberiach księżnej, ale nie dostrzegł nikogo takiego. Karczmarz zamknął za nim drzwi. Ogień już płonął w kominku i w pokoju zrobiło się ciepło. Kościuszko dotknął powierzchni stołu i stwierdził, że jest lekko wilgotna, jakby ktoś przed chwilą ją przetarł. Ktoś niedawno był w tej sali — gotów był się założyć.

— Czy to jedyna oddzielna sala? Nie ma tu żadnej lepszej? —zapytał.

Karczmarz rozpoczął długi wywód, zachwalając zalety tego pokoju, ale Kościuszko uciął potok jego wymowy następną złotą monetą.

— Starczy! Idę teraz do stajni zobaczyć, co te tępaki, których bez wątpienia zatrudniasz, zrobili z moim koniem. Kiedy wrócę, wieczera ma już na mnie czekać.

Kościuszko opuścił gospodę. Ten przybytek nie miał drugiej osobnej sali, a w wiosce nie było innych zajazdów. Widział zatrzymujący się tu powóz i stracił go z oczu najwyżej na pół godziny. Więc gdzie one były?

Humor poprawił mu się natychmiast, gdy wyszedł przed stajnię i zauważył stojący tam zabłocony żółty powóz ze znakami Roxbury. Ale to była tylko drobna pociecha. Wciąż jeszcze musiał znaleźć księżnę i jej towarzyszkę. Musiał się też koniecznie dowiedzieć, kiedy zaczyna się poranny przypływ i kto zamierza z niego skorzystać. Wchodząc do stajni dostrzegł natychmiast swojego konia, w znacznie lepszym stanie, koło którego krzątał się stajenny. Siwek zauważył swojego pana i natychmiast zaczął grzebać w ziemi prawą przednią nogą, jakby uwierała go podkova. Kościuszko się uśmiechnął. Parę miesięcy zajęło mu nauczenie zwierzęcia tej sztuczki, ale warto. Zdarzały się sytuacje, kiedy wiele mógł uratować wierzchowiniec, który potrafi okuleć na komendę. Siwek stał między boksami, bo wszystkie były zajęte. Sześć koni zaprzęgowych doskonałej krwi należało do ekwipażu księżnej. Zauważył też kasztana jej hajduka. Pozostałe trzy boksy zajmowały miejscowe ogiery.

— Mój dobry człowieku — warknął Kościuszko — co ty sobie właściwie myślisz, każąc stać mojemu koniowi w przeciagu?

— Przepraszam, milordzie — odparł stajenny. Najwyraźnie wołał przesadzić z tytułem, skoro nie znał prawdziwej rangi przybysza. — Ale to jeno godzina. Potem znajdziemy jakiś boks.

— Godzina? — oburzył się Kościuszko. — Wyprowadź którąś z tych szkap i zrób miejsce dla mojego konia. — Wskazał kasztana, który należał do hajduka księżnej.

— Błagam o wybaczenie, milordzie — odparł stajenny niepewnie. — To są konie księżnej Wessex.

Kościuszko zastygł w miejscu, jakby zaskoczony tą wiadomością.

— Jest tu księżna Wessex? — zapytał. — A jej służba?

— Młody Simon jest na górze — poinformował stajenny, jedząc obiad w gospodzie. Hej, Jemmy! Poleć no na strych i sprowadź tu Simona jej miłości.

Pomocnik stajennego natychmiast przestał czyścić konia i pobiegł ku drabinie.

— Czyś ty zwariował? — powiedział obrażonym tonem Kościuszko. — Myślisz, że przyszedłem tu dyskutować ze służbą? Zajmijcie się swoimi sprawami, a koń ma być gotów na jutro do drogi.

Odwrócił się energicznie i wymaszerował zagniewany ze stajni.

Jednak nie poszedł w kierunku gospody. Zatrzymał się na głównej ulicy Talitho i rozejrzał badawczo w obie strony. Czuł wyraźny zapach morza i rybich resztek gnijących na plaży. Welon mgły i deszczu sprawiał, że wszystko wokół wyglądało nierealnie. Widoczność była kiepska. Chociaż Kościuszko mocno wyteżał wzrok, nie dostrzegł żadnych świateł, prócz dalekiego mżenia świec, pozostawionych najwyraźniej na noc w kościele, i latarni wiszącej u wejścia do gospody.

Był powóz. Były konie.

Ale księżna znikła.

Lady Meriel obudziła się, czując gwałtowne kołysanie i obrzydliwy zapach ryb. Otworzyła oczy i zaraz tego pożałowała; spowodowało to taki ból głowy, że aż jęknęła głośno.

— Obudziłaś się? — usłyszała szcęk odsłanianej ścianki latarni i nagły snop światła oświetlił kołyszące się ściany pomieszczenia. Meriel zdała sobie sprawę, że to kabina statku zmierzającego do Francji.

Ale dlaczego? Wuj Richard miał tylko jedno fanatyczne pragnienie: przywrócenia prawdziwej wiary w Anglii. Francja zaś nie była już katolickim krajem, odkąd Rewolucja zakazała wszelkiej religii niemal dwadzieścia lat temu. Wuj Richard nigdy nie sprzymierzyłby się z Cesarzem.

A wuj Geoffrey? Tak, Geoffrey zrobiłby wszystko, co mogło sprawić komuś ból. Meriel obróciła się na wąskiej koi i usiadła. Ukucie bólu w plecach gwałtownie przywróciło ją rzeczywistości. Spojrzała w górę.

Wuj Geoffrey stał pod wiszącą na suficie latarnią i wyglądał jak pozłacany Szatan. Meriel zadrżała przerażona na widok bicz, który trzymał w ręku.

Roześmiał się.

— Nabywasz właściwych odruchów, moja droga, ale na razie zamierzam być dla ciebie miły. Gdyby nie ty, nie wypłoszyłbym księżnej Wessex z jej nory tak łatwo, a muszę przyznać, że teraz ona jest dla mnie znacznie bardziej przydatna niż ty.

— Ale jesteś pewien, że znajdziesz dla mnie później jakieś zastosowanie — uzupełniła gorzko Meriel. — Jak nas znalazłeś?! Nikt za nami nie jechał, upewniłam się co do tego!

Geoffrey roześmiał się znowu.

— Moja mała, wcale nie musiałem jechać za tobą. Czytałem każdy list, jaki napisałaś od czasu, gdy zginął twój drogi ojciec, a Dick zaczął planować, że posadzi cię na tronie Anglii. Taka wiedza zawsze może się przydać, więc domyśliłem się, jaki z ciebie pomysłowy mały spiskowiec. Kiedy powóz przybył do Vauxhall pusty, byłem pewien, że zamierzasz uciec do ciotki, więc wybrałem się w tym kierunku. Ci łamiący blokadę szyprowie, niewiele dbają, jaki wiozą towar, jeśli tylko dobrze im się zapłaci. Zdążyłem się już nauczyć, że złoto otwiera wszelkie drogi.

Meriel zwiesiła głowę. Więc wszystko na nic, a krótkie poczucie wolności było tylko iluzją. Ale oprócz tej desperacji zapaliła się w niej nieśmiała, lecz rosnąca iskierka oporu. Jeszcze bardziej niż wolności zapragnęła pokrzyżować plany swojego dręczyciela.

— A zatem potrzebujesz księżnej — odezwała się. Nadała głosowi ton przygnębienia. — Ale dlaczego?

— Bo księżna jest drogą do diuka — odparł po prostu Geoffrey. — A w tej chwili to on mi najbardziej przeszkadza.

Była prawie pomoc, gdy wszyscy troje przepłynęli szalupą na francuski brzeg. Sara wciąż mocno spała, bo Geoffrey podał jej kolejną porcję laudanum podczas podróży, czemu Meriel nie mogła w żaden sposób zapobiec. Leżała teraz na piasku owinięta w swój podróżny płaszcz, podczas gdy Geoffrey czekał na odpowiedź na sygnał, który przesłał jeszcze ze statku. Wciąż trzymał w ręku krytą latarnię, jakby zamierzał jeszcze jej używać.

Meriel przysiadła przy leżącej Sarze. Geoffrey nie zamierzał podawać narkotyku także jej. Stwierdził krótko, że jedna nieprzytomna kobieta jest wystarczającym ciężarem. Meriel wiedziała, że Geoffrey jest przekonany o jej uległości i miała zamiar podtrzymać go w tym złudzeniu. Chciała uciec przy pierwszej nadarzającej się sposobności — chociaż wiedziała, że taka sposobność może okazać się kolejną fałszywą szansą. A wtedy wuj Geoffrey ponownie ją doścignie i pochwyci.

Dlatego musiała wybrać moment, kiedy nie będzie mógł jej ścigać. Wciąż jeszcze miała pieniądze — złote monety w sakiewce pod gorsetem. Wuj Geoffrey je przeoczył.

Ku zaniepokojeniu Meriel w odpowiedzi na ich sygnał pojawił się człowiek we francuskim mundurze. Francuski kapitan nie wydawał się w najmniejszym stopniu zaskoczony

przybyciem dziwnej grupy o tej porze. Przemówił tylko po francusku do Geoffreya — zbyt szybko i zbyt cicho, by Meriel go zrozumiała, chociaż nieźle władała tym językiem. Potem zaprowadzono ich do miejscowej tawerny. Ziewający i nie ogolony gospodarz podał Meriel gorącą zupę, a Geoffreyowi whisky. Jednak odpoczynek był krótki. Meriel ledwie zdążyła wypić kubek rosółu, gdy zajechał powóz i znów musieli ruszać w dalszą drogę.

Powoli mijała miła za miłą, a kiedy niebo rozjaśniło się pierwszym brzaskiem, zaczął padać deszcz. Było to niezwykle jak na lipiec, ale Meriel błogosławiła ten deszcz, który powinien ułatwić jej ucieczkę. Na razie wyglądała przez okno, zastanawiając się, gdzie właściwie są. Była zbyt młoda, by pamiętać Francję z lepszych czasów, nie miała więc żadnej szansy, by określić dokładnie miejsce ich pobytu, ale to nie zmieniało w najmniejszym stopniu jej planów.

Słońce stało już dość wysoko na niebie, gdy powóz zatrzymał się przed okazałą gospodą z rodzaju tych, w jakich podróżnicy spożywali większe posiłki. Deszcz przestał padać i całą okolicę pokrywał welon parującej wody. Krajobraz był piękny; Meriel dostrzegła w oddali wieżyczkę kościoła. A więc niedaleko była jakaś wioska.

Nie próbowała udawać snu, bo wuj Geoffrey na pewno by to dostrzegł i stał się podejrzliwy. Zamiast tego starała się wyglądać na przestraszoną i zagubioną — nie było to zresztą takie trudne, bo naprawdę niewiele widziała dla siebie szans. Nie miała pojęcia, w którą stronę powinna prowadzić jej ucieczka. Hiszpania i wątpliwa pomoc rodziny jej matki była bardzo daleko, a po drodze na młodą dziewczynę czekały rozliczne niebezpieczeństwa.

A jednak nie miała zamiaru pozwolić, by wuj Geoffrey osiągnął swój cel.

Wokół powozu zrobiło się zamieszanie, bo wyprzęgano i zmieniano konie. Jadący wierzchem, towarzyszący im francuscy żołnierze również postanowili skorzystać z okazji, by zjeść coś i odpocząć. Geoffrey przeciągnął się i pochylił nad śpiącym wciąż więźniem. Dłonie Sary były zimne, a oddech bardzo płytki, ale Meriel miała nadzieję, że dawka laudanum nie okaże się za silna.

Upewniony, że Sara się nie poruszy, Geoffrey pchnął drzwiczki powozu.

— Wsiadam na śniadanie. Ty, moja mała, zostajesz tutaj. I czekaj grzecznie, bo inaczej wujek będzie bardzo, bardzo zły.

Meriel zwiesiła głowę i nie odpowiedziała, ale gdy tylko wuj odszedł, natychmiast otworzyła drzwi po przeciwnej stronie i wyskoczyła z powozu. Jej pożyczone podróżne buty pośliznęły się w błocie; chwyciła się powozu, żeby nie upaść. Niechętnie zostawiła bezbronną Sarę w rękach Geoffreya, znała bowiem jego okrucieństwo. Ale wuj mówił, że Sara jest mu potrzebna do jakiegoś spisku, który knuł przeciwko Wessexowi, co znaczyło, że nie skrzywdzi księżnej.

Meriel bardzo chciała w to wierzyć.

Ostrożnie zamknęła za sobą drzwiczki powozu. Główną drogę miała za plecami; za gospodą zauważyła żywopłot, który biegł wzdłuż bocznej wiejskiej dróżki. Odrzuciwszy kaptur — nie chciała wyglądać, jakby się skradała — Meriel zaczęła iść w tamtym kierunku.

Już niemal dochodziła do żywopłotu, gdy dostrzegł ją jeden z żołnierzy, który wołał wyjść z piwem i chlebem na świeże powietrze, mimo panującej wilgoci.

— Gdzie idziesz? — zapytał po francusku, ale niezbyt ostro. W jego głosie brzmiała raczej ciekawość.

— Za potrzebą — odparła Meriel w tym samym języku.

Żołnierz zrozumiał, co miała na myśli i odwrócił się dyskretnie. Na jego policzkach wykwitł rumieniec. Meriel minęła go szybko i oddaliła się w kierunku zabudowań.

Geoffrey znał dobrze swoją siostrzenicę, ale lady Meriel znała też dobrze wuja. Nie lubił się z nikim dzielić swoją wiedzą i wołał trzymać innych w nieświadomości na tyle, na ile było to możliwe. Dlaczego więc miałby powiedzieć tym żołnierzom, że nie ufa swojej siostrzenicy i że należy uważać, by nie uciekła?

Postanowiła więc zaryzykować — i miała rację. Teraz tylko potrzebuje szczęścia przez najbliższe dziesięć minut. Róg budynku skrył ją przed oczami ciekawego żołnierza i Meriel zaczęła biec unosząc spódnice. Dopadła do żywopłotu i przedarła się przez niego, błogosławiąc praktyczną Sarę, że przekonała ją do włożenia tej podróżnej sukni i mocnych butów. Owijając się ciasno płaszczem i zgarniając fałdy sukni, Meriel pognęła co sił w nogach w kierunku wioski.

Niedaleko mogła uciec, zanim odkryją jej ucieczkę, ale wiedziała, że wuj Geoffrey ma do załatwienia różne pilne sprawy. Liczyła na to, że zdoła się ukryć na tyle dobrze, by nie starczyło mu czasu na poszukiwania. Kiedy wpadła do wioski, przyjrzała się uważnie budynkom starając się znaleźć coś odpowiedniego. Nie mogła niestety nikomu zaufać, bo każdy tutaj mógł ją wydać wujowi. Dopadła wreszcie do starego kościółka na skraju wioski. Przez moment błysnęła jej w głowie myśl, czy by nie poszukać schronienia na jego ołtarzu, ale natychmiast porzuciła tę romantyczną mrzonkę. Zwyczaj ten był martwy od stuleci, a nawet gdyby nie był, Geoffrey Highclere nie wahałby się przed podeptaniem każdego prawa, ludzkiego czy boskiego. Obok kościoła znajdował się otoczony murem ogród, gdzie zapewne kiedyś stała plebania. O tej porze dnia w ogrodzie nie powinno być nikogo. Meriel otworzyła furtkę i weszła do środka, spoglądając ze strachem w stronę domów. Chyba jednak nikt jej nie dostrzegł.

Przemykając jak duch przez ogród Meriel znalazła wreszcie schronienie w małym domku ogrodnika. Rozejrzała się trwożnie za pajakami, ale nawet pajaki nie były takie straszne jak jej wuj.

Zamknęła za sobą drzwi i po omacku dotarła do pustego kąta. Tam przysiadła i czekała. Mijały długie minuty i nic się nie działo, więc Meriel zapadła w sen.

— Możesz już wyjść. On poszedł.

Tłumiąc okrzyk przestachu Meriel zerwała się ze snu. Serce biło jej z całej siły. W domku było teraz okropnie gorąco, ale przez otwarte drzwi wpadał podmuch chłodniejszego powietrza; złote promienie popołudniowego słońca oświetlały pokłady kurzu. W drzwiach ktoś stał, ale pod słońce Meriel nie widziała go wyraźnie. Chciała zerwać się na nogi, ale zaplątała się we własny płaszcz i przez moment paniki walczyła z nim jak z żywą istotą.

— Już dobrze — powiedział nieznajomy biorąc ją ze rękę i pomagając wstać. — Naprawdę odszedł. Ciebie szukał, prawda? Ten wybuchowy *Anglais* o złotych włosach?

Teraz Meriel mogła przyrzeć się przybyszowi. Był mniej więcej w jej wieku. Nosił proste ubranie wiejskiego ogrodnika. Ciemnoblonde włosy miał związane z tyłu w krótką kitkę, a błękitne oczy wpatrywały się w nią z uwagą.

— Odszedł? — zapytała, chcąc najpierw upewnić się co do najważniejszej rzeczy. Mówiła po francusku, skoro do niej też zwrócono się w tym języku.

Chłopak uśmiechnął się.

— Już wiele godzin temu, *mademoiselle*. Czekałem, aż sama wyjdiesz, ale potem pomyślałem, że może chcesz spędzić noc w domku Jacques'a, a na to nie można pozwolić.

Meriel próbowała strząsnąć z pomiętej sukni zaschnięte grudki błota i kurzu. Jej umysł tymczasem pracował gorączkowo. Czy ma uważać to spotkanie za ratunek, czy tylko za następną pułapkę?

— Jeśli wiedziałeś, że tu jestem, dlaczego mu nie powiedziałeś, kiedy mnie szukał?

Zapytany roześmiał się.

— Bo mi się nie podobał, *mademoiselle!* A *père* Henri... właściwie powinienem powiedzieć wielebny de Conde, ale on, mieszka już tutaj tak długo, że nikt w Trois Saintes nie mówi o nim inaczej niż *père* Henri... — nie wiedział gdzie jesteś, więc na szczęście nie musiał obciążać swojej duszy kłamstwem — odparł pobożnie nieznajomy. — Teraz, kiedy

*Anglais* odjechał, mogę zaprowadzić cię do *père* Henri. Musimy podjąć decyzję, co dalej robić. Ten człowiek, któremu uciekłaś, jest chyba bardzo zły, prawda *mademoiselle*?

— Jest diabłem — powiedziała z całym przekonaniem Meriel — Jeśli mnie znajdzie, zabije mnie.

— We Francji — powiedział nieznajomy — jest teraz wielu diabłów. A *père* Henri jest bardzo wprawny w ukrywaniu przed nimi tego, czego szukają. I oto znowu przestawię mu kogoś, kogo trzeba ukrywać... biedny człowiek! Tylko kogo mam mu właściwie przedstawić?

Meriel zawahała się. Tak bardzo pragnęła komuś zaufać, a ten młody człowiek wyglądał na kogoś, kto może być sojusznikiem. Mimo to wahała się przez długą chwilę, zanim odpowiedziała.

— Meriel...Greye — skłamała. — A ty kim jesteś?

— Musisz mówić do mnie Louis — odparł obcy ze smutnym uśmiechem. — Wiem, że to tylko imię, ale nie mam nazwiska, odkąd od dwunastu lat panuje nasza zwycięska Republika.

## 16. LEW RZEŹBIONY W DREWNI

Gdy Wessex wszedł do tej paryskiej piwnicy, od razu wiedział, że wpadł w pułapkę. Nie rozpoznał twarzy żadnego z członków tej komórki Podziemia. Musiał użyć jeszcze raz tożsamości de Reynarda, aby się z nimi skontaktować, a wiedział, że Jacks mieli już do czynienia z tą postacią kilka miesięcy temu i uważali go za angielskiego agenta.

Rzeczywiście wszystko wskazywało, że nie mieli wątpliwości.

— Proszę do środka, *m'sieur* de Reynard... czy jak tam się naprawdę nazywasz — odezwała się brunetka, która kiedyś musiała być piękna. — Nie próbuj opuścić naszego towarzystwa. Zginiesz, zanim ci się to uda.

— Przyszedłem tu po informacje — odpowiedział spokojnie Wessex. — Nie jestem jednym z psów Czerwonych.

— Nie ma wielkiego znaczenia, czym jesteś psem, skoro z pewnością nie naszym — powiedziała kobieta. — Powiesz nam, co wiesz, a potem... zobaczymy.

— Gdybym wiedział cokolwiek interesującego, nie przychodziłbym do was — odparł Wessex.

Jako kawaler de Reynard miał wprawdzie szablę przy boku i kilka małych niespodzianek po kieszeniach, ale nie chciał tutaj zabijać... to by ściągnęło na niego niepotrzebną uwagę.

— Czy nie możemy się zachowywać rozsądnie? Moi ludzie zawsze popierali restaurację i prawowity rząd Francji. Współpracowaliśmy już przecież kiedyś.

— Czasy się zmieniają — powiedziała brunetka spoglądając twardym wzrokiem. Wyraźnie wahała się przed podjęciem drastycznej decyzji, kiedy przy drzwiach zapanowało małe zamieszanie i do środka wszedł Victor Saint-Lazarre.

Na widok Wessexa cofnął się o krok.

— Zette! Co robisz? — zapytał ostro.

— Wykonuję swój obowiązek, Victorze — odparła nie zmieszana brunetka. — Sądzisz, że powinniśmy ufać naszym tak zwanym sojusznikom teraz, gdy nadchodzi najważniejszy czas? Oni; sami by go wykradli...

— Milcz! — sapnął Saint-Lazarre. — Nie możemy zachowywać się jak *sans-culottes*, jeśli naprawdę chcemy ocalić Francję. Ten człowiek jest przyjacielem...

— Ten człowiek nie ma imienia — zauważyła sucho Zette. — Mówi, że jest kawalerem de Reynard... ale kawaler de Reynard nie istnieje, jest tylko cieniem rzucanym przez angielskiego szpiega.

— Ja znam tego człowieka — odpowiedział Saint-Lazarre patrząc spokojnie na Wessexa. — I ręczę za niego. Nie jest dla nas groźny i oddał mi już raz wielką przysługę. — Zwrócił się wprost do diuka: — Co cię tu sprowadza... *m'sieur*?

A więc Saint-Lazarre nie chciał zdradzać jego sekretu. Wessex odetchnął z ulgą. Saint-Lazarre znał tożsamość diuka Wessex, a teraz dowiedział się też, że jest on szpiegiem. Chociaż bardzo się starał, Francuz nie mógł ukryć wyrazu niesmaku. Szpieg to ktoś najnędnniejszy z nędznych, a oto okazało się, że arystokrata mógł się stoczyć tak nisko...

— Przyjechałem się dowiedzieć, czy prawdę mówią plotki, że za zniknięciem księżniczki Stefanii stoi Tyran. Jej okręt zniknął, ale ja wierzę, że ona żyje.

— Ta mała księżniczka, której małżeństwo miało przypieczętować traktat? — zapytał Saint-Lazarre. — Zaginęła?

— Zniknął okręt — powiedział Wessex jedyne, co naprawdę było wiadomo. — A markiz de Sade przebywa właśnie na duńskim dworze jako emisariusz Tyrana. Co on tam może robić?

— De Sade to przeklęte imię — powiedział Saint-Lazarre potrząsając z obrzydzeniem głową. — Ale nie możemy ci pomóc, *m 'sieur*. Księżniczki nie ma w Paryżu. I radzę ci jechać do domu, Angliku. Francja zadecyduje o swym przeznaczeniu sama, bez angielskiej pomocy.

Wessex opuścił Paryż, ale bynajmniej nie udał się do domu.

Jego nieomylny instynkt mówił mu, że księżniczka Stefania została porwana. A jedyną siłą, która mogłaby sobie tego życzyć, było Imperium Francji. Ale księżniczka nie znikła sama. Wraz z nią znikł także angielski okręt liniowy z ośmiusetosobową załogą. Wraz z księżniczką znikło łącznie ponad tysiąc osób — mężczyzn i kobiet. Wessex nie wierzył, by Bonaparte kazał ich wszystkich stracić. Mały Korsykanin był zbyt ostrożnym graczem, by zrobić coś takiego.

Muszą więc gdzieś być. Przeszukiwanie całej Francji było jak szukanie igły w stogu siana. Ale gdzie łatwiej znaleźć igłę niż w stogu, który cały jest zrobiony z igieł?

Średniowieczne, otoczone murami miasto Verdun zagradzało drogę do Paryża jak ponury olbrzym. Ale ten olbrzym był oswojony i znajdował się na żołdzie *La Belle France*. Wewnątrz murów trzymano tych, którzy nie powinni siedzieć w normalnych więzieniach — żołnierzy obcych mocarstw, którzy złożyli broń, internowanych obywateli państw neutralnych i wszystkich, którzy chociaż byli więźniami, nie zostali uznani za wrogów państwa.

Jeśli Avery de Morrissey zdołał stąd uciec, Wessex uznał, że jemu uda się dostać do środka. Nie miał niestety odpowiednich papierów, które pozwoliłyby mu przejść przez bramę jako urzędnikowi albo kupcowi, a nie bardzo miał ochotę wchodzić do Verdun jako więzień. Jedynym sposobem było przemknienie się po cichu, żeby nie dostrzegli strażnicy. Wessex właśnie rozmyślał, jak tego dokonać, gdy jego uwagę przyciągnął tętent końskich kopyt za plecami. Zsiadł z konia i zaprowadził go za rosnące przy drodze drzewa. Wprawdzie nie ukryłyby go przed uważnym obserwatorem, ale jeśli to tylko przypadkowy podróżny, powinien ująć jego uwadze.

Jakiś czas później na drodze pojawił się samotny jeździec na siwym ogierze. Wyglądał imponująco na siodle z lamparciej skóry i ze sterczącymi w górę skrzydłami z orlich piór, które szeleściły na wietrze...

Wessex pozostał jednak w ukryciu. Był zbyt daleko, by rozpoznać twarz jeźdźca, a wielu z tych, którzy nosili takie stroje, u służyło teraz Napoleonowi. Jednak ten andaluzyjski ogier był jedyny w swoim rodzaju.

Illia Kościuszko ściągnął wodze. Koń zatrzymał się, parszkając i przestępując z nogi na nogę.

— Mam nadzieję, że to ty, przyjacielu, chowasz się w tych krzakach. Nie chciałbym zostać zmuszony do zastrzelenia następnego Francuza, aby zamaskować swoje ślady — zawołał Polak.

Sarze od dawna udawało się tylko zbliżyć do krawędzi świadomości; zaraz zapadała się znowu w ciemność, czując w gardle słodki smak następnej dawki laudanum. Teraz przypomniawszy sobie, że dokładnie tak samo było po wypadku, kiedy jednocześnie pracowano nad skonstruowaniem jej nowej osobowości i nad zamianą w markizę Roxbury.

Teraz wreszcie zdołała odzyskać swoją prawdziwą osobowość; drugi raz nie uda się nikomu oszukać jej w podobny sposób. Była Sarą Cunningham z Ameryki — i właśnie dzięki uporowi i niezależności, który wyrzył w jej umyśle tamten powojenny świat, zdołała w końcu zmusić się do przebudzenia.

Narkotyk wciąż utrzymywał jej ciało w łóżku, jakby spoczywała na nim czyjaś ciężka dłoń; głowę zdawała się mieć z ołowiu, ale przynajmniej mogła wreszcie otworzyć oczy i pomyśleć... jako tako.



Geoffrey Highclere znalazł ją i lady Meriel w Talitho, podał im narkotyk i przywiózł je... no właśnie, dokąd?

Pokój, w którym leżała, robił przytłaczające i staroświeckie wrażenie, jak kaplica w Mooncoign, tylko jeszcze bardziej ponure. Otynkowane ściany w wielu miejscach podeszły wilgocią, a tu i ówdzie fragmenty tynku odpadły, ukazując szary kamień. Sufit wykonano z potężnych, poczerniałych od upływu czasu drewnianych belek, co dodatkowo potęgowało wrażenie, że Sara znajduje się w podziemiach średniowiecznej fortecy. Kiedy wreszcie zdołała lekko unieść głowę, dostrzegła, że okno — jedyne źródło światła w tym pomieszczeniu — jest głęboko wpuszczone w przeciwległą ścianę, a dostępu do niego bronią dwa grube metalowe pręty.

Sara z jękiem zmusiła swoje ciało do przybrania pozycji siedzącej. W pokoju stało tylko łóżko, na którym siedziała — wykonane z rzeźbionego i pozłacanego drewna, zdawało się wyjątkowo nie na miejscu w tym surowym i pustyni pomieszczeniu — i ciężki drewniany stół, na którym stała karafka z wodą i niebieska butelka laudanum.

Oprócz silnego zawrotu głowy Sara poczuła szalone pragnienie.

Wciąż miała na sobie to samo ubranie podróżne, łącznie z płaszczem i butami. Zastanawiała się, jak długo leżała tutaj uśpiona. Włosy miała zmierzwione i pozlepiane, a nogi bolały przy najmniejszym ruchu. Opierając się o brzeg łóżka, Sara wstała krzywiąc się z bólu. Pokój zatańczył dziko wokół niej, ale była zdecydowana utrzymać się w pozycji stojącej. W końcu zdołała odbyć drogę do zakratowanego okna.

Tak jak przypuszczała, była w zamku.

Za oknem wieża opadała jakieś sześćdziesiąt stóp w dół do fosy pokrytej niemal całkowicie wodnymi liliami. Krajobraz za fosą był zielony i świeży; roślinność rozkwitała w letnim słońcu. Zdawało się jej, że dostrzega w oddali zarys wieży wiejskiego kościółka, ale nie była całkowicie pewna.

Anglia... czy inny kraj? Meriel zamierzała udać się do Lizbony...

Gdzie jest Meriel?

Wciąż czując silne zawroty głowy, Sara odwróciła się i jeszcze raz rozejrzała po pomieszczeniu. Ani śladu obecności Meriel. Potrzasnęła głową próbując zebrać myśli. Highclere zamierzał zabrać je gdzieś obie. Czyżby Meriel trzymano w innym miejscu?

Wyjęła ostatnie spinki z włosów; opadły swobodnie na plecy splątaną masą. Czy może w jakiś sposób wydostać się z tego więzienia? Przyjrzała się z powątpiewaniem ciężkim, obitym metalowymi sztabami dębowym drzwiom. Nie miała z pewnością dość siły, by je pchnąć, nawet jeśli nie są zamknięte.

Oszczędzono jej sprawdzania tego. Rozległ się zgrzyt przekręcanej klucza (a więc były zamknięte) i skrzypienie nie naoliwionych zawiasów, a ciężka płyta zaczęła się otwierać do środka. W drzwiach pojawiła się młoda kobieta, ubrana jak wieśniaczka. Niosła drewnianą tacę, na której spoczywał dzban i kubek. Za jej plecami stał Geoffrey Highclere, schludnie odziany w rewolucyjną czerń. Łajdak wyglądał naprawdę elegancko i Sara na jego widok poczuła się jeszcze bardziej brudna.

Służąca zobaczyła stojącą Sarę i wydała cichy pisk przestachu. Pobiegła szybko do stołu i postawiła na nim tacę. Highclere uśmiechnął się szeroko.

— A więc księżna już się zbudziła? Doskonale, to mi zaoszczędzi kłopotu.

— Gdzie jest Meriel? — zapytała Sara z jankeską bezpośredniością. Jeśli Highclere spodziewał się owijania w bawełnę, to nie miała zamiaru tracić na to czasu.

Uśmiechnął się znowu, najwyraźniej szukając jakiegoś zręcznego wykrętu, ale Sara nie miała już cierpliwości.

— Tylko nie kłam, panie Highclere! Nie mam ochoty wysłuchiwać twoich bajeczek.

— Powinna pani być nieco milsza — odparł Highclere tonem zranionej niewinności. — Jest pani bądź co bądź moim więźniem.

Sara parsknęła zgoła niearystokratycznie.

— Zabieraj się stąd, dziewczyno, i powiedz Monsignorowi, że może już porozmawiać z więźniem — wydał polecenie po francusku Highclere.

Przestraszona służąca ukloniła się i uciekła z pokoju.

Sara patrzyła Geoffreyowi w oczy. Jej serce biło dziko, ale wiedziała, że zachowuje kamienny wyraz twarzy i że wyprowadza go tym z równowagi. Jej wróg był miejskim mięczakiem, który nie przeżyłby nawet dnia w niezmiernych puszcach kraju Sary. Jeśli tylko zdoła uciec z tego zamku, zniknie bez śladu i nigdy nie zdołają jej znaleźć.

— Pewnie myślisz, że możesz patrzeć na mnie z góry, ale zapewniam cię, że Monsignor nie będzie dbał o twoje pochodzenie. Zmiażdży cię jak łupinkę orzecha, wystarczy, że zaciśnię dłoń...

— A potem może mnie zjeść — podpowiedziała mu Sara. — Przerazająco to brzmi, panie Highclere, ale nic pan nie wskóra. Zdradziłeś Anglię, Highclere, i chociaż muszę przyznać, że mam pewną sympatię dla zdrajców i rewolucjonistów, nie mogę zaaprobować sposobu, w jaki potraktowałeś lady Meriel — powiedziała twardo, starając się skierować rozmowę na temat, który najbardziej ją interesował.

— To, jak ją potraktowałem, nie ma tu nic do rzeczy — warknął Highclere. — Mam nadzieję, że ta suka zdechnie w jakimś rowie. Zwiąła z powozu na pierwszym postoju, zostawiając ciebie, moja droga księżno. Nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie teraz jest.

— Jak bardzo mi cię żał — powiedziała ze współczuciem Sara. Twarz Highclere'a pociemniała z gniewu. Ruszył ku niej z uniesioną pięścią. Sara stała bez ruchu, gotowa odeprzeć jego atak. Była wojownikiem Ludu, a Highclere to łatwy przeciwnik. Sara czekała, aż go obezwładni i wykorzysta szansę ucieczki.

Niestety jej plan się nie powiódł, bo do pokoju wkroczył jakiś mężczyzna w nie znanym jej mundurze.

— Monsignor Talleyrand przyjmie pana teraz, *m'sieur* Highclere. Przyjmie również *madame la duchesse*.

Sara nie wiedziała, że Charles–Maurice de Talleyrand–Perigord nosił w niektórych kręgach przezwisko Czarnego Księdza — prawdopodobnie z powodu swojego przymusowego pobytu w zakonie, ale tylko na podstawie wyglądu sama mogłaby nadać mu taki przydomek. Jego niegdyś ciemne włosy teraz, po sześćdziesiątce dobrze już posiwiały, ale wciąż miał niewinną, poczciwą twarz wiejskiego kapłana. Talleyrand uciekł od Terroru stając się jego narzędziem, a kiedy krwawe koło rewolucji znów odwróciło, — stał się z kolei narzędziem terroru Imperium.

Ubrany był w czerń, jak zwykły kleryk, czarne też były jego rękawice i chusta owinięta wokół szyi. Niektórzy mówili, że to dlatego, że na czarnej chuście mniej widać krew niż na bieli krawata, ale Sara na szczęście nie słyszała tych opowieści.

Siedział na zwykłym krześle, za prostym drewnianym biurkiem. Obok jego łokcia stał kałamarz, leżały pióra i kilka zwojów papieru. Wyglądał jak zwykły urzędnik sądowy, który zaraz« zacznie spisywać zeznania świadka.

Sara rozejrzała się po pomieszczeniu, do którego ją przyprowadzono. Niegdyś musiał się tu mieścić zamkowy salon. Komnata miała trzydzieści na sześćdziesiąt stóp i kiedyś zapewne była bardzo piękna, ale teraz panowała tu taka sama atmosfera zapo mnienia i opuszczenia jak w całej reszcie budynku. Biała plama na drewnianej podłodze wskazywała na miejsce, gdzie kiedyś leżał kobierzec, a niektóre okna zalepiono papierem, co powodowało, że w pokoju panował lekki półmrok. Ozdobne ściany w wielu miejscach zostały uszkodzone, a arraszy z nich zdarte. Wielki kominek z białego marmuru ktoś rozbił młotkiem albo i łomem; nie oszczędzono nawet figurek nimf i satyrów. Nie płonął w nim teraz ogień i mimo letniej pory w pustym pokoju było zimno.

— Dzień dobry, *madame la duchesse* — powitał ją Talleyrand swoją twardą angielszczyzną, kiedy przywiedziono ją jego przed biurko. — Wierzę, że miała pani przyjemną podróż.

— Niech pan przestanie odgrywać komedię! — wybuchnęła Sara — Dobrze pan wie, że nie miałam. Porwano mnie, podano mi narkotyk. A jeśli pan nie wie, jak się można czuć po takiej dawce laudanum, to radzę spróbować!

— *Madame* jest bardzo narowista — zauważył Talleyrand. — Byli tu już tacy, ale zachowywali się tak tylko podczas pierwszej wizyty. Potem już nie.

— Jeśli jestem tu tylko po to, by mógł pan osobiście mnie zabić — odpowiedziała mu równie uprzejmie Sara — to sądzę, że ma pan pod ręką parę setek innych kandydatów, znacznie łatwiej dostępnych niż ja. Kosztowało to chyba trochę wysiłku, aby mnie tu ściągnąć.

— Ale w końcu pani jest — zauważył beznamiętnie Talleyrand.

— Zgadza się — potwierdziła Sara. — I bardzo chciałabym się dowiedzieć, dlaczego.

— Nie wyjaśniłeś? — zwrócił się Talleyrand do Highclere'a.

— Myślałem... to znaczy... jakby to powiedzieć...

Po raz pierwszy Sara była świadkiem, jak Highclere zapomniał języka w gębie.

— Nie myśl. I tak dobrze się spisujesz, Highclere. Nie wymagam od wszystkich moich agentów, by myśleli. Teraz możesz odejść. Chcę porozmawiać z księżną prywatnie, a potem znajdzie się dla ciebie inne zadanie.

Kątem oka Sara dostrzegła ciemny rumieniec na twarzy Geoffreya, który jednak nie odważył się okazać niezadowolenia człowiekowi, zwanemu Monsignor. Wkrótce opanował się na tyle, że zdołał złożyć sztywny ukłon i opuścił komnatę.

— Teraz możemy poczuć się bardziej komfortowo *madame* — powiedział Talleyrand, jakby nie zauważył, że Sara ledwo stoi i że nie miała do tej pory możliwości, by choć przeplukać gardło.

— Wyjaśnię pani kilka rzeczy.

Sara była zmęczona, ale także przerażona, i to z każdą minutą mocniej. Zdawała sobie sprawę, że Talleyrand jest znacznie bardziej niebezpiecznym człowiekiem niż Geoffrey Highclere. Ale jej twarz nie okazywała żadnych uczuć. Nawet zapędzona do kąta i zdana na łaskę tego człowieka, da sobie radę. Zrobi to, co w takiej sytuacji czyni jeżozwierz. Będzie blefować.

— Nie będę namawiał cię do współpracy, tym możesz się nie martwić — powiedział Czarny Książdz, a Sara nie zareagowała. — Chcę tylko, aby twój mąż wrócił do domu i dał sobie spokój z donkiszoterią.

Talleyrand wstał i zaczął spacerować po pokoju przemawiając jak wykładowca do studentów.

— Może pani tego nie wiedzieć, ale co najmniej od kilku lat diuk Wessex jest głównym politycznym agentem króla Henryka, mieszącym się w sprawy innych suwerennych krajów. Jest mordercą, szantażystą, złodziejem...

— Ale mimo wszystko Anglikiem — wtrąciła Sara lekko ironicznym tonem. — Proszę kontynuować, *sir*. Rozumiem, że ściągnął mnie pan tutaj, abym zmieniła charakter mojego męża?

Talleyrand zatrzymał się i przez jego poczciwą twarz przemknęło coś w rodzaju rozbawienia.

— Można tak to nazwać, moja odważna pani. Otrzymałem ostatnio wiadomość, że obecna misja Wessexa jest wymierzona w samo serce Francji. *Monsieur le duc* zamierza skończyć zadanie — zaczęte przez jego ojca, który zresztą zginął nie zdoławszy go wykonać. Jest to oczywiście godne podziwu, ale tym razem muszę mu stanąć na drodze. Sprawy Francji mają

być pozostawione Francji, a jeżeli diuk tego nie zrozumie, to obawiam się, pani, że w ten sposób przypieczętuje twój los.

Sara zmartwiła, ale nie pokazała tego po sobie. Wiedziała, że w zachowaniu jej męża i w jego ciągłych zniknięciach muszą kryć się jakieś tajemnice. Ale teraz, gdy przedstawiono jej tak dokładnie szczegóły jego profesji...

— Czy nie miałyby więcej sensu — odezwała się obojętnym tonem — gdyby zamordował pan raczej mojego męża? Mówię to oczywiście dla dobra pańskiej sprawy. — Zmusiła się, żeby stać bez drgnienia, jak na polowaniu. To też było swego rodzaju polowanie... tylko kto był myśliwym, a kto zwierzyną?

— Muszę przyznać, *madame*, że z tym właśnie mamy pewne kłopoty — powiedział Talleyrand. Zatrzymał się i spojrzał jej prosto w twarz.

Stał tyłem do okna, a jego czarny płaszcz oświetlały promienie słońca, przechodzące przez szyby i przez papierowe zasłony niektórych okien. Siwe włosy też lśniły metalicznym blaskiem. Przez moment wyglądał nie jak człowiek, ale jak nieludzkie narzędzie przeznaczenia.

— Na razie nie znalazłem żadnej dobrej metody, aby załatwić z diukiem tę małą sprawę. Próbowaliśmy to rozwiązać w Kopenhadze, ale otrzymaliśmy ostatnio informację z Paryża, że diuk wciąż żyje, chociaż niestety stylu bycia nie zmienił. Trudno nam będzie przedstawić mu naszą ostatnią ofertę: że albo musi się stąd wynieść, albo dostanie twoją śliczną głowę, pani, w dużym pudełku.

Sara nie zdołała powstrzymać drżenia, słysząc te okrutne słowa Talleyranda. Zamyślona podeszła do biurka i spokojnie usiadła na krześle, które zwolnił Francuz. Splotła dłonie, uniosła głowę i patrzyła na niego.

— Trudno będzie go do tego przekonać — powiedziała po chwili milczenia — ponieważ on mnie nie kocha.

Kiedy to mówiła, cząstka jej serca krzyczała, że to nie ma znaczenia, bo ona kocha jego... że przekroczyła granicę między światami, aby go spotkać...

Talleyrand spojrzał jej prosto w oczy z poważnym wyrazem twarzy, jakby był jej spowiednikiem.

— Moja droga księżno, nic dziwnego, że wyglądasz na pogrążoną w depresji. Jak mężczyzna może odrzucać kobietę o takim charakterze, urodzeniu... i zapewne majątku? Naprawdę Wessex jest dziwnym człowiekiem. Ale nie martw się, pani. Wessex na pewno będzie chciał ocalić twoje życie, bo jesteś jego żoną. Może nie nazwałbym tego sprawą honoru, bo tego nie ma żaden szpieg, ale z pewnością jego duma bardzo by ucierpiała, gdyby zabito mu żonę. No cóż, *madame*, wąta to nadzieja, ale jedyna, jaką mamy... ty i ja.

Sarę bolała głowa. Była spragniona, zmęczona i zaczynała czuć głód. Rozzłościło ją też, że ten człowiek traktuje ją, jakby byli sojusznikami.

— Sądzi pan, że nie ma szans, abym wyszła żywa z tego zamku? — zapytała z ironią.

— To prawda, *madame*, ale musi pani mieć nadzieję — odparł Talleyrand. — Wszyscy musimy mieć nadzieję w tych okropnych, niepewnych czasach.

Nie czekając na jej odpowiedź podszedł do drzwi i zapukał. Drzwi się otworzyły i stanął w nich ten sam młody żołnierz, który przyprowadził ją do tego pokoju. Teraz miał odprowadzić ją z powrotem.

— Jak się tu znalazłeś? — zapytał Wessex swojego zbłąkanego przyjaciela. — Albo bardziej do rzeczy: po co? Przysłał cię Misbourne? Znalazła się księżniczka?

Kościuszko wzruszył ramionami. Wyglądał na zmieszanego.

— Nie i nie. Ale zapewniam cię, że broń Ripona też nie wypaliła. Lady Meriel jest tutaj... — Kościuszko zdawał się zbierać siły — ...i także księżna Wessex.

Przez krótki moment Wessexowi zdawało się, że Kościuszko ma na myśli jego babkę, ale zaraz sobie przypomniał, że to Sara jest teraz księżną Wessex.

— Jest we Francji? — zapytał obojętnie.

Kościuszko krótko przedstawił mu informacje, które zdołał pozbierać — bal u earla Ripona, nocna wizyta Meriel u księżnej Wessex, ich ucieczka do Talitho, nagłe przybycie Geoffreya Highclere'a.

— Za późno wpadłem na trop tego stateczku, którego zamierzał użyć i nie zdołałem go powstrzymać przed wypłynięciem, ale to Highclere odpowiada za tę podróż. Księżna z pewnością nie zamierzała nigdzie płynąć ani zostawiać swojego wozu i służby. W pokoju na górze znalazłem jej służącą, uśpioną. To ona mi powiedziała, że uciekały przed panem Highclere'em. No i z tego wynika, że im się nie udało.

— Kobiety! — mruknął Wessex z gniewem i desperacją. Jego umysł pracował na przyspieszonych obrotach. — Jeśli Highclere przybył do Francji, wniosek z tego, że sprawa Starej Religii, która tak bardzo leży na sercu jego bratu, jest mu raczej obojętna.

— Albo wobec niepowodzenia spisku... na co wskazuje ucieczka dziewczyny, która miała w nim odegrać ważną rolę... szuka sobie nowego protektora. Nie jest z nikim ściśle związany — zasugerował Kościuszko.

— Ale po co ją zabrał? — zapytał Wessex. Odpowiedziało mu wzruszenie ramion.

— Poczekałem na powrót kapitana Crispina i kazałem przewieźć się łodzią razem z koniem w to samo miejsce. Nasz kapitan jest bardzo elastycznym człowiekiem, jeśli pojawia się twarda waluta.

Ale byłem tam dzień później i wszelki trop urywał się w małej wiosce nieopodal. Postanowiłem więc strzelić na ślepo, a ponieważ Verdun jest bardzo prawdopodobnym...

— Więc jesteś tutaj — przerwał mu Wessex. — Ja miałem ten sam pomysł, jeśli chodzi o księżniczkę Stefanię i jej świtę. Spróbujemy szczęścia? Zakładam oczywiście, że masz pomysł, jak przedostać się przez bramę.

— Jeśli o to chodzi — powiedział skromnie Kościuszko — to zawsze mam jakiś pomysł.

Porucznik nowo sformowanego Batalionu Polonais de la Garde Imperiale dopadł bramy Verdun z furją młodego arystokraty, który stracił cały dzień w drodze i spóźnił się na wieczerzę. Samo pytanie o jakiegokolwiek papiery byłoby obrazą. On i towarzyszący mu *m'sieur le chevalier* są przydzieleni do departamentu samego Talleyranda — i zadawanie im jakichkolwiek pytań jest po prostu impertynencją. Czy dżentelmeni — porucznik wypowiedział to słowo z przekąsem — chcieliby posłać po swojego oficera, aby zmierzył się z porucznikiem na szable w pobliskim lasku?

Ten wyjątkowo mocny blef podziałał. Oficerowie kawalerii często byli wysyłani jako kurierzy albo posłańcy; wszyscy we Francji wiedzieli, jak bardzo Bonaparte ceni sobie swoje polskie oddziały ze względu na umiejętności i odwagę, którą wyróżniały się w tej najbardziej międzynarodowej armii świata. W końcu strażnicy ich przepuścili i Kościuszko z Wessexem wjechali do Verdun.

— Ta maskarada nie wystarczy na długo — powiedział Wessex do swojego partnera, gdy jechali do przeznaczonej dla nich kwatery.

— Nie sądziłem, że chcesz tu zostać długo — odparł z prostotą Kościuszko.

Verdun wyglądało jak miasto, które dopiero co zostało zdobyte. Jego najpiękniejsze rezydencje zajęli ci, których było stać, aby zapłacić za lepsze warunki więzienia, natomiast pozostali tłoczyli się w każdym zaułku tego średniowiecznego grodu. Zapewnienie każdej życiowej potrzeby kosztowało tu bardzo dużo, a znalezienie się w tym mieście bez pieniędzy oznaczało życie w skrajnej nędzy. Zagęszczenie było niewiarygodne, zwłaszcza jeśli dołożyć do tego wąskie uliczki i przechadzające się po nich liczne patrole, które często opuszczały baszty i mury, w całości obsadzone przez cesarskich żołnierzy. Kiedy wojna się skończy, internowani w mieście ludzie będą mogli je opuścić. Ale czy znajdą jeszcze swoje ojczyzny,

do których będą mogli powrócić — to było zupełnie odrębne pytanie, a perspektywa tak odległa, że niektórzy mogli jej nie dożyć.

Wessex i Kościuszko zameldowali się w przypisanej im kwaterze. Mimo przepelnienia zaopatrzenie dla oficerów było tu takie samo jak w każdym innym miejscu we Francji. Zostawili konie w stajni i postanowili usiąść przy kawie, by zastanowić się nad; następnym ruchem.

— Więc? — zapytał po prostu Kościuszko, gdy już przyniesiono im kawę i koniak. Mówił po francusku, chociaż w tym międzynarodowym mieście na miejscu byłby każdy język.

— Zdziwiasz mnie — odparł uprzejmie Wessex. — Jesteśmy w Verdun i interesują nas plotki. Więc gdzie powinniśmy pójść?

Kościuszko zastanawiał się przez krótką chwilę.

— Słusznie. Idziemy zatem do Heliconu.

Wessex uśmiechnął się.

Germaine de Stäel baronowa de Stäel-Holstein urodziła się w tysiąc siedemset sześćdziesiątym szóstym roku. Jej przeznaczeniem było bogactwo i przywileje. Uznana na świecie pisarka i intelektualistka została wygnana z Francji przez Rewolucję, a potem już tylko z Paryża przez Dyrektoriat. Kiedy upadł także ten rząd, *Madame* powróciła do swojego ukochanego Paryża i stała się jednym z największych paradoksów Francji — płomienną rojalistką, która jednocześnie głosiła ideały rewolucji. W imieniu obu tych swoich miłości sprzeciwiała się każdemu krokowi, który czynił Bonaparte sięgając po laury cesarskie. I kiedy Imperator dwa lata temu ponownie zabronił jej wstępu do Paryża, osiadła właśnie w otoczonym murami Verdun, po prostu aby z niego zadrwić. Tu wydawała jedną z najważniejszych podziemnych gazet w Europie. Plotka głosiła, że jej pamflety i eseje doprowadzały do szafu Napoleona i jego krwawego pupilka Talleyranda, którego poddała straszliwej krytyce w powieści *Delphine*, będącej przyczyną jej wygnania. Jednak Napoleon nie chciał uchodzić za radykała podejmując odwetowe akcje przeciwko jednej kobiecie, która w dodatku była córką bohatera Rewolucji — bankiera Jaques'a Neckera.

Tak więc *Madame* de Stäel odtworzyła swój słynny paryski salon w tym więziennym mieście i samą swoją obecnością drwiła z Cesarza.

Dotarcie spacerkiem do domu *Madame* de Stäel, przez zatłoczone ulice miasta, zajęło Wessexowi i Kościuszce niemal godzinę. Verdun przypominało Wessexowi miasto Wschodu — pełne rozkrzyczanych ludzi, złodziei i handlarzy.

Odźwierny, który otworzył pomalowane na zielono drzwi *Madame*, był bardzo oficjalnie ubrany w liberię i przypudrowaną perukę. Na widok niezwykłego munduru Kościuszki służący uniósł tylko nieznacznie brwi, natomiast bilet wizytowy Wessexa wziął bez zbędnych pytań. W chwilę później wrócił by powiedzieć, że *Madame* przyjmie ich obu.

Wessex, a za nim jego przyjaciel, wkroczyli zatem do salonu.

Ściany pokoju pokrywały fantastyczne malowidła, a umeblowanie przywodziło na myśl baśnie z tysiąca i jednej nocy. Obrazy olejne przedstawiały głównie panoramy ukochanego przez *Madame* de Stäel Paryża, ale dywany i pufy oraz rzeźby kojarzyły się głównie ze Wschodem. Znajdowały się tu też bardziej niezwykle elementy — jak na przykład wielka, zielona, papuga, siedząca na drążku z kości słoniowej, czy mała czarna małpka, odziana w liberię, a urzędująca na ramieniu *madame*. Mimo zbliżającej się czterdziestki *Madame* de Stäel wciąż była niezwykle przystojną kobietą. Chociaż jej czarne kręcone włosy, przykryte indyjskim szalem, były już nieco przyprószone siwizną, wciąż zachowała zgrabną figurę i gładką białą skórę — i wciąż mogła zaskakiwać nie tylko niezwykłą inteligencją, ale także urodą.

Wyciągnęła rękę do wchodzącego Wessexa.

— Reynard! — zawołała z radością dźwięcznym głosem. — Więc jednak żyjesz!

Wessex przyklęknął na jedno kolano i z uszanowaniem ucałował rękę *Madame*.

— Doniesienia o mojej śmierci, jak zawsze, były znacznie przesadzone, *Madame*. Jak widzisz, wpadłem do twojego domu, aby zadać im kłam.

— Z własnej woli lub nie — dokończyła *Madame* spoglądając na jego kompana.

Wessex go przedstawił i Kościuszek zaczął natychmiast szybko coś mówić po polsku. Wessex wprawdzie nic nie rozumiał, ale *Madame* najwyraźniej była w tym języku na tyle biegła, że pojmowała nawet dwuznaczności.

— Niedobry chłopiec — powiedziała po francusku, rumieniąc się gwałtownie. — Ale miło jest usłyszeć, że wciąż jeszcze czyta się moje książki.

— Ależ *Madame*, największe triumfy jeszcze przed panią — odparł z galanterią Kościuszek. — Już słyszy się o jakimiś arcydziełach, które właśnie powstają... rzecz dzieje się w Niemczech, prawda?

— Młody pochlebca! — powiedziała ze śmiechem *Madame* — Tak, wciąż jeszcze piszę, choć wiem, że ten człowiek w Paryżu bardzo by chciał, abym już przestała. A teraz wypijemy herbatę i opowiecie mi wszystkie nowiny z wielkiego świata, który przede mną jest zamknięty.

Prawie godzinna rozmowa dotyczyła głównie wypadków w Paryżu i wojny na Kontynencie. *Madame* nie była aż tak źle poinformowana, jak twierdziła, a jej reputacja jako jednej z najbardziej interesujących rozmówczyń w Europie została w pełni potwierdzona. Dyskusja poruszała kwestie praw człowieka i form rządów, ale dotykała niekiedy problemu trudnych warunków, w jakich żyli internowani w Verdun. Wessex w końcu miał szansę skierować rozmowę na interesujący go problem.

— Naprawdę szokujące. Można się zastanawiać, jak długo jeszcze Korsykanin zamierza zsyłać tu ludzi nikogo zarazem nie wypuszczając. Przecież muszą być jakieś granice, do których można tu upychać tych nieszczęśników. — skomentował.

— Rzeczywiście — odparła *Madame* rzucając bystre spojrzenie na człowieka, którego znała jako kawalera de Reynarda. — Nie dalej jak trzy tygodnie temu zmuszeni byliśmy przyjąć tu prawdziwą armię Anglików, których okręt rozbił się na skałach koło Calais. A co najdziwniejsze, był to duński statek. I chociaż Dania prowadzi wolny handel z Francją, duńscy oficerowie także zostali uwięzieni, a okręt zagarnięty. To więcej niż szokujące, to po prostu haniebne!

— Rzeczywiście haniebne — zgodził się Wessex spokojnie, chociaż serce zabiło mu gwałtownie. Wietrzył świeży trop. — Ale to pewnie tylko tymczasowa sprawa. Wystarczy, że kapitan zwróci się do duńskiego ambasadora, a zostanie uwolniony, a wraz z nim wszyscy Duńczycy.

— Tak by się mogło wydawać, *monsieur le chevalier*... ale większość listów wychodzących z Verdun jest czytana przez komendanta garnizonu i często zatrzymywana. A jeśli w dodatku powiem, że to był statek wiozący członków duńskiej rodziny królewskiej do Anglii, gdzie miano podpisać traktat dołączający Danię do Wielkiej Koalicji, walczącej z moją biedną Francją utrzymaną w garści przez tego szaleńca...

— W takim razie nie dziwię się, że Bonaparte przetrzymuje ten okręt i wszystkich, którzy na nim płynęli, bo tam, dokąd wybierała się Dania, wkrótce mogą podążyć pozostałe państwa neutralne — powiedział Wessex. — Rosja już tak zrobiła.

— A Dania nie odważy się stanąć po przeciwnej stronie niż Rosja, bo inaczej car użyje tego jako pretekstu, by ją zagarnąć. — *Madame* zacisnęła dłoń, by podkreślić swoje słowa. — Ale nie trzymają tu wszystkich, którzy płynęli na tym statku. Tak się przynajmniej mówi — zakończyła *Madame*.

Sięgnęła po kostkę cukru i podała ją małpce. Ta pochwyciła łup i wskoczyła na krawędź ozdobnego lustra, aby schrupać swój skarb.

— Jeśli tak się mówi, *Madame*, to nie wątpię, że mówi się przede wszystkim tobie — odezwał się uprzejmie Wessex. — Każdy wie, że jesteś pani uszami, oczami i sumieniem Francji. Może byłoby dobrze zaznajomić się z tymi ludźmi... ale pod warunkiem, że wiedzą, co to zabawa. Z wyjątkiem twojego domu, który jest prawdziwą oazą na pustyni, wszędzie tutaj jest śmiertelnie nudno i ja też umieram z nudów.

— Mój biedny Reynardzie! — roześmiała się donośnie *Madame*. — Będziesz jeszcze bardziej znudzony, gdy spędzisz tu kilka tygodni.

— Obawiam się — odparł lekko Wessex — że mój pobyt tutaj potrwa znacznie krócej. Wpadłem tylko odwiedzić panią.

— Ależ, mój drogi... — zaczęła *Madame* i nagle zamilkła. — Zamierzasz opuścić Verdun?

— Prawie natychmiast — odpowiedział Wessex. — Jeśli tylko Jacks mnie tu nie znajda.

*Madame* skrzywiła się z obrzydzeniem na dźwięk tego słowa.

— W takim razie poproszę cię o wyświadczenie mi drobnej przysługi, a w zamian postaram się poradzić coś na twoją nudę. Chciałbym, żebyś towarzyszył mi przy obiedzie. Oczywiście razem z twoim przystojnym przyjacielem.

*Madame* wyciągnęła błyszczącą klejnotami dłoń, sięgnęła po żółtą jedwabną linkę od dzwonnka i pociągnęła energicznie.

Wessex już stał.

— To będzie dla nas najwyższy honor, *Madame*. Oczywiście się zjawimy.

Wedle wszelkich standardów — nie tylko dotyczących przepełnionego Verdun — obiad był bardzo obfity. Zaczynał się od zupy i sherry, a potem kolejno pojawiały się rozmaite arcydzieła sztuki kulinarnej. W posiłku wzięło udział osiem osób. *Madame* nie miała zamiaru ulegać konwencjom i starać się równoważyć towarzystwo — była w nim jedyną kobietą. Kościuszko zmienił mundur na strój wieczorowy, chyba jeszcze bardziej ekstrawagancki, a kawaler de Reynard ubrał się stosownie do okoliczności w seledynowy jedwabny surdut, orientálną brokatową kamizelkę i jasnoszare spodnie ozdobione metalowymi guzikami. Właściwie takie spotkanie mogłoby się odbyć w każdym mieście — tutaj jednak wyczuwało się pewne napięcie, pochodzące ze świadomości otaczających ich murów.

Jak obiecała *Madame*, Wessex spędził czas niezwykle interesująco.

W obiedzie oprócz niego i Kościuszki uczestniczyli też kapitan Rytter, dowodzący „Królową Christiną”, lord Valentine Grant — ujmujący rudowłosy potomek jednego z angielskich rodów szlacheckich, belgijski duchowny o nazwisku Poirot i *sir* John Adams, poseł króla Henryka na duńskim dworze. Rozmowę toczono po francusku.

Wessex przyglądał się uważnie *sir* Johnowi i dziękował bogom, że nigdy dotąd nie spotkał się z nim osobiście. Sytuacja mogłaby być niezręczna, gdyby *sir* John znał go jako diuka Wessexa, a teraz przedstawiono by mu go jako kawalera de Reynarda. Chociaż z drugiej strony nawet gdyby tak się zdarzyło, stary lis chyba nie dałby po sobie poznać zdziwienia. Poseł króla Henryka osiągnął w tym roku rzadki wiek dziewięćdziesięciu lat, ale wciąż był pełen wigoru. Urodził się w angielskich koloniach w Ameryce Pomocnej, a na tę najtrudniejszą z dyplomatycznych placówek trafił z uwagi na swoją nieustępliwość w negocjacjach.

Jeśli nawet *sir* John był nieco przytłoczony tą nagłą odmianą losu, Wessex nie mógł tego po nim dostrzec.

Obecność kapitana Ryttera przy stole *madame* de Stäel dowodziła, że Wessex miał rację. „Christina” została jakimś cudem sprowadzona z właściwej drogi i rzucona na niegościnne francuskie wybrzeże.

Oczywiście było nie do uniknięcia, że rozmowa w końcu zbczy na ten temat. Wessex dowiedział się, że statek po prostu wpłynął w mgłę, a kiedy z niej wypłynął, znajdował się przy francuskim brzegu, setki mil od swojej poprzedniej pozycji.



— Obawiam się, że Francuzi wcale nie uwierzyli w moje wyjaśnienia — stwierdził z żalem kapitan Ritter. — Wkroczone na pokład mimo naszych protestów, pojmano nas i zesłano tutaj. Sądzę, że Kronprinz będzie musiał potraktować to jako akt wypowiedzenia wojny. Dania jest neutralna i nieuszanowanie jej bandery to akt czysto piracki.

— Zapewne tak to potraktuje, jeśli kiedykolwiek się o tym dowie — powiedział lord Valentine. Najmłodszy syn diuka Hurley, Valentine opuścił dom w bardzo młodym wieku i nigdy już do niego nie powrócił, ponieważ jego poglądy polityczne bardzo różniły się od poglądów jego ojca. — Ale śmiem twierdzić, że Boney wcale go o tym nie poinformował. Zrobiłby wszystko, aby nie dopuścić do sojuszu Danii z Brytanią, a porwanie z morza córki księcia regenta byłoby niezłym krokiem w tym kierunku.

— Ale do tego na szczęście nie doszło — powiedział kapitan Rytter. — Księżniczka była na pokładzie „Trygve Lie”, a nie słyszeliśmy, by z tym drugim statkiem też się coś stało.

Wessex powstrzymał się przed spojrzeniem na Kościuszkę. Jego partner był wówczas na pokładzie tamtego statku i mógłby przysiąc, że księżniczki tam nie było. Diuk patrzył za to uważnie na *sir* Johna, który spośród wszystkich tu zebranych wiedział najlepiej, że kapitan Rytter kłamie.

— Zdawało się niemożliwością przekonać o tym także naszych przyjaciół — powiedział bez specjalnych emocji *sir* John swoim płynnym, dyplomatycznym francuskim. — Pokojówki księżniczki, jej lokaje i gwardziści byli na pokładzie pochwyconego statku. A jednak, chociaż bardzo dokładnie szukali, nie mogli znaleźć księżniczki. Kapitan Rytter oczywiście powiedział Francuzom, że nie było jej na pokładzie — *sir* John wzruszył ramionami. — Jednak ich zdolność pojmovania była poniżej przeciętnej.

— A więc księżniczka Stefania dotarła bezpiecznie do celu — podsumował z radością Kościuszek. — Doskonale się złożyło.

Pod koniec posiłku *Madame* de Stäel dość nieoczekiwanie wstała.

— Zostawię was teraz na chwilę, panowie, nad szklaneczką porto, jak każe dobry obyczaj. Moja nieobecność potrwa tylko chwilę. Drogi kawalerze, chciałabym, abyś dotrzymał mi towarzystwa.

Wessex posłusznie wstał od stołu i w ślad za *Madame* opuścił jadalnię. Nie poprowadziła go do głównego salonu jak się spodziewał, ale do swojej pracowni na piętrze.

— Czy jesteś zupełnie pewien, *m'sieur le chevalier*, że opuścisz Verdun w ciągu najbliższych kilku dni? — zapytała go *madame* de Stäel.

— Mogę chyba obiecać, że nie będzie mnie tu do końca tego tygodnia. Zbyt długie siedzenie w jednym miejscu jest bardzo nudne.

— W takim razie dam ci ten rękopis, który chciałbym zobaczyć opublikowany we Francji.

Ze schowka w biurku *Madame* wyciągnęła gruby plik papierów, zapisanych starannym, drobnym pismem. Złożyła strony razem, tworząc stos niemal na stopę gruby, i zaczęła owijać go czerwonymi sznurami.

— To moja ostatnia praca na motywach podróży do Włoch. Corinne przypomni światu, że jeszcze istnieje.

— Jeżeli otrzyma pani pozwolenie. Minister policji pewnie będzie miał tu coś do powiedzenia — zauważył uprzejmie Wessex.

*Madame* wybuchnęła głośnym śmiechem.

— Powiedziałyby zapewne wiele, gdyby wiedział, że to moje pióro. Ale o tym dowie się dopiero wtedy, gdy książka będzie już w obiegu. Chciałabym zobaczyć, jak się wtedy będzie tłumaczył przed swoim korsykańskim władcą. Ale najpierw rękopis musi trafić do wydawcy i do prasy.

— Droga pani... — zaprotestował Wessex, lekko zaniepokojony.

— Och, nie obawiaj się, *m'sieur le chevalier*. Nie zamierzam wykorzystać ciebie jako mojego pośrednika. Od jakiegoś czasu koresponduję z pewnym religijnym dżentelmenem, który ma całkiem otwarty umysł. Twoim zadaniem będzie tylko dostarczenie tej paczki do małej wioski Auxerre i oddanie jej tamtejszemu oberżystcie. *Père* le Conde odbierze ją we właściwym czasie, ale i tak oszczędzi mi to czasu na ponowne pisanie tej książki, bo komendant naszego miasta zapewne nie omieszkałby zgubić mojej przesyłki, jak to się już nieraz zdarzało. Pomoże mi pan, *m'sieur le chevalier*? Zdaje mi się, że został pan w tym celu przysłany przez samego Ducha Wolności.

— Jeśli piękna i genialna kobieta występuje z uprzejmą prośbą, cóż pozostaje mężczyźnie, jak tylko oddać się na jej usługi? — odparł Wessex z galanterią. Potrzebował pomocy *Madame* de Stäel, chociaż już mu dużo pomogła, umożliwiając nawiązanie kontaktu z *sir* Johnem. Przy okazji z chęcią utrzyma nosa biurokratycznym rzeźnikom, którzy starali się kontrolować ludzkie umysły.

— Owinę go jeszcze dokładnie na drogę — powiedziała *Madame*. — Nie mogę niestety powierzyć tego mojej służbie, bo szpiedzy są tu wszędzie, wielu także pomiędzy moimi domownikami. Ale na razie mamy jeszcze przed sobą całą noc. Zaprosiłam kilku wyjątkowych przyjaciół, których nie trzeba się strzec.

Wesołe i suto zakrapiane przyjęcie skończyło się dobrze po pomocy. Wzięło w nim udział jeszcze około dwudziestu mieszkańców Verdun — kobiet i mężczyzn o otwartych umysłach, którzy ożywiłi te ściany żartami i śmiechem. Wessexowi nie spieszyło się do rozmowy z *sir* Johnem aż tak bardzo, aby podchodzić do niego podczas przyjęcia. *Sir* John opowiadał coś niecoś o swoich warunkach mieszkaniowych, więc diuk z łatwością ustalił, gdzie będzie mógł go później znaleźć.

Kiedy Wessex żegnał się z towarzystwem, *Madame* wręczyła mu zawinięty starannie w płótno pakunek.

— Pańskie książki, kawalerze. Proszę mi je szybko zwrócić — powiedziała głośno.

— Może pani na mnie w zupełności polegać — odparł Wessex, a po cichu dodał: — Zwrócę je pomnożone tysiącrotnie.

Kiedy Wessex pojawił się w kwaterze, odkrył, że Illia Kościuszko leży na łóżku w koszuli i spodniach.

— Widzą, że zrobiłeś zakupy — powiedział na widok paczki w rękach Wessexa.

— To może w rezultacie wyrządzić Bonapartemu więcej szkody niż kompania ciężkiej artylerii — powiedział Wessex rzucając na łóżko owinięty w płótno rękopis *Madame* de Stäel. — Mamy to dostarczyć do wioski zwanej Auxerre.

— Wiem, gdzie to jest — odparł Kościuszko. — Jakies sto osiemdziesiąt kilometrów od Paryża. *Madame* ma tam zapewne przyjaciół, którzy pomogą jej to wydrukować. Pytanie tylko, czy to na pewno kierunek, w jakim chcemy się udać?

— Będę znał odpowiedź na to pytanie, gdy spotkam się z *sir* Johnem Adamsem — powiedział Wessex. Zdjął wieczorowy strój, by zmienić go na surdut i spodnie, które nosił za dnia.

Jednak najpierw wyrzucił surdut na lewą stronę. Nie był pobity jedwabiem ani satyną, ale miękkim czarnym moleskinem, który doskonale pochłaniał światło. Po tej stronie surduta przyszyto też małe czarne guziki. Kiedy Wessex go włożył i przypiął równie czarny kołnierz, miał na sobie coś w rodzaju czarnej tuniki, zapiętej wysoko pod szyję. Potem opuścił mankiety, aby zakryć rękawy białej koszuli. Teraz był cały w czerni i trudno byłoby go dostrzec w świetle pochodni.

Włożył buty podbite gumą, co umożliwiało bezszelestne poruszanie się i znacznie ułatwiało wspinanie po ścianach.

Kościuszek ze swej strony pogrzebał w bagażach i wydobyl j szeroki szal z czarnej gazy. Był wystarczająco cieniutki, aby przez niego widzieć, ale zakrywał dokładnie białą twarz i jasne włosy diuka, który teraz stał się prawdziwą nocną zjawą. Wessex podziękował przyjacielowi i zaczął owijać się w welon.

— A co ja mam robić w czasie, gdy ty będziesz straszyl naszego wspaniałego *sir* Johna?  
— zapytał Kościuszek,

Wessex wsunął za cholewę jednego z butów długi nóż i owinał dokładnie chustką mały pistolet, który schował za pazuchę.

— Ty, mój drogi, będziesz rozmyślał nad sposobem wydostania się z tego miasta wraz z naszymi końmi, tak aby nie narobić za dużego hałasu. I nie zapomnij o paczce *Madame*. O kilka mil stąd na zachód jest gospoda. Będę tam o świcie.

— A jeśli nie?

— Wtedy, na Boga, zawieź paczkę *Madame* do Auxerre i wracaj do domu tak szybko jak możesz. Misbourne musi wiedzieć, że świta księżniczki Stefanii jest w Verdun. Kapitan kłamał, ona była na tym okręcie. I mam nadzieję, że *sir* John mi to wytłumaczy. Ale informacja, że księżniczka przebywa tutaj, jest bardzo istotna.

— A co z księżną? — przypomniał Kościuszek. — Highclere porwał twoją żonę.

Na moment twarz Wessexa stężała, ale odezwał się nie zmienionym głosem:

— Zawieź informację do Londynu i rękopis do Auxerre. Dołączę do ciebie tak szybko, jak tylko będę mógł.

Ale chociaż pozornie lekcewazył los księżnej, Wessex nie mógł powstrzymać się przed myśleniem o kobiecie, którą poślubił, nawet kiedy przemykał jak kot po dachach domostw na spotkanie z posłem króla Henryka.

Skomplikowana gra jego żony zakończyła się jednak sukcesem — wpłynęła na lady Meriel i oderwała dziewczynę od księcia Jakuba. Sara, lady Roxbury — obecna księżna Wessex — była członkiem Ligi Boscobel i przysięgła przedkładać służbę królowi nawet nad służbą krajowi. Teraz przysięgę tę wypełniła. Królowi nie groził już zamach, który z pewnością przygotowywał Ripon, gdyby książę Jakub dał się zwabić w małżeńską pułapkę.

A teraz Sara była w niebezpieczeństwie, uwięziona gdzieś we Francji, porwana przez tego łajdaka, młodszego brata Ripona, z nieznanym przyczyn. Czy Geoffrey Highclere odkrył, kim naprawdę była?

Równie dobrze mogła już nie żyć.

Wessex zacisnął zęby. Teraz nie powinien o tym myśleć. Jeśli nie odnajdzie księżniczki Stefanii, wtedy duński traktat zostanie zerwany, a Napoleon umocni się w Skandynawii, która posłuży mu jako baza do inwazji na Rosję. A do tego nie można było dopuścić.

Ostatnio Wessex usilnie pracował nad tym, aby nauczyć się na pamięć planu Verdun, więc rue de la Paix numer dziesięć znalazł bez żadnych kłopotów.

*Sir* John był jednym z ostatnich, którym przyszło znaleźć w mieście kwaterę, więc zajął pokój na strychu, a okna skromnej sypialni trzymał otwarte z powodu upalnej nocy. Zejście z dachu do pokoju zajęło Wessexowi zaledwie chwilę.

Tylko że pokój był pusty.

— Niewiele tu można ukraść — odezwał się *sir* John Adams wychylając się zza szafy. Był w koszuli nocnej i szlafmicy, a w ręku trzymał pogrzebacz — Twoi rodacy już się o to postarali.

— To nie moi rodacy, *sir* — odparł Wessex odwijając z twarzy welon i odwracając się do posła.

— Jesteś Anglikiem! — krzyknął *sir* John. Oczy najpierw rozszerzyły mu się, a potem zwęziły, gdy rozpoznał współbiedniaka z wczorajszego obiadu.

— Wysłał mnie król Henryk, abym dowiedział się, co się stało z „Królową Christiną” i księżniczką Stefanią — powiedział Wessex. — Nie mogę niestety pokazać panu oficjalnych dokumentów królewskich, bo zostały w Danii u księcia Frederyka. Był bardzo zadowolony, jak może pan sobie wyobrazić.

— A co sprowadza pana tutaj? — zapytał ostrożnie *sir John*.

— Po prostu niepohamowana ciekawość, dlaczego Bonaparte ustanowił markiza de Sade ambasadorem w najbardziej świątobliwej stolicy Europy — odparł Wessex. — Przyszło mi na myśl, że może jego reputacja czarnoksiężnika ma z tym coś wspólnego.

— Ta mgła była diabelską sprawką, to prawda — mruknął *sir John*. Wziął z krzesła szlafrok, włożył go i usiadł na łóżku. — Ale czemu zawdzięczam twoją wizytę? Po tej wczorajszej maskaradzie, kawalerze de Reynard, nie bardzo chce mi się wierzyć, że przyjechał pan tutaj targować się z komendantem o moje uwolnienie.

— Obawiam się, że nie — zgodził się Wessex. — Chociaż oczywiście powiem królowi, że jest pan w Verdun. Może zdecyduje się wyrzucić jakąś presję. Papież też z pewnością nie pochwali zatrudniania przez Bonapartego czarnoksiężników, bo nawet w obecnych czasach Francja jest w większości katolickim krajem. Ale przede wszystkim chcę się dowiedzieć, gdzie jest księżniczka.

*Sir John* westchnął i wydawało się, że w ciągu kilku sekund postarzał się o całe lata.

— Sam chciałbym wiedzieć — mruknął.

— Kiedy wypłynęliśmy z mgły — zaczął opowieść *sir John* — początkowo nie byliśmy pewni, gdzie właściwie jesteśmy. Nawigator wykonał oczywiście pomiary, ale nikt nie mógł uwierzyć w to, co mówiły instrumenty. Potem dostrzegł nas francuski patrol i dalsze losy statku były już tylko kwestią czasu. „Christina” walczyła dzielnie — muszę to oddać kapitanowi Rytterowi — ale tamci mieli znaczną przewagę w działach, trzy do jednego. Późnym popołudniem musieliśmy opuścić flagę i wpuścić ich na pokład. Kobiety cały ten czas spędziły w kabinach, a wraz z nimi kilku gwardzistów Kongelige Livgarde do ochrony — łącznie szesnastu ludzi. Francuzi sądziłi chyba, że to jakiś okręt szpiegowski albo wyjątkowo bezczelny przemytnik. Wpadli do nas całym tłumem, doszło do przepychanek. Francuskiemu kapitanowi zajęło niemal godzinę zaprowadzenie porządku. On z kolei był przekonany, że płyniemy z Francji, aby wywieźć ważnych ludzi. Kiedy wreszcie mu wytłumaczyliśmy, że to statek konsularny, który jakimś cudem zabłąkał się na wody francuskie, zdaje się, że nie bardzo nam uwierzył. Ale ulżyło mu, kiedy się przekonał, że pomiędzy pasażerami nie ma Delfina...

— Delfina! — Wessex nie zdołał powstrzymać okrzyku. — Króla Ludwika? To śmieszne. Przecież chłopiec zmarł wiele lat temu.

— Też tak mi się dotąd zdawało — odparł *sir John* machając ręką, jakby sprawa była mało istotna. — Ale kapitan zdawał się opętany myślą, że w naszych ładowniach może być gdzieś ukryty król. Tak czy inaczej przywrócono wreszcie porządek i mogłem udać się pod pokład, aby wytłumaczyć księżniczce Stefanii, co się właściwie wydarzyło... tylko że jej tam nie było...

Wessex czekał na dokończenie zdania, ale zapadła cisza.

— Nie było? — zapytał w końcu. — To znaczy gdzie się podziała?

— Znikła, mój drogi chłopcze — odparł *sir John*. — Po prostu znikła wszystkim z oczu, mimo że otaczała ją służba. Kiedy kapitan i ja udaliśmy się pod pokład, by zapewnić księżniczce stosowną eskortę, nie znaleźliśmy jej tam.

Więc gdzie mam jej szukać? — Wessex z trudem powstrzymał się przed zadaniem tego pytania na głos. Instynkt podpowiadał mu, że *sir John* mówi prawdę. Przynajmniej prawdę, jaką znał.

— I nikt z jej otoczenia nie potrafił powiedzieć, gdzie jest? — zapytał w końcu.

— Drogi młodzieńcze — odparł *sir* John — zdarzało mi się już dyskutować z królami, carami, tyranami i książętami, ale było ponad moje siły zapanować nad tuzinem płaczących kobiet, w dodatku krzyczących po duńsku, które były całkowicie pewne, że zaraz zostaną sprzedane w niewolę i pohańbienie Turkom. Próbowałem z nimi rozmawiać, ale odpowiedź zawsze była taka sama: nie wiedziały, gdzie jest księżniczka ani dokąd mogła się udać.

— Oczywiście kłamią — powiedział Wessex.

— Tak też sędzę. Ale jestem też pewien, że Francuzi nie wiedzą na temat miejsca pobytu księżniczki więcej niż my.

— To już przynajmniej coś. Nie będę dłużej zakłócał pańskiego spokoju. Przekażę oczywiście natychmiast królowi wieści o pańskiej obecnej sytuacji.

— To jest list, który napisałem do lady Adams. Byłbym bardzo zobowiązany, gdyby go pan jej dostarczył. Kochana Abbey! Gdyby tylko była ze mną, dalibyśmy sobie radę z tymi żabojadami.

A przynajmniej wiedzielibyśmy, gdzie jest księżniczka Stefania, dopowiedział w myślach Wessex. Wziął od *sir* Johna zalakowaną kopertę i wsunął ją pod surdut obok pistoletu.

— Przekażę lady list i pańskie pozdrowienia tak szybko, jak tylko to będzie możliwe — obiecał. — Ale teraz muszę już się pożegnać, bo niewiele zostało nocy, a muszę się jeszcze wydostać z tego przeklętego miasta.

*Sir* John zachichotał cicho.

— A więc uciekaj, mój bezimienny przyjacielu. Mam nadzieję, że spotkamy się kiedyś w miłszych okolicznościach.

## 17. BYŁY I PRZYSZŁY KRÓL

Mała sypialnia ukryta była pod okapem wiejskiego domu. Przez jej otwarte okno Meriel mogła podziwiać splątany gąszcz ogrodu opactwa Conde i stojący za nim śliczny mały kościółek z szarego kamienia, który teraz kąpał się w złotych promieniach zachodzącego słońca. Mała wioska Trois Vierges wyglądała tak samo, jak mogła wyglądać sto lat temu. Ani czasy Terroru, ani nowego Imperium nie wyrządziły jej wiele szkody.

Pokój pachniał lawendą i świeżą pościelą. Gospodyni, *madame* Carmaux, przyjęła Meriel niezwykle serdecznie, gdy Louis przyprowadził ją do kuchni przestraszoną jak zbłąkane kociątko. To właśnie *Madame* Carmaux orzekła, że Louis i Pere Henri muszą wstrzymać się z pytaniami, dopóki dziewczyna nie ochłonie i nie doprowadzi się do porządku — i z miejsca poczęstowała ją gorącą zupą i szklaneczką sherry. Na razie Meriel była ubrana w pożyczoną halkę, bo jej własne ubrania zabrała gospodyni, aby doprowadzić je do porządku. Meriel z przyjemnością skorzystała z okazji, by się odświeżyć — umyła twarz i rozczesała długie włosy, aby ponownie je zapleść i spać. Po gorącej, gęstej zupie odzyskała równowagę ducha i pewność siebie.

Odwróciła się od okna, by przejrzeć się w zniszczonym lustrze, które stanowiło wewnętrzną część drzwi wielkiej mahoniowej szafy. Spojrzała na nią eteryczna piękność.

Lady Meriel przez całe życie była świadoma swojej urody; najpierw uważała ją za przeszkodę, którą musi przezwyciężyć dla zbawienia duszy, potem za narzędzie, którym miała zwabić księcia Jakuba w sieci wuja. Patrząc w lustro, Meriel zastanawiała się, czy oprócz urody było w niej jeszcze cokolwiek wartościowego. Czy kiedy uroda odejdzie wraz z młodością, zostanie jej coś jeszcze?

Kim wtedy będzie?

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi i weszła *madame* Carmaux niosąc stos ubrań.

— Trochę mydła i wody, i wszystko od razu wygląda lepiej, prawda, *mademoiselle*? — zwróciła się do niej gospodyni, kładąc swój ciężar na łóżku.

— Rzeczywiście — przyświadczyła z przekonaniem Meriel. Uśmiechnęła się do gospodyni. — Bardzo dziękuję za pani troskliwość.

— Jako Angielka niemal na pewno nie jest panienka jednym ze szpiegów Czarnego Księdza — powiedziała *madame* Carmaux. — Czy ten jasnówłosy Anglik jest naprawdę wujem panienki, jak się zaklinał w obliczu Boga?

Meriel westchnęła. Wiedziała, że i tak prędzej czy później będzie musiała wszystko wyjaśnić... a służący zawsze bardziej troszczyli się o właściwe postępowanie niż ich panowie.

— Nie kłamał — powiedziała z ciężkim westchnieniem. — To naprawdę mój wuj, ale jest też bardzo złym człowiekiem. Na pewno powróci, by szukać mnie znowu.

— Znajdzie to, na co zasługuje — odparła *madame* Carmaux z naciskiem. — Ale co tam! Jestem głupia zanudzając panienkę pytaniami, kiedy stygnie obiad. Niestety suknia nie będzie gotowa na dzisiaj. A niektóre plamy pewnie w ogóle nie zejdą — dodała zachmurzona. — Na dzisiejszy wieczór przyniosłam panience rzeczy mojej córki.

*Madame* przejrzała przyniesiony stos ubrań. Odłożyła na bok nocną koszulę i czepek, a wyciągnęła staroświecką sukienkę z wzorzystego muślinu z głębokim dekoltem, koronkową chustę na szyję i ciepły wełniany szal na ramiona.

— Jest pani bardzo miła — powtórzyła jeszcze raz Meriel.

— To smutne, kiedy jest się ściganym jak zając na wiosnę — powiedziała po prostu starsza kobieta. — Zawołam Jeanette, aby pomogła się panience ubrać. Potem zaprowadzi panienkę do pracowni *père* Henriego.

Meriel zapukała i weszła do środka. W pierwszej chwili nie dostrzegła opata Conde. Wysokie okno było otwarte wprost na ogród. Na parapecie leżał bez ruchu biały kot, korzystający z ostatnich promieni słońca. W samym pokoju w oczy rzucało się przede wszystkim wielkie dębowe biurko, zarzucone książkami i papierami. W oczach Meriel nieoczekiwanie pojawiły się łzy. Ten pokój w jakiś sposób przypominał jej ojca, dom i bezpieczeństwo, jakim kiedyś się cieszyła. Opanowała jednak te zdradzieckie emocje. Lady Meriel dawno już pojęła, że w życiu może polegać wyłącznie na sobie.

— Ach, jesteś, drogie dziecko. Podejdź bliżej, niech na ciebie spojrzę.

Opat de Conde był wysokim, szczupłym i dostojnym mężczyzną o przyprószonych siwizną, niegdyś czarnych włosach, które z pewnością nie były peruką. Trudno było ocenić jego wiek, ale niezależnie od niego, błękitne oczy były pełne żaru i energii charakterystycznej dla młodości. Miał na sobie czarną sutannę, która sięgała aż do podłogi, a na jego piersiach wisiał duży złoty krzyż. Na palcu wskazującym prawej ręki nosił sygnet, którego fioletowy kamień rzucał błyski w promieniach zachodzącego słońca.

— Jesteś wierząca, dziecko? — zapytał stary ksiądz.

— Ja... tak, ojczu. Jestem katoliczką — odparła zdecydowanie Meriel.

— A co sprowadziło cię do mojego ogrodu? — pytał dalej. Meriel właśnie starała się ułożyć całą historię w jakimś takim porządku, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

— Aha — powiedział pere Henri — to Claude ze świecami.

Ale nie był to Claude. Wszedł Louis, młody mężczyzna, który pierwszy znalazł ją w domku w ogrodzie. Niósł dwa wielkie świeczniki, które postawił na biurku.

— Marie mówi, że wkrótce stracisz wzrok, jeśli będziesz pracował w takich ciemnościach — powiedział. Zapalił świeczki fidybusem odpalonym od jedynej lampy w tym pokoju, a kiedy się rozpałyły, usiadł na brzegu biurka, najwyraźniej zamierzając tu pozostać.

— Louis... — powiedział opat ostrzegawczo.

— Ja ją znalazłem — powiedział uparcie młodzieniec. — I bardzo chciałbym usłyszeć, co *mademoiselle* ma do powiedzenia.

— Mnie to nie przeszkadza — powiedziała Meriel. — Niewiele mam do ukrycia.

Jeżeli jednak ona miała niewiele do ukrycia, jej gospodarze mieli o wiele więcej. Istniała w tym domu jakaś wielka tajemnica — Meriel zdała sobie z tego sprawę już później, gdy zasiedli do obiadu. Po wysłuchaniu jej historii *père* Henri zgodził się oczywiście, że Meriel musi u nich pozostać aż do czasu, gdy jej ciotka Marisol z Madrytu będzie mogła przysłać po nią zaufanych ludzi. Jeśli chodzi o jej towarzyszkę — Meriel nie powiedziała, że Sara jest księżną Wessex, a ani Louis ani, opat nie naciskali na nią podczas opowieści — niewiele mogli poradzić, choć opat obiecał dowiedzieć się dyskretnie o cel podróży Geoffreya Highclere'a. Natomiast prawie niemożliwością było — zapewnił ją kapłan — posłać wiadomość do Anglii.

— Jesteśmy w stanie wojny z Anglią — wyjaśnił — i nie odważymy się zwracać na siebie uwagi tu, w Pikardii. Nie jesteśmy tak daleko od Paryża, a Imperator jest przyjacielem Kościoła tylko wtedy, gdy służy on jego sprawie.

Meriel zwiesiła głowę. Nie miała zamiaru na razie naciskać w tej sprawie, ale z drugiej strony postanowiła, że zrobi wszystko co możliwe, aby pomóc przyjaciółce. Sposoby przemyśli jutro. Teraz bardziej zajmowała ją odkryta tajemnica, niewątpliwie związana z Louisem.

Wszystko w jego zachowaniu wskazywało na arystokratyczne pochodzenie, na krew tak samo błękitną jak ta, która płynęła w żyłach opata Conde — który był księciem, zanim został duchownym. Meriel wiedziała, że tylko dzięki temu Conde ocalił głowę, kiedy ścięto prawie wszystkich członków rodziny królewskiej. Wielu księży zginęło w krwawej jatce Rewolucji, bo jakobiński motłoch niewielką widział różnicę między arystokracją a duchowieństwem;

tylko ci, którzy cicho przyczaili się na prowincji, mieli szansę przetrwać burzę ateizmu i dotrzeć do czasu, kiedy Pierwszy Konsul Napoleon ponownie pogodził się z Kościołem.

Ale to jeszcze nie rozwiązywało zagadki Louisa.

Widząc podobieństwo między tymi dwoma mężczyznami, Meriel sądziła z początku, że chłopiec jest po prostu synem opata, ale słowa, które wypowiedział Louis wtedy w ogrodzie, wciąż brzmiały echem w jej umyśle.

„Nie mam nazwiska we Francji od dwunastu lat”.

Nie, to nie bękart. Chodzi o tajemnicę znacznie poważniejszą i znacznie bardziej niebezpieczną.

Meriel nie chciała budować zamków na lodzie; powinna zdobyć prawdziwe dowody, a nie tylko domysły. Co innego zauważyć, że Louis jest podobny do Burbonów, a co innego twierdzić, że jest on Ludwikiem Karolem, królewskim synem, zaginionym w krwawym chaosie Rewolucji.

A może Louis nie był prawdziwym Delfinem, ale raczej młodym człowiekiem przygotowanym do występowania w roli pretendenta do tronu Francji — sekretną bronią rojalistów, której chcieli użyć w zamachu stanu? Nigdy nie sądziła, że będzie błogosławić nudne i zarazem przerażające godziny, kiedy słuchała w milczeniu rozpraw wuja o spiskach i zamachach stanu; o poparciu, jakie mogą otrzymać od szkockich katolików i o możliwości separatystycznego pokoju z Francją. Te długie godziny nauczyły ją jednak patrzeć na sprawy Europy jak na wielką szachownicę, na której państwa na kształt szachowych figur przesuwają się w rozmaite pozycje. A powrót na szachownicę zaginionego króla Francji zniszczyłby niektóre stare sojusze i stworzył nowe. Znaczenie Ludwika XVII byłoby tak wielkie, że nikt by nie próbował dociekać, czy jest prawdziwy...

Lady Meriel rozmyślała gorączkowo podczas zupy, ryby, pieczystego, słodczy i wreszcie sera; nieustannie rozważała, w jaki sposób może udowodnić lub pogrzebać swoją teorię.

Wreszcie opuściła jadalnię i poszła do ogrodu. Nie była specjalnie zdziwiona, że Louis udał się tam za nią. Uroda była jej bronią i Meriel, gdy chciała, potrafiła się nią posłużyć lepiej niż niejeden żołnierz szablą.

— Przyszedłem zobaczyć, czy... — zaczął Louis.

— Wasza wysokość... — powiedziała Meriel składając zdumionemu młodzieńcowi głęboki ukłon. Spod długich rzęs spoglądała na niego uważnie, studiując wyraz jego twarzy.

Louis cofnął się o krok, jakby Meriel nagle przemieniła się w jadowitą żmiję.

— Skąd... jak... — wymamrotał niewyraźnie.

— Masz spojrzenie swojego wuja... jeśli on jest twoim wujem — odparła Meriel. Wyprostował się z wdziękiem.

— Kuzynem, nie wujem — odpowiedział Louis. — Dalekim kuzynem, który naraża się ukrywając mnie. — Spojrzał na nią z nieszczęśliwą miną. — Może jednak jesteś jednym z agentów Czarnego Księdza? Przybyłaś tu, aby mnie zabić?

Lady Meriel straciła nagle ochotę na rozgrywanie tej gry.

— Nie zamierzam ci zaszkodzić... wasza wysokość. Ale mam już dosyć spisków i sekretów, i jeżeli znów mam się znaleźć w ich środku, będę musiała stąd odejść. Są rzeczy, których nie powiedziałam twojemu kuzynowi, opatowi.

Ku swojemu zdziwieniu Meriel wyznała Louisowi całą prawdę — o spisku earla Ripona, który miał schwytać w sidła księcia Jakuba, o swojej ucieczce z pomocą księżnej Wessex...

— Wessex! — wykrzyknął Louis. — Pamiętam diuka Wessex... przyjechał, kiedy jeszcze byłem dzieckiem i uratował mnie z rąk *sans-culottes*. Czy to jego córka?

— Żona jego syna. Słyszałam historię o zniknięciu diuka we Francji przed wielu laty. Mój wuj Geoffrey twierdzi, że obecny diuk jest politycznym agentem króla. Dlatego wziął Sarę



jako zakładniczkę... żeby go szantażować. Nie wiem jednak, co on robi takiego, że wuj go nienawidzi — dokończyła niepewnie Meriel.

Taką ulgę sprawiło jej wyznanie wreszcie komuś całej prawdy, że przestało mieć dla niej znaczenie, czy Louis jest prawdziwym królem Francji, czy nie. Pomyślała, że może nim być... zniknięcie poprzedniego diuka Wessex było bardzo tajemniczą sprawą. A jeśli syn jest politycznym agentem, to bardzo prawdopodobne, że ojciec był nim także.

— Uważasz, że diuk przybędzie do Francji, by ratować żonę? — zapytał z zapalem Louis.

Meriel spojrzała na niego zaskoczona.

— Sądzę... sądzę, że tak. Wuj Geoffrey liczył, że go przez nią osiągnie — powiedziała z wahaniem. Ale czy tak było naprawdę? Nawet Sara nie miała najmniejszego pojęcia o poczynaniach swojego męża.

— Mógłby pomóc także mnie, jak to zrobił jego ojciec — powiedział Louis. — Słuchaj, *ma petite*... ty wiesz, kim jestem.

— Wiem, kim chcesz, abym sądziła, że jesteś — odpowiedziała ostrożnie Meriel.

Louis odegnął te wątpliwości zdecydowanym machnięciem ręki.

— Jestem *soi-disant* prawowitym królem Francji... jeżeli Francja może jeszcze kiedykolwiek być tym, czym była — powiedział lekceważąco. — Nawet gdyby Tyran umarł jutro, jak miałbym rządzić tymi, którzy wymordowali moją rodzinę? Nawet jeśli Francja nie ma jeszcze dosyć królów, ten król na pewno ma dość Francji.

— Więc nie chcesz być królem? — zapytała zdumiona Meriel.

— Ja jestem królem — poprawił ją Louis — ale nie mam ochoty rządzić. Ten angielski diuk może mi pomóc.

— Weźmie cię do Anglii i zostaniesz protegowanym króla Henryka, a potem utworzysz rząd na uchodźstwie — powiedziała Meriel gorzko. — Takiej właśnie pomocy pragniesz?

— A ty chciałabyś takiej pomocy na moim miejscu? Nie, *ma petite*, powiedziałem już, że mam dosyć Francji. Jeśli diuk Wessex może wywieźć mnie z kraju, który kiedyś należał do mnie, wsiądą na pierwszy okręt do Nowego Świata. Tam, w szerokim świecie nie przejmują się tak bardzo błękitną krwią. Wreszcie będę mógł sam wykuwać swój los.

Meriel spojrzała na młodego króla, zdumiona odwagą jego wizji. Nieśmiało wyciągnęła ku niemu rękę.

— Mam nadzieję, że spełnisz swoje marzenie, wasza wysokość.

— Mów mi jak dawniej po imieniu. Imperator byłby na ciebie wściekły, że tytułujesz mnie w sposób, do którego on już się przyzwyczał. — Młody człowiek uśmiechnął się lekko, ubawiony swym własnym żartem. — Jednak naszym pierwszym celem musi być uratowanie twojej przyjaciółki.

— Czy de Sade mógł przenieść księżniczkę Stefanię podobnie jak przeniósł okręt? — zapytał Kościuszko od niechcena.

Jechali z Wessexem na południowy zachód, w kierunku Auxerre, oddalając się od szarych murów Verdim. Rękopis *madame* de Stäel spoczywał w jukach Wessexa, a list od *sir* Johna Adamsa w wewnętrznej kieszeni jego surduta. Nie było sensu ukrywać obu dokumentów. Gdyby zostali zatrzymani, będą mieli więcej problemów, niż kara za przewożenie kilku wywrotowych kartek papieru.

— Ale gdzie? Ten człowiek jest za głupi, żeby grać na dwie strony, a gotów jestem postawić w zakład swoją duszę, że księżniczki nie ma w Paryżu. *Sir* John mówił zresztą, że księżniczka znikła, gdy Francuzi opanowali już „Królową Christine”.

— Ale gdzie w takim razie jest? Ani w Anglii, ani we Francji, ani z powrotem w Danii. — Kościuszko zamyślił się przez moment. — Gdzie?

— To jest pytanie — odparł bezradnie Wessex.

— Nie jedyne — poprawił go Kościuszko. — Sam zadałbym jeszcze kilka innych.

— Na przykład dla kogo naprawdę pracuje de Sade? Skąd ma dostęp do takiej mocy? Dlaczego Gambit uważał, że zabicie mnie nie służy sprawie niepodległości Akkadii? — wyliczał Wessex na palcach.

— Dlaczego francuski kapitan sądził, że na pokładzie „Christiny” jest Delfin? Czy Ripon, podobnie jak Highclere, pracuje dla Francji? I dlaczego Highclere uważał za stosowne porwać księżną? — dopowiedział Kościuszko.

— To pytanie mam nadzieję postawić niedługo panu Highclere — powiedział z zadumą Wessex. — Na razie wszystkie tropy są jednakowo chłodne. Ale dlaczego Młody Król? Przecież ten biedny dzieciak nie żyje od dwunastu lat.

— Ktoś najwyraźniej uważa, że żyje — powiedział Kościuszko. — A jeśli księżniczka Stefania się nie odnajdzie, oznacza to koniec sojuszu z Danią i początek zdobywania przez Napoleona gruntu do inwazji na Szkocję.

— W takim razie — odparł Wessex — wydaje mi się, że dobrze byłoby zająć *Msieur L'Empereur* czymś, co odciągnie jego uwagę od spraw zagranicznych. A odnaleziony Delfin byłby chyba niezłą dywersją, nie sądzisz?

— Z pewnością. Ale na razie sami jesteśmy w dość niepewnej sytuacji. Zwłaszcza jeżeli ktoś zechce nas zapytać o nasze wakacje w Verdun.

Wessex rozważył to.

— Fakt. Nie mam żadnych papierów oprócz tych na nazwisko Kawalera de Reynard, ale nie odważę się ich pokazać, bo obawiam się, że kawaler de Reynard jest już mocno przeterminowany. Szkoda. Będzie mi brakować tego faceta.

— Był znacznie bardziej zabawny niż mój obecny kompan — stwierdził Kościuszko prowokująco — ale jeśli Reynard nie żyje, nie będziemy go opłakiwać. Musisz stać się kimś innym. Zastanów się, przyjacielu, kto by to mógł być.

Cztery dni później obywatel Orczy z Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego przybył ze swoją eskortą — huzarem z *Garde Polonaise* — do miasta Amiens. Obywatel Orczy udał się wprost do zajazdu „Pod Żłotym Kogucikiem”, gdzie zajął najlepszy pokój; zachowywał się bardzo niegrzecznie wobec oberżysty, jak przystało na dostojnika, i zamknął się natychmiast w swoim pokoju.

Polak natomiast był niezwykle uprzejmy, ale szybko wyniósł się z gospody, twierdząc, że „Kogucik” jest stanowczo zbyt spokojnym lokalem jak na jego gust. Kilka godzin później można go było spotkać grającego w kości w zajeździe, który znajdował się w byłym zakładzie szewskim, skąd zresztą wziął swoją nazwę — „Pod Czerwonym Butem”.

W sali ogólnej tego lokalu klient miał do dyspozycji tylko stoły, krzesła i bardzo słabą kawę. Polak przyniósł jednak własny koniak i własne kości; grał teraz sam ze sobą, prawa ręka przeciw lewej, krzywiąc się raz po raz z powodu kiepskich wyników. Wyglądał na człowieka porywczego i w dodatku był chyba w kiepskim humorze; ale butelka koniaku, stojąca na widoku, skusiła wreszcie kogoś, kto odważył się do niego przysiąść. Sądząc po kitlu i trepach był to miejscowy sprzedawca.

Przysiadł się i rzucił uwagę na temat pogody, zignorowaną przez polskiego huzara. Wszystkie następne próby nawiązania rozmowy spotkały się z podobną reakcją. Wreszcie pozostali goście stracili dla nich zainteresowanie, bo nie zanosilo się na awanturę.

— Jest pan z kupieckiej rodziny? — zapytał w końcu natręt.

— Nie, chociaż potrafię odróżnić domokrażcę od rzemieślnika, zwłaszcza jeśli wiatr wieje od Białej Wieży — odpowiedział Kościuszko.

— Czego ci potrzeba? — zapytał sprzedawca pochylając się ku niemu.

— Dokumentów dla mnie i mojego przyjaciela. Mam tu jego dane i chcę dostać te dokumenty tak szybko, jak tylko to możliwe. Będę też potrzebował informacji, ale możliwe, że trzeba je będzie ściągnąć z zagranicy.

— Masz coś do przekazania Białemu Człowiekowi? — zapytał sprzedawca używając pseudonimu, jakim agenci w terenie określali Misbourne'a. Amiens było na tyle dużym miastem, że Biała Wieża prowadziła tu placówkę. Kontakt był znany jako Biskup, a terenowi agenci znali procedurę nawiązywania łączności, chociaż nie wiedzieli oczywiście, kim był sam agent kontaktowy. Nawet teraz Kościuszko starał się nie przyglądać dobrze ucharakteryzowanemu rozmówcy, aby nie wiedzieć za dużo o wyglądzie tego człowieka i nie zdradzić go, gdyby został pochwycony i torturowany.

— Wiadomość od Wilka — zaczął Kościuszko, używając pseudonimu swojego i Wessexa. Każdy zespół agentów miał swój pseudonim, tak samo jak poszczególni agenci w zespołach. Kościuszko był Orłem, a Wessex Lwem. Tylko że tym razem Biały Człowiek nie musiał wiedzieć, który agent przekazuje informację; powinien tylko mieć pewność, że wiadomość pochodzi z pewnego źródła.

— Załoga „Christiny” jest internowana w Verdun. Księżniczka Stefania znikła z okrętu i nadal jej nie odnaleziono. Wilk sądzi, że Charenton (pseudonim, jakim określano markiza de Sade) jest za to odpowiedzialny.

— A więc za tym gonicie — powiedział z respektem Biskup. — Przydadzą wam się zatem moje wiadomości. Saint Lucky został ujęty przez Jacksów i siedzi w Tuilleries. Mówi się, że pojмали go podczas połowu delfina.

Kościuszko odetchnął głęboko, starając się zachować obojętny wyraz twarzy. Rzucił jeszcze raz kości, a potem podsunął kubek swojemu kompanowi.

— Możesz wypróbować sam. Nie są obciążone — powiedział wyniosłym tonem, jakiego użyłby huzar przemawiając do drobnego handlarza.

A więc Saint-Lazarre wpadł w łapy tajnej policji Talleyranda i jest przetrzymywany w Paryżu. Katastrofa. Jednak wiadomość, że ujęto go podczas próby dotarcia do Ludwika Karola, była niemal nie do uwierzenia. Najgorsze było to, że Talleyrand, jeśli będzie miał trochę czasu, na pewno złamie Saint-Lazarre'a, a wtedy zagrożona będzie cała działalność Rojalistów we Francji, o której wie ten człowiek.

— Żabojady też łowiły delfiny w Kanale, a zamiast tego złowiły królową — wyszeptał Kościuszko.

Teraz Biskup rzucił mu zdziwione spojrzenie, ale prawie natychmiast się pohamował i rzucił kośćmi. Pochylił się nad stołem. Kościuszko roześmiał się i klepnął w ramię swojego kompana. Podsunął mu butelkę, a kiedy ją odzyskał, sam pociągnął tęgi łyk.

Grali jeszcze jakiś kwadrans, a odbierając wygraną — garść drobnych, oślizłych monet — Kościuszko schował do kieszeni także zwinięty skrawek papieru. Potem wstał i niespiesznie odszedł w stronę swojej kwatery.

Początkowo Wessex zamierzał pozostać w swoim pokoju „Pod Złotym Kogucikiem”, dopóki Kościuszko nie spotka się z Biskupem i nie otrzyma od niego właściwych papierów obywatela Orczy. Ale kiedy jego partner wyszedł, Wessex odkrył, że nie jest w stanie usiedzieć beczynnym w zamknięciu. Chociaż starał się kontrolować, nie mógł się opędzić od myśli o Sarze. Gdzie teraz była i co się z nią działo? Na pewno znalazła się w niebezpieczeństwie, a to było wyłącznie jego winą. Gdyby jej nie poślubił, nigdy nie stałaby się celem mrocznych knozań Ripona. Markiza Roxbury stała zbyt nisko, aby nią się zainteresował, a poza tym nie była dość blisko Korony.

Ale jako księżna Wessex stała się łakomym kąskiem. Jeśli dodać do tego obecne kłopoty diuka, wkrótce mógł nadejść czas, że nie będzie już miejsca na nazwisko Wessexów na mapie Europy. Takie myśli go martwiły, tym bardziej że nie można było od nich uciec. Ale mógł uciec z tej ciasnej gospody. A zatem schował pistolet i wyszedł przejść się po mieście.

Nogi poniosły go w kierunku kościoła. Amiens nie było miastem biskupim (choć, pomyślał sardonicznie Wessex, jeden Biskup w nim rezydował), ale stał tu kościół papistów, i

to wielce okazały. Wielkie gotyckie łuki i strzelające w niebo wieże, ozdobione figurami świętych i aniołów, ostały się mimo wszelkich wysiłków ateistycznej Rewolucji, by jej unicestwić.

Bardziej pragmatyczny Bonaparte przywrócił prawa i przywileje Kościoła, które kraj w pierwszych konwulsjach chciał zniszczyć. Ale mimo wolności posług religijnych, największą potęgą w tym kraju stał się imperialny orzeł i nawet Kościół musiał mu oddawać cześć. Ba, nawet Moce Ziemi cofnęły się przed Wielką Bestią–Bonapartem, a niepokoje w Niewidzialnym Świecie rozchodziły się jak kręgi na powierzchni jeziora, do którego ktoś wrzucił kamień.

Rozmyślając nad tym wszystkim, Wessex nagle zorientował się, że stoi naprzeciwko małego sklepika, ulokowanego niemal w cieniu kościoła. Taki sklep nie mógłby otwarcie funkcjonować w dawnej Francji, gdzie królowie swój lud oddawali we władanie Kościoła. Ale teraz, u progu nowych czasów, potęga Kościoła była znacznie nadwerężona, więc mogły powstać miejsca takie jak to.

Chcąc oderwać myśli od swoich problemów, Wessex przeciął niewielki placyk i podszedł do sklepu. Zajmował on niewielki, wąski budynek, a na jego drzwiach namalowano otwartą dłoń z naniesionymi symbolami chiromancji.

Wessex ostrożnie pchnął drzwi i usłyszał cichy dźwięk dzwonka. Wewnątrz pachniało kadzidłem jak w kościele, ściany zaś pokryte były dużymi malowidłami przedstawiającymi frenologiczne mapy, znaki zodiaku, bardzo ogólne fragmenty horoskopów i inne artefakty Patrzących w Przyszłość.

Zaplecze pomieszczenia od części frontowej oddzielała kotara. Podczas gdy Wessex przyglądał się ścianom, wyszła zza niej kobieta.

Nie nosiła cygańskiego stroju, jak podświadomie oczekiwał; nie była też starą wróżką. Była niewiele starsza od niego i przyglądała mu się spokojnym wzrokiem. Miała na sobie schludne i proste ubranie; błękitny szal spięła karmazynową broszką w kształcie skarabeusza, która była jedynym nieco egzotycznym elementem jej stroju.

— Dzień dobry, *monsieur* — powitała go. — Szuka pan rady *Madame* Febricant?

— Czy tym właśnie handlujesz? — spytał Wessex. — Radami? Ku jego zdziwieniu kobieta roześmiała się wesoło.

— *Monsieur*, wie pan przecież, co to za sklep. Sprzedaję to, co ludzie chcą kupić, ale pan nie wygląda mi na takiego, co chciałby zakłęcia na zdrowie, bogactwo czy miłość. A więc zapewne przyszłość jest tym, o co panu chodzi.

— Bardziej interesuje mnie terażniejszość — odparł Wessex. — Jeżeli twoje moce rozciągają się także na nią, *mademoiselle*.

— Wasza miłość jest zbyt uprzejmy — odparła kobieta, wchodząc znowu za kotarę. — Ale ja miałam męża, chociaż niestety już nie żyje.

Wessex stanął jak skamieniały. Czy ona użyła tego tytułu, bo chciała mu pochlebić, czy naprawdę miała dar widzenia? A może była agentką Talleyranda, która miała szukać diuka Wessex na drodze do Calais?

Nie znał odpowiedzi. Wreszcie otrząsnął się i podążył za kobietą za kotarę, ale na wszelki wypadek trzymał dłoń na pistolecie pod surdudem.

Pokój za kotarą był dość mroczny. Oświetlała go tylko jedna świeczka, stojąca na brązowej podstawie o kształcie małpiej głowy. Wzdłuż wszystkich ścian stały mahoniowe szafki, których rozliczne szuflady i półki skojarzyły się Wessexowi z apteką. I tak jak w aptece stały tu też słoje z suszonymi roślinami i buteleczki z kolorowymi płynami; natomiast w żadnej aptece nie widział dotąd posążka Błogosławionej Dziewicy, u stóp którego płonąła mała lampka w czerwonej szklanej obudowie.

Na środku pokoju stał jednak duży stół, a na nim płonąła oświetlająca pomieszczenie świeca. Stół był nakryty zieloną tkaniną; oprócz świecy znajdowała się też na nim wielka

kryształowa kula i talia kart tarota spoczywająca na czerwonej jedwabnej chuście. Wyglądziwszy suknię, kobieta usiadła po przeciwległej stronie stołu i gestem wskazała Wessexowi drugie krzesło. Siedząc na nim, diuk byłby odwrócony tyłem do kotary, więc nie zajmował miejsca.

— Dlaczego zwróciłaś się do mnie tym tytułem, obywatelko? — zapytał. — Nie jestem arystokratą, ale dumnym obywatelem Francji.

Spojrzała na niego spod długich rzęs. Światło świecy odbijające się w jej oczach upodabniało je do ślepiów dzikiego nocnego zwierzęcia.

— Będę się do ciebie zwracać jak zechcesz, obywatelu — odparła wzruszając ramionami. — Ale ja i tak widzę to, co widzę. Mam Wzrok, tak jak miała go moja matka. Pochodzimy z Langwedocji, a tam Stara Krew jest silna. Od wielu już dni wiedziałam, że przyjdzie tu ten, któremu mam przekazać wiadomość.

— I to ja nim jestem? — spytał Wessex. Jego głos brzmiał sceptycznie, ale uprzejmie.

— Chcesz usłyszeć wiadomość czy nie? — zapytała twardo *madame*. — Najpierw miałam ci powiedzieć: „Jestem kluczem do każdego zamka”.

Wessex spoważniał. Znał motto rodu Roxbury równie dobrze jak swojego własnego. To była albo pułapka, albo prawdziwe przesłanie. Nie odzywając się słowem przeszedł ponownie przez kotarę, przekręcił zamek w drzwiach wyjściowych i pozasłaniał okna. Kiedy skończył, w sklepie zrobiło się tak ciemno, że widział cieniutką smużkę światła między zasłonami oddzielającymi go od wróżki. Odsunął te zasłony i zawiązał je po bokach.

— Dobrze więc, *madame* — powiedział w końcu. — Przekaż mi wiadomość, którą dla mnie masz, a ja postaram się odpowiednio wynagrodzić cię za tę przysługę.

— Ależ ty jesteś ostrożny — zadrwiła czarownica. — Co prawda dobrze wiesz, co to niebezpieczeństwo. Nie jesteś klientem, którego bym sobie wybrała, ale niewielu, którzy tu wchodzi, odpowiam z niczym. To niedobrze dla interesów — dodała mrugając.

Wessex uśmiechnął się kwaśno i usiadł naprzeciwko niej. Światło świeczki odbijało się w kryształowej kuli, w której widać też było cały pokój odwrócony do góry nogami.

*Madame* Febricant ujęła jego dłoń i wpatrzyła się w nią intensywnym spojrzeniem, jak niektórzy magowie wpatrywali się czasem w lustro wody.

— *Monsieur* ma żonę? — zapytała po chwili.

Śmieszne, że to pytanie tak go zabolalo, jakby nagle ktoś zastąpił mu jedyną drogę ucieczki. Ale przed czym zamierzał uciekać?

— Ty mi powiedz — odparł tylko.

*Madame* Febricant skrzywiła się.

— Ależ ostrożny. Bardzo dobrze, wasza miłość. Pańska żona znajduje się w niebezpieczeństwie. Jest przewożona przez kamień i wodę, niedaleko stąd. Czas stoi na jej straży, ale zagrażające jej niebezpieczeństwo będzie rosło, a ona trzyma w rękach całą Francję. Jej ocalenie leży w twojej mocy. Musisz podążyć za zachodzącym słońcem, aż dotrzesz do dawnego świata.

— Musisz przyznać, że twoja wiadomość jest trudno zrozumiała — zauważył uprzejmie Wessex.

— To właśnie mi powiedziano, *monsieur le duc* — parsknęła wróżbiarka. — Jedź na zachód bez zwłoki... inaczej stracisz żonę... i swoje serce.

Lady Meriel usiadła na krzeselku ustawionym pod drzewem i korzystając z jasnego słonecznego światła pracowała nad koszulą, którą szyła dla Louisa. Minęło już pięć dni, od kiedy zjawiała się w opactwie i poznała jego wielki sekret, i chociaż wciąż martwiła się o los Sary, te dni były jakby poza czasem, jak piękny sen, z którego kiedyś będzie musiała się obudzić. Tutaj mogła być sobą, a nie aktorką na fałszywym balu maskowym, grającą rolę napisaną dla niej przez kogoś innego.

A Louis był częścią tego snu.

Louis nie jest dla niej, powiedziała sobie twardo Meriel. Był prawdziwym królem Francji i chociaż chciał odrzucić władzę, inni zmuszą go do jej przyjęcia, gdy tylko się ujawni. Meriel robiła kolejny ścieg ganiać się w myślach za głupotę. Oto oddała serce mężczyźnie, który gdyby ją nawet kochał nad życie, nie będzie nigdy mógł jej poślubić. Król musi pojąć za żonę księżniczkę i chociaż w żyłach Meriel też płynęła królewska krew, to nie ona będzie tą, z którą Louisowi pozwolą się ożenić.

Pozwól nam chociaż spędzić ze sobą trochę czasu, zanim go zabiorą, Błogosławiona Dziewico. To chyba nie jest tak wygórowane życzenie?

Louis niedługo wróci z wioski. *Père* Henri był członkiem rojalistycznego podziemia i dzięki niemu Louis mógł dotrzeć do tych, którzy mieli oczy i uszy we wszystkich częściach kraju. Już zdołali sprawdzić, że wuj Meriel, Geoffrey, jest opłacany przez Talleyranda. Gdyby jeszcze odkryli, dokąd Geoffrey zabrał księżną Wessex, mogliby jąuratować, a wtedy znikłoby brzemie winy, które nosiła w sobie Meriel.

Wciąż szyla. Była szczęśliwa, że może pomóc we wszelkich domowych pracach. U jej stóp leżał stosik bielizny do cerowania. Nie mogła powstrzymać się przed spoglądaniem co kilka minut na drogę, gdzie miała nadzieję ujrzeć powracającego Louisa. Kiedy go wreszcie zobaczyła, wędrującego wesoło z szerokim kapeluszem w ręku i z rozpiętą pod szyją białą koszulą, tak jak noszono na wsi, zerwała się i pobiegła mu na spotkanie.

Spotkali się przy bramie. Louis włożył jej swój kapelusz na głowę i pocałował ją mocno. Pachniał czystym płótnem i słońcem, i serce Meriel rozpląnęło się ze szczęścia... i z przyszłego smutku.

— Wyjdz za mnie — powiedział nagle Louis. Roześmiała się, bo nie pierwszy raz już o to prosił.

— Nie i nie, i jeszcze raz nie! Mówiłam ci już... ktoś tak wielki nie jest dla kogoś takiego jak ja.

— Zrzekłem się tronu — przypomniał jej Louis przechodząc przez bramę i zamykając ją za sobą jedną ręką. Drugą obejmował Meriel. — Nie jestem niczym więcej niż niegdyś był obywatel Capet.\*

I obywatel Capet pragnie poślubić śliczną Angielkę.

— Louis, nie kuś mnie — błagała Meriel. — Możesz zrzekać się władzy, ale ani Anglicy, ani Francuzi nie pozostawiają w spokoju. Jesteś dla nich zbyt ważny.

— Zbyt ważny w ich grach — poprawił ją gorzko. — Są jak dzieci bawiące się żołnierzami, tylko zapominają, że te żołnierzyki krwawią i umierają. W Nowym Świecie jest inaczej. Możemy być tam wolni, Meriel. Wessex nam pomoże.

— Wbrew życzeniom króla? — zapytała Meriel. — Nie kłóćmy się teraz, kochanie. Powiedz mi, jakie są wieści o księżnej?

— Rozmawiałem tylko z wysłannikiem — odparł Louis. — Z poganiaczem, który przyjechał do miasta. Ale powiedział mi o spotkaniu w ruinach zaniku jakieś pięć mil stąd. Mam się tam spotkać z ich przywódcą, który ma mi przekazać wieści o księżnej.

— To zbyt niebezpieczne! — zdecydowała Meriel.

— Dlatego też nie powiemy o tym ani słowapere Henn — powiedział zdecydowanie Louis. — Gdy już się dowiemy, gdzie jest twój wuj i księżna, będzie dość czasu, by go w to włączyć. Zbyt dużo ryzykował ukrywając mnie przez cały ten czas, żebym teraz martwił go takimi drobiazgami.

— Ale jeśli... — zaczęła Meriel.

— Ci ludzie są przyjaciółmi — uciał delikatnie Louis. — Wierzą we Francję i w króla, nie w oportunistę, który ostatnio koronował się na Cesarza. Nie zdradzą mnie, chociaż tak

---

\* Tak zwracano się do Ludwika XVI po detronizacji

naprawdę nie wiedzą kim jestem. A teraz chodźmy. Jeśli się pospieszymy, zdążymy wziąć ślub, zanim *madame* Carmaux nakryje do kolacji.

— Nie — odpowiedziała Meriel uśmiechając się czule.

Jednak jego słowa wcale jej nie uspokoiły. W pewnym sensie była mądrzejsza od Louisa. To prawda, on stykał się z niebezpieczeństwem od dziecka, ale też zawsze otaczali go ludzie, którzy życzyli mu dobrze. Podchodził więc do świata optymistycznie.

Meriel nie.

Kiedy więc Louis opuścił dom kilka godzin po zmierzchu, ruszając na umówione spotkanie z Podziemiem, Meriel pospieszyła za nim. Księżyc był zaledwie kilka dni po pełni, więc dawał dość światła, by mogła go śledzić. Louis wprawdzie miał ze sobą latarnię, ale nie zapalał jej, znając drogę jak własną kieszeń.

Zameczek, do którego zmierzał, został spalony wiele lat temu, podczas Zwycięskiej Rewolucji. Zanim podłożono ogień, oczywiście budynek obrabowano, teraz więc pozostały tylko nadpalone kamienne i drewniane fragmenty ścian — wszystko inne bowiem dawno już rozebrali ludzie. Również po murze pozostał tylko niewielki ślad — wieśniacy stopniowo wynieśli kamienie, by reperować nimi własne domy i stodoły. Nawet metalową bramę przetopiono na napoleońskie armaty. Ozdobne trawniki zamieniły się w dziką łąkę, a ogrody stały się gęstwiną krzewów i kolczastych chwastów.

Louis zapalił latarnię, aby się przez nie przedrzeć. Meriel, która została nieco z tyłu — bała się, że zostanie odkryta, a w dodatku suknia nie pozwalała jej szybciej iść — dostrzegła małe światełko migoczące daleko z przodu. Przyspieszyła kroku, ale trafiła na koleinę i przewróciła się jak długa. Znieruchomiała, gdy idący przed nią Louis rozejrzał się zaniepokojony, usłyszawszy hałas. Kiedy tak leżała na ziemi, jej wyciągnięta ręka natrafiła na identyczną koleinę jak ta, która była powodem jej upadku. Ślady po przejeździe ciężkiego wozu. Ale kto ciągnąłby taki wóz do ruin zameczku?

Louis znów ruszył przed siebie. Meriel podniosła się na kolana i zbadła dokładnie zagłębienia po kołach. Musiały być świeże — ziemia wciąż miała w sobie wilgoć. Koła wozu były szeroko rozstawione a ślady głębokie, co świadczyło o wielkości i ciężarze pojazdu.

Meriel zerwała się na nogi, a jej serce zaczęło bić znacznie mocniej niż mogłoby to spowodować tylko zmęczenie. Przytrzymując dół sukni, zaczęła biec w kierunku światła latarni.

Oby się myliła. Wszyscy święci, oby się myliła!

Miała nadzieję, że dogoni Louisa, zanim on wejdzie w ruiny, ale po ciemku źle oceniła dzielący ich dystans. Kiedy zatrzymała się, by chwycić oddech, on już wchodził do zamku. A jeśli była w błędzie? Jeśli naprawdę czekał tu tylko przywódca Podziemia?

Spłoszy wtedy tego człowieka swoim krzykiem i może nigdy już się nie dowiedzą niczego o księżnej Wessex.

Niewiele miała czasu na podjęcie decyzji. Musi wybierać między ukochanym a przyjaciółką. Ale chociaż bolało ją serce z powodu tej zdrady, wybór nie był trudny.

— Louis! — krzyknęła z całych sił. — To pułapka! Pułapka! Louis odwrócił się i uniosł w górę latarnię. Widziała złoty blask ognia na jego twarzy, kiedy na nią spojrzał. I wtedy ruiny też eksplodowały światłem, jakby ktoś podłożył pod nie ogień, a z ukrycia wybiegli krzyczący żołnierze.

— Uciekaj! — krzyczał Louis, gdy już go złapali. — Meriel, uciekaj!

Wahała się tylko przez mgnienie oka, potem odwróciła się i pognęła jak spłoszona sarna. Nic nie mogło jej zatrzymać. Huknęły strzały, ale nie zwróciła na nie uwagi. Uniosła suknię tak wysoko jak mogła i uciekała, jakby otworzyły się za nią wrota piekła. Biegła tak, aż dopadła kościółka i pociągnęła za sznur dzwonu, który wzywał kapłana w przypadku nagłej nocnej potrzeby.

Kiedy pojawił się *père* Henri, Meriel nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Osunęła się do jego nóg, z trudem łapiąc powietrze i próbując opanować mdłości.

— Louis — zdołała wreszcie wykrztusić wskazując ręką na kierunek, z którego przybiegła.

Jakby na jej wezwanie, nadjechał stamtąd czarny powóz, zmierzający ku głównej drodze do Paryża. Ciągnęło go dwanaście czarnych koni, i tyle co najmniej było trzeba, bo powóz wykonano niemal w całości z żelaza, i nawet jego wąskie okna były zakratowane.

Wielkie metalowe kłódki na drzwiach dudniły jak odległy grzmot, kiedy przejeżdżał obok nich. Przed powozem i za nim jechało po sześciu żołnierzy, a czterech siedziało na dachu wozu. I każdy z nich był uzbrojony w muszkiet.

— Nie — wyszeptła w rozpacz Meriel. Opat de Conde dźwignął ją na nogi.

— Musisz być silna, moje dziecko — powiedział.

Było już dawno po pomocy. Meriel klęczała przed figurką Dziewicy w kościółku, a w dłoniach trzymała pożyczony różaniec.

Słowa modlitwy już się jej plątały ze zmęczenia, ale nie mogłaby w żaden sposób teraz usnąć. Mogła myśleć wyłącznie o tym, że Louis — jej Louis — był w rękach wrogów.

Przeze mnie. Zawsze wszystko przeze mnie, myślała zrozpaczona.

Opat udał się do miasta i przepytał parę osób. Poganiacza, z którym rozmawiał Louis, nie można było nigdzie znaleźć, chociaż jego krowy wciąż stały w oborze jednego z tutejszych rolników. Nikt też nie widział przejeżdżających wcześniej przez wioskę szesnastu żołnierzy i żelaznego powozu, ale przecież do ruin wiodły też inne drogi.

Louis zniknął. Opat był teraz w swojej pracowni i pisał listy, które mogły pomóc jego młodemu kuzynowi, ale też mogły się okazać całkowicie bezużyteczne. A Meriel klęczała w kościele, błagając Świętą Dziewicę o cud. Nawet nie o wielki cud. Zrozumiałaby, powiedziała Matce Boskiej, gdyby ona nie mogła uwolnić Louisa. Ale prosiła, by chociaż mogła umrzeć wraz z nim.

— Powiedz mi tylko, gdzie on jest, Święta Matko. Pozwól mi tylko udać się do niego.

Ale nie było odpowiedzi.

Potem za dnia ludzie wchodzilli i wychodzilli. Niektórzy, by się pomodlić za młodego Louisa, którego wszyscy znali i lubilli, chociaż dotąd uważali po prostu za siostrzeńca opata; inni, by modlić się za siebie, bo jeśli stanie się wiadome, że wioska ukrywała zaginionego króla, cesarz w swoim gniewie może zrównać ją z ziemią. Meriel zaś wciąż pozostawała w kościele odmawiając *Mme Carmaux*, która nakłaniała ją do pójścia do łóżka. Wreszcie późnym popołudniem przyszedł do niej sam opat. De Conde postarzał się tej nocy o dwadzieścia lat. Oczy miał podkrążone, skórę szarą i wysuszoną. Patrząc na jego twarz Meriel widziała tylko czaszkę pokrytą skórą.

— Meriel? — odezwał się do niej. — Dziecko, musisz odpocząć. Nie powinnaś niszczyć się w ten sposób. To mu nie pomoże.

— A więc moje modlitwy są bezużyteczne? — zapytała pogardliwie. — Mówią przecież, że Nasz Pan przychylniej słucha właśnie grzeszników. A ja zdradziłam już tylu ludzi w swym życiu, że z pewnością teraz mnie wysłucha.

— Nie mów tak — skarcił ją surowo opat. — Jesteś teraz zrozpaczona i przepełniona gniewem, wiać nie wiesz, co mówisz. Ale nie drwij z Boga, dziecko.

— Nie drwię z Boga, ojciec — odparła Meriel. — Ale sądzę, że On nas nie słyszy.

W środku nocy Meriel obudziła się gwałtownie i usiadła na łóżku z bijącym mocno sercem. Zdawało jej się, że ktoś krzyczał jej imię. Okna były jednak dokładnie zamknięte, podobnie jak drzwi, w pokoju zaś nikogo nie było. Meriel zsunęła się z łóżka i podeszła do okna. Otworzyła je, uniosła okiennicę i wyjrzała do ogrodu. Panował tam zupełny spokój i



cisza. Jedynym światełkiem był odległy blask świeczek za witrażami kościółka. Z wnętrza domu ani z ogrodu nie dochodził żaden dźwięk.

Louis...

Zalała ją nagła fala smutku, ale zdecydowanie odsunęła od siebie emocje. Teraz, kiedy już się ocknęła, obudziła się w niej determinacja z poprzedniego dnia. Musi coś zrobić!

Korzystając ze światła księżycy szybko włożyła bawełnianą sukienkę, wzięła pożyczony szal i trepy. Owinęła ciężkie buty w szal i przeszła na palcach przez uspioony dom. W kuchni otworzyła tylne drzwi i wyszła do ogrodu. Nie była do końca pewna, która jest godzina, ale wiedziała, że to pora między udawaniem się na spoczynek a paniem kogutów przed świtem. Powoli zamknęła drzwi żałując, że nie może ich w żaden sposób zabezpieczyć, i odeszła.

Nie zaszczekał żaden pies, kiedy szła w kierunku wioski. Przeszła obok ściany kościółka i zawahała się, ale nie zatrzymała. Błagała już Boga o pomoc, a On jej nie wysłuchał. Teraz zwróci się do kogoś innego.

Każda wioska we Francji miała miejsce — studnię, drzewo, kamień — poświęcone Najstarszemu Ludowi. Tam można było składać ofiary i błagać o pomoc. Dobrym chrześcijanom było to surowo zakazane; księza twierdził, że wszelkie Moce pochodzą od Boga Wszechmogącego i czczenie Jego tworów zamiast jego samego byłoby wielkim grzechem. Ale prosty lud znał głębszą prawdę: Święta Matka Chrystusa nie zawsze mogła im pomóc, jeśli działałoby się to wbrew woli jej Syna, który był znacznie mniej wyrozumiały od swojej Świętej Matki. A sam Bóg był bezstronny i sprawiedliwy... i nie dawało się go przekupić.

Ale Czarodziejski Lud przekupić się dało.

Meriel wiedziała, że nie zależy im na srebrze, ale miała ze sobą złoto i klejnoty, zaszyte w halce jeszcze przed ucieczką z Anglii. Nic, co mogłaby za to kupić, nie miało teraz dla niej znaczenia. Mogła dać im to wszystko i miała nadzieję, że Czarodziejski Lud jej wysłucha.

Louis pokazał jej to miejsce kilka dni temu — trzy głazy na granicy dwóch pól. Wtedy się bała. Kiedy zachęcał ją, by weszła do środka, uciekła. A teraz wracała do tego miejsca.

Nie wyglądało wcale przerażająco — trzy jasnoszare skalne bloki, ustawione w nieco nieregularny trójkąt. Nie były to nawet wielkie głazy — najwyższy z nich sięgał Meriel do policzka zaledwie — i wyglądały jak nie do końca obrobione milowe słupki na drodze. Trawa pomiędzy nimi rosła bujna i gęsta — Louis mówił, że nawet w najupalniejsze lato, ale teraz, gdy ledwie skończyła się wiosna, nie wydawało się to wcale nienaturalne.

A jednak kiedy w nocy zbliżała się do tych głazów, jej serce biło mocno ze strachu przed nieznanym. Owładnął nią zabobonny lęk.

— To dla Louisa — powiedziała sobie z mocą. Strach i gniew na to, co się z nim teraz działo, usunął słabość z jej serca. Wkroczyła zdecydowanie w sam środek kamiennego trójkąta. Było tak zimno między tymi głazami... choć jeszcze przed chwilą czuła gorące letnie powietrze.

To była jej ostatnia nadzieja. Jeśli się nie uda, Louis zostanie oddany *Madame Guillotine*. Żołnierze wrócą, żeby poszukać także Meriel, a jeśli zniknie i ona, nikt nie będzie wiedział, co się stało z Sarą. Zdecydowana, że do tego nie dopuści, Meriel zadarła suknię i sztywnymi od chłodu rękami rozdarła halkę w miejscu, gdzie zaszyte były skarby. Monety i klejnoty posypały się na trawę. Meriel pozbierała je uważnie, składając swój dar na chuście. Spojrzała na ten mały skarbiec... i stojąc między magicznymi głazami zaczęła płakać, bo nagle zdała sobie sprawę, że nie pozostała jej już żadna nadzieja. By ratować życie Louisa, nie mogła wezwać pomocy Magicznego Ludu, bo po prostu nie wiedziała, jak to zrobić. Opadła powoli na kolana i złożyła dłonie. Chciała się pomodlić, ale w tym miejscu zdało jej się to bluźnierstwem... nie wiedziała też, do kogo się modlić. Jeśli Louis umrze, jeśli jej modlitwy nie zostaną wysłuchane, utraci wiarę w Boga, a tego bała się niemal równie mocno jak

utracenia Louisa. Oczy Meriel wypełniły się łzami; zacisnęła zęby, by nikt nie usłyszał jej szlochu. Sama jednak też nie usłyszała tego, kto się do niej zbliżył.

— Kto mnie wzywa? — rozległ się słodki, melodyjny głos. Meriel przestraszona rozejrzała się wokół. To, co zobaczyła, wzbudziło w niej zdumienie tak wielkie, że łzy zaschły niemal natychmiast.

Między głazami stała kobieta. Była bardzo drobna — czubek jej głowy znajdował się na wysokości najwyższego z kamieni. Nosiła szatę tak zwiewną, iż zdawało się, że otaczają ją delikatne opary mgły.

— Ja, ja... — wyjąkała Meriel — potrzebuję...

— Król odszedł z tego kraju — powiedziała kobieta z Magicznego Ludu — a Wzgórza odeszły wraz z nim. Przyszłam z bardzo daleka, by odpowiedzieć na twój zew, Córko Ziemi. Twój płacz był taki głośny.

— On jeszcze żyje — jęknęła Meriel, nie rozumiejąc prawie nic ze słów przybyłej. — Powiedz mi, że on jeszcze żyje, błagam cię, *madame!*

— Młody Król żyje, ale dla nas jest martwy, bo nigdy już nie będzie składał nam przysięgi, jak to było niegdyś. — Głos kobiety był zimny i odległy, jakby nie należała do tego świata i nie obchodziły ją jego problemy.

— Więc żyje! — Meriel na chwilę zapomniała z radości, że przyszła tu prosić o pomoc. — Pomóż mi, pani, a dam ci to wszystko — powiedziała wskazując na stosik u swoich stóp. — I jeszcze...

I wszystko, o co tylko poprosisz — miała dodać, ale wtedy przypomniała sobie opowieści swojej starej niani i przerwała w pół zdania. Stara Janet była Szkotką, a za Murem<sup>\*</sup> kontakty z Najstarszym Ludem były na tyle częste, że Janet ostrzegała ją przed takimi targami bardzo poważnie. A przede wszystkim ostrzegała, aby nie składać tak otwartych obietnic.

— ...i będę cię szanowała aż do śmierci — dokończyła więc ostrożnie Meriel.

Kobieta uśmiechnęła się zimnym, księżycowym uśmiechem i uklękła nad stosem klejnotów i złota.

— To nie wystarczy — powiedziała w końcu.

— Ale to wszystko, co mam! — zaprotestowała Meriel, a w jej oczach znów błysnęły łzy.

— Nieprawda — odparła z wyrzutem kobieta z Magicznego Ludu i Meriel przypomniała sobie o naszyjniku i kolczykach, które wciąż miała na sobie.

Powoli odpięła kolczyki z koralowymi kulkami i dorzuciła je na stosik. Kobieta natychmiast jej chwyciła i uniosła podziwiając.

Jeszcze wolniej Meriel odpięła zapięcie łańcuszka otaczającego jej szyję. Wisiał na nim medalion, na którego jednej stronie widniał ułożony z małych diamentów krzyżyk, a z drugiej wygrawerowano herb Ripon. Wewnątrz był miniaturowy portret jej dawno zmarłej matki. Ten medalion był najcenniejszą rzeczą, jaką miała.

Ona tylko chce zobaczyć, czy jestem gotowa go oddać, pomyślała z nagłym buntem Meriel, ale wiedziała, że te rozterki są głupie. Przecież przez samą swoją obecność tutaj ryzykowała nieśmiertelną duszę, a chodziło o życie jej ukochanego. Nie była to naprawdę pora, by żałować przedmiotów. Meriel dorzuciła złoty medalion do pozostałych klejnotów.

— Teraz wystarczy — powiedziała kobieta. — O co więc mnie poprosisz, Córko Ziemi?

Meriel zawahała się. Stara Janet ostrzegała ją, że Magiczny Lud, jeśli tylko może, oszukuje przy umowach. O co powinna poprosić? Żeby ta kobieta dała Louisowi wolność? To mogło być wieloznaczne. Żeby wysłała pomoc? To również.

---

\* Mowa o Murze Hadriana, zbudowanym przez Rzymian dla oddzielenia zajmowanej przez nich południowej części Brytanii od terenów górzyszej północy, skąd najeżdżały na nich barbarzyńskie plemiona celtycko-piktyjskie.

— Chcę, abys dostarczyła mi środków umożliwiających uwolnienie Louisa i wysłała mnie do niego — powiedziała wreszcie. Kiedy tylko te słowa opuściły jej usta, już chciała je cofnąć, dostrzegając natychmiast tysiące możliwych pułapek.

— To dwie rzeczy. Którą chcesz dostać? — zapytała przekornie kobieta.

Meriel otworzyła usta, aby odpowiedzieć, ale postać przed nią zaczęła się nagle zmieniać, rozplywając się jak poranna mgła. Meriel zamknęła oczy. Kiedy spojrzała znowu, kobiety już nie było. Zamiast niej stał w tym miejscu szary kucyk. Gdy spojrzała mu w oczy, dostrzegła, że płoną czerwonym ogniem.

Zerknęła w dół. Klejnoty, jej chusta i medalion matki znikły. Meriel wstała i ostrożnie podeszła do kuczka. Jeździła konno od wczesnego dzieciństwa, ale to zwierzę nie miało ani uprzęży, ani siodła...

Nie mogło jej to jednak powstrzymać.

Kucyk nie protestował, kiedy podchodziła. A gdy już przy nim była, chwyciła silnie obiema rękami grzywę zwierzęcia i wskoczyła mu na grzbiet. Jeszcze dobrze się nie usadowiła, a on już ruszył; najpierw stępa, potem szybciej, aż wreszcie pełnym galopem. Bez wodzy Meriel nie była w stanie go kontrolować. Jedyne, co mogła zrobić, to chwycić się mocno jego grzywy i zmówić modlitwę.

## 18. PIONEK BIJE WIEŻĘ

Życie w niewoli jest śmiertelnie nudne, zdecydowała Sara. Była gościem *Monsieur* Talleyranda już od czterech dni i z każdym z nich zdecydowanie mniej ją to bawiło. Gdyby naprawdę była kobietą, za jaką uważał ją Talleyrand — wydelikacaną angielską arystokratką — mogłyby ją wykończyć nawet same tutejsze warunki: zimne mury celi i jedna miska jakiejś kleistej papki dziennie jako posiłek. Ale Sara przeszła dobrą szkołę życia — spała na twardszym niż to posłaniu i żywiła się gorszymi ochłapami.

Rozczesała włosy najlepiej jak mogła samymi palcami, splotła je w dwa warkocze i przewiązała paskami tkaniny oddartymi z brzegu halki. Mufkę, kapelusz i pelisę straciła, zanim jeszcze znalazła się w Chateau Roissy, więc zrobiła sobie pelerynę z koca leżącego na łóżku. Spędzała czas spacerując po celi, co zapewniało przynajmniej rozruszanie mięśni i więcej ciepła dla ciała. Oczywiście natychmiast pozbyła się gorsetu, ale schowała go pod wełnianym materacem, żeby nie zginął. Bez niego mogła poruszać się znacznie swobodniej. Jej suknia miała modne, wąskie ramiona, ale teraz, kiedy nie miała pod spodem gorsetu, stała się nagle bardzo luźna. Oczywiście znacznie chętniej włożyłaby spodnie, takie jakie nosiła do polowania, ale musiała poprzestać na marzeniach; nie sądziła, by jej nadzorcy byli ludźmi, którym można przedstawić takie dziwne żądanie. Z wyjątkiem służącej, która przychodziła dwa razy dziennie, Sara nie widywała nikogo, i chyba powinna być z tego powodu zadowolona. Geoffrey Highclere, na podstawie ich krótkiej znajomości, wydawał jej się człowiekiem, który mógłby się posunąć do wielu nieprzyjemnych rzeczy, gdyby tylko miał okazję i sądził, że ujdzie mu to bezkarnie. Na szczęście jednak pan Highclere trzymał się z dala, więc Sara spokojnie spacerowała po celi, jadła, co jej przyniesiono... i planowała ucieczkę.

Bo uciec stąd musiała i to szybko.

Nie wiedziała oczywiście, czy Wessex zamierza ją ratować, choć znając jego zimną dumę uważała to za nieuniknione; mimo to wiedziała, że musi polegać przede wszystkim na sobie, bo przecież sam Talleyrand przyznał, że nie wie, gdzie można znaleźć diuka. Jeśli zaś naczelny szpieg Francji nie potrafił go zlokalizować, to tym bardziej nie uda się to jej, zwłaszcza z więzienia. A więc Wessexa musi na razie wykreślić ze swoich planów.

Jej szansę stanowiło to, że zarówno Geoffrey Highclere, jak *Monsieur* Talleyrand uważali ją za słabą kobietę. Nie kłopotali się nawet przeszukaniem jej. Sara, kiedy ją pojmano, była ubrana zgodnie z wymaganiami mody, od fryzury aż do trzewików. Gorset z klejonego płótna usztywniony był drutami i fiszbinowymi podpórkami, a długie brązowe włosy upinała srebrnymi szpilkami, które wciąż miała. Tymi przyrządami mogła otworzyć drzwi celi. Przybyła do zamku tuż po pełni księżyca, a kiedy będzie blisko nowiu i noce staną się ciemne, nadejdzie czas na jej ruch. Czekala cierpliwie, także z tego powodu, że uznawała, iż im dłużej będzie odgrywać pokornego i przestraszonego więźnia, tym mniej będą się po niej spodziewać oporu. Musiała jednak przyznać, że długie, bezczynne i pozbawione jakiegokolwiek ludzkiego towarzystwa dni były naprawdę trudne do wytrzymania. Tylko samokontrola, jakiej nauczyła się wśród Ludu w swojej amerykańskiej ojczyźnie, chroniła ją przed kompletnym załamaniem, zwłaszcza że musiała martwić się jeszcze o rzeczy, na które nie miała wpływu — począwszy od miejsca pobytu Wessexa, a skończywszy na losie lady Meriel. Meriel nie miała jej umiejętności i wytrzymałości; Sara próbowała się pogodzić z myślą, że może nigdy już nie ujrzeć przyjaciółki.

Pograżyła się w tych melancholijnych myślach, podczas gdy jej stopy automatycznie wydeptywały drogę wokół celi; nagle stała się czujna. Nie wiedziała dokładnie, co ją zaalarmowało, ale kiedy stanęła bez ruchu, usłyszała skrobanie przy zamku drzwi.

Natychmiast pomknęła do łóżka i usiadła na nim. Spuściła głowę starając się wyglądać na nieszczęśliwego więźnia.

Kiedy drzwi się otworzyły, uniosła wzrok. W korytarzu kilku *chasseurs* w czerwonozielonych uniformach szarpało się z młodym blondynem w zabłoconej koszuli i spodniach. Młody człowiek miał związane za plecami ręce, a twarz pokrwawioną i posiniaczoną, ale wciąż próbował opierać się żołnierzom, którzy wreszcie jednak wepchnęli go do środka i zatrzasnęli za nim drzwi.

Sara podbiegła do młodzieńca, który próbował z wysiłkiem wstać z podłogi. Więzy na jego nadgarstkach były zaciśnięte tak mocno, że całe ręce miał pokryte ciemną zaschlą krwią. Sara męczyła się przez chwilę ze sznurami, ale po chwili stwierdziła, że nie da rady ich rozwiązać.

— Poczekaj — powiedziała. — Przetnę je.

Mówiła po angielsku. Wprawdzie jej matka uczyła francuskiego młode damy z Baltimore, ale Sara była niedbałą studentką i nie pamiętała prawie nic z tych lekcji. Zdawało się jednak, że nieznajomy zna angielski, ponieważ przestał się wyrywać ukląkł na podłodze i przyjrzał jej się uważnie.

Jeszcze na początku niewoli Sara ukradła łyżkę, którą przynieśli jej wraz z jedzeniem. Łyżka była cynowa (od czasu tej kradzieży dostawała wyłącznie drewniane), więc szybko zdała sobie sprawę, że nie bardzo przyda się jako broń czy narzędzie, ale naostrzyła jej krawędź niczym nóż, głównie z braku innych zajęć i trapiącej ją nudy. Teraz wydobyla naostrzoną łyżeczkę ze skrytki w materacu i ukląkla przy młodym współwięźniu.

— Jesteś pani Angielką? — zapytał w jej języku. Tylko minimalny akcent zdradzał, że nie jest to jego ojczysta mowa.

— Amerykanką — odpowiedziała Sara automatycznie, zanim zdała sobie sprawę, że w tym obcym świecie to słowo nie ma żadnego znaczenia.

— Z Nowego Świata! — twarz nieznajomego rozjaśniła się, jakby na chwilę zupełnie zapomniał, gdzie się znajduje. — Musisz mi wszystko opowiedzieć o tym miejscu, *mam'selle*.

— Z chęcią — odparła Sara przyglądając się jego więzom w poszukiwaniu najcieńszego miejsca do cięcia. — Ale sądzę, że lepiej będzie najpierw uwolnić ci ręce. Jeśli nie przywrócimy krążenia, może to się dla ciebie źle skończyć.

— Tchórzliwe świnię — powiedział bez specjalnej złości w głosie. — Trzęsą się jak stare baby przed jednym człowiekiem. Czym mogę im zagrozić? Jestem wygnańcem w swoim własnym kraju od wczesnego dzieciństwa. Nieważne. Co do swojego losu nie mam złudzeń. Gdybym tylko mógł być pewien, że *ma petite* jest bezpieczna. Szła ze mną na miejsce spotkania, gdzie zostałem pojmany. Powinienem był się domyślić, że tak zrobi.

— Powinieneś — powtórzyła nie słuchając go Sara. Znalazła właściwe miejsce i zaczęła pracować swoim zaimprovizowanym nożem. Cyna była ostra, ale miękka i Sara nie śmiała naciskać zbyt mocno w obawie, by nie złamać słabej broni.

— Może doszły panią słuchy o innym więźniu? — zapytał młody człowiek. — Ona ma na imię Meriel. Jest Angielką, chociaż mogłaby uchodzić za moją rodaczkę...

— Meriel! — Sara przestała nagle pracować nad sznurem i spojrzała na niego. — Wiesz, gdzie ona jest? Czy jest bezpieczna?

— Znasz ją, pani? — zapytał zaskoczony młodzieniec — Ale proszę mi wybaczyć, *mam'selle*. Powinienem się przedstawić. Mam na imię Louis. Może lepiej będzie poprzestać tylko na imieniu.

— Mam na imię Sara — odparła na to Sara.

O dziwo, to proste imię wywołało u Louisa atak śmiechu, który zresztą zaraz zakończył się jękiem bólu, gdy zaprotestowały obolałe mięśnie twarzy.

— A więc ty musisz być tą Sarą, o której mówiła Meriel. Cieszę się zatem, że *Monsieur* Geoffrey nie zrobił ci dużej krzywdy.

Szybko opowiedzieli sobie swoje historie, chociaż Sara wyczuwała, że Louis coś zachował dla siebie. Przez ten czas przecięła sznur. Ostrożnie zdjęła więzy z nadgarstków Louisa i zaczęła masować jego bolące ręce, aż wróciło normalne krążenie krwi. Naczynia po porannym posiłku wciąż stały na stole, a w dzbanku została jeszcze trochę wody. Sara oddała kawałek halki i zmoczyła tkaninę w wodzie, aby otrzeć nią z krwi twarz Louisa. Kiedy z tym skończyła, chłopiec chwycił chciwie dzbanek i wypił resztę wody. Potem pomogła mu wstać i zmusiła do spaceru, aby rozprostowały się mięśnie skurczone w czasie długiej podróży w zamknięciu i więzach.

— A więc mają zamiar cię ściąć? — zapytała Sara podsumowując ich konwersację. Wiedziała, że wobec niej Talleyrand też ma takie zamiary, ale jakoś jej śmierć wydała się bardziej odległą.

— Muszą mnie najpierw zabrać do Paryża — odparł Louis. — Nie wystarczy, że umrę. Muszę umrzeć na oczach świata. Ale zanim to nastąpi, Czarny Ksiądz będzie chciał się dowiedzieć, co wiem i w jaki sposób może tego użyć dla własnej korzyści.

— Widzę z tego, że jesteś ważnym człowiekiem — kusiła go do dalszych zwierzeń Sara. Miała jednocześnie nadzieję, że Louis opowiadając zapomni na chwilę o swoich problemach. Mimo prostego ubrania był niewątpliwie wykształconym człowiekiem, ale nie wiedziała o nim nic więcej, jak tylko to, że mieszkał w małej wiosce, niedaleko której Meriel uciekła z powozu.

— Tylko w chorej wyobraźni Cesarza Napoleona i jego szakali — odparł znużonym głosem Louis. — Jedyne nadzieje na nasz ratunek w twoim mężu, księżno. Innej nie widzę.

— Może jeszcze pojawi się inna — odparła na to Sara.

Sara nie podzieliła się z Louisem swoimi planami ucieczki, częściowo z wrodzonej ostrożności, a częściowo dlatego, by nie dodawać mu problemów do przemyśleń i zmartwień. Kilka godzin później służąca przyniosła następny dzbanek z wodą i miskę rosółu; Sara zmusiła Louisa do jedzenia i do picia. Potem nakłoniła go do snu. Chociaż ucieczka będzie znacznie trudniejsza, gdy będzie musiała wziąć chłopca ze sobą, Sara ani przez chwilę nie rozważała myśli, by go pozostawić. Jego przybycie wyznaczyło cel ucieczki — powrócą do wioski i ponownie odnajdą Meriel. Meriel doskonale mówiła po francusku i Sara była pewna, że da radę przekupić jakiegoś przemytnika, aby zabrał ich do Anglii albo przynajmniej przekazał tam wiadomość.

Ale najpierw Louis i Sara musieli uciec, a Louis był w bardzo złym stanie po dwóch dniach podróży w więzach. Chociaż protestował przed położeniem się spać, zasnął niemal natychmiast, gdy tylko jego głowa dotknęła poduszki.

Sara odsunęła się w przeciwległy róg pomieszczenia i przysiadła tam. Nadzorcy nie dostarczyli lampy ani świec, więc ciało Sary przyzwyczało się do spania i wstawania zgodnie z rytmem słońca. Dziś w nocy jednak nie będzie miała tego luksusu. Nawet jeśli pozostawią tu Louisa przez noc, jutro z pewnością po niego przyjdą i zabiorą na przesłuchanie. Muszą uciec dziś w nocy.

Sara nastawiła swój umysł na pobudkę o pomocy i zapadła w lekką drzemkę.

Obudziła się kilka godzin później, natychmiast przytomna i gotowa do akcji. Okno majaczyło jak mała szara plama w zupełnych ciemnościach, ale nie wpadało jeszcze przez nie światło dnia. Jedyne dźwiękiem był cichy oddech Louisa. Sara nie potrzebowała światła. Ostatnie pięć dni spędziła na zapamiętywaniu całego pomieszczenia, aby móc się po nim poruszać z zamkniętymi oczami. Wyciągnęła zaimprovizowane narzędzia z kieszeni sukienki, zdjęła buty i skradając się cicho jak kot podeszła do drzwi.

Przez dziurkę w zamku sączył się wąły promyczek światła. Przekonała się o tym już wcześniej. Gdzieś niedaleko w korytarzu płonąła przez całą noc lampa. Nie sądziła, by za drzwiami stał strażnik, ale jednak przytknęła ucho do zamka i słuchała uważnie przez kilka minut. Nic. Jeśli ktoś tam stał w korytarzu, był cichy jak wojownik z Ludu, bo nie usłyszała najmniejszego szmeru.

A więc do dzieła. Fiszbiny gorsetu posłużyły za podpórkę, a zakrzywiona spinka pełniła rolę dźwigni. Zamek był stary, wielki i ciężki. Ale ktoś dobrze go naoliwił, więc powinna dać radę, jeśli tylko znajdzie właściwy punkt. Kilka razy prawie trafiała i za każdym razem drut zsuwał się z zaimprovizowanej dźwigni. Nie spieszyła się, chociaż denerwowało ją każde kolejne niepowodzenie. Po czasie, który zdawał się jej nieomal wiecznością, ale nie mogło to trwać dłużej niż pół godziny, zatrask w końcu się cofnął, a zamek otworzył z głośnym szczęknięciem, które zabrzmiało jak wystrzał z pistoletu.

Louis poruszył się we śnie i zaraz ocknął, wracając do rzeczywistości w tym ponurym otoczeniu. Sara zawahała się, nie wiedziała, czy podejść do niego i powstrzymać go przed krzykiem, czy dalej trzymać drzwi, które bez tego otworzyłyby się na całą szerokość.

Louis rozwiązał jej dylemat, bo usiadł — co usłyszała w ciemności — i przerzucił nogi przez brzeg łóżka. Oczami duszy Sara widziała go wpatrującego się w ciemność i próbującego jądostrzec.

— *Mam 'selle la duchesse* — wyszeptał.

— Cicho! — syknęła rozkazująco w odpowiedzi.

Louis zamilkł. Sara powoli uchylała drzwi. W szczelinie pojawiła się najpierw smuga światła — oślepiąco jasna w porównaniu do poprzednich ciemności. Powoli i wstrzymując oddech Sara wyjrzała na zewnątrz.

Korytarz był pusty.

Louis stał już u jej boku; poruszał się dość cicho jak na wychowanego w cywilizacji człowieka. Spojrzał na nią pytająco. Sara ruchem ręki nakazała mu pozostać tam gdzie był, a sama wysunęła się na korytarz.

Wciąż nic. Kilka kroków dalej, na zniszczonym stole, stała świeczka na szklanej podstawie. Sara skradała się korytarzem w stronę, w którą prowadzono ją na spotkanie z Talleyrandem. Szła uważnie, obawiając się skrzypiących desek, aż wreszcie dotarła do schodów, równie ciemnych i cichych. Jeśli na dole ktokolwiek był, stąd nie mogła go zobaczyć. Bezszelstnie wycofała się do miejsca, gdzie stał Louis i pokazała mu gestem, by ruszał. Chociaż na jego twarzy malowała się ciekawość, miał na szczęście na tyle rozumu, że nie zadawał żadnych pytań. Podążał za nią tak cicho, jak tylko mógł. Sara umierała tysiące razy, nim dotarli do schodów, bo oboje poruszali się dość niezgrabnie w ciemnościach, a każdy najmniejszy dźwięk rósł w jej uszach tysiąckrotnie. Kiedy w końcu dotarli do pierwszego piętra, była wyczerpana tak bardzo, że niemal nie miała siły iść dalej.

Którędy teraz? Pokój, w którym rozmawiała z Talleyrandem, znajdował się niżej, ale po przeciwnej stronie starej, kamiennej części zamku, w której była trzymana jako więzień. Zamek zbudowano na pochyłości, więc sądziła, że zdoła się wydostać przez okno po tej stronie. W fosie nie zauważyła ani śladu wody, wyglądając przez więzienne okienko. Przecież *chasseurs* nie mogą pilnować każdego okna!

Nieważne, i tak musieli spróbować tej właśnie drogi. Blisko już było do świtu, a zanim nadejdzie dzień, muszą być daleko. Na tym poziomie były schody, prowadzące do góry na każdym końcu skrzydła. Naprzeciw, za wykładaną marmurem dużą salą, były jeszcze jedne schody, dla odmiany prowadzące w dół, dwukrotnie szersze od tamtych i wciąż piękne, mimo zniszczeń w pozostałej części budynku.

Sara wzięła Louisa za rękę. Miała wrażenie, że są parą dzieci błądzącą w ciemnym lesie. Poprowadziła go w kierunku szerokich schodów. Ręka Louisa była zimna i Sara czuła, jak

drży. Ona sama ledwie mogła oddychać, tak silnie odczuwała pragnienie wolności, która była już o krok. Wydostać się stąd, być znowu panią własnego losu...

Dotarli na dół schodów. Sara przystanąła, próbując zorientować się w ciemnościach.

— Stój — szepnął Louis i pociągnął ją do tyłu. Ale ona też już usłyszała ten dźwięk: kroki ciężkich butów na kamiennej posadzce, a potem ostry zgrzyt otwieranej latarni.

Uniosła rękę do oczu, oślepią gwałtowną jasnością.

— Witaj, droga księżno. Naprawdę miło znów cię oglądać — usłyszała wesoły głos Geoffreya Highclere'a. Postawił latarnię na podłodze i wszedł w krąg jej światła.

Highclere miał na sobie bardzo wytworny czarny mundur ze srebrnymi lampasami i czerwonymi pagonami. Przy boku nosił szablę, a jego jasne włosy lśniły w świetle latarni. W rękę trzymał pistolet.

— I wasza wysokość. Cóż za niespodziewany dodatek!

— Nigdy nie interesowało mnie towarzystwo zdrajców — powiedział z obrzydzeniem Louis.

Sara spojrzała na niego. Rewolucja Francuska była oczywiście tematem wielu rozmów podczas jej krótkiego pobytu w Anglii. Słyszała więc, że Ludwik XVI został ścięty, a jego syn od dawna już był uważany za nieboszczyka. Czy pan Highclere powiedział...

— Wasza wysokość nie będzie zmuszony długo cierpieć ich towarzystwa — odparł przyjaznym głosem Highclere. — Kiedy Talleyrand powróci z Paryża, odbędzie się egzekucja. Natomiast księżna, obawiam się, opuści nas już teraz...

Illia Kościuszko i Wessex opuścili Amiens tego samego dnia, zmierzając na zachód, w stronę wybrzeża. Wessex nie pozwolił Biskupowi Amiens przesłać do Anglii polecenia, aby wypłynął po nich statek. Diuk zdawał się poganiany wielką i niewytłumaczalną gorączką; nawet jego partner był tym zdziwiony. Wyjazd wieczorem nie miał sensu, skoro opłacili za noc pokoje, a ich świeżo wyprodukowane dokumenty były jeszcze wilgotne i mogły nie ochronić ich w razie dokładniejszej kontroli. Co więcej, Wessex wcale nie zamierzał trzymać się głównej drogi. Odbijał w bok na pola, skręcał w boczne wiejskie dróżki, kluczył, wracał, nadrabiał drogi... Najwyraźniej czegoś szukał.

W końcu Kościuszko nie wytrzymał.

— Posłuchaj — powiedział przyjacielowi — nie jest to z mojej strony pusta ciekawość, ale powiedz mi, gdzie jedziemy i co właściwie robimy? Księżniczki Stefanii na pewno tu nie ma, a...

— Chwilowo — przerwał mu uprzejmie Wessex — mam gdzieś księżniczkę Stefanię.

Kościuszko czekał na dalszy ciąg.

— Chcę odzyskać moją żonę — wyrzucił z siebie Wessex, jakby te słowa sprawiały mu ból. — Powiedziano mi, że mam jej szukać przy wodzie i kamieniu, ale niedaleko stąd. Muszę podążać za zachodzącym słońcem, aż dojdę do Starego Świata.

— Sądysz, że to wiarygodna wiadomość? — zapytał ostrożnie Kościuszko. — Chciałem tylko zauważyć, że słońce już zaszło, więc trudno będzie podążać za nim.

— Możliwe, że to wszystko jest wyssane z palca — zgodził się diuk. — Takie cygańskie gadanie... sam nie wiem, może nie powinienem był w to wierzyć? — zastanawiał się z zakłopotaniem.

Kościuszko wzruszył ramionami.

— Przy wodzie i kamieniu, niedaleko Amiens... to może oznaczać na przykład miasto i rzekę. Tylko gdzie można teraz znaleźć Stary Świat?

— To miało dalszy ciąg — dodał Wessex. — Księżna podobno jest strzeżona przez Czas i ma Francję w swoich rękach, więc mam spieszyć jej na ratunek natychmiast.

— Łatwiej powiedzieć niż zrobić — mruknął Kościuszko. — Ma Francję? Czyżby ukradła jednego z napoleońskich orłów? Bo to jest jedyna Francja, jaką znam.



— Nie masz racji — odparł Wessex dziwnym głosem. — Może jeszcze żyć Młody Król, w co zresztą wszyscy wokół zdają się wierzyć. Jeśli tak jest, to właśnie Ludwik XVII jest Francją we własnej osobie.

— To może wyglądać tak — zasugerował Kościuszko — że Geoffrey Highclere nie jest na służbie Napoleona, tylko króla Ludwika, któremu przyprowadził księżną. Teraz tylko trzeba znaleźć Czas i Stary Świat.

Wessex uniósł się w strzemionach i rozejrzał wokół z uwagą, jakby przypuszczał, że nagle pojawi się jakaś wskazówka.

— Kościuszko — zagadnął nagle — jak myślisz, kto naprawdę płaci Geoffreyowi Highclere? I gdzie on może teraz być?

Szary kuc, na którym jechała Meriel, gnał szybciej niż zwykle zwierzę i połykał przestrzeń jak strzała w locie. W kilka chwil wioska Trois Vierges została za nimi, a wierzchowiec z równą łatwością pokonywał mury, doły i żywopłoty. Dudnienie jego kopyt brzmiało jak wojenny bęben, zbyt szybkie, by wychwycić konkretny rytm.

Lady Meriel przywarła kurczowo do grzywy wierzchowca w obawie o własne życie. Nie miała nawet czasu się zastanawiać, która część jej życzenia została właśnie spełniona — znalezienie czy ratunek. W dodatku nie wiedziała, jaki jest cel tej podróży. Przytuliła tylko twarz do karku zwierzęcia, czując jak wiatr rozplata jej włosy, które opadły w nieładzie na plecy. Straciła buty tuż po tym, jak kuc ruszył, a teraz wiatr porwał także szal. Już tylko bawełniana sukienka i halka chroniły ją przed chłodem nocy.

Uznała jednak, że kuc wiezie ją do Louisa. A to była jedyna rzecz, jaka teraz miała znaczenie. Krajobraz migał z obu boków szybciej niż gdyby leciała jak ptak; pojawiające się przed nimi wieże kościołów znikwały za plecami w ciągu kilku zaledwie minut. Meriel próbowała znaleźć na niebie księżyc i nie dostrzegła go, a jednak zdawało jej się, że noc jest jasna jak przy pełni. Nie miała odwagi nawet się modlić; obawiała się, że gdy wypowie święte imiona, jej magiczny wierzchowiec rozplynie się jak mgła. Słupki przydrożne, znaczące mile, migały jej przed oczami jak białe deseczki w płocie olbrzyma, a palce i stopy Meriel zdrętwiały od nienaturalnego chłodu. Ale była zdecydowana nie poddawać się, nie błagać kuca o zwolnienie tempa. Musi ratować Louisa. Nie mógł tego zrobić nikt inny. Nie wiedziała nawet, jak długo biegł jej niestrudzony wierzchowiec, nim wreszcie zaczął zwalniać. Otarła wywołane przez pęd powietrza łzy i rozejrzała się wokół.

Na świecie pociemniało, gdy kuc zwolnił biegu; otaczała ich prawie absolutna czerń. O jakąś milę z przodu majaczyła zniszczona wieża wielkiego zamku. Meriel słyszała też w oddali szczekanie psów i kościelny wiejski zegar wybijający godzinę. Na horyzoncie pojawiły się pierwsze zwiastuny świtu; jej kuc szedł teraz powoli, a sierść miał chłodną i suchą, jakby ten szaleńczy pęd był tylko sennym przywidzeniem.

— Dokąd mnie przywiozłeś? — zapytała niepewnie Meriel. Przecież kuc miał ją dowieźć do Louisa. Taka była umowa... Czy na pewno? Gdzie był Louis?

Kuc potrząsnął głową ignorując jej pytania i ponownie przyspieszył do truchtu. Ale tym razem świat nie przybrał dziwnego błękitnego koloru, a Meriel z każdym krokiem stawała się bardziej pewna swojej głupoty. Jak mogła narażać nieśmiertelną duszę w ten sposób? Jej nagłe zniknięcie na pewno zasmuci opata de Conde, który przecież nie może wiedzieć, co jej się przytrafiło. Teraz, gdy wschodziło słońce, zawarty pakt wydawał jej się niewłaściwy... i bezużyteczny. Nawet jeśli Louis jest tu gdzieś więziony — może nawet w tym zamku — w jaki sposób mogła do niego dotrzeć?

Nie jestem w lepszej sytuacji niż byłam przedtem, uznała.

Przez kilka ostatnich minut jej wierzchowiec biegł wzdłuż drogi. Meriel zauważyła, że z przeciwnej strony zbliża się dwóch jeźdźców. Pociągnęła za grzywę kuca, starając się zmusić

go do skręcenia w bok, wiedziała bowiem, jak musi wyglądać — bosa i z rozpuszczonymi włosami. Nie chciała, by dostrzegli ją podróżnicy.

Ale kuc nie zareagował na wysiłki. Co więcej, palce Meriel nagle przeszły przez jego grzywę, jakby była mgłą, a twarde muskularne ciało, które czuła pod sobą, zaczęło się rozpląwać jak kostka cukru wrzucona do gorącej herbaty. Meriel upadła na drogę niemal pod kopyta nadjeżdżających mężczyzn.

Jechali przez całą noc, a Wessex przez ten czas zastanawiał się gorączkowo nad rozwiązaniem piekielnej zagadki. Identyfikacja tego, kto płacił Geoffreyowi, była dość prosta — to Czarny Książdz zarządzał siecią szpiegów i prowokatorów działających w tajnej służbie Francji. Jeśli Geoffrey Highclere brał pieniądze od Francji, płacił mu Talleyrand i do Talleyranda też musiał zawieźć Sarę. Ale gdzie jest Talleyrand? Sara z pewnością nie przebywała w Paryżu — o tym wspomniałby mu na pewno Saint-Lazarre. Sara uratowała mu życie, kiedy był jej gościem w Mooncoign i Victor na pewno skorzystałby z tej okazji, by spłacić dług. Załóżmy jednak, że Talleyrand trzyma w swoich rękach nie tylko księżnę Wessex, ale także króla Francji — albo przynajmniej tak sądzi. Władca szpiegów mógł oczywiście skorzystać z okazji, by wystąpić przeciwko swojemu cesarzowi, ale nawet on nie był na tyle potężny, by organizować spisek przeciwko Napoleonowi w samym Paryżu. A więc poszukałby jakiegoś spokojnego miejsca, by rozważyć, jakie korzyści może mu przynieść ta wielka zdobycz.

Już od jakiegoś czasu Biała Wieża wiedziała, że tu w okolicy znajduje się jedna z ulubionych kryjówek Talleyranda. Przed wiekami Chateau Roissy był prawdziwym warownym zamkiem, o czym wciąż przypominały baszty i fosa. Potem stał się raczej domem niż fortecą, aż wreszcie miejscem letniego wypoczynku rodu, do którego należał, i jego służby. Po krwawej rewolucji zamek stał pusty, aż zainteresował się nim Czarny Książdz. W jakim celu Talleyrand potrzebował tych nasiąkniętych krwią murów, nie wiedzieli nawet agenci Misbourne'a, ale można było podejrzewać najgorsze.

Pomysł, że Sara jest przetrzymywana w Chateau Roissy, był tylko rzuconą na ślepo hipotezą, zbudowaną na bardzo długim łańcuchu poszlak. Jeśli Highclere jest agentem francuskim — jeśli płaci mu Talleyrand — jeśli przywiózł Sarę do Talleyranda — jeśli Talleyrand trzyma ją w zamku...

Jeśli, jeśli i jeśli. Ale Wessex wiedział, że nie ma wyboru. Co więcej, czasu starczy mu tylko na obstawienie tego jednego wariantu, więc oby to było tutaj. Musi dostać się do Chateau Roissy i przeszukać tę średniowieczną fortecę.

Nie przedstawił na razie swojego planu Kościuszcze, bo wiedział, że przyjaciel nie byłby zachwycony, a Wessex nie miał na razie mocnych argumentów na poparcie tej hipotezy. Opowiedział mu już wszystko, czego dowiedział się od przyjazdu do Kopenhagi; teraz zamierzał wysłać partnera do Anglii, aby przedstawił stosowny raport Misbourne'owi ze wszystkimi niezbędnymi wyjaśnieniami.

Jechali tak aż do miejsca, gdzie diuk zamierzał skrócić w stronę Roissy. Tam Wessex ściągnął wodze swojego ogiera.

— Tutaj się rozdzielimy, przyjacielu. Jesteś nie dalej niż dwa dni od wybrzeża. Biskup Calais na pewno zdoła zorganizować transport, a potem...

— A potem mam mieć wielką przyjemność wyznania Misbourne'owi, że zostawiłem cię samego we Francji. Dziękuję, wasza miłość. Wolę raczej zaatakować kompanię francuskiej artylerii.

— Angielska artyleria byłaby trudniejszym przeciwnikiem — zauważył Wessex. — Ale posłuchaj...

— Nie mam ochoty słuchać, wasza miłość — sprzeciwił się jego partner. — Rozwiązałeś tę cygańską zagadkę, prawda? Nie myśl więc, że odetniesz mnie od zabawy. Twój raport

może równie dobrze przekazać Biskup Amiens, więc ta wymówka odpada — dodał wesoło Kościuszko.

— Mam zamiar dostać się do zamku Roissy — wyjaśnił cierpliwie Wessex. — A znajdują się tacy, którym będzie to bardzo nie w smak.

— Więc wyjaśnimy im to, jak zawsze — odparł Kościuszko. — To mi pachnie niezłą zabawą. Nie sądzisz chyba, że beze mnie masz jakieś szansę?

— Ty nigdy nie umiałeś słuchać rozkazów — roześmiał się Wessex, ale poddał się nieuniknionemu i spał konia ostrogą.

Był już niemal świt, kiedy nieufnie rozglądając się wokoło, dotarli w najbliższe sąsiedztwo zanku. Wessex wiedział, że do środka nie da się wejść niepostrzeżenie — sukces lub niepowodzenie zależało teraz tylko od tego, czy Talleyrand był osobiście obecny w Roissy. Jeśli go nie było, mogła się udać sztuczka podobna do tej w Verdun: dostaliby się do środka jako wysłannicy z Paryża.

Ale jeśli Talleyrand przebywał w zamku...

W niezbyt dawnej przeszłości, tylko raz, Wessex i Czarny Książ zetknęli się twarzą w twarz. Talleyrand z pewnością rozpozna Wessexa pod dziurawą maską obywatela Orczy. Kościuszko w mundurze polskiego gwardzisty mógł zwieść go odrobinę dłużej, ale też krótko. A potem oni obaj też zostaną ścięci razem z jakimś biednym głupcem, którego Talleyrand uznał za Króla Francji...

Wessex zdecydowanie skierował myśli w inną stronę. Co będzie, to będzie. Jedyne, o co mógł się starać, to wykorzystanie wszelkich możliwych okazji, jakie się pojawiają.

Kiedy podjechali bliżej, Wessex zaczął się zastanawiać, czy nie dałoby się jednak wśliznąć do zamku chyłkiem. Wieki budynek pogrążony był w ciemnościach, chociaż o tej porze powinien już tam panować jakiś ruch, chociażby wśród służby. Nikt nie patrolował drogi ani najbliższej okolicy — nawet nie szczekał żaden pies. Talleyrand chyba jednak przebywał gdzie indziej.

Potem usłyszeli tętent kopyt na drodze, od strony głównego traktu. Kiedy Wessex spojrział w tamtą stronę, dostrzegł nikły blask, jakby zbliżał się ku nim wielki światełk. Niemal w tym samym momencie, kiedy go dostrzegł, dziwny obiekt przebył połowę dzielącej ich odległości i Wessex mógł przyjrzeć mu się dokładnie. Był to szary kucyk, lśniący delikatną poświatą, podobną do księżycowego blasku.

Diuk usłyszał, że Kościuszko mruczy jakieś zaklęcie i robi znak krzyża w powietrzu między nimi a nieznaną istotą.

W tym momencie zjawa znikła, jakby naprawdę była tylko złudzeniem zmysłów. Ustał też odgłos kopyt. Zamiast niego usłyszeli cichy kobiecy okrzyk przestachu. W miejscu, gdzie poprzednio stał kuc, spoczywał na ziemi ciemny kształt.

Wessex pchnął konia naprzód. Za plecami usłyszał niechętnie mruczenie swojego towarzysza, który jednak podążył w jego ślady. Wessex do tej pory spotykał wyłącznie diabły w ludzkiej skórze i chociaż w jego zawodzie nie należało odrzucać tego, co niewytłumaczalne, zdecydowanie bardziej bał się człowieka z naładowanym pistoletem. W świecie diuka nie było miejsca na nierzeczywiste zdarzenia — co najwyżej na sprawy nie do końca zrozumiałe.

Na razie jednak zjawiskowy kucyk zmienił się w kobietę w pobrudzonej bawełnianej sukni, z włosami rozpuszczonymi i splątanymi w elfie loki. Kiedy odgarnęła je z twarzy i spojrzała na niego przestraszona, Wessex z niebotycznym zdumieniem zdał sobie sprawę, że jest to ktoś dobrze mu znany.

— Lady Meriel — powiedział z niedowierzaniem.

— Och, Bogu dzięki, że to diuk! — Kobieta podbiegła do niego i chwyciła się jego buta, jakby potrzebne jej było oparcie. — Wasza miłość musi mi pomóc. Nie wiem, skąd się tutaj

wzięliście, ale pańska żona... i Louis są w wielkim niebezpieczeństwie. Pan Highclere jest francuskim szpiegiem...

— Dokąd ją zabrali? — przerwał jej chaotyczne wyjaśnienia.

Meriel cofnęła się z okrzykiem przestachu na widok Kościuszki w jego fantazyjnym kostiumie. Wessex pochylił się, złapał ją za rękę i powstrzymał przed ucieczką.

— Dokąd ją zabrali? — zapytał ponownie.

— Nie... nie... nie wiem — Meriel prawie się rozplakała. — Ona... Pani z Kręgu... powiedziała, że pośle mnie do niego... ale nie wiem, gdzie jestem...

— Jesteś koło Chateau Roissy, *mademoiselle* — wyjaśnił Kościuszko.

Zdjął bluzę ze skrzydłami i zsiadł z wierzchowca, wieszając na łęku siodła swoje czako. Dobrze wytresowany ogier stał bez ruchu, a Kościuszko wziął pelerynę i podszedł do Meriel.

— *Mademoiselle* wybacz, ale jest raczej zimno, a spacerować bez obuwia nie są najlepszym pomysłem... nawet latem.

Przemawiając tak Kościuszko zarzucił dziewczynie na ramiona pelerynę z wilczego futra.

— Naprawdę, Wessex, masz teraz taką minę, że wystraszyłbyś każdego — dodał karcąco. — Jestem pewien, że lady Meriel będzie z nami chętnie współpracować nawet bez twoich krzyków.

Jeszcze raz nieodparty urok polskiego huzara zrobił swoje. Lady Meriel uspokoiła się znacznie, a wzmocniona dodatkowo łykiem brandy z jego manierki, opowiedziała im wszystko od momentu swojego przybycia do Trois Vierges aż do porwania Louisa przez ludzi, którzy przyjechali żelaznym powozem, gdy próbował dowiedzieć się od rojalistycznego podziemia o los księżnej Wessex.

— Nie wiedziałam, co potem robić, więc poszłam do Kręgu i pokazała mi się Biała Pani. Dałam jej mój medalion, a ona powiedziała, że wyśle mnie do Louisa albo go uratuje. Nie wiem, czego dotrzyma, lordzie Kościuszko. Teraz, kiedy kucyk zniknął, nie wiem co robić. Dlaczego każdy, kogo kocham, musi przeze mnie cierpieć?

— Cicho — napomniął ją surowo Wessex. — Interes, który ubiłaś z Kobietą z Magicznego Ludu, niewiele tu zmienia. Wchodzimy do zamku i możesz się nam przydać. Jeśli chodzi o twojego Louisa, lady Meriel, uratuję go na pewno, jeśli tam tylko jest. Król czy nie król, nie pozostawię żadnego człowieka na łasce Czarnego Księdza.

Sara spoglądała w wylot lufy pistoletu, zastygła z przerażenia. Geoffrey Highclere uśmiechnął się...

Louis stanął nagle pomiędzy nimi.

— Całe moje życie nauczyło mnie, co to znaczy być wartościowym więźniem, *m'sieur* Highclere. Nie sądzę, by *m'sieur* Talleyrand ucieszył się, jeśli mnie pan zabije. Uciekaj, Saro.

Dwa ostatnie słowa wypowiedział tak spokojnie i bez zmiany tonu głosu, że słuchacze nie od razu je zarejestrowali. Sara była szybsza. Odwróciła się błyskawicznie i zaczęła biec.

Każdy miesiąc w jej ciele buntował się przeciwko pozostawianiu Louisa, ale było to w tej chwili jedyne wyjście. Louis miał rację — Highclere nie odważy się go zastrzelić. A jak długo Sara żyła i przebywała na wolności, miała jeszcze szansę pospieszyć mu z pomocą. Za plecami słyszała wrzask Highclere'a, który wzywał pomocy. Korytarz, którym pobiegła, był jej obcy; oddalał ją od schodów na pierwsze piętro. Słyszała okrzyki, gdy zamek budził się do życia; miała tylko kilka sekund, by znaleźć wyjście. Szarpnęła za wąskie drzwi i znalazła za nimi wąskie schody wiodące w dół i w górę. Wejście dla służby. Kiedy zamknęła za sobą drzwi, odciała słaby poblask światła z korytarza i znalazła się w kompletnych ciemnościach. Ale wahała się tylko przez chwilę. Potem ruszyła na dół.

Kiedy dotarła do następnego poziomu, natrafiła na zamurowany ślad po drzwiach. Wyraźnie wyczuwała szorstkie cegły, zimniejsze niż stara otynkowana ściana. Nie było wyjścia z tej klatki schodowej na poziom parteru.

W górze zobaczyła blask światła. Ktoś otworzył drzwi wiodące na korytarz. Sara pobiegła dalej w dół.

Illia Kościuszko zasalutował żartobliwie i zawrócił swojego siwka. Było już na tyle widno, że zwierzę zdawało się lekko błyszczeć, chociaż nie w tak nienaturalny sposób jak kuc.

— Gdzie on jedzie? — zapytała Meriel. Wciąż była owinięta w pelerynę huzara. Wessex posadził ją na koniu przed sobą.

— Narobić zamieszania, znaleźć inne wejście, zabezpieczyć nasz odwrót — powiedział Wessex wymijająco. — Albo dać się zastrzelić, jeśli nasz przyjaciel Talleyrand zdecydował o wystawieniu jakiejś straży.

— Przykro mi z powodu kłopotów, jakich wam narobiłam — powiedziała ze skrucą Meriel.

— Będzie na to czas później, jeśli jeszcze będziemy żyli za kilka godzin. Nie miałem zresztą zamiaru zostawiać mojej żony w rękach Talleyranda.

— Więc zależy ci na niej, panie? — zapytała Meriel. — Bo jej się zdawało, że nie. Kiedy Geoffrey powiedział, że zatrzyma ją jako zakładniczkę, by zapewnić twoje odpowiednie zachowanie, twierdziła, że to nie zadziała.

Kobiety, pomyślał Wessex.

— Słuchaj, moja mała poszukiwaczko przygód, mam zamiar zameldować się w Chateau Roissy jako jeden z Czerwonych Jacksów, który właśnie wrócił z Trois Vierges po załatwieniu ważnej sprawy, czyli przywiezieniu ciebie. Niewykluczone, że oboje zostaniemy od razu zastrzeleni. Jeśli jednak nie, być może uda nam się zrobić coś, by pomóc więźniom. To wszystko wypełnia bez reszty moje myśli, więc nie mam dość energii, aby dyskutować o swoim małżeństwie. Rozumie mnie pani?

Meriel odwróciła się do niego tyłem, na ile było to możliwe w tak niewygodnej pozycji.

Schody w dół skręcały ostro i klatka schodowa stawała się coraz węższa; niebawem Sara ocierała się ramionami o ściany, zbudowane z ciasno dopasowanych głazów, zimnych i wilgotnych. A więc była pod ziemią. Nawet schody stały się mokre i śliskie, i gdyby nie była boso, zsunęłaby się z nich już kilka razy. Zatrzymała się w ciemnościach, nasłuchując. Ktokolwiek zajrzał tam na górze na schody, nie zadał sobie trudu, aby zejść na sam dół. Odczekała kilka minut, a potem powoli zaczęła iść przez ciemność z powrotem na pierwsze piętro. Pod drzwiami, którymi tu weszła, dostrzegła nikłą smuzkę światła i zawahała się. Jeśli otworzy te drzwi, może wmaszerować prosto w pułapkę. Cofnęła się ostrożnie i poszła jeszcze wyżej, na drugie piętro. Spoza tych drzwi nie dochodziło żadne światło. Sara otworzyła je powoli...

Ciemność i nieznany korytarz, a więc na chwilę wywiodła w pole swych prześladowców. Podeszła do okna i odsunęła zasłony. Świtało już. Na zewnątrz zrobiło się szaro, a trawa srebrzyła się poranną rosą. Tędy nie było ucieczki — okno wychodziło wprost na kamienny dziedziniec i nie miała żadnej możliwości, by zejść po zewnętrznym murze.

Ktoś podjeżdżał konno do bramy. Sara spojrzała... i zastęła ze zdumienia.

To był diuk Wessex. A wraz z nim na koniu jechała Meriel.

Musi jakoś zwrócić na siebie ich uwagę! Sara zastukała w okno, ale zaraz zdała sobie sprawę, że Wessex nie może usłyszeć tak słabego dźwięku. Wiedziona nagłą myślą owinięła pięść w fałdy sukni i uderzyła z całej siły w szybę. Szklane odłamki posypały się na dół. Wessex spojrzał w górę. Sara przycisnęła twarz do całego fragmentu szyby mając nadzieję, że ją zobaczy. Zatrzymał się, zsiadł z konia ściągając za sobą Meriel i znikli oboje między krzewami otaczającymi zamek. A więc dostrzegł ją.

Co teraz robić? Sara rozejrzała się dziko. Musi znaleźć jakiś sposób, aby wpuścić Wessexa do środka, ale przecież dolne piętra zamku pełne są wrogich żołnierzy.

A więc w górę!

Po kilku minutach poszukiwań znalazła schody prowadzące do góry, przeszła na najwyższy poziom, wyczołgała się przez okno i stanęła na dachu. Płyty pod jej stopami były mokre, śliskie i gładkie jak szkło. Ślizgała się na nich rozpaczliwie, aż przywarła kurczowo do komina. Na dole wszystko wydawało się tak małe, że aż nierealne. Gdzie ten Wessex? Na dachu był ktoś jeszcze oprócz niej — Sara wyraźnie słyszała czyjeś kroki na mokrych płytach. Na razie przestała szukać Wessexa i spojrzała w stronę, skąd zbliżał się intruz.

Był gładko ogolony i ubrany w nie znany jej zielony mundur. Włosy miał nienaturalnie żółtej barwy. Gdy suknia Sary załopotała wysoko na wietrze, spojrzał na nią z wyraźnym zainteresowaniem.

— Księżna Wessex, jak przypuszczam? — powiedział Illia Kościuszko.

W kilka chwil później wszyscy znajdowali się w pokoiku, z okna którego Sara wyszła na dach. Sara trzymała w objęciach Meriel i zapewniała ją, że Louis jest naprawdę tutaj, żywy i w dobrym stanie... chociaż wciąż jako więzień Geofreya Highclere'a.

— Ale Highclere nie może go zastrzelić. Czeka na powrót Talleyranda z Paryża., potem nie wiem, co się stanie.

— Zanim do tego dojdzie, będzie już wolny — oznajmił Wessex. — Saro, ty i Meriel pójdziecie z Kościuszką i...

— Nie — przerwała mu zdecydowanie i w sposób nie podlegający dyskusji. — Nie mam zamiaru czekać gdzieś w bezpiecznym miejscu, aż cię zabiją. Wszyscy będziemy potrzebni do uwolnienia Louisa. No i jest coś, co muszą ci powiedzieć, wasza miłość... ale jeszcze nie teraz.

— Cieszę się niezmiernie — powiedział Wessex oschle. Spojrzał na Kościuszkę i wzruszył ramionami. — Jak sobie życzysz, księżno. Razem stawimy czoło wrogowi. A zatem, panie i panowie, czas zacząć przedstawienie.

— Mam nadzieję, że wasza wysokość polubi swoje nowe apartamenty — zadrwił Geoffrey Highclere. Zatrzasnął za sobą drzwi i zablokował je żelazną sztabą.

Nie zaryzykował strzału do uciekającej księżnej mając na linii ognia Louisa. Jego życie nie byłoby warte miedziaka, gdyby po powrocie Czarny Książdz stwierdził, że Geoffrey zabił króla Francji. Sprowadził jednak krzykiem żołnierzy i wysłał ich na poszukiwania tej przekłętą księżnej, rozkazując im, by wywrócili zamek do góry nogami, ale nie ważyli się wracać bez branki. Geoffrey nie był pewien, w jaki sposób uciekła, ale nie miał zamiaru dać Louisowi szansy, by to powtórzył.

Zaprowadził go więc na najniższy poziom najstarszej części zamku. W czasach średniowiecza właściciel trzymał w tych lochach swoich jeńców. Jego następcy znaleźli lepsze zastosowanie dla tych pomieszczeń przechowując w nich wina. Ale ten fragment podziemi był zbyt wilgotny, aby ustawić drewniane stojaki, na których dojrzewały butelki królewskiego napoju. Pozostawiono tę część podziemi nie wykorzystaną i pustą. Dopiero Talleyrand przy pewnych okazjach zaczął używać tego niezdrowego pomieszczenia. Geoffrey uznał, że tej chwili jest to najlepsze miejsce na trzymanie niepokornego więźnia.

— Nic nowego — odpowiedział Louis. — Dopilnuj tylko, żebym nie zachorował na płuca i nie umarł, nim zdolacie mnie użyć.

Louis odszedł w najdalszy kąt lochu i kopnął z obrzydzeniem gnijącą, śmierdzącą słomę, depcząc grzyby, które porastały mokrą podłogę.

— Pocięszam się myślą, że cokolwiek ze mną zrobicie, księżna i tak jest wolna.

— Nie na długo — warknął Highclere. — A kiedy już ją złapię, zobaczę, czy nie znajdzie się tu jeszcze jeden równie miły pokoik.

Geoffrey wziął sobie jednak do serca słowa Louisa, bo spędził w celi jeszcze kilka minut rozpalając kawałki drewna w żelaznym koszu. Potem dorzucił tam jeszcze węgla.

Louis stał bez ruchu, dopóki nie roki odchozącego Geoffreya nie oddaliły się na tyle, że przestał jej słyszeć. Potem przyjrzał się drzwiom. Dolna ich część, drewniana, była wzmocniona grubą blachą z podłużnym otworem na podawanie posiłków. Górna część składała się jedynie z metalowych prętów, grubych jak kciuk mężczyzny. Wysuwając głowę przez kraty Louis dostrzegł jeszcze kilka cel podobnych do tej, w której się znajdował. Powietrze śmierdziało wilgocią, gnijącymi resztkami słomy i duszącym dymem. Louis zastanowił się z wisielczym humorem, czy zdąży rozchorować się i umrzeć, zanim pierwszy minister Napoleona powróci i weźmie go na spytki.

Miał nadzieję, że księżna jednak uciekła.

Rozległ się jakiś szmer, ale nie dochodził od strony schodów, którymi wyszedł na górę Highclere.

Mon Dieu, żeby tylko nie było tu szczurów...

Niezwykłe szczęśliwym zbiegiem okoliczności udało im się podsłuchać Highclere'a, który wyjaśniał żołnierzom, gdzie zaprowadził Louisa. Sara szybko się domyśliła, że kręcone schody, z których poprzednio się cofnęła, musiały właśnie prowadzić do podziemi. Próbowwała poprowadzić nimi Wessexa i Meriel, ale na dole schody zwężyły się tak bardzo, że Wessex nie mógł przejść. Powiedział im, że wraca poszukać innego wejścia; zostawił świecę, aby oświetlały sobie dalszą drogę. Wkrótce przejście zwężyło się jeszcze bardziej, tak że musiały przeciskać się bokiem. Sara zaczęła się irracjonalnie obawiać, że mogą tu utknąć i pozostać na zawsze. Płomień świeczki tańczył dziko w lekkim podmuchu powietrza z dołu, Sara z wahaniem podała świeczkę Meriel, bo z tyłu mniej wiało. Gdyby świeczka zgasła, nie miały jak zapalić jej ponownie.

Przejście było tak wąskie, że podając świeczkę Sara nie mogła przesunąć ręki wzdłuż ciała; musiała przenieść ją nad głowę. Meriel zrobiła to samo, aby ją przejąć. Sara poczuła palce przesuwające się po jej dłoni; kiedy Meriel uchwyciła pewnie świeczkę, Sara puściła ją...

I wtedy nagły podmuch powietrza zgasił płomień, zanim Meriel zdołała obniżyć świeczkę.

— Trudno — powiedziała uspokajającym głosem Sara w kompletnych ciemnościach. — I tak nie można zgubić tu drogi.

Usłyszała nerwowy chichot Meriel, ale czuła, że dziewczyna trzęsie się z zimna i ze strachu.

— To mnie może oduczy od zawierania paktów z Magicznym Ludem — powiedziała głośno Meriel.

— Przynajmniej tu dotarłaś — odparła Sara. Chociaż nie mogła sobie wyobrazić, by ktoś o zdrowych zmysłach chciał przebywać w tym miejscu. Ciemność była tak nieprzenikniona, że zdawała się świecić nierzeczywistymi kolorami. Sara musiała walczyć ze sobą, by zdusić nagły atak klaustrofobii. To było tak, jakby siedziała w jaskini głęboko pod ziemią, zakopana na zawsze, wiedząc, że nikt nigdy nie pozna jej losu...

— Saro — usłyszała gorączkowy szept Meriel — widzę światło.

Ku zdumieniu Louisa źródłem tych szelestów była księżna Wessex, której towarzyszyła lady Meriel. Gdy tylko Meriel go ujrzała, podbiegła natychmiast, zapominając o wszelkich niebezpieczeństwach, które mogły tu na nią czyhać. Przez kraty chwycili się mocno za ręce.

— Louis, już myślałam, że cię straciłam! — zawołała Meriel, a po jej policzkach popłynęły łzy.

Sara starała się nie słyszeć dalszego ciągu ich rozmowy. I tak zresztą przeszli na francuski, którego Sara nie znała.

Wolała przyjrzeć się kracie. Pan Highclere był wprawdzie kiepskim myśliwym, ale jego zwierzyna rozmnożyła się już na tyle, że nawet on mógł w końcu kogoś ustrzelić. Nie było czasu do stracenia. Jednak nawet jeśli uda się otworzyć kratę, Sara podejrzewała, że Louis nie przejdzie wąskim korytarzem.

Mogła tylko mieć nadzieję, że Wessex rozwiąże ostatecznie problem Geoffreya Highclere'a.

Geoffrey wszedł do salonu i nalał sobie brandy. Szabla pobrzękiwała mu dumnie u boku — symbol rangi i społecznego statusu... który zniknie jak poranna mgła, jeśli nie złapie na czas księżnej Wessex.

Niewiele pozostało z umeblowania salonu, jeśli nie liczyć biurka, krzesła i komody, ale była tam jeszcze butelka brandy i to po nią głównie przyszedł Geoffrey. Było już na tyle jasno na dworze, że nie potrzebował świec. Szary świt ustępował miejsca pogodnemu porankowi. Geoffrey bardzo chciał się napić, a w zamku zawsze było zimno, dlatego nie od razu dostrzegł, że jedno okno salonu jest otwarte i wpada przez nie chłodne poranne powietrze.

— Przyszedłem cię zabić, panie Highclere — oznajmił uprzejmie czyjś głos. — Zrób mi tę uprzejmość i doładź szabli.

Kilka kroków od niego stał diuk Wessex, zabójca na usługach króla Henryka, ubrany jak francuski urzędnik i trzymający w ręku szablę, która lśniła w porannym słońcu.

— Czy to ma być wyzwanie na pojedynek? — zapytał Geoffrey próbując zyskać na czasie.

Jeśli Wessex tutaj był, musiał wiedzieć wszystko. Na pewno przyszedł po Młodego Króla. Gdyby udało mu się schwytać diuka żywego lub umarłego, nie minęłaby go wielka nagroda.

Wtedy niepotrzebna nikomu księżna należałaby do niego...

— Niezupełnie — powiedział przepaszająco Wessex. — Jestem tu, by cię zabić. Ale pistolet robi za dużo hałasu.

To ja mam pistolet, wasza miłość... nie ty.

Geoffrey starał się nie zwrócić na to uwagi przeciwnika, ale wyraźnie czuł ciężar broni w wewnętrznej kieszeni. Dobył powoli szabli lewą ręką. Większość praworęcznych szermierzy miała duże kłopoty z przeciwnikami walczącymi lewą ręką, więc Geoffrey wyuczył się walki obiema rękami. Trzymał szablę ostrzem w dół, krawędzią tnącą do zewnątrz — styl niemiecki.

Wessex, jak zauważył, preferował szkołę włoską. Podszedł *en garde* i doskoczył do niego szybko, opierając wolną dłoń na biodrze.

Szable zderzyły się z metalicznym dźwiękiem. Obaj przeciwnicy byli doskonałymi szermierzami, obaj też już zabijali. Ale Wessex walczył o życie innych, a Geoffrey o własną skórę.

Spychał diuka uparcie, aż przeszli prawie przez całą długość salonu. Stąpanie ich ciężkich butów było dość głośnie w cichym pomieszczeniu, ale oczywiście nie czyniło tyle hałasu, ile narobiłby strzał z pistoletu. Geoffrey walczył dziko, całą uwagę skupiając na tym, aby unikać ciosów i jednocześnie wyciągnąć pistolet. Trwało to zaledwie kilka sekund, ale kiedy w końcu mu się udało, obaj mężczyźni splywali potem. — No cóż, Wessex, czas zrezygnować z tej walki.

— Musi to się odbyć w ten sposób, Highclere? Będzie oczywiście pewien skandal związany z twoją osobą, ale przynajmniej twoja rodzina wiedziałaby, że zginąłeś jak dzentelmen.



— Jesteś szaleńcem, wasza miłość. Jak śmiesz mówić mi o dżentelmenach i honorze? Ale mniejsza z tym. Zwyciężyłem. Rzuć broń.

Wessex posłuchał go, a Geoffrey kopnął szablę precz i podszedł bliżej.

Jego miłość wyciągnął z kieszonki zegarek i spojrzał na niego ignorując pistolet w dłoni Geoffreya.

— Już prawie szósta — powiedział spokojnie i strzelił Geoffreyowi w gardło.

Siła odrzutu wyrwała z ręki diuka zegarek, który rozbił się o przeciwległą ścianę. Odgłos wystrzału zabrzmiał jak grom. Wessex owinał zranioną dłoń. Ukryty w zegarku pistolet był groźną bronią dla obu stron.

Podniósł szablę i zmiażdżył resztki zegarka. Biała Wieża nie zwykła oddawać swoich sekretów w ręce wroga.

Drzwi otworzył się gwałtownie.

— *Anglais* zabity! — krzyknął Wessex w twarze zaskoczonych żołnierzy. — Zabójca uciekł przez okno! Za nim! Szybko!

Wyższe piętra starego zamku były w większości nie zamieszkane — jak odkrył Illia Kościuszko wychodząc na jeden ze strychów — chociaż mocno zagracone. Wessex sobie życzy zamieszania? Proszę bardzo. Zamek zdaje się raz już płonął, dlaczego nie miałyby się zająć po raz drugi?

Kościuszko stracił trochę czasu ściągając połamane meble na jeden ze strychów. Wprawdzie podkładanie ognia od góry nie było najlepszym sposobem, ale musiał radzić sobie w granicach swoich możliwości. Zgromadziwszy spory stos potencjalnego paliwa, Kościuszko przeszedł do pokojów służby, a następnie na strych po drugiej stronie, gdzie znalazł coś dziwnego: olbrzymi wiklinowy kosz, wysokości mniej więcej człowieka, otoczony workami z piaskiem.

— Interesujące — mruknął do siebie.

Jeszcze bardziej interesujący był fakt, że obok znalazł starannie zapakowaną resztę maszynarii. Kościuszko podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Z jednej strony dach opadał stromo, a ściany były pionowe aż do fosy, ale po lewej płaski dach biegł aż do miejsca, gdzie stykał się ze szczytem starej kamiennej baszty, najstarszej części zamku.

Pytanie tylko, czy zdoła przeciągnąć aż tam maszynę.

Pogwizdując cicho Kościuszko zabrał się do roboty.

Lochy były prawdziwym labiryntem. Dotarli nimi aż do używanej części piwnic, gdzie składowano wino, i tutaj już usłyszeli wyraźnie krzyki służących, przekleństwa żołnierzy, gniewne wrzaski. Przez kuchnię nie było zatem wyjścia. Zawrócili starając się odnaleźć drogę, którą szedł Geoffrey prowadząc Louisa do piwnicy, ale jedyne, co osiągnęli, to powrót do cel.

— Tak się nie da! — powiedział Louis. — Nie ma stąd wyjścia, które nie byłoby strzeżone przez szakale Talleyranda. Musicie wracać drogą, którą tu przyszłyście, a mnie zostawić.

— Nie! — krzyknęła Meriel.

— Musi być stąd inne wyjście — oświadczyła Sara. — Daj mi świeczkę, Meriel, a ty, Louis, przynieś trochę tej wilgotnej słomy.

Zanim Sara Cunningham znalazła się w obcych krajach, nauczono ją, jak przeżyć nie mając wiele więcej niż gołe ręce. Pozostała dwójka patrzyła nie rozumiejąc na cienką smużkę dymu, która unosiła się w kierunku sufitu.

— Proszę mi wybaczyć, *madame la duchesse* — powiedział Louis — Ale czemu to ma służyć? Ogień nam nie pomoże.

— Ogień pokaże nam drogę wyjścia — pouczyła go Sara. Mówiła prawdę; smużka odchyliła się wskazując właściwy kierunek.

Trzy razy jeszcze Sara przystawała i rozpałała maleńki ogieniek z pozostałości świeczki i kilku strzępków wilgotnej słomy, i za każdym razem cyrkulacja powietrza wskazywała im dalszą drogę. Używając tej metody, dokładnie zwiedziła kiedyś jaskinie koło domu; zawsze trafiała ku jakiemuś wyjściu wiodącemu na zewnątrz. Teraz też — choć był to sztuczny labirynt i tak daleko od domu — ta prosta metoda sprawdzała się doskonale. Dotarli do drzwi, których dotąd nie widzieli; umieszczono je na szczycie długich kamiennych schodów, a w szparze pod nimi przebijало światło.

— Znowu ślepy zaułek — powiedziała smutno Meriel. — Zamknięte albo strzeżone.

— Tego jeszcze nie wiemy — odparł Louis pełnym nadziei głosem. Spojrzał pytająco na Sarę.

— Zaraz się okaże — powiedziała powoli. Starła się zobaczyć w myślach plan zamku; zdawało jej się, że są teraz po przeciwległej stronie budynku, nie po tej, gdzie były wąskie schody, którymi zeszły tu wraz z Meriel. A zatem powinni znajdować się pod starą basztą, w której więziono Sarę i Louisa.

— Myślę, że nikogo tam nie ma — dodała. — Szukają nas raczej po drugiej stronie podziemi, nie tutaj.

— A nawet jeśli są niedaleko, to chyba nie mamy wielkiego wyboru, prawda? — powiedział Louis. Otoczył ramieniem Meriel. — Nie możemy zostać tu na zawsze.

— Nie — zgodziła się Sara. Wzięła głęboki oddech i zaczęła wchodzić po schodach.

Drzwi będą zamknięte, powiedziała do siebie z nadzieją. Wtedy nie musiałyby podejmować decyzji, czy bezpiecznie jest je otworzyć. W drzwiach tkwił mały wizjer; Sara spojrzała przez niego i dostrzegła, że źródłem światła jest mały, wąski otwór strzelniczy w ścianie starej baszty. Słońce już weszło. Był ranek.

Nacisnęła klamkę. Drzwi się nie otworzyły, ale szczęknęły i Sara zauważyła, że są zamknięte na skobel... z tej, a nie z tamtej strony!

Ostrożnie odsunęła skobel. Teraz pozostawało już tylko otworzyć drzwi i zobaczyć, co znajduje się za nimi. Zbierając całą odwagę, Sara wzięła za klamkę.

Półkoliste pomieszczenie za drzwiami było puste. Sara ponagliła pozostałych:

— Tędy! Szybko!

Diuk Wessex miał dziś pracowity poranek. Jego podstęp zadziałał tak długo, jak przypuszczał — jakieś trzy minuty; ale to dało mu trzy minuty przewagi i jego miłość dobrze wykorzystał ten czas. Talleyrand był nieobecny, a pan Highclere przebywał już na lepszym świecie, więc ciżbie żołnierzy i służących zabrakło kogoś, kto wydawałby rozkazy. Spowodowało to pewne zamieszanie, które dawało mu szansę.

Nie oznaczało to wszakże, że Wessex nie zostanie zastrzelony przez pierwszego żołnierza który go zobaczy.

Jednemu ze zbrojnych, w drzwiach salonu zdołał wyrwać sztucer i ładownicę; tak uzbrojony uciekał swoim prześladowcom przez zamkowe korytarze. Z początku planował ucieczkę do podziemi, ale został od nich odcięty. Jednak na podstawie opowiadań Sary i własnego rozeznania opracował sobie jeszcze inny kierunek ucieczki i dokładnie wiedział, jak należy to rozegrać.

Wessex dopadł szczytu schodów i schował się za załomem korytarza. Położył na podłodze ładownicę i wychylił się za róg przyjmując pozycję do strzału. Dobrze wyszkolony piechur potrafił wypalić trzy razy na minutę. Wessexowi brakowało wprawy, ale mógł wystrzelić dwa razy. Pierwsza kula uderzyła w ścianę, odłupując tynk i wzbijając chmurę białego pyłu. Przeładował i odpalił ponownie, a kiedy ścigający go zatrzymali się w oczekiwaniu na następną strzał, Wessex ruszył biegiem.

Tak jak przypuszczał, stara baszta była oddzielona od nowszej części zamku drzwiami otwierającymi się do środka. Zatrzasnął je za sobą i przełożył przez stalowe obejmy część

złamanego krzesła, które chwilowo miało zastąpić sztabę. Ta bariera nie powstrzyma długo pościgu... musi znaleźć coś mocniejszego. W tej chwili usłyszał ruch na schodach pod sobą i zdał sobie sprawę, że jego plan nie do końca się powiódł.

— Kto tam? — zawołała nerwowo Meriel, zanim Sara zdołała jąciszyć. Rozpaczliwie potrzebowała broni, jakiegokolwiek, choćby noża...

Na górze usłyszeli odgłos ciężkich kroków.

— Sara? — rozległ się głos Wessexa.

Twarz miał osmaloną od prochu. Serce Sary podskoczyło ze zdradzieckiej radości, że widzi go całego i zdrowego. Zaraz chwyciła broń, którą przyniósł. Teraz, gdy miała w dłoniach znajomy kształt, natychmiast wróciła jej pewność siebie. Między jej światem a tym, w którym się znalazła, było wiele różnic, ale lekki jednolufowy sztucer, którego używała przez całe życie, był wszędzie taki sam. Przewiesiła torbę z amunicją przez ramię, sięgnęła do niej i niemal automatycznymi ruchami przeczyściła lufę i przeładowała broń.

Wessex przyglądał się temu z osłupieniem.

— Sara? — zapytał ponownie.

Uniosła wzrok znad sztucera, zdając sobie w tym momencie sprawę, jak bardzo dziwaczne może się wydawać jej zachowanie. Niewiele już mogła zrobić, co najwyżej uśmiechnąć się przeprasząc.

— Wydostałam Louisa z podziemi — powiedziała wesoło. Skończyła ładować broń i schowała wycior pod lufę.

— Tak, widzę. — Wessex z trudem stłumił uśmiech, ale ona to dostrzegła. Sytuacja jednak nie mogła budzić radości.

Sara zauważyła, jak bardzo zmienił się wyraz twarzy Wessexa, gdy spojrział na młodego człowieka. Widać było, że rozpoznał te rysy; już wiedziała, że ta dziwna historia, którą Louis jej opowiedział, była najprawdziwszą prawdą. Ten poturbowany młodzieniec, którego uratowała, był prawdziwym królem Francji, dwanaście lat temu ocalonym z rąk oprawców przez ojca Wessexa.

— Chodźmy — powiedział krótko Wessex, prowadząc ich z powrotem na górę.

Jedynym wyjściem była ucieczka przez dach. Należało najpierw przekonać się, czy taka droga jest możliwa, ale kiedy Wessex dotarł na górę, wpadł na rozradowanego Kościuszkę.

Polski huzar był rozebrany do bielizny, a mokre od potu włosy opadały mu na twarz. Był jednak nadzwyczajnie z siebie zadowolony, a więc to, co miał do przekazania, mogło oznaczać tylko sukces.

— Wasz powóz czeka — powiedział krótko Kościuszko, uklonił się i wskazał otwartą kłapę w suficie.

— Co... co to jest? — zapytała zdumiona Sara, kiedy cała piątka znalazła się już na dachu. Dzień był w pełni — błękitne niebo, jasne słońce, ani jednej chmurki. Kamienny dach już zaczynał się nagrzewać. W powietrzu unosił się zapach spalenizny.

— To jest balon na gorące powietrze, jak sądzę — powiedział Louis. — Kilka lat temu był taki pokaz w Paryżu. Dzięki niemu ludzie mogą latać.

Meriel przeżegnała się. Miała równie bladą twarz jak Sara.

— To nie jest naturalne — wyszeptała.

Patrzyli wszyscy na wielki kosz, który mógł pomieścić kucyka, przymocowany sztywnymi linami do olbrzymiego balonu z kolorowego jedwabiu, którego dół otoczony był żelaznym pierścieniem zawieszonym nad koszem na metalowych prętach. Pod pierścieniem znajdował się kociołek wypełniony płonącymi węglami, a powietrze nad nim drgało od gorąca i powoli wypełniało balon.

— Czy to jest właśnie twój plan ucieczki? — zapytał Wessex swojego partnera.

— Niezwykle oryginalny, co jest jego dużą zaletą — wyjaśnił Kościuszko. — Podłożyłem ogień pod zachodnie skrzydło jakąś godzinę temu. Niedługo powinni go odkryć. Mam nadzieję, że to odciągnie ich uwagę i osłoni nasz odwrót.

— Mamy tym lecieć? — zapytał Wessex bez entuzjazmu, przyglądając się sceptycznie balonowi. Podszedł do krawędzi dachu i spojrzął na zachód. — Przynajmniej ogień nieźle się rozpalil.

Wiatr zmienił się nieznacznie i zobaczyli unoszące się znad baszty kłęby dymu. Sarze zdawało się nawet, że słyszy odległe trzaski ognia.

— Cóż — powiedział skromnie Kościuszko — między ogniem a prochownią...

Rozległ się przeraźliwy huk, od którego zatrzęsała się cała wieża. Meriel krzyknęła przerażona.

— Otóż to — zakończył Kościuszko z satysfakcją. — Nie byłem do końca pewny zgrania w czasie. Ale idzie całkiem nieźle.

— Jesteś wariatem — powiedział Wessex z pełnym przekonaniem.

Kościuszko wzruszył ramionami.

— Sądę, że powinniśmy już wsiadać do kosza. Nie wiem, czy dobrze go przywiązałem, a lepiej, żebyśmy byli na pokładzie, zanim zdecyduje się odlecieć.

— Ale... — Sara nie mogła znaleźć odpowiednich słów. — Ale... jeśli to nie zadziała, wszyscy z pewnością się zabijemy... chociaż to też jest jakaś ucieczka.

Kiedy cała piątka siedziała już w koszu, Kościuszko rozwiązał liny, które mocowały balon do dachu. Dorzucił do kociołka więcej węgla z worka, który miał pod stopami, i ścianki balonu zaczęły się wznosić, tracąc poprzednią miękkość. Stawały się napięte jak powierzchnia wypełnionego wiatrem żagla.

— Czy to się uda? — zapytała Sara trzymając kurczowo swój sztucer. Teraz, kiedy była uzbrojona, nie miała zamiaru pozbywać się broni.

— Też jestem ciekaw — mruknął Wessex.

Meriel po prostu przywarła do Louisa, bardziej przerażona tym powietrznym statkiem niż spotkaniem z Białą Panią, podziemiami, a nawet wszystkimi żołnierzami Talleyranda zebranych razem.

Zdawało się, że trwa to całą wieczność, choć naprawdę mogło zająć najwyżej trzy kwadransy, zanim kosz zaczął unosić się łagodnie pod wpływem ulatującego w górę rozgrzanego powietrza. Oderwał się od dachu.

Grali w bardzo niebezpieczną grę — ciekawe, czy balon zdoła ich stąd wynieść, zanim żołnierze odkryją, że wyszli na dach?

Balon unosił się statecznie, kołysany przez wiatr. Jednak zatrzymał się, gdy siły na niego działające znalazły się w równowadze.

— Worki z piaskiem — powiedział Kościuszko. — Czas je wyrzucić.

— Patrzcie! — wrzasnęła Meriel wskazując na klapę w dachu, w którą cały czas wpatrywała się gorączkowo.

Wyszedł przez nią żołnierz, który natychmiast ich zauważył. Natychmiast wyskoczył na dach i pobiegł ku nim z szablą w dłoni. Wystarczyłoby kilka cięć, aby oddzielić zgrabnie kosz od balonu i uwięzić ich tutaj.

Wessex sięgnął po swoją szablę, gdy tymczasem Louis i Kościuszko doskoczyli do worków z piaskiem.

— Wydostań ich stąd, Kościuszko — polecił Wessex siadając okrakiem na brzegu kosza — dołączę do was później.

— Nic z tego — odparła Sara opuszczając sztucer i składając się do strzału. — Ścigałam cię przez całą Francję, wasza miłość, i mam już tego dość.

Pociągnęła za spust. Błysnęło, gdy proch zapalił się na słońce, a żołnierz spadł z dachu z okrzykiem bólu.

Sara spokojnie przeładowała broń. Worki z piaskiem wyleciały z kosza i balon skoczył w górę gwałtownym susem, a następnie pozęgłował na zachód gnany podmuchem porannego wiatru.

## 19. ZANIECHANA DROGA

Cała piątka przybyła do Trois Vierges w środku nocy, ale Sara nie pozwoliła nikomu zbliżyć się do opactwa. Nakazała swojej grupie zapaść w przydrożnym rowie i obserwować dom aż do świtu.

Gdyby nie umiejętności traperskie Sary, nigdy nie udałoby się im zająć tak daleko. Mając tylko jednego konia — ogiera Kościuszki, który podążał w ślad za balonem, aż ten opadł na ziemię po kilku godzinach — nie zdołaliby ująć pogoni.

A zatem ukrywali się przed nią. Obszarpani jak bezdomne włóczęgi, podróżowali nocami i ukrywali się w dzień, żywiąc się tylko tym, co udało im się złapać lub ukraść. Aż trzech dni potrzebowali, aby przebyć dystans, który Meriel na swoim magicznym kucu przebyła w jedną noc. Największym zmartwieniem Sary było oczywiście ukrywanie szarego andaluzyjskiego rumaka, bo jedynym sposobem, w jaki banda żebraków, na jakich teraz wyglądali, mogła wejść w posiadanie takiego wspaniałego zwierzęcia, była kradzież.

Ale Kościuszko odmówił pozostawienie konia, a Wessex zgodził się z nim — gdyby zostali zaskoczeni, przynajmniej jedno z nich mogło uciec na grzbiecie wierzchowca.

Nie było wcale pewności, czy w Trois Vierges znajdą bezpieczne schronienie, ale ani Louis, ani Meriel nie chcieli zrezygnować z tej wizyty, Wessex zaś podejrzewał, że stary ksiądz może być użytecznym sojusznikiem... o ile oczywiście jeszcze żył.

Na razie, leżąc na zimnej i wilgotnej francuskiej ziemi, Wessex przyglądał się swojej księżnej. Twarz miała usmarowaną ziemią i zwierzęcym tłuszczem, a włosy zaplecione z tyłu w nieporządny warkocz. Podróżna suknia, niegdyś szara, była teraz upaprana błotem, a jeden z rozerwanych rękawów ukazywał równie brudną halkę. Była boso — pończochy służyły ochronie przed wilgocią cennego muszkietu. Trwała tak bez ruchu, jak rzeźbiona figurka na dziobie okrętu.

Wessex nagle zdał sobie sprawę, że w ogóle jej nie znał. Tutaj wreszcie spotkał kobietę, którą poznał w Mooncoign — dzikiego, skutecznego wojownika, towarzysza w bitwie. Ale tamta kobieta znikła, gdy król Henryk zmusił ich do małżeństwa. Pozostała tylko wystrojona w modne suknie, pozbawiona uczuć, kapryśna lalka z rodzaju tych, które dla diuka nie miały żadnej wartości.

Doszedł do wniosku, że muszą porozmawiać. Teraz, kiedy wiedziała, kim jest Wessex, był jej winien szansę honorowego wyjścia z tego małżeństwa. Ale na razie kwestia przeżycia zajmowała im każdą chwilę, odkąd opuścili zamek; teraz też nie był dobry czas na rozmowę — głos, nawet szept, daleko niesło, kiedy wokół panowała absolutna cisza. Obserwował dom równie podejrzliwie jak Sara. Stąd przecież zabrano Louisa. Można więc zakładać, że Talleyrand będzie szukał go znowu w tym samym miejscu. Dawno zaginiony król Francji powracał na polityczną szachownicę ku konsternacji przyjaciół i wrogów. Jego pojawienie się pomiędzy żywymi spowoduje zmiany wielu sojuszy na mapie Europy. Królewska krew i prawa do tronu były poważną pokusą.

Ale młody Louis nie chciał panować. Powiedział Wessexowi, czego pragnie — wyemigrować do Luizjany i mieszkać tam jak zwykły człowiek... ze swoją żoną.

Lady Meriel nie zgadzała się jeszcze go poślubić, co mocno podniosło jej reputację w oczach Wessexa. Zresztą tylko głupiec nie zauważyłby, że to nie jest szczenięca miłośćka. Z dziewczyną jednak coś trzeba było zrobić, bo chociaż Geoffrey Highclere nie żył, wciąż jeszcze pozostawał lord Ripon.

Coś zresztą trzeba będzie zrobić i z nim samym. Wiele miesięcy potrwa, nim Biała Wieża stwierdzi, czy prawdziwa tożsamość Wessexa jest znana Francuzom — a przez ten czas nie będzie mógł wyjechać za granicę nie narażając się na duże niebezpieczeństwo.

Jeśli uda się odnaleźć duńską księżniczkę, będzie miał i tak dość roboty w Londynie.

Tylko nie wiadomo, czy wciąż jeszcze będzie miał żonę.

Leżąc tak w krzakach w środku nocy i patrząc na skupioną twarz swojej żony, która absolutnie odmówiła oddania sztucera, Wessex odkrył nagle, że ma wielką nadzieję, iż będzie ją miał.

Słońce wzeszło. Opat odprawił poranną mszę i wrócił do domu przez ogród. Już kilka godzin wcześniej, gdy na niebie pojawił się pierwszy brzask, Sara przemieściła swoją bandę uchodźców z pozycji w rowie do nowej kryjówki w samym ogrodzie. Teraz nadszedł czas, by wykonać ruch.

— Louis? — powiedziała tak spokojnie, jakby znajdowali się w jej londyńskim salonie. — Czy nie zechciałbyś wejść przez kuchenne drzwi i zobaczyć, czy twój wuj nas przyjmie?

— Nie! — zaprotestowała gwałtownie Meriel przytrzymując Louisa za rękę.

— Tak musi być, *ma petite* — powiedział łagodnie Louis. — *Madame* Carmaux mnie wpuści, ale przecież nie zna ani *monsieur le duc*, ani *madame la duchesse*, ani szanownego Kościuszko. W dodatku wyglądamy tak, że każda uczciwa gospodyni narobi krzyku.

— A jeśli są tam Czerwoni? — upierała się Meriel. Niezależnie od tego, jak długo obserwowali dom, wciąż istniała taka możliwość.

— Wtedy *madame la duchesse* zastrzeli ich z tej wielkiej strzelby — odparł Louis. — Ale nie sądzę, żeby tam byli.

Wyszedł z ukrycia i wstał. Maszerował przez ogród tak spokojnie, jakby nic niezwykłego się nie wydarzyło. Doszedł do drzwi, otworzył je i zniknął w środku.

Cisza.

— Nie żebym bardzo się niepokoił — powiedział usprawiedliwiająco Kościuszko — ale chciałbym wiedzieć, jak długo będziemy czekać.

Meriel już zaczęła się czołgać w kierunku ściany. Drzwi się otworzyły i stanął w nich Louis. Zaprosił ich gestem, by weszli.

Zanim na śnieżnobiały obrus na stole opata wjechał obiad, piątka uciekinierów została, z wydatną pomocą *madame* Carmaux, doprowadzona do jakiegoś takiego porządku. Opat de Conde zapewnił Wessexa, że zdoła zorganizować transport na wybrzeże, gdzie diuk mógł nadać sygnał do patrolującego angielskiego okrętu wojennego, aby zabrano grupę na pokład.

Talleyrand nie przysłał nikogo do wioski. Prawdopodobnie uważał, że jeńcy zginęli w pożarze, który wybuchł w zamku. Chociaż Wessex nie sądził, aby mistrz szpiegów wyciągał tak pochopne wnioski. Tak czy inaczej mieli stąd odjechać za kilka godzin; dłuższe przebywanie w wiosce narażało mieszkańców na niebezpieczeństwo, a diuk nie chciał ryzykować.

Pozostawało tylko jedno pytanie: kto pojedzie... a kto zostanie tutaj?

— Naprawdę gorąco namawiam waszą wysokość do udania się wraz z nami do Anglii — powiedział Wessex, kiedy sprzątnięto naczynia, a służba wyszła zostawiając ich samych. — Naturalnie nie mogę zmusić...

Tutaj Illia Kościuszko kaszlnął, a Wessex przygryzł wargę.

— Zapewniam, że nie będę zmuszał waszej wysokości, ale muszę powiadomić niektórych ludzi, iż wasza wysokość żyje. Mam nadzieję, że to jest zrozumiałe.

— A co z lady Meriel? — zapytał Louis. W jego głosie dało się słyszeć nutę gniewu, ale był na tyle zrównoważony, że zdołał go ukryć.

— Będzie pod moją osobistą opieką — obiecał Wessex. — Nie musi obawiać się earla Ripona ani jego spisków.

— Ach, tak? Łatwo nami rozporządzasz, *monsieur le duc*. Ale ja nie mam ochoty, by ktoś mną kierował, ani tu, ani w Anglii. I nie zamierzam być królem.

— Mój synu... — powiedział opat, ale Louis uniósł dłoń uciszając go.

— Przykro mi, *mon oncle*, wiem, jak wiele poświęciłeś dla tego marzenia i jak wielu dobrych ludzi zginęło, by ocalić moje życie. Ale to nie jest moje marzenie. Oświadczam to tu i teraz.

Zdumiony opat patrzył na dumną postawę Louisa.

— Tak jest lepiej, *père* — powiedział Louis. — I niech tak zostanie.

— Czy wasza wysokość do końca rozważył, co oznacza odrzucenie korony? — zapytał Wessex. — Wasza wysokość jest ostatnim z prawdziwej linii. Jeśli nie będzie króla, kto dokona Wielkich Zaślubin Duszy tej ziemi?

— Nikt — powiedział krótko Louis. — Proszę pozwolić mi być sobą, *monsieur le duc*.

— Czy taki właśnie ma być los Francji? — nalegał Wessex. — Czy magia na zawsze ma odejść z *La Belle France*, aby odtąd stała się ona tylko materialnym królestwem?

Louis zadrzał patrząc w oczy Wessexa.

— To się już stało... w dniu, kiedy zamordowano mojego ojca, wasza miłość. Byłem wtedy o wiele za młody, aby nauczyć się któregoś z Wielkich Praw, a wszyscy, którzy mogli znać Pakty, są już z pewnością martwi. Korsykański tyran złamał potęgę Ukrytych Królestw i pozbył się ich. Jeśli kiedykolwiek jeszcze we Francji będzie panował król, nie będzie mocy Starego Prawa, którą mógłby wezwać.

— Wasza wysokość... — chciał zaprotestować Wessex, ale Louis znowu uniósł rękę uciszając go.

— Nie nazywaj mnie tak. Co ty wiesz o byciu królem? Nic. — Louis potrząsnął głową. — Gdybym nawet okazał się na tyle szalony, by żądać tronu, nie byłbym niczym więcej jak kukiełką tańczącą na złotych linkach.

W głosie Louisa brzmiało zdecydowanie, nie dopuszczające dalszej dyskusji.

— Pozwól mi odjechać, wasza miłość. Losy Francji i mój nie splatają się ze sobą, a ja chciałbym zacząć nowe życie z kobietą, którą kocham, z dala od tronów i koron.

Louis spojrział na Meriel. Uśmiechnęła się do niego i zerknęła na Wessexa. Chociaż próbowała to ukryć, w jej oczach widać było nadzieję.

— Dobrze więc — odparł Wessex, zawahawszy się tylko przez chwilę. — Stanie się zgodnie z twoim życzeniem. Pojedziecie ze mną do Anglii, a tam wsadzę was oboje na statek zmierzający do amerykańskich kolonii... Mam jednak nadzieję, wasza wysokość, że w razie potrzeby będą mógł poprosić cię o pomoc.

— O wszystko oprócz rządów nad Francją — obiecał Louis i roześmiał się z ulgą. — A teraz, moi panowie i *madame la duchesse*, chciałbym zaprosić was na mój ślub.

— Muszę z tobą pomówić — powiedziała Sara do Wessexa. Diuk odwrócił się do niej. Pozostali opuścili już kościół, by udać się na zaimprovizowaną ucztę, ale Wessex ociągał się jeszcze i Sara wróciła do niego.

— Spodziewałem się tego — powiedział cicho. — Zapewniam cię, że kiedy wrócimy do Anglii, nie będę żadną przeszkodą na twojej drodze. Musisz rozważyć, czy bardziej pasuje ci oddzielne życie. Moje... zajęcie jest bardzo niebezpieczne. Możliwe, że szybko zostaniesz wdową. A to znacznie mniej skandaliczne zakończenie małżeństwa niż rozwód.

— O czym ty mówisz? — zapytała zdumiona Sara. — Przyszłam powiedzieć ci, kim naprawdę jestem.

I powiedziała, choć w wielkim skrócie. W całej tej dziwnej historii Wessexa najbardziej zdumiało to, że Amerykanie mogli zbuntować się przeciwko królowi... i że Anglią niekoniecznie muszą rządzić Stuarci.

— Ale twój pierścień... ten, który należał do twojego ojca... co o tym sądzić? — zapytał jeszcze. Czy Liga Boscobel istniała w obu światach? A jeśli tak, to w jaki sposób prawowity król w świecie Sary skończył jako wygnaniec?



— Nigdy nie znałam historii pierścienia — wyznała Sara. — A teraz nie mam już na to najmniejszej szansy. Ale co ja mam robić, Wessex? Nie mogę wrócić do domu.

— Nie, jeżeli babcia nie ma jeszcze jednej cięciwy do swojego łuku — zgodził się Wessex. — Chociaż to też można brać pod uwagę, moja mała kolonistko. Ale ty zostałam ściągnięta do tego świata w jakimś celu... sądzisz, że spełniłaś swoją misję?

— Nie wiem — przyznała uczciwie Sara. — Jaką niedokończoną pracę mogła zostawić markiza Roxbury? Pracę tak ważną, że musiała mnie wezwać z innego świata, abym ją zakończyła? Ta istota — zielony człowiek — powiedziała, że muszę stać się jednością z tą ziemią. A ja nawet nie wiem, o czym on mówił, a co dopiero, jak to zrobić.

— Jeśli o to chodzi — odparł Wessex — myślę, że mam pomysł. Przyciągnął ją delikatnie do siebie. Nie protestowała. Powoli połączyły się ich usta.

## EPILOG LWICA ANGLII

Skąpany w promieniach zachodzącego słońca, ciężko wyładowany wóz z sianem toczył się po drodze, zmierzając w kierunku wybrzeża. Było co prawda o dwa miesiące za wcześnie na sianokosy i wóz wyglądał nieco dziwnie, ale ostatecznie wśród kawalerzystów patrolujących drogi niewielu było chłopów i zarówno opat, jak i Wessex uznali, że można zaryzykować.

Sara, Louis i Meriel ukryli się pod fałszywym dnem wozu, a Wessex i Kościuszko, oczywiście w odpowiednich strojach, powozilli zaprzęgiem. Kościuszko zgodził się w końcu zostawić swojego ogiera — miał stać w stajni opata, aż nadarzy się okazja odesłania go właścicielowi. Był jednak zbyt cennym zwierzęciem, by porzucać go na zawsze. Ich ludzie na Kanale już na nich czekali, dzięki Biskupowi Amiens. A morze było tuż, tuż. Wóz z sianem miał pozostać na farmie, którą wskazał im opat, a potem mieli przespacerować się tylko milę lub dwie na brzeg i poczekać do nocy, kiedy powinni nadać sygnał za pomocą krytej latarni i lustra, w które też zaopatrzył ich opat. Zdawało się to wszystko dość proste. Zresztą Wessex od czasu Rewolucji wjeżdżał i wyjeżdżał z Francji tak wiele razy, że sam już nie potrafił ich policzyć. A jednak zawsze coś mogło się nie udać, nawet teraz jeszcze, choć właśnie umierali z nudów — ot, zwykła przejażdżka na wieś...

Najpierw minął ich konny goniec podążający na wschód. Potem przez dłuższy czas nie widzieli nikogo i nikogo też nie oczekiwali — o tej porze ruch między Paryżem a Calais był raczej mały.

A jednak usłyszeli odległy tętent końskich kopyt. Kościuszko wskazał w kierunku kurzawy na drodze i spojrzał pytająco na swojego partnera. Jeśli był to francuski patrol, bardzo prawdopodobne, że szukał właśnie ich. Pozostawało jeszcze pytanie, czy ich rozpozna, jeśli się spotkają. Mogli blefować albo walczyć. Wessex wołałby to pierwsze, gdyby tylko miał możliwość wyboru. Potrząsnął głową na nieme pytanie Kościuszki i cmoknął na konie, aby przyspieszyły kroku.

Pojawił się konny oddział. Sześciu francuskich *chausseurs*. Była to lekka jazda, używana na wojnie głównie do zwiadu, ale czasem też do patrolowania ważnych obszarów — na przykład wybrzeża Calais. I wyglądało na to, że tym razem odnieśli sukces, bo mieli ze sobą jeńca, który jechał wśród nich ze związanymi z przodu dłońmi. Wessex rozpoznał musztardowy mundur *Kongelige Livgarde* między czarnymi mundurami Francuzów.

— Duńczyk — powiedział cicho Wessex. — Jeden z oddziału z „Królowej Christiny”. Może wiedzieć coś o księżniczce.

*Livgarde* nie dał najwyraźniej parolu, bo miałby szablę i pistolet, a więc prawdopodobnie będzie walczył, jeśli tylko nadarzy się okazja.

— To nasz obowiązek — powiedział poważnie Kościuszko sięgając po szablę i pistolet. — Dania jest naszym sojusznikiem, a przynajmniej powinna być.

Wóz został sprawnie usunięty na pobocze, aby zwolnić przejazd dla żołnierzy. Niespodziewane strzały rozległy się, gdy ci byli już tylko o kilka jardów od wozu. Kapitan i porucznik upadli od razu, a Kościuszko skoczył naprzód i dopadł konia tego pierwszego. W mgnieniu oka był już w siodle, galopując na pozostałych przeciwników.

Wessex opróżnił obydwie pistolety — wielce przydatny prezent od opata de Conde — i też pobiął naprzód z szablą w dłoni. Wprawdzie pieszy był w znacznie gorszej sytuacji walcząc z przeciwnikiem siedzącym na koniu, ale nie było czasu na takie kalkulacje.

Koło uszu gwizdnęła mu kula — to Sara wychyliła się z siana i dodała swój celny strzał do potyczki. Zresztą *Livgarde* w centrum zamieszania też nie czekał spokojnie na wynik walki.

Ledwie zabrzmiały pierwsze strzały, rzucił się całym ciałem na najbliższego Francuza, spadając wraz z nim na ziemię, gdzie zajął go przez chwilę walką mimo związanych rąk.

Wszystko to trwało bardzo krótko.

*Livgarde* wstał z ziemi. Uwolnił sobie ręce używając do tego bagnetu i przyglądał się poboju wokół z pewnym siebie uśmiechem.

— Bardzo skuteczna pomoc, *m'sieur* — powiedział po francusku, gdy Wessex zbliżył się do niego. Sara i reszta stali teraz przy wozie, szczęśliwie cali, choć może nieco oszołomieni. Głos Duńczyka był dość wysoki i nieco schrypnięty. Sądząc po wyglądzie chłopak chyba jeszcze się nie golił, nie miał w każdym razie wąsów ani bokobrodów, tak lubianych przez *Kongelige Livgarde*.

— W pewnym sensie załatwialiśmy też własny interes — odparł Wessex. Kościuszko tymczasem podjechał do nich. — Byłeś na „Królowej Christinie”, prawda?

— Sądzę, że był — odpowiedział za Duńczyka Kościuszko, szybkim ruchem ściągnając czako z jego głowy.

— Cholera — powiedział ze smutkiem *Livgarde*, gdy jego... jej blond włosy opadły na ramiona. — Wyprowadziłam was w pole — powiedziała księżniczka Stefania.

Księżniczka Stefania opowiedziała im swoją historię, gdy zebrali członków jej byłej eskorty. Nie było nawet potrzeby ich dobijać — związanych i zakneblowanych schowali wszystkich pod siano, gdzie mogli spokojnie poczekać, aż ktoś ich uwolni, a w tym czasie piątka — teraz już szóstka — uciekinierów będzie dawno na pokładzie statku.

Zwłaszcza że Francuzi podarowali im wierzchowce, z pomocą których drużyna mogła szybko dotrzeć do wybrzeża.

— Muszę przyznać, wasza wysokość, że taka maskarada świadczy o dużej zaradności — powiedział z szacunkiem Kościuszko, gdy jechali już na zachód.

— Ba! — odrzekła księżniczka. — Nikt nawet nie spojrział na żołnierza. Spodziewali się zobaczyć księżniczkę w sukni i z koroną, i tylko tego szukali. Moi chłopcy i tak by mnie nie oddali... to w końcu regiment mojego ojca... ale to ja zdecydowałam o włożeniu munduru i schowaniu się wśród nich. Ale ty jesteś *Anglais*, więc pewnie szokuje cię, że przebrałam się w męskie ubranie, *hein?* — zapytała uśmiechając się do Kościuszki.

— Jestem Polakiem — poprawił Kościuszko. — Ten skrzywiony dzentelmen w okropnym kapeluszu jest Anglikiem. Jeśli mogę go przedstawić — diuk Wessex, wielce oddany sługa waszej wysokości.

Księżniczka Stefania roześmiała się wesoło.

— Proszę, ależ mamy towarzystwo. Sami książęta, księżne i diukowie! Ile kłopotów narobiliśmy Francuzom, gdybyśmy tu zostali.

— Jednak — zwrócił uwagę Wessex — nie muszę przypominać waszej wysokości, że jej obowiązki są gdzie indziej.

Księżniczka westchnęła głęboko i spojrzała zuchwale na Wessexa.

— Co za nuda. Mam poślubić jakiegoś męczącego księcia. A moglibyśmy przeżyć razem tak wiele przygód!

Wessex i Kościuszko spojrzeli po sobie.

— Naprawdę nie sędzę, wasza wysokość, aby książę Jakub sprawił ci zawód, jeśli chodzi o przygody — powiedział trzeźwo Kościuszko.

— A ja z kolei nie sędzę, by książę był rozczarowany swoją przyszłą małżonką — dodał po angielsku Wessex.

## PODZIĘKOWANIA

Chciałabym podziękować Sherwoodowi Smithowi za jego pomoc oraz szybkie odpowiedzi na trudne historyczne pytania dotyczące Francji w roku 1806; Andrew Sieglowi za rozwiązanie kłopotliwych kwestii właściwej tytułatury; całej reszcie gangu SFRT I (który tak miło wspominam) za podtrzymywanie mnie na duchu (jak się macie Esther i Lois!); Jennarze za poradzenie sobie z całym tym zamieszaniem; Jane Emerson za kontakt z porucznikiem Stephenem Price'em z Królewskich Wojsk Inżynieryjnych; i wreszcie oczywiście samej Lady — Andre Norton — za jej bezgraniczną cierpliwość i uprzejmość podczas naszej długiej, trudnej, a czasem wielce zdumiewającej współpracy. Możliwość wspólnego pisania z nią i uczenia się od niej była dla mnie prawdziwym zaszczytem.

Rosemary Edghill